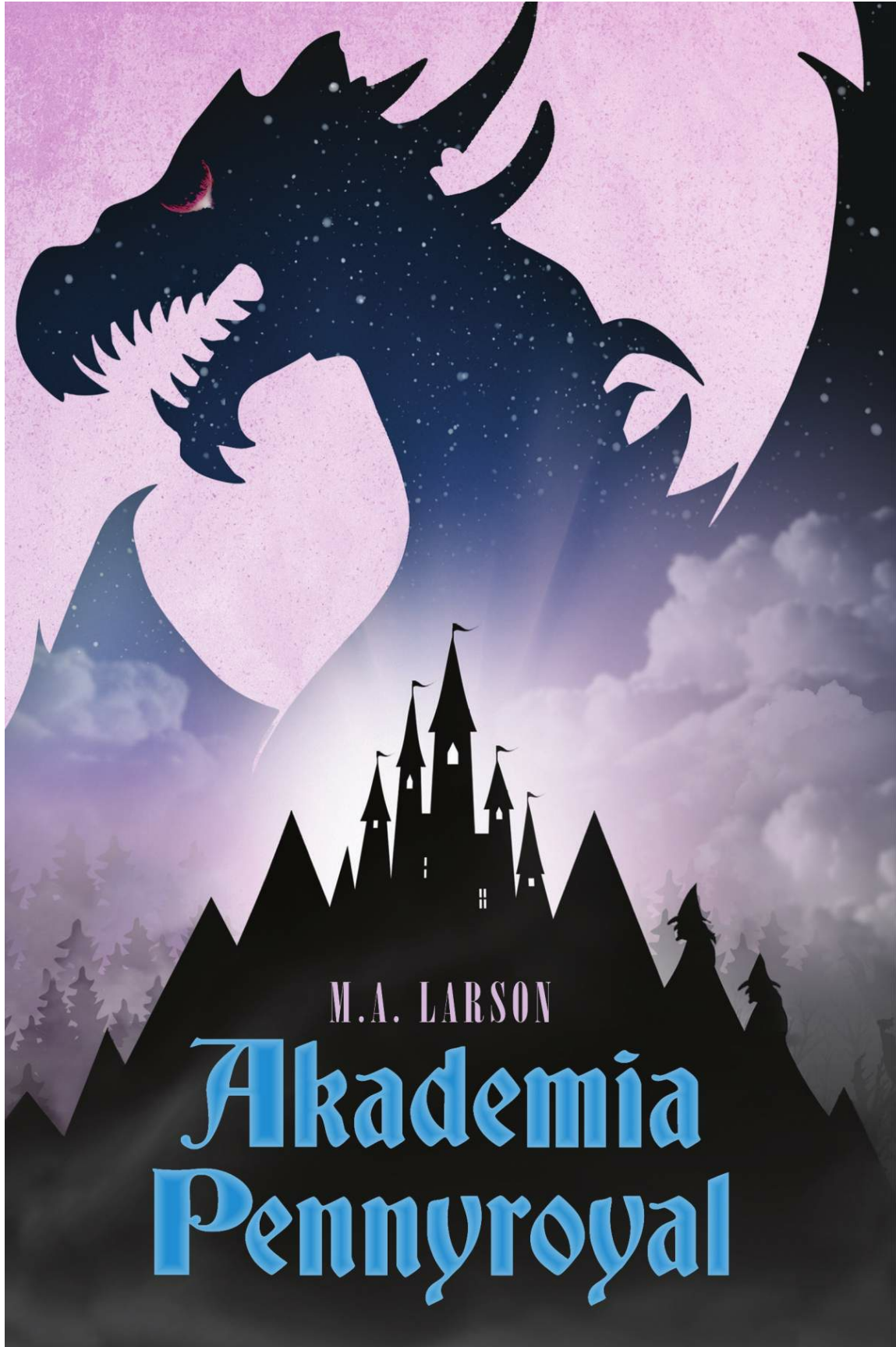


M.A. LARSON

Akademia Pennyroyal



M.A. LARSON

Akademia Pennyroyal

Akademia Pennyroyal



M.A. LARSON

Mamania
Warszawa 2016

M.A. Larson

Pennyroyal Academy

Copyright © 2014 by M.A. Larson

Copyright © 2016 by Grupa Wydawnicza Relacja sp. z o.o.

Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Kamila Wrzesińska

Korekta: Anna Dudało i Kamila Wrzesińska

Tłumaczenie: Grażyna Chamielec

Projekt okładki: Rowan Stocks-Moore

Skład: Ewelina Malinowska

ISBN: 978-83-65087-34-8

Mamania, Grupa Wydawnicza Relacja sp. z o.o

Słowicza 27a

02-170 Warszawa

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

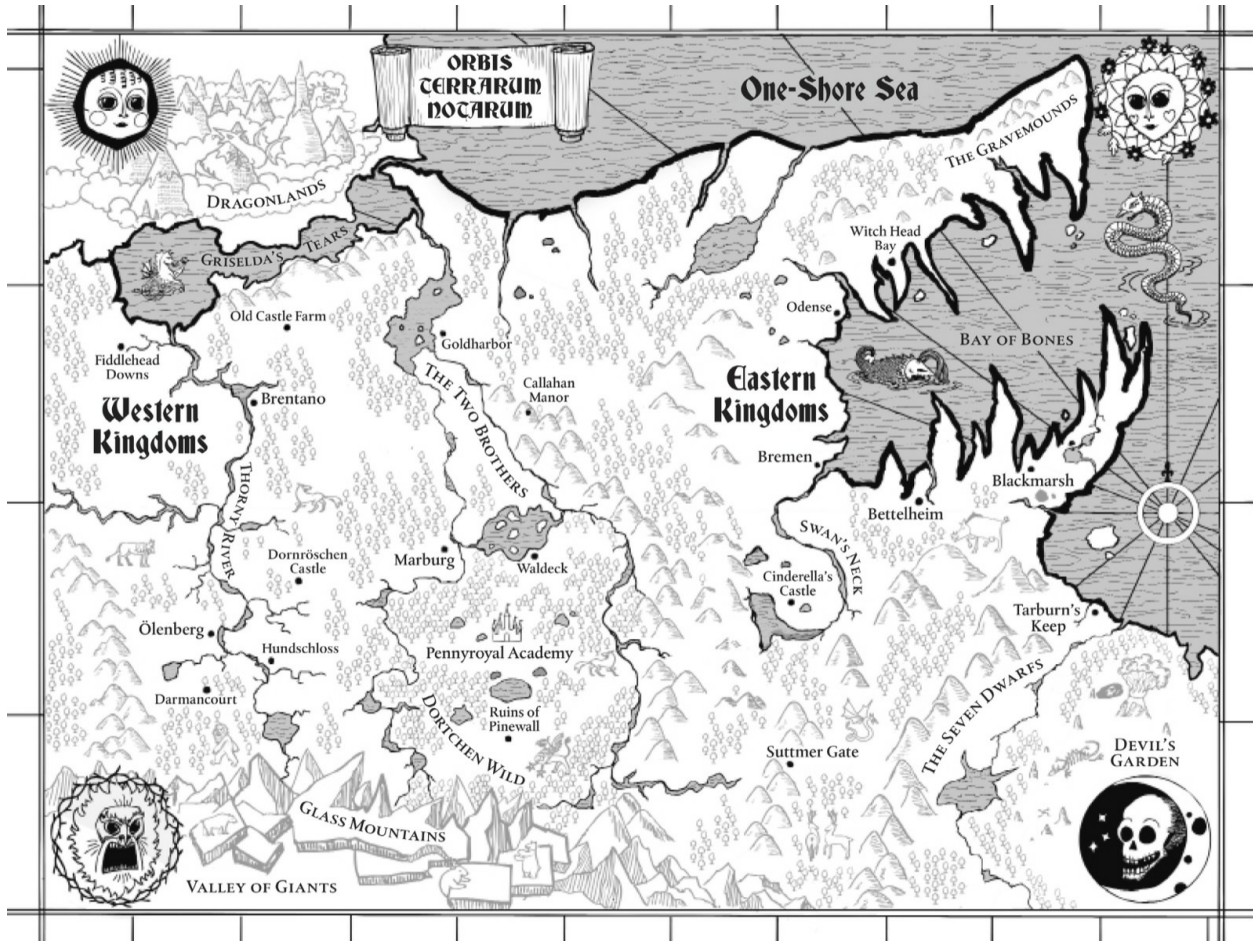
[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Od autora](#)

Dla Hannah, za wszystko





Jeśli nie wyjdę z lasu przed zmrokiem, zostanę w nim na zawsze.

Próbowała cokolwiek dostrzec przez zamglone pnie sosen. Nie padało, ale w powietrzu unosiła się wilgoć. W którąkolwiek stronę się zwróciła, wszędzie widziała szare cienie, które w jej umyśle przekształcały się w potwory. Słyszała jedynie swój oszalały oddech. Nic poza tym. Żadnego śpiewu ptaków, żadnego szumu wody. Nic.

Z runa wychylił się zielony pęd i zaczął wić się wokół jej kostki. Szarpnięciem uwolniła nogę i pobiegła w kierunku mgły, miażdżąc bosymi stopami krwistoczerwony dywan z martwych liści i opadłych igieł. Kołyszące się nad nią ogromne, omszałe drzewa wyglądały jak olbrzymy. Pomiedzy ich koronami dostrzegała niewielkie fragmenty nieba. Było czarne od chmur. Nadciągał zmierzch, a wraz z nim wszystko to, co czało się we mgle. Gdy w biegu odbiła się stopą od gnijącego pnia, naszyjnik z łuski smoka wielkości serca podskoczył na jej piersi. Poza nim miała na sobie jeszcze tylko rozchełstane okrycie z pajęczej sieci – jej jedyną ochronę przed żywiołami. Wszystkie nieosłonięte części jej ciała pokrywało błoto. Błądziła po lesie już od trzech dni. Przez ten czas widziała i słyszała rzeczy, które – wydawało się – nie miały prawa istnieć: zwietrzałą kość udową, która była tak gruba i długa, że mogła należeć jedynie do olbrzyma, ogłuszający huk skrzydeł i cień ogromnej ważki przelatującej nad koronami drzew. Przeżyła w lesie trzy dni. Wiedziała, że – tak czy inaczej – czwartego już nie będzie.

Coś trzasnęło tak głośno, że dziewczyna aż podskoczyła. Zaraz potem gdzieś nad sobą usłyszała chrzęst łamiącego się drewna. Odwróciła się dokładnie w porę, by zobaczyć spadającą w jej kierunku włochatą gałąź buku. Uderzenie strąciło ją z brzegu stromego wzgórza. Pokoziółkowała aż na sam dół, ślizgając się w zatęchłej mazi. Zatrzymał ją dopiero pień potężnej sosny. Podniosła się z jękiem i poruszyła ramieniem, by się upewnić, że nie jest złamane.

Pierwszego dnia – dnia, w którym opuściła dom – drzewa okrutnie ją pobiły. Ojciec zawsze ją ostrzegał, by nie zbliżała się do zaczarowanych lasów, ale i tak zaskoczyła ją zaciekłość tych drzew. Z wolna nauczyła się rozpoznawać ich nastroje i zachowania, by przewidywać ataki. Zwłaszcza buków starała się unikać – wydawały się najbardziej złośliwe. Jednak dziś to nie drzewa ją przerażały. Słońce już zaszło, zniknął też księżyc i gwiazdy, ucichły śpiewy ptaków i tupot goblinich stóp. Zamiast nich pojawiły się chmury i mgła, i to szczególne uczucie, że coś jeszcze się tu czai.

Ale co?

Czekała cicho i nieruchomo, wyęzając słuch, ale docierał do niej tylko odgłos poruszanych wiatrem liści. Podniosła się chwiejnie i zmrużyła szmaragdowozielone oczy. W oddali dostrzegła światło. Było prawie niewidoczne w zapadającym zmroku, ale było tam. Okno chaty. Zawsze była ostrożna, znacznie ostrożniejsza niż jej siostra, ale teraz, gdy zobaczyła to światło, po prostu rzuciła się biegiem w jego kierunku, aż mgła za nią zafalowała. Chatka była mała, jej belki nierówne i zmurszałe. To było pierwsze schronienie, na jakie natknęła się, odkąd opuściła dom. A mimo to coś w niej krzychało, że ma się odwrócić i uciekać najdalej jak tylko się da.

Kiedy słońce zajdzie, wolę być w środku czy na zewnątrz? Zignorowała swój instynktowny opór i zbliżyła się do okna, chwytając parapet dla równowagi. Zmurszałe drewno rozpadało się pod naciskiem dłoni. Strzepnęła kawałki, które odpadły, i znowu się pochyliła, by zajrzeć do środka. Tym razem starała się niczego nie dotykać.

Poczuła na twarzy światło bijące z paleniska po przeciwległej stronie izby. Nad paleniskiem wisiał kocioł. Bulgotał w nim gęsty, brązowy płyn; od czasu do czasu przelewał się nad krawędzią i skwierczał na rozgrzanych węglach. Zaburczało jej w brzuchu. Nic więcej nie widziała, ale to wystarczyło. Jej stopy z młaśnięciem oderwały się od liści. Głód popchnął ją w kierunku drzwi. Jednak gdy nacisnęła kłamkę, przeszedł ją dreszcz, jakby przebiegło

po niej milion mrówek na raz. Poczuela narastającą panikę.

Coś tu jest nie tak...

Od strony gór dało się słyszeć zwielokrotnione echem wycie wilka. Nie miała wyboru. Mocno popchnęła drzwi, ale te ani drgnęły. Napała na nie ramieniem i wreszcie otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Jest tu ktoś? – spytała słabym, drżącym głosem. Nikt nie odpowiedział. W chacie słyhać było tylko cichy trzask ognia. Deski podłogowe zaskrzypiały przeraźliwie pod jej stopami, a popchnięte ramieniem drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem. Rozejrzała się; chata była czysta i ciepła. Pod jedynym oknem stał drewniany stół, na którym rozmazano jakąś brunatnoczerwoną breję. Latały nad nią chmary owadów. Obok stała zardzewiała maszyna na korbę i kilka porządnie ułożonych stosików kolorowych cukierków. Dziewczynie dreszcz przebiegł po plecach.

W rogu, za paleniskiem, obok otwartych drzwi do małej sypialni stała klatka – stara i pordzewiała. Była akurat na tyle duża, by dało się w niej kogoś zamknąć. Obok leżała niewielka, nierówna sterta dziecięcych butów.

Dziewczyna odwróciła się, żeby wybiec, ale drzwi, które przed chwilą zatrzasnęły się z takim hukiem, teraz stały otworem. Z zewnątrz dało się słyszeć czyjeś kroki na liściach. Rozejrzała się, szukając innej drogi ucieczki, ale było już za późno, więc zanurkowała pod stół i zwinęła się, przyciskając podkulone nogi do piersi. Kropla gęstej czerwonej mazi spłynęła ze stołu i z plaśnięciem upadła na podłogę obok jej stóp.

Och, proszę, nie...

Na deskach zadudniły brudne buty. Ponad wysokimi cholewami wyrastało bezkształtne ciało starej kobiety ubranej w kilka warstw rozpadających się czarnych szmat. Drzwi zatrzasnęły się za nią, mimo że nikt ich nie dotknął.

Poczuela, jak krew ścina jej się w żyłach. Nie było już odwrotu.

Z nieoczekiwaną zwinnością stara kobieta pochyliła się, by wepchnąć do klatki swojego więźnia. Z trzaskiem zamknęła zasuwę. Klatka okazała się za mała, by więzień mógł w niej stanąć, więc uderzył ramieniem o drzwiczki. Lichy metal zabrzączał, ale nie puścił. Dziewczyna zauważyła, że chłopak jest mniej więcej w jej wieku. Miał na sobie ciemnoszary skórzany kaftan zdobiony czerwonym haftem. Jego ciemne włosy były pozlepiane od wielogodzinnej jazdy na końskim grzbiecie. Ręce miał związane z tyłu.

Jego prześladowczyni podeszła do kotła, by zamieszać bulgoczący wywar, który ściekał w płomień, sycząc przy tym jak wściekły wąż.

– Zaraz, zaraz... gdzie są moje słoje?

Jej głos był pełen sprzeczności – miękki i słodki, ale ze śmiertelnie niebezpieczną nutą.

– Jakoś ostatnio nie miałam do nich serca. Hahahahaha...

Oparła chochlę o płytę paleniska delikatnym, babcinym gestem. Potem, powłócząc nogami, poszła do sypialni.

Teraz! Teraz! TERAZ!

Nie mogła jednak zmusić się do żadnego ruchu. Siedziała tam znieruchomiała, patrząc, jak chłopak w klatce szarpie się ze swoimi więzami. Odchylił się do tyłu, by porządnie kopnąć w drzwi. Wtedy ją zauważył.

– Hej! – szepnął, uderzając lekko głową w zasuwę zamykającą klatkę. Dziewczyna poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami i przez chwilę zdawało się jej, że zemdleje. – Wiem, że się boisz, ale otwórz tę klatkę, a wyjdiesz stąd żywa. Obiecuję.

Dziewczyna mocniej przysunęła do siebie kolana, ściskając je, jakby to była ostatnia poszarpana skała, której może się chwycić, zanim runie w dół wielkiego wodospadu. Jednak mimo że z oczu płynęły jej łzy, a serce tłukło się w piersi, w jego spojrzeniu zauważyła coś uspokajającego. On się nie bał. Kiedy powiedział, że może pomóc jej wyjść z tego cała, wierzył w to.

Zanim jej własny strach zdążył ją powstrzymać, zaczęła przesuwać się szybko w kierunku klatki. Przy każdym skrzypnięciu deski miała ochotę krzyknąć, zerwać się i pobiec do drzwi. Nie spuszczała jednak wzroku z jego oczu i pełzła dalej w kierunku klatki. – Szybciej! – szepnął.

Drżącymi palcami chwyciła zasuwę. Próbowwała ją otworzyć jak najdelikatniej, ale stary metal wcale jej tego nie ułatwiał. Zasuwa w końcu ustąpiła, ale z głośnym trzaskiem.

– A to co?

Dziewczyna zatoczyła się i oparła plecami o klatkę. Nigdy wcześniej nie widziała wiedźmy, ale nie mogła mieć wątpliwości, że ma ją właśnie przed sobą. Czarownica stała nieruchomo. Wpatrywała się w nią mleczożółtymi oczami, uśmiechając się szerokim, bezzębnym uśmiechem. Jej skóra miała zielonkawy kolor, sprawiała wrażenie lekko wilgotnej i zwisała na kościach jak wosk spływający ze świecy.

– Otwórz! – zaczął krzyknąć chłopak, uderzając ramieniem w drzwiczki.

Ale spojrzenie wiedźmy paraliżowało dziewczynę. Wzrok tej kreatury wwierał się prosto w jej oczy, przecinał mózg i krtań. Z trudem łapała

powietrze, czując, że ten straszny wzrok dociera głębiej i głębiej, zmierzając prosto do serca. Dusiła ją nienawiść, cierpienie, strach... uczucie, że moment, w którym ostatnio widziała słońce, był ostatnią szczęśliwą chwilą jej życia. Wiedźma dotarła do jej wnętrza.

– UCIEKAJ! – krzyknął chłopak, z trzaskiem otwierając drzwi klatki.

Dziewczyna wyrwała się spojrzeniu wiedźmy. Cała ta dusząca potworność opuściła ją i znowu mogła oddychać. Gdy rzuciła się ku drzwiom, naszyjnik przekręcił się i łuska smoka wylądowała na jej plecach. Szarpnięciem otworzyła drzwi i wypadła z chaty w ciemność zatopionego w nocy lasu. Czerń nocy i kłęby mgły sprawiły, że wiedźma zdawała się być wszędzie. Jakby ten las też był klatką.

– Tutaj! – Chłopak stał przy ogromnym białym koniu, który w świetle księżyca wyglądał jak duch.

– Co? Na tym?

– To są jej lasy! Nie wyjdziemy stąd o własnych siłach!

Skrzywiła się, ale wiedziała, że musi mu zaufać. Gdy ruszyła, by dosiąść rumaka, ogień paleniska, migoczący dotąd nadal we wnętrzu chaty, zgasł nagle i zza drzwi zaczęła się sączyć dymiąca czerń, ciemniejsza niż noc. – Hahahahahahaha... – Nie był to już chichot słabiutkiej staruszki. Pobrzmiwała w nim teraz jakaś pierwotna i straszna siła.

Dziewczyna wskoczyła na koński grzbiet. Pod sztywną, białą, moką od potu sierścią zwierzęcia wyczuwała jego mięśnie i wiedziała, że chłopak ma rację: to była ich jedyna szansa ucieczki. Schyliła się i chwyciła linę, którą związane były ręce chłopaka, żeby wciągnąć go na koński grzbiet. Przez drzwi chaty wydostawały się kłęby czarnego dymu. Rechet wiedźmy słychać było teraz w całym lesie, jakby śmiała się w ten sposób wisząca w nim mgła.

– Ruszajmy! – wydusił z siebie chłopak, przewieszony przez koński grzbiet tuż za dziewczyną. Ale ona nie mogła oderwać oczu od drzwi chaty. Ciało wiedźmy zmieniło się w coś potwornego, potężny kawał szczerzącego się zła. Jej postrzępione ubranie wiło się jak kłęby dymu. Skóra wokół ust zaczęła pękać i upiorny grymas uśmiechu stawał się coraz szerszy.

– Bierz wodze i ruszaj!

Odwróciła się od wiedźmy i spojrzała na skórzane paski zwisające z końskiej szyi i głowy. Nie wiedziała, za który chwycić, więc zamiast tego jedną dłonią złapała się skołtunionej końskiej grzywy. Drugą, wygiętą za plecami, zacisnęła na linie, którą związane były ręce chłopaka.

– Jedź – wyszeptała, i koń pogalopował w noc. Dziewczyna czuła pod sobą moc rumaka i każdy mięsień jej własnego ciała zwarł się, by utrzymać ją na jego grzbiecie. Palce zacisnęły się na grzywie tak silnie, że ich kostki zbieleły. Koń gnał po nierównej powierzchni, a każdy jego krok groził upadkiem.

– Nie dam rady! – krzyknęła głośno, by zagłuszyć huk końskich kopyt. – Nie mogę!

– Proszę... – chłopak nie mógł z siebie wydobyć nic więcej. Brzuch i klatka piersiowa uderzały rytmicznie o koński grzbiet, niemal pozbawiając chłopaka tchu. Z trudem chwycił powietrze.

Dziewczyna zamknęła oczy i zacisnęła zęby. *Nie* puszczyć. Koń może się wyrwać, lina może się wyslizgnąć, ale ja sama ich nie puszczyć. Przysięgam na mojego ojca. Spojrzała za siebie i to, co zobaczyła, wydarło z jej piersi zduszony okrzyk. Wiedźma – ten kłębiący się, upiorny demon – leciała pomiędzy drzewami jak ogromna sowa. Dziewczyna poczuła podmuch lodowatego wiatru. Kościste ręce wiedźmy wyciągały się w jej kierunku.

Koń przeskoczył nad powalonym drzewem. Szarpnięcie przy lądowaniu prawie wyrwało dziewczynie z dłoni końską grzywę. Jej nogi, silnie obejmujące końskie boki, zdawały się mimo wszystkich swych wysiłków zbyt wątkie i słabe. Bolało ją całe ciało, najbardziej dłoń, którą ścisnęła więzy chłopaka. Z każdym końskim krokiem lina głębiej wrzynała się w jej palce. *Nie* utrzymam go... nie mam już siły...

– Woda... – wychrypiał chłopak.

Rozejrzała się w ciemnościach, aż w oddali zauważyła blade odbicie światła księżyca w wodzie. Rzeka.

Szarpnęła końską grzywę, próbując skierować konia w tamtą stronę. Więzy chłopaka coraz bardziej wyslizgiwały jej się z rąk. Jego ciężar stawał się nieznośny. Wiedziała, że zaraz go zgubi.

I stało się: lina rzeczywiście wyslizgnęła się z jej dłoni. Dziewczyna puściła końską grzywę i odchyliła się, by obiema rękoma złapać chłopaka za ubranie, zanim spadnie. Teraz jej nogi, mocno ściskające szyję konia, były ich ostatnią nadzieją. Galopowali na oślep. Skórzane siodło wbijało się jej w bok. Z ledwością udawało jej się utrzymać ciało chłopaka na koniu. Nie wiedziała już nawet, czy jeszcze żyje.

Ona też powoli się zsuwała. Czuła sierść konia coraz niżej i niżej na swoich nogach. Teraz trzymała się już tylko łydkami. Tymczasem za nimi

rozpętało się prawdziwe piekło, pośrodku którego, jak zmora, unosiła się wiedźma. Była ogromna, a jej ramiona wyrastały z chmury kłębiącego się szaleńczo dymu.

I nagle... dziewczyna poczuła, że znalazła się jakby w powietrzu. Jej ciało obróciło się. Chłopak zniknął. Koń zniknął. Zaraz potem zachłysnęła się lodowatą wodą. Z szokującą jasnością zrozumiała, że dotarli do rzeki. Poczowała paniczną potrzebę zaczerpnięcia powietrza i nagle zobaczyła pod sobą światło księżyca. Odwróciła się i popłynęła w górę w jego kierunku, aż jej głowa znalazła się nad powierzchnią i owiało ją rześkie nocne powietrze. Wykasłała wodę z płuc i rozejrzała się. Wiedźma zniknęła. Z pewnością kryła się w unoszącej się nad brzegiem mgle.

Po przeciwległej stronie, gdzie powietrze było czyste, a niebo usiane gwiazdami, biały koń, słaniając się, wychodził z wody.

Popłynęła w stronę tego brzegu. Gdy poczuła pod stopami kamieniste i zamulone dno, zaczęła wygrzebywać się na ląd, jak jakieś pradawne stworzenie, łkając i z trudem chwytając powietrze.

Udało się. Zdarzył się cud i nadal żyję.

Nogi ugięły się pod nią i opadła na kamienisty brzeg. Zmusiła się do obrócenia na plecy i wciągnęła w płuca nocne powietrze. Oddychała głęboko, czując, jak ją to uspokaja. Gdy tak leżała, nadal nie mogąc do końca uwierzyć w to, że żyje, przemknęła jej przez głowę dziwna myśl, że to nocne niebo i blady, purpurowo-biały pas przecinający przestrzeń usianą niewysłowioną liczbą gwiazd to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Od strony drzew dało się słyszeć rytmiczne cykanie świerszczy. Zniknął duszący zapach pleśni. Naprawdę się udało – żyła.

Wtedy usłyszała słaby głos dochodzący od strony szumiącej niżej rzeki:

– Tutaj...

Dziewczyna usiadła. Tuż przy wodzie stał koń, trącając łbem ciemną postać leżącą na ziemi. To był chłopak. Leżał twarzą do dołu, ręce miał nadal związane za plecami, a jego nogi tkwiły w wodzie, poruszane prądem rzeki. Podeszła do niego, chcąc go rozwiązać, ale jej palce były zbyt zeszywniałe i obolałe. Mimo to pociągnęła za linę i nagle więzy rozpadły się same z siebie, jakby miały tysiąc lat.

Chłopak, poobijany i słaby, odwrócił się, wciąż zbyt oszołomiony, by wyciągnąć nogi z wody. Szczekał zębami, całe jego ciało drżało na lekkim nocnym wietrze. Spojrzał na dziewczynę. Była bosa, ubrana jedynie w cienkie

odzienie z pajęczej sieci i zupełnie przemoczona.

– Musisz być... k-kompletnie przemarznięta... Nie odpowiedziała.

– Jak... jak masz n-na imię?

Wbiła szmaragdowe oczy w przybrzeżne skały.

– Nie mam imienia.



Nie wpatrywała się w ogień, ale w pomarańczowe iskry, które wystrzeliwały w niebo i zdawały się sięgać gwiazd. Łagodny trzask palącego się drewna i uspokajający zapach ciepła przywołał wspomnienie domu, który wydawał się teraz tak odległy, jak galaktyki krążące w nieskończonej czerni rozpościerającego się nad nimi kosmosu. Zawsze czuła szczególny związek z ogniem, choć nigdy nie umiała go rozpałać. Ojciec próbował ją nauczyć. Jej siostra robiła to bez żadnego problemu, ale ona sama potrafiła wyprodukować co najwyżej cienką smużkę dymu. Teraz, gdy jej palce nie były już tak skostniałe i znowu mogła nimi poruszać, sięgnęła po kolejną gałąź. Włożyła ją do ogniska i obserwowała, jak szybko obejmowały ją płomienie.

– Czy ktoś ci już mówił, że wspaniale się z tobą rozmawia? – zapytał chłopak, przyglądając jej się ponad ogniskiem dużymi, rozbawionymi oczami.

Nie odpowiedziała.

– Pewnie nikt.

W spokoju nocy, daleko od granic zaczarowanego lasu, dziewczyna mogła wreszcie uważniej przyjrzeć się swojemu towarzyszowi. Wydawał się nieustannie czymś rozbawiony. Jego oczy błyszczały, a wargi stale układały się w lekki półuśmiech. Wyglądał na kogoś, kto jest bardzo zadowolony po prostu z tego, że żyje i że miał szczęście urodzić się sobą.

– Nie dorzucaj już do ognia. W tym lesie mieszkają zbrojcy. Podniósł z ognia żeliwną patelnię i zsunął na cynowy talerz dwa skwierczące jeszcze

jajka. Podał jej talerz, a ona rzuciła się na jedzenie. Była tak głodna, że nie przeszkadzało jej nawet to, że gorące jeszcze żółtka pękały i wylewały się, parząc jej brodę. Chłopak potrząsnął głową, tłumiąc śmiech. Następnie wyjął z jedwabnego worka jeszcze kilka jajek i rozbił je nad patelnią.

– Jeśli cię to interesuje, mam na imię Remington. Remington z Brentano, w Zachodnich Królestwach.

Dziewczyna zlizwała żółtka ściekające jej po palcach. Westchnął, ale półuśmiech wciąż nie schodził mu z twarzy. Jak dotąd wszystkie jego wysiłki nawiązania kontaktu z dziewczyną spełzły na niczym. Nie pomogła mu też przygotować miejsca na obozowisko, nazbierać drewna na ognisko czy rozpalić ognia ani nawet nakarmić konia. Siedziała tylko i lekko podejrzliwie wpatrywała się w niego, gdy pracował.

– Jest więcej takich jak ty?

– Słucham? – zaśmiał się.

Zawstydzona uciekła wzrokiem w ogień. Jej myśli zdawały się nie przystawać do jego gładkiej mowy. Jego głęboki głos brzmiał tak elegancko, że sama krępowała się odzywać.

– Więcej takich jak ja? Większość dziewcząt, które spotykam, uważa, że jestem jedyny w swoim rodzaju.

Nie roześmiała się.

– Co robiłaś sama w tym lesie? – zapytał łagodniej. – Dziewczęta spacerujące bosą po zaczarowanych lasach zwykle nie kończą dobrze.

Odłożyła talerz na ziemię i przyjrzała mu się z jeszcze większą uwagą. Czy może mu zaufać? Już kilka razy to zrobiła, odkąd się poznali. Dzięki temu żyła. I mogła zaspokoić głód. Być może zasłużył więc na jeszcze odrobinę zaufania. Zanurzyła dłoń w splątane pajęczce sieci, które okrywały jej ciało, i wyjęła pomięty i zawilgocony zwój pergaminu. Podała mu.

– Szukam jej.

Odwinął zwój i spojrzał na wizerunek dziewczyny w złotej sukience, która stała w dumnej pozie przed zamkiem z niezliczonymi wieżami. Ozdobny napis głosił:

Akademia Pennyroyal

szuka odważnych dziewcząt, które chcą zostać księżniczkami,

i śmiałych chłopców, którzy chcą zostać rycerzami.

Szlachecki rodowód nie jest wymagany.

Przybywajcie!

– Wszędzie rozrzucają te śmieci. Strasznie są zdesperowani, nie sądzisz? Nie chcę przez to powiedzieć, że nie nadajesz się na księżniczkę. Chodzi mi tylko o to, że nigdy jeszcze nie prowadzili tak agresywnej rekrutacji.

– A więc znasz ją?

– Znam? Można tak powiedzieć... Naprawdę masz szczęście, że byłem w pobliżu i mogłem cię uratować...

– Ty? Ty uratowałeś mnie?

Próbował się nie uśmiechnąć i prawie mu się udało.

– Możemy pojechać do Marburga razem. Też chcę się zapisać – na kurs dla rycerzy.

Skoczyła na równe nogi, wrywając pergamin z jego rąk.

– Jesteś rycerzem?

– Nie – odparł, spoglądając na swoje nagle puste dłonie. – Dlatego właśnie chcę się zapisać. Nie jesteś zbyt miła, co?

Zwinęła pergamin, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi. Potrząsnął głową i zdjął patelnię z ognia. Z westchnieniem znowu podał jej talerz. Matka od zawsze upominała ją, by trzymała się z daleka od rycerzy, podobnie jak ojciec zawsze ostrzegał przed wiedźmami. Remington twierdził, że nie jest rycerzem – jeszcze. Ale zdenerwował ją sam fakt, że wspomniał o byciu nim. Nadal patrzyła na niego podejrzliwie, ale wzięła talerz i usiadła z powrotem.

Tymczasem on wstał i przeciągnął się. Podszedł do konia przywiązanego przy drzewie i zaczął odpinać coś z siodła. Był wysoki i szczupły. Poruszał się z niewymuszoną swobodą kogoś, kto dobrze czuje się w swoim ciele i ma do niego zaufanie. *Chce być rycerzem – pomyślała. Powinnam go była zostawić w tej klatce.*

– Cieszę się, że ktoś taki jak ty chce się zapisać do Akademii. Dzisiejszy świat jest zbyt niespokojnym miejscem, by się przejmować pochodzeniem, nieprawdaż? – Zdjął z siodła gruby zwinięty koc i rzucił go w jej kierunku. – Nadal jest trochę wilgotny, ale przy ogniu powinien szybko wyschnąć.

Zebrał puste talerze i pozwolił koniowi wylizać je do czysta, mimo że dziewczyna swój talerz już wcześniej wylizała dość dokładnie. Następnie wziął swój kaftan i złożył go sobie pod głowę, kładąc się po drugiej stronie ogniska.

– Ruszamy o świcie. Spróbuj się trochę przespać.

Spać... tylko tego teraz chciała. Świerszcze monotonnie cykały wokół nich. Spojrzała w gwiazdy i poczuła, że oczy pieką ją ze zmęczenia. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czy po tym, co powiedział, nadal może mu ufać? Może mogłaby pójść dalej sama? Spojrzała w bezkresną ciemność lasu.

– A jeśli ona nas znajdzie? – zapytała. Właściwie to nie chciała wypowiedzieć tych słów na głos. Wyrwały jej się. Remington podniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

– Nie mogłabym zrobić tego jeszcze raz. Jej oczy... przesywały mnie na wylot.

Uśmiech znikł z jego twarzy i Remington wyglądał teraz tak samo poważnie, jak wtedy w klatce.

– One rzadko opuszczają swoje lasy. Odkąd przekroczyliśmy rzekę, jesteśmy bezpieczni. Stosunkowo bezpieczni.

Odwróciła wzrok, zawstydzona tym, co przed chwilą powiedziała, ale też uspokojona jego słowami.

W ciągu kilku minut Remington zasnął, uspiiony trzaskiem dogasającego ognia. Znowu była sama. Odeszła kawałek od ogniska i znalazła płaski piaskowy głaz, na którym przysiadła w ciemności. Próbowwała zapomnieć o wiedźmie, ale każda myśl sprowadzała ją z powrotem do tej chaty. Może i była bezpieczna, ale wcale się tak nie czuła. Strach nie chciał jej opuścić.

Zdjęła z szyi naszyjnik i przyjrzała mu się w słabej poświacie wschodzącego księżyca. Był pokryty zaschniętym błotem. Polizała kciuk i starła warstwę brudu, odsłaniając czarną, podłużną plamę idącą przez całą smoczą łuskę. Nagle zauważyła w niej jakby lekkie lśnienie. Przechyliła ją w stronę księżycowego światła i plama znowu zamigotała. Zdawała się też poruszać, jak gęsta, zasychająca smoła.

Podniosła łuskę jeszcze wyżej, by złapać więcej księżycowego blasku, i zrozumiała, że to wcale nie było złudzenie. W srebrnej poświacie plama rzeczywiście drgała i migotała niczym prawdziwy diament, a gdy dziewczyna przysunęła łuskę bliżej twarzy – zaczęła pulsować i wirować.

Opuściła łuskę, ale czerń nadal wirowała jej przed oczami. W końcu nie widziała już nic więcej. Do tego poczuła, że sama też wiruje w bezdennej próżni. Nie mogła oddychać. Kompletnie zdezorientowana straciła poczucie, gdzie góra, a gdzie dół, i zrobiło jej się niedobrze. Ale obraz już się wyostrzał. Wkrótce wyraźnie zobaczyła morze. Promienie zachodzącego słońca barwiły wodę na różowo. Fale rozbijały się o brzeg. Ptaki latały

w poszukiwaniu jedzenia. Nad brzegiem ktoś stał. To był Remington. I ona. Remington dotykał dłońmi jej twarzy.

– To ty jesteś prawdziwą księżniczką Saudade – mówił. – Oddałbym życie, by zobaczyć cię na należnym ci miejscu.

Delikatnie przysunął ją bliżej, a ona rozchyliła wargi...

Poczuła skurcz żołądka i znów porwał ją czarny wir. Szybko jednak wyklarowała się nowa wizja. Zobaczyła resztki walącej się wieży – jedynej budowli wśród niezmiernych połąci lasu – i kobietę w sukni koloru królewskiego fioletu. Padał deszcz. Twarz kobiety wyrażała największą udrękę, jej zaciśnięte oczy – niewysłowione cierpienie. Jakaś magiczna siła zmuszała ją, by uklękała. Dziewczyna odwróciła się w poszukiwaniu źródła tej strasznej siły i zobaczyła za sobą potworną wiedźmę. Stała w odległości nie większej niż trzy metry od niej i mimo że jej twarz skrywał kaptur płaszcza, dziewczyna poczuła, jak ten widok napęłnia jej serce poczuciem beznadziei i rozpacz. Wiedźma podniosła swoją długą, kościstą rękę i kobieta w fiolecie krzyknęła. Dziewczyna chciała do niej podejść, ale nie mogła się ruszyć. Mogła tylko patrzeć, jak wiedźma swoją magią zmusza tę kobietę do oddania jej niskiego, niewolniczego pokłonu. Czarownica wyrzuciła w górę swoje zielonkawe ramiona i nagle niebo wypełniło się innymi wiedźmami. Były ich setki. Ich czarne suknie łopotały niczym skrzydła i pokrywały całe niebo, jak okiem sięgnąć...

Dziewczyna gwałtownym ruchem odsunęła łuskę smoka od swojej twarzy. Jej szybki i płytki z przerażenia oddech wyraźnie kontrastował ze spokojnym, głębokim posapywaniem śpiącego chłopaka i z łagodną grą świerszczy. Minęła dobra chwila, zanim zrozumiała, że to, co widziała, nie było prawdziwe. Jednak obezwładniające uczucie strachu pozostało. Z oddali doszło ją kolejne wilcze wycie – jeszcze jeden dowód na to, że ucieczka z zaczarowanego lasu nie oznaczała pełnego bezpieczeństwa. Zło mogło czaić się wszędzie.

Została tak, przycupnięta na kamieniu, przez całą noc, patrząc, jak w dogasającym ognisku pomarańcz i czerwień ustępują miejsca czerni. Próbowowała zmusić się do myślenia o rodzinie, o domu, o czymkolwiek innym niż straszna wiedźma i potworność kryjąca się pod jej kapturem. Nad ranem, gdy niebo zaczęło szarzeć, a następnie przybrało odcień przygaszonego, zaspanego błękitu, dziewczyna przypomniała sobie, co jeszcze widziała w swojej wizji. Coś nie tyle przerażającego, co absolutnie zdumiewającego.

Spojrzała na Remingtona, który spał z rękoma i nogami szeroko rozrzuconymi, jakby cisnął go tam na ziemię jakiś olbrzym. *Dlaczegoż niby miałabym go całować? Tego przyszłego rycerza?*

– Jak to? Nie zrobiłaś śniadania? Nie zaparzyłaś herbaty? Coś ty robiła cały ranek?

Dziewczyna gwałtownie odwróciła głowę. Zdała sobie sprawę z tego, że wpatrywała się w niego nie wiadomo jak długo, podczas gdy on już nie spał. Usiadł. Miał zmęczoną, zasną twarz. Znowu uciekła wzrokiem, gdy zorientowała się, że jej oczy szukają jego ust.

Remington szybko zebrał obozowisko i ruszyli. Teraz, gdy nie musiała już się martwić o mordercze drzewa, las wydawał się monotony, a jazda nużąca. Mocno obejmowała w pasie swojego towarzysza, walcząc ze snem, którego nie dane jej było zaznać w nocy.

Zza ciemnozielonej zasłony, którą tworzyły korony drzew, wreszcie zaczęło wychylać się słońce. Cały ranek mozolnie się wspinali i teraz znajdowali się na tyle wysoko, że powietrze było już bardzo rozrzedzone. Czasem jechali łagodnymi, porośniętymi paprociami zboczami, innymi razy stromymi serpentynami bazanitowych lub wapiennych skał. Nigdzie jednak sosny nie rosły na tyle rzadko, by mogła naprawdę rozejrzeć się po okolicy. Wreszcie, po długiej walce, poddała się i pozwoliła powiekom opaść. Zapadła w drzemkę – niezbyt głęboką, dostatecznie jednak, by stracić poczucie czasu. Pamiętała stały chrzęst liści miażdżonych końskimi kopytami, ale nie byłaby w stanie powiedzieć, czy jechali jeszcze kilkanaście minut, czy może kilka godzin.

– Jest wreszcie. Tak piękna, jaką ją zostawiłem – powiedział nagle Remington.

Dziewczyna drgnęła i obudziła się. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą coś, czego kompletnie nie rozumiała. Koń stał na brzegu urwiska, niedaleko niebezpiecznie wyglądającego błotnistego i żwirowego szlaku, który szedł grzbietem zapierającego dech w piersiach górskiego pasma. Po obu jego stronach, nisko w dole, widziała niezliczone sosnowe i jodłowe szczyty. Jednak to, co naprawdę wprawilo ją w osłupienie, leżało na wprost. Gdy ruszyli dalej, kompletnie zapomniała o zachwycających widokach po obu stronach drogi. Szlak, którym jechali, prowadził ich bowiem do ogromnej kamiennej twierdzy, która zdawała się wyrastać prosto z góry. Ściany z białego jak kość wapienia były wysokie na kilkanaście metrów, pokryte

mchem i plamami wilgoci. Fioletowe chorągwie na szczytach strzelistych baszt powiewały na wietrze. Każdy fragment murów obronnych zwieńczony był blankami, sterczącymi jak kolce na smoczym grzbiecie. Za tym majestatycznym królestwem rozciągało się znowu niezmiernie czarnozielone morze lasów.

– Co to jest? – zapytała zachrypniętym, słabym głosem.

– Twierdza Marburg, klejnot wśród górskich królestw.

Dotarli wreszcie do końca szlaku. Koń strącił kopytem luźny kamień, który potoczył się tysiące metrów w dół niezmiernie otchłani. Remington dał komuś przy bramie znak ręką i wkrótce niesamowity odgłos opuszczanego zwodzonego mostu odbił się echem w obu bliźniaczych dolinach. Ogromny drewniany most opadał z wolna nad przepaścią. Jego deski jęczały pod własnym ciężarem, dopóki nie uderzył o ziemię. *Tak się czuje mysz w domu olbrzyma.*

Końskie kopyta zastukały na moście. Pod nimi nie było teraz nic poza niebem i zupełnie nisko – dnem przepaści. Przed nimi masywna sosnowa brama otwierała się ze skrzypieniem. Sterczały w niej drzewce połamanych strzał – pamiątki jakichś minionych wojen. Wraz z rozwieraniem się bramy przed oczami dziewczyny otwierał się kompletnie nieznan jej świat.

To królestwo, Marburg, jak nazwał je Remington, żyło. Na ulicach roiło się od ludzi. Ubrani w łachmany wieśniacy, przekrzykujący się wzajemnie kupcy, matki goniące brudne dzieci, które goniły jeszcze brudniejsze świny. Jakiś drwal wiózł ogromne ścięte pnie. Strażnicy stali spokojnie na warcie w swoim błyszczącym rynsztunku, a ich stalowo zakończone włócznie mierzyły w niebo. Z którychś okien płynęła muzyka. I ta mieszanina zapachów! – palonego drewna, świeżo ściętej trawy, mokrej ziemi, kwiatów i pieczonej kaczki. Po obu stronach ulicy stały ryglowe domy z tynkowanymi na biało ścianami poprzecinanymi brązowymi belkami, a nieco dalej – przycupnięte w błocie chaty o dachach krytych strzechą. Dziewczyna z przykrością uświadomiła sobie, że gdziekolwiek spojrzy, jednocześnie traci z oczu kilkanaście innych fascynujących widoków.

Przejeżdżali obok grupki wieśniaków, którzy klaskali do piosenki wygrywanej przez starszawego skrzypka. Grupka stała kołem, a pośrodku tańczyły trzy małe dziewczynki.

– Spójrz na nie! – wykrzyknęła dziewczyna. – Są takie same jak ja! Dzieci były bose i radośnie uśmiechnięte. Dziewczyna patrzyła na to oczarowana.

Z jakiegoś powodu niewinna radość malująca się na tych małych twarzyczkach zrobiła na niej większe wrażenie niż cokolwiek, co przedtem widziała. Skrzypek nie spuszczał z nich jednego ze swoich wylupiastych oczu, patrząc, jak chichoczą i okręcają się nawzajem w tańcu. Zaczął grać coraz szybciej i one również przyspieszyły. Wreszcie nogi poplątały im się w tym szalonym tańcu i upadły w błoto, śmiejąc się do łez.

– Zaczekaj – poprosiła Remingtona, odwracając się, by jeszcze chwilę popatrzeć. – Nie możemy zostać? Jeszcze chwilkę?

– Jesteśmy już spóźnieni. Jeśli chcesz, możesz zostać, ale wtedy nie zostaniesz księżniczką.

Patrzyła za dziewczynkami, aż zniknęły jej z oczu. Ich czysta radość sprowadziła na nią lekki smutek i melancholię. Nie pamiętała, by sama kiedykolwiek była tak beztroska.

Remington skierował konia w wąską alejkę. Minęli kolejny ryglowy dom i nagle znaleźli się z dala od radosnego zgiełku głównej ulicy. Dziewczyna poczuła gryzący zapach zgnilizny. Był tak strasznie nieprzyjemny, że ukryła nos w kurtce Remingtona. Końskie kopyta rozchlapwały na boki wodę z brązowych kałuż. Im niżej zjeżdżali tą krętą alejką, tym wyraźniej dało się słyszeć jakieś głosy – coś, co brzmiało jak złowieszczy szept.

– Co to?

– To, moja droga, początek najdziwniejszego dnia w twoim życiu. Cmoknął na konia, który pocwałował na tyle szybko, na ile pozwalało błoto. Wreszcie wynurzyli się z wąskiej alejki i stanęli w pełnym słońcu.

Po drugiej stronie obszernego, wyłożonego kamieniami dziedzińca wznosił się imponujący pałac o gładkich łupkowych i marmurowych ścianach. Zamek Marburg. Szlachetna budowla została częściowo przysłonięta tymczasowo rozstawionym olbrzymim namiotem, którego materiał podtrzymywały trzy masywne, drewniane słupy. Z boku czekała kolejka powozów i zaprzęzonych do nich koni. Dziwny szum, który słyszała dziewczyna, był sumą głosów setek podekscytowanych dziewcząt, tłoczących się pod namiotem.

Zdrętwiała i instynktownie nieco mocniej objęła Remingtona. Wszystkie dziewczęta były mniej więcej w jej wieku. Były ubrane w eleganckie suknie – tak kolorowe, że dziewczyna nic podobnego dotąd nie widziała. Każda z dziewcząt była inna, ale w pewnym sensie wszystkie były do siebie podobne. *One są takie jak ja* – pomyślała dziewczyna. Czowała jednak, że do nich nie pasuje.

Gdy tylko koń Remingtona przejechał przez dziedziniec, dziewczyna zauważyła, że ich przybycie nie uszło uwadze zebranych. Na twarzach, które się do nich zwracały, dało się odczytać radość z widoku Remingtona, która natychmiast zmieniała się w zaskoczenie jej widokiem. Zgiełk tłumu nieco zelżał i zaczęła w nim wychwytywać szeptane raz po raz imię – „Remington”.

Gdy zeskoczył z siodła, jego umazane błotem jeździeckie buty lekko uderzyły o ziemię. Została teraz sama na końskim grzbiecie i nagle zdała sobie sprawę, że prawie wszystkie oczy skierowane są na nią. Zbladła.

– Nie potknij się tylko. Jeśli padniesz teraz przed nimi na twarz, nigdy nie dadzą ci o tym zapomnieć.

Chwyliła jego szorstką dłoń i ześlizgnęła się na ziemię.

– Pierwszy test zdałaś doskonale.

Próbowała się za nim ukryć, ale on poprawił tylko pasek przy siodle i wskoczył z powrotem na grzbiet swojego konia, zostawiając ją samą na bruku, wśród setek obcych ludzi.

– Jadę się zapisać na kurs dla rycerzy.

– Zaczekaj! – zawołała za nim. – A co ja mam zrobić?

Wskazał palcem na kilka długich drewnianych stołów ustawionych w cieniu namiotu, nieco przysłoniętych rzędem dziewcząt ubranych w kolorowe suknie.

– Iść tam i zapisać się. Masz takie samo prawo być tutaj, jak one wszystkie.

Podniosła na niego oczy, które nagle wypełniły się łzami. *Zabierz mnie do domu! Nie chcę tu zostać!* – pomyślała. Nie zdołała jednak wydobyć z siebie tych słów.

– „Do odważnych świat należy”, jak mawia mój ojciec. – Tylko tu możesz znaleźć tę dziewczynę z obrazka.

Skinął w stronę tłumu, kompletnie niezmiernym zainteresowaniem, jakie wzbudzał.

– Jazda – powiedział do konia, szarpiąc lekko za uzdę. Koń odwrócił się na tylnych nogach i zarżał efektownie. Ruszyli energicznie przez dziedziniec, odprowadzani cichymi okrzykami zachwyty.



Do odważnych świat należy.

Zrobiła parę kroków do przodu, powtarzając sobie słowa Remingtona. Nie brzmiały jednak przekonująco. Ze zdenerwowania zakręciło jej się w głowie, a drżące nogi uginały się pod nią. Niemniej podreptała boso naprzód, w stronę tłumu, który na jej widok niechętnie się rozsunął.

– Czy ona ma na sobie pajęczynę? – zapytała jedna z dziewcząt ubranych w len, koronki, jedwab i tiul.

Stroje innych dziewcząt przyozdobione były rzemykami i paskami, herbami i symbolami ich mieszkających w odległych krainach rodzin. Włosy miały uczesane, zaplecione lub podwinięte, a nie zaśmiecone patykami i liśćmi. Ich skóra miała najróżniejsze odcienie, ale wszystkie były czyste, a nie umazane zaschniętym błotem.

– A czego można się spodziewać, jeśli pozwalają się zapisywać dziewczynom, które nie są księżniczkami krwi?

Niepewnie przesuwając się w tłumie, dziewczyna zdała sobie nagle sprawę z tego, że było coś jeszcze, co odróżniało ją od całej reszty zgromadzonych tu dziewcząt. Coś znacznie bardziej przykrego niż to, co zauważyła wcześniej. One wszystkie miały tu ze sobą swoich rodziców.

– Jakim cudem ktoś taki może znać Remingtona?

Dziewczyna poczuła, że oczy ją pieką i wypełniają się łzami. Nie pozwoliła im jednak popłynąć. Myślała tylko o tym, żeby dojść do stołu, przy

którym odbywały się zapisy.

– Hej! Hej! Tutaj!

Dziewczyna o kręconych włosach w kolorze zachodzącego słońca skierowała ją do jednej z kolejek. Miała na sobie ciemnoczerwoną pelerynę z kapturem, narzuconą na czarny płaszcz. Jej życzliwy uśmiech był najmiłszym widokiem, jaki dziewczyna w pajęczej sieci widziała od momentu opuszczenia domu.

– Naprawdę, można by pomyśleć, że jesteśmy wiedźmami, które próbują się zapisać, a nie po prostu dziewczętami niskiego stanu – powiedziała. – Wszystko dobrze?

Dziewczyna w pajęczej sieci pokiwała głową.

Teraz, gdy miała sprzymierzeńca, inni jakoś stracili nią zainteresowanie. Powróciła atmosfera wesołego podekscytowania. Znow się rozejrzała i zauważyła coś jeszcze. Po tej stronie namiotu, gdzie teraz stała, nie było dziewcząt ubranych w jedwabie i futra, jak te, na które zwróciła uwagę na początku. Te tutaj miały na sobie własnoręcznie szyte ubrania, połatanie i pozszywane, i generalnie nie tak olśniewające. Znajdowała się wśród nisko urodzonych.

– Następna! – krzyknęła pulchna kobieta siedząca za stosem papierów. Kolejka posunęła się naprzód.

– Nie zrozum mnie źle, ale jak to się stało, że przyjechałaś tu z Remingtonem? – zapytała rudowłosa dziewczyna, słabo kryjąc podekscytowanie. – On jest w połowie odpowiedzialny za to obłączenie. Każda liczy, że się w niej zakocha.

– Magdalena, daj spokój dziewczynie. Przecież ona jest cała w pajęczynie – powiedział stojący za nimi mężczyzna. Patrzył na Magdalenę spod zmarszczonych brwi i dłużył w nosie. Miał przeraźliwie brudne paznokcie i sprawiał wrażenie, jakby bardzo się śpieszył, by już opuścić miejsce, w którym się obecnie znajdował.

– Mój ojciec nie rozumie, dlaczego ludzie lubią plotkować o rodzinie królewskiej, ale co ja poradzę, że też to lubię. Wydają mi się fascynujący. Dalej, opowiedz mi, jak to się stało, że go znasz.

Dziewczyna chciała odpowiedzieć, ale przed jej oczami stanęła nagle chata i wiedźma, i maszyna do robienia cukierków.

– Tak naprawdę wcale go nie znam. Spotkałam dopiero wczoraj. Przypadkiem.

– Następna!

– Wszystkie moje przyjaciółki były zazdrosne, gdy się dowiedziały, że będę z nim na jednym roku. On pochodzi z jednej z najznamienitszych rodzin w Zachodnich Królestwach. Mówią, że pierwszego smoka zabił, jeszcze zanim skończył dwanaście lat. Znasz go lepiej niż ja, ale wydaje się naprawdę ideałem.

Dziewczyna spojrzała przez dziedziniec na miejsce, gdzie ostatnio widziała Remingtona. Nie powiedział jej, że zabił smoka, ale też wcale go o to nie pytała.

Nagle Magdalena ścisnęła jej ramię. Dziewczyna podążyła wzrokiem za jej szeroko otwartymi oczami i zobaczyła wysoką postać o włosach jak jedwabna przędza i delikatnych, olśniewających rysach. Stała w kolejce za nimi. Miała na sobie bladoniebieską sukienkę wykończoną złotą nicią.

– Wasza Wysokość raczy mi wybaczyć – odezwała się do niej Magdalena.

– Ale księżniczki krwi ustawiają się w tamtej kolejce.

– Nie mów do mnie w taki sposób! – odparła blondynka, wzdrygając się. Magdalena zbladła, jakby popełniła jakiś straszny błąd.

– Ale... czy nie należy czasem panienka do królewskiej rodziny z Czarnych Błot?

– Tak. I nienawidzę tego.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość – Magdalena pochyliła głowę i dygnęła, po czym stuknęła łokciem swoją koleżankę w pajęczej szacie, żeby zrobiła to samo.

– Nazywaj mnie Demetra. Proszę. I przestań dygać.

– Tak, Wasza Wysokość! – dziewczyna wyprostowała się. – Nazywam się Magdalena, pochodzę z Sevigny. Mówią na mnie Maggie.

– Sevigny?

– Tak, na południu. Jeszcze za Doliną Olbrzymów. Mało kto wie, gdzie to jest.

– Ja wiem. To kraina śniegu.

Maggie pokiwała głową, uśmiechając się znowu swoim najszczerzym uśmiechem.

– A ty? – zapytała Demetra, zwracając się do dziewczyny w pajęczej sieci.

– Widzę, że nie tylko moim rodzicom nie chciało się tu pojawić.

– Moi rodzice nie wiedzą, że tu jestem.

– Nie? – spytała Maggie. – Odważnie.

– Kto następny? – zapytała stara kobieta siedząca po drugiej stronie stołu. – Szybciej dziewczęta, już i tak mamy opóźnienie. – Myślę, że teraz twoja kolej – powiedziała Demetra.

Dziewczyna odwróciła się. Rzeczywiście dotarły do początku kolejki. Zrobiła krok do przodu i obejrzała się na Demetrę i Maggie, szukając u nich podpowiedzi, co ma teraz zrobić. Obie uśmiechnęły się do niej, ale były już zajęte rozmową z kimś innym.

– Jak się nazywasz? – zapytała starsza kobieta, skrobiąc coś piórem na pergaminie. – No, dalej dziecko, jak się nazywasz?

– Przepraszam. Ja... nie mam imienia.

Starsza kobieta zdjęła okulary i potarła nos.

– Masz rodzeństwo?

– Siostrę.

– Zakładam, że nie uczęszczała do naszej Akademii... – Starsza kobieta obrzuciła zmęczonym wzrokiem odziewającą dziewczynę splecione pajęczki sieci, do których poprzyczepiały się różne „pamiątki” z lasu.

– Nie...

– Skąd pochodzisz?

Dziewczyna poczuła, że wzbiera w niej panika i znów poszukała wzrokiem Maggie i Demetry, ale te były głęboko pogrążone w rozmowie.

– Pani rektor! Mogę tu panią na chwilę prosić? – zawołała starsza kobieta, machając na kogoś dłonią o grubych palcach.

Powoli, ze zniewalającą elegancją, odwróciła się ku nim kobieta, której skronie zdobiła wysadzana klejnotami korona spoczywająca na srebrnych włosach. Ubrana była w przepyszną złotą suknię. Sprawiała wrażenie bardzo surowej. Przeprosiła swojego rozmówcę i podeszła do nich wzdłuż całej długości stołu. W miarę jak się zbliżała, jej wyrafinowany wdzięk i gracia ustępowały pola innemu wrażeniu, które wywierała – wrażeniu przejmującego chłodu.

Tuż za nią szła inna kobieta, chuda i kanciasta, z wyrazem niezadowolenia na twarzy pokrytej nierównościami jak skóra ropuchy.

– Pajęczyna – prychnęła i zanotowała coś na zwoju pergaminu, który przed sobą trzymała.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, pani rektor – powiedziała starsza kobieta. – Ale zarejestrowanie tych wszystkich prostaczków wcale nie jest łatwe.

– Rozumiem. Jak mogę pomóc? – zapytała głosem, w którym pobrzmiwał autorytet i lata życiowego doświadczenia.

– Chyba kolejna dotknięta klątwą utraty pamięci. Nie wie, jak się nazywa ani skąd pochodzi jej rodzina.

– Przynajmniej możemy być pewne, że nie chodzi o rodzinę królewską.

– Wystarczy, kapral Liverwort – powiedziała rektorka. Uśmiechnęła się do dziewczyny, ale raczej z grzeczności niż życzliwości. – Nazywam się księżniczka Beatrycze. Jestem rektorką Akademii Pennyroyal. Rozumiem, że pewnie czujesz się dziwnie, ale nie musisz się niczego obawiać. Twoje problemy z pamięcią są wynikiem działania klątwy, którą najprawdopodobniej rzuciła na ciebie jakaś czarownica. Nie ma się czego wstydzić. To może przydarzyć się nawet najwytrawniejszym księżniczkom.

– Ale z moją pamięcią wszystko jest w porządku.

Beatrycze spojrzała na nią z góry. Z jej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

– Dobrze, zatem podaj mi, proszę, imię swojej matki.

– Uhm...

– Uhm, powiadasz? – zakpiła Liverwort. – Ona nie ma pojęcia o niczym.

– Młoda damo, klątwa utraty pamięci działa często w taki sposób, że osoba nią dotknięta pozostaje nieświadoma tego, że w ogóle rzucono na nią jakieś zaklęcie. Musisz zaufać naszej wiedzy i doświadczeniu. W Akademii mamy najlepszych uzdrowicieli w kraju.

Dziewczyna milczała. Przez jej głowę przepływała rzeka wspomnień z minionych lat. Pamiętała nawet pierwsze drzewo, na które się wspięła – sękaty stary buk, który jej siostra nazywała „chwastem”. Pamiętała przerażenie w oczach matki, gdy zobaczyła, jak stoi na najwyższej gałęzi, i słowa, którymi zapowiedziała jej, jaką dostanie karę. To niemożliwe, by straciła pamięć. A jednak stojąc przed patrzącą na nią władczo księżniczką Beatrycze, nie znalazła w sobie dość siły, by zaprzeczyć diagnozie.

– Zapiszcie ją na standardowy program leczenia – powiedziała Beatrycze do Liverwort i starszej, pulchnej kobiety, które natychmiast zaczęły coś zapisywać. – Ile takich mamy, kapralu?

– Ta tutaj jest... – zaczęła Liverwort; przez chwilę szamotała się z notatkami, zanim mogła dokończyć. – Ta tutaj jest jedenasta.

– Doskonale, zapiszcie ją zatem jako Kadetkę Jedenastą. Do czasu, gdy nasi uzdrowiciele odkryją jej prawdziwe imię, tak proszę się do niej zwracać. Coś

jeszcze?

– Nie, Wasza Magnificencjo – odpowiedziała starsza kobieta. Beatrycze skinęła sztywno na dziewczynę, zwaną teraz Kadetką Jedenastą, i odeszła. Za nią podreptała Liverwort.

– Kadetka Jedenasta – powiedziała starsza kobieta, bazgrząc piórem na oficjalnym dokumencie przed sobą. – Jesteś przypisana do kompanii Ironbone. Jedziecie tamtym powozem.

Wskazała na szereg stojących z boku powozów, do których wsiadały już inne dziewczęta.

Kadetka Jedenasta. Wołałam w ogóle nie mieć imienia.

Wyszła spod namiotu i spojrzała w górę na surową, czarną fasadę zamku Marburg. Próbowała przypomnieć sobie dziewczynę z ogłoszenia, która stała na tle tej budowli, tak silna i pewna siebie. To przecież jej szukała, odkąd uciekła z domu. Teraz, otoczona przez ludzi, którzy wyglądali tak jak ona, czuła się jednak w pewien sposób zawiedziona. Czy ta dziewczyna z obrazka również zachichotałaby na jej widok, wymieniłaby złośliwe uwagi na jej temat z koleżankami, aż wreszcie odwróciła się do niej plecami? Wierzyła, że ten obrazek doprowadzi ją do czegoś ważnego, ale nigdy nie zastanowiła się, co to właściwie miałyby być. Gdy po raz pierwszy go zobaczyła, to odkrycie niespodziewanie zupełnie zmieniło jej życie, skłaniając ją do podjęcia decyzji, których wcześniej nawet nie rozważała. Kim była ta dziewczyna na obrazku? I jaką rolę miała odegrać w jej życiu? Stojąc teraz w cieniu zamku Marburg, nagle zdała sobie sprawę z tego, że odpowiedź wcale nie musi jej się podobać. *Za daleko doszłam, by teraz się cofnąć. Zresztą – nie mam dokąd wrócić.*

Zauważyła, że dziedziniec znacznie już opustoszał, więc pośpiesznie ruszyła w kierunku powozu, do którego była przypisana. Był prawie pełen i panował w nim radosny zgiełk entuzjastycznych rozmów świeżo upieczonych uczennic, które właśnie pożegnały się ze swoimi rodzicami. Rozejrzała się za wolnym miejscem i wypatrzyła jedno na ławce mniej więcej w połowie powozu. Podeszła tam.

– Przepraszam, czy mogłabym tu... – zaczęła, ale umilkła pod wpływem spojrzenia dziewczyny, do której się zwróciła. Szare jak deszczowy dzień oczy wpatrywały się w nią tak intensywnie, że straciła całą odwagę. Jej leżące się czarne włosy były tak ciemne i lśniące, że w świetle słońca zdawały się wręcz niebieskie. Miała na sobie gładką, srebrną suknię, która okrywała jej ramiona

tak delikatnie, jakby były oprószone jakimś gwiazdowym pyłem. Było w niej coś promiennego, skoncentrowane piękno, jakby Los postanowił dać jej dwa razy więcej niż innym.

– Jestem pewna, że nieco dalej z tyłu jest więcej miejsca – odparła. Nawet jej głos był idealnie wyważony i zabrzmiał na tyle głośno, na ile trzeba w tak hałaśliwym tłumie, i ani odrobinę bardziej. – Dopiero dostałam tę sukienkę i... sama rozumiesz – dokończyła, obrzucając wymownym spojrzeniem okrycie z pajęczych sieci.

Jedna z dziewcząt siedzących za czarnowłosą pięknnością zachichotała. Druga tylko wpatrywała się w Jedenastą zimnym spojrzeniem.

– Nie bądź paskudna, Kelbra – odezwała się znowu czarnowłosa piękność.
– To Kelbra – jej ojciec jest królem. To Sage – jej ojciec też jest królem. Ja jestem Malora. Mój ojciec też jest królem. A ty?

Kelbra znowu zachichotała. Jedenasta poczuła bolesny skurcz żołądka.

– Hej, tutaj! – zawołał ją znajomy głos z tyłu powozu. Maggie machała do niej entuzjastycznie. Jedenasta rzuciła jeszcze jedno niechętnie spojrzenie Malorze, która odpowiedziała wzrokiem zimnym jak lód, po czym ruszyła dalej pomiędzy rzędami ławek, aż dotarła do Maggie. Na ławce przed nimi siedziała Demetra, która teraz odwróciła się do nich i powiedziała:

– Nie przejmuj się nią. Niektóre dziewczyny myślą, że mogą patrzeć na wszystkich z góry tylko dlatego, że urodziły się w wieży. Nie wszystkie takie jesteśmy.

Jedenasta znowu spojrzała na Malorę, śmiejącą się właśnie z jakiegoś żartu, który opowiedziała jednej ze swoich przyjaciółek. Widać było, że czuje się zupełnie swobodnie, nawet pośrodku całego tego chaosu – swobodnie w swojej skórze.

– Jak ty właściwie masz na imię?

– Nazwali mnie Jedenasta.

– Jedenasta? – Maggie skrzywiła się, jakby właśnie dostała coś zgniłego do jedzenia.

Nagle poczuły szarpnięcie i powóz potoczył się naprzód. Dziewczęta wydały z siebie okrzyk, który szybko przeszedł w śmiech.

– DOBRA, DZIEWCZĘTA, TERAZ SPÓJRZCIE NA MNIE, BO MAM WAM COŚ DO POWIEDZENIA!

Śmiechy nagle umilkły i zapadła pełna niepewności cisza. Trwało to dłuższą chwilę. Powóz posuwał się dalej pokrytą koleinami drogą. Nikt nie

wiedział, do kogo należał ten głos. Był kobiecy, dźwięczny i słodki, ale jednocześnie zdecydowany. Pobrzmiwał w nim autorytet, którego nie dało się zignorować.

– Zatem to z was zebrali kompanię Ironbone. No, ładnie. Widzę, że moja praca w tym roku będzie łatwa. Większość z was wyleci zaraz po pierwszym semestrze i będę mogła zająć się innymi sprawami.

Dopiero wówczas Jedenasta ją zauważyła – małą wróżkę, nie większą od kolibra. Latała nad przejściem pomiędzy siedzeniami, wzniecając skrzydełkami błyszczący pył. Maggie trąciła Jedenastą łokciem i uśmiechnęła się podekscytowana.

– Jestem sierżant Wróżka, wasza instruktorka. Od tego momentu to ja kształtuję wasz świat. Jest bardzo mało prawdopodobne, byście mnie polubiły, a jeszcze mniej, bym ja się tym przejęła.

Gdy podleciała bliżej, Jedenasta przyjrzała się jej uważniej. Miała lejące się blond włosy, a jej nos, policzki i uszy wyglądały tak uroczo, jakby były wykonane z koronki. Wyglądała jak miniaturowa księżniczka.

– Ty – powiedziała, stając przed jedną z wysoko urodzonych dziewcząt. – Dlaczego chcesz zostać księżniczką?

Unosiła się przed nią w powietrzu, wyprostowana jak struna, zaplótłszy dłonie przed sobą. Każdy włos na głowie kadetki był idealnie ułożony, a z uszu zwisały wypolerowane kolczyki z drogocennymi kamieniami. A jednak z każdą minutą traciła nad sobą panowanie.

– Eee...

– No, to jak? Zakładam, że nie wsiadłaś tu przypadkiem. Dlaczego chcesz zostać księżniczką?

Dziewczyna potarła czoło drżącą dłonią.

– No, dalej, kadetko! Proszę pytać już ci w tym roku nie zadam!

– Chyba chciałabym spotkać swojego księcia – wypaliła dziewczyna.

Twarz sierżant Wróżki stężała w grymasie niezadowolenia.

– WYNOCHA! – wrzasnęła, po czym wychyliła się przez okno i krzyknęła do woźnicy. – ZATRZYMAJ POWÓZ!

Gdy woźnica gwałtownie zatrzymał konie, wróżka znowu odwróciła się do dziewczyny:

– WYSIADAJ! – rozkazała.

Wszyscy patrzyli w osłupieniu, jak oszołomiona dziewczyna w pośpiechu opuszcza pojazd.

– Nie obchodzi mnie to, czy jesteście urodzone wysoko czy nisko, prostopadle czy ukośnie. Dla mnie jesteście tylko niezbyt dobrze rokującymi kandydatkami na księżniczki. I większość z was nigdy nie zostanie nikim więcej.

Jedenasta zsunęła się nieco na ławce, gdy sierżant Wróżka przelatowała obok niej.

– Nie jestem tu po to, by się z wami zaprzyjaźnić. Jestem tu po to, by z was zrobić księżniczki. Te z was, które są gotowe pracować nad sobą bardziej niż kiedykolwiek w życiu, staną się z moją pomocą prawdziwymi Księżniczkami Tarczy, zaprzysiężonymi siostrami wszystkich tych, które istniały przed wami, i tych, które nadejdą po was...

Nagle przerwała. Kadetki podniosły głowy, niepewne, co jeszcze się wydarzy. Wróżka unosiła się nad przejściem pomiędzy rzędami, wpatrując się w kogoś siedzącego z tyłu powozu. Na jej twarzy malowało się absolutne zdumienie.

– Przepraszam bardzo – zaczęła chłodnym, spokojnym głosem, w którym jednak już czaił się wybuch. – Czy możesz mi powiedzieć, co ty tu robisz, chłopcze?

Rozległy się gorączkowe szepty. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę, w którą patrzyła sierżant Wróżka. Jedenasta również podążyła za jej wzrokiem aż do ostatniego rzędu, gdzie, w rzeczy samej, siedział chłopiec. Był bardzo szczupły, miał zadarty nos i opadające na twarz włosy. Próbował zasłonić twarz dłonią, potem udawać, że patrzy przez okno, ale napięcie rosło niebezpiecznie, więc w końcu – znad dłoni, którą nadal zasłaniał sobie pół twarzy – spojrzał na Wróżkę. Jego policzki płonęły.

– Przepraszam, mówi pani do mnie?

Wróżka skrzywiła się, jakby zawiódł ją cały wszechświat.

– Nieźle się zaczyna. A jeszcze nawet nie wyjechaliśmy z Marburga... – zamruczała pod nosem.

– Najserdeczniej przepraszam – powiedział chłopiec. – Tu... kazali mi wsiąść... Wasza Wysokość.

Przez powóz przebiegł stłumiony śmiech. Malora odwróciła się i przerzuciła ramiona nad oparciem fotela, z rozbawieniem obserwując sytuację.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Bazyl. Bazyl z Zatoki Wiedźmiej Głowy.

– Cóż, Bazylu, z Zatoki Wiedźmiej Głowy. Kompania Ironbone to miejsce dla dziewcząt, prawda?

– Tak, pani... Wróżko.

– A ty, Bazylu z Zatoki Wiedźmiej Głowy, jesteś chłopcem, prawda?

– Tak, pani... sierżant.

– CO ZATEM TY, BAZYLU Z ZATOKI WIEDŹMIEJ GŁOWY, ROBISZ W MOJEJ KOMPANII?

– Moja mama zawsze chciała mieć córkę, księżniczkę – wyjąkał Bazyl. – Ale ciągle rodziła tylko chłopców. Dwudziestu dwóch synów. Nie może mieć już więcej dzieci. Ja jestem najmłodszy, więc przysłała tu mnie.

Sierżant Wróżka podfrunęła do niego. Widać było, że z trudem hamuje wybuch wściekłości. Bazyl jeszcze bardziej się zdenerwował i najwyraźniej nie mógł przestać mówić. – Najpierw był Baltazar, mój najstarszy brat, potem Beniamin, Bartłomiej, Bannington...

– przecież NIE MUSZĘ ZNAĆ WSZYSTKICH TWOICH KREWNYCH! – wykrzyknęła Wróżka. Bazyl przestał mówić, choć nadal poruszał szczęką. Wróżka zatrzymała się tuż przed jego nosem i spojrzała na niego z pogardą.

– Lepiej bądź doskonałą księżniczką, chłopcze – powiedziała tak cicho, że usłyszano ją jedynie w najbliższych rzędach. – Bo będę cię pilnie obserwować. I nie będzie mi przykro, jak ci się nie uda. A tobie może być bardzo przykro.

Odwróciła się i – sypiąc na niego pyłem ze swoich skrzydeł – odfrunęła na początek powozu.

Bazyl pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Jedenasta współczuła mu, ale nie chciała, by coś podobnego spotkało także ją. Zaczęła układać sobie w głowie strategię działania: *Siedź cicho, nie odzywaj się, nie rób nic, co mogłoby zwrócić na ciebie jej uwagę.*

– Będziecie mieli oczywiście wykłady i ćwiczenia z innymi przedstawicielami kadry Akademii Pennyroyal, ale wszystkie ćwiczenia w terenie macie ze mną – powiedziała dobitnie sierżant Wróżka.

Wyrzała przez okno. Powóz z turkotem wytoczył się poza mury obronne Marburga i wyjechał na zielone przestrzenie poza twierdzą. Konie parskają. Ciągnęły teraz powóz po stromej drodze prowadzącej do gęstego, ciemnego lasu. Ich kopyta zagłębiały się w błocie.

– Wjeżdżamy właśnie do lasu Dortchen Wild. To najgroźniejszy zaczarowany las w kraju. Akademia Pennyroyal leży dokładnie pośrodku.

Zatem, dziewczęta, cieszcie się ostatnimi chwilami wolności. Bo już niedługo będziecie należeć do mnie – zaśmiała się Wróżka, po czym wyleciała przez okno i dołączyła do woźnicy.

Pozostawiła za sobą ciszę. Zniknął nastrój radosnego podekscytowania. Kadetki pograżyły się każda w swoich myślach. Jedenasta patrzyła za okno, omijając wzrokiem siedzącą obok niej Maggie. Powóz jechał przez las, za oknem, pośród niekończącej się zieleni i czerni, migały cienie. Jedenasta czuła, jak ogarnia ją obezwładniające zmęczenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Wreszcie, po raz pierwszy od kilku dni, zasnęła prawdziwie głębokim snem.



NIGDY NIE POZWÓL, by lęk tobą zawładnął...

Otworzyła oczy. W głębokiej szarości deszczowego, zamglonego lasu intensywny kolor jej oczu był jeszcze wyraźniejszy. Stała na szczycie rozpadającej się kamiennej wieży wystającej ponad morze drzew.

Z twoich oczu wзира waleczna dusza...

Głos był stary i mimo że brzmiał nieziemsko, jak we śnie, Jedenasta wiedziała, że jest prawdziwy. Odwróciła się i zobaczyła za sobą kobietę. Już ją kiedyś widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to było. Jej myśli zdawały się płynąć w zwolnionym tempie, zatopione same w sobie. Kobieta zrobiła krok w jej kierunku. Miała na sobie prostą suknię w barwie głębokiego fioletu, z prostymi rękawami, a we włosach mały pęk lilii.

W twoich żyłach płynie krew Saudade...

Teraz to Jedenasta zrobiła krok w kierunku kobiety. Przypomniała sobie, gdzie ją już widziała – w tej wizji, którą łuska smoka sprowadziła na nią podczas nocy spędzonej przy ognisku. Jednak gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, poczuła zimny podmuch wiatru, tak silny, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Zatoczyła się, gdy zobaczyła wiedźmę. Ją też widziała już wcześniej w tamtej wizji – zakapturzoną czarownicę bez twarzy. Stała teraz przed nią, prawie dwukrotnie przewyższając ją wzrostem. Gdy podniosła ramiona, rękawy jej sukni zsunęły się, odsłaniając skórę śliską i cienką jak pajęczna nić. Spod tej skóry, ze środka wiedźmy wypełzał czarny dym – jakby

były to żywe larwy opuszczające swoje kokony...

Jedenasta wzdygnęła się, z trudem łapiąc powietrze. I nagle nie była już na wieży i nie widziała ani księżniczki, ani wiedźmy. Jedyne twarze swoich koleżanek, wpatrujące się w nią niepewnie. – Wszystko w porządku? – zapytała Maggie. Jedenasta pokiwała głową, choć strach nadal jej nie opuścił – wyniosła go ze snu, jak się wynosi krople wody na skórze po wyjściu z rzeki.

– Śpisz całe popołudnie. Nie żebyś coś straciła – za oknem nic tylko drzewa i drzewa.

Jedenasta rozejrzała się po powozie. Sen wydawał się taki realny. Jak to możliwe, że coś, co nie jest prawdziwe, może wywołać strach tak wielki, że nie chce jej opuścić nawet po przebudzeniu?

– Maggie, słyszałaś kiedyś o miejscu zwanym Saudade? – zapytała. Maggie rzuciła jej zaskoczone spojrzenie.

– Nie, chyba nie. Demetra, słyszałaś kiedyś o Saudade?

– Nie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Moja znajomość świata poza Czarnymi Błotami jest żałosna.

Maggie i Demetra zaczęły rozmawiać o miejscach, które miały nadzieję któregoś dnia zobaczyć. Wkrótce przerodziło się to w dyskusję na temat tego, gdzie mają nadzieję zostać wysłane po tym, jak skończą trzyletnią naukę w Akademii i otrzymają tytuły księżniczek. Jedenasta nie uczestniczyła w tej rozmowie. Udawała, że słucha, ale jej myśli były kompletnie gdzie indziej, w odległej części kraju, gdzie klify niemal sięgały księżyca, a drzewa były większe niż smoki. W domu. Nie wiedzieć czemu, za sprawą jakiegoś tajemniczego mechanizmu działającego w umyśle, jej myśli skierowały się teraz ku ojcu. Gdy opuściła dom, właśnie dochodził do siebie po wypadku. Nie pożegnała się i teraz bardzo tego żałowała. Rany, które odniósł, były raczej powierzchowne, ale teraz ogarnął ją niespodziewany niepokój o niego. Mijały minuty, a uczucie niepokoju rosło w niej i powoli przeradzało się w panikę. *Muszę wysiąść z tego powozu. Muszę iść do domu. Ale przecież... nie mogę tego zrobić. Nie mogę im tego zrobić.*

Nagle cały powóz rozświetlił się wpadającymi przez okno promieniami słońca. Wyjechali właśnie z mroku lasu na rozległą polanę. Jedenasta usłyszała wokół siebie okrzyki zachwyty, zamrugła i gdy jej oczy też przyzwyczyły się do światła, również westchnęła oczarowana.

Przed nimi rozpościerało się przeogromne morze żółtych i zielonych traw,

którego powierzchnia marszczyła się od podmuchów wiatru. Za nią znowu zaczynały się przyprowadzające o zawrót głowy klify i doliny Dortchen Wild. Daleko na horyzoncie błyskały Szklane Góry, których poszarpane grzbiety zdawały się sięgać nieba.

Powóz gwałtownie skręcił w prawo, podążając zrytymi koleinami wzdłuż niskiego, starego i miejscami bardzo zniszczonego kamiennego muru, który otaczał polanę jak brzeg ciasta biegnący wokół nadzienia tarty. Jednak to, co zwróciło uwagę wszystkich i co wywołało największe podekscytowanie od momentu, gdy powóz opuścił Marburg, znajdowało się pośrodku tego porośniętego trawą płaskowyzu. Akademia Pennyroyal – osobne królestwo, z wieżami, basztami i zwieńczonymi blankami murami obronnymi, które nadawały jej wygląd wysadzanej kamieniami korony. Wszystkie kadetki rzuciły się na stronę powozu, po której siedziała Jedenasta, skąd był najlepszy widok.

– Tak, dziewczęta, już jesteśmy – odezwała się znowu sierżant Wróżka, która właśnie wleciała przez okno. Kadetki niechętnie wróciły na swoje miejsca, bo choć bardzo pragnęły dokładniej przyjrzeć się Akademii, obawiały się gniewu swojej instruktorki.

– Zanim dotrzemy do mojej ukochanej Akademii, chciałabym, żebyście wszystkie zwróciły uwagę na ten mur. Jest zaczarowany. Sama księżniczka Pennyroyal wiele, wiele lat temu podstępem wymusiła na pewnej czarownicy, by rzuciła na niego zaklęcie, które sprawiło, że nie da się go przekroczyć z zewnątrz bez pozwolenia. Wyjść może każdy. Wrócić może jednak tylko ten, komu drogę otworzy różdżka wróżki.

W tym momencie Wróżka uniosła swoją, nie większą od drzazgi, różdżkę.

– Bez pomocy wróżki nic i nikt nie może dostać się do Akademii. Dotyczy to także ciekawskich uczennic, które bez pozwolenia wypuszczają się poza mury Akademii. Rozumiecie?

– Tak, pani sierżant! – odpowiedziały chórem.

– Dobrze, bo jeśli któreś z was przyjdzie do głowy wybrać się na wycieczkę, może z niej już nie wrócić. Ja nie żartuję. Poza tym murem nikt nie zapewni wam bezpieczeństwa. Są tam wilki, wiemy, a nawet jeden olbrzym.

Powóz odwrócił się, turkocząc, i ustawił do przejazdu przez mur. Dwie maleńkie wróżki, które dało się dostrzec głównie dzięki temu, że ich poruszające się szybko skrzydełka rzucały mieniające się iskry, zamachały

swoimi różdżkami. Powietrze wokół powozu zmarszczyło się, jakby uniosła się dla niego jakaś niewidzialna kurtyna, pod którą konie przeciągnęły go na drugą stronę.

Demetra wyjrzała przez swoje okno, a potem przez okna po drugiej stronie powozu.

– To wszystko? Gdzie mury obronne i żołnierze?

Ale inne kadetki były zbyt oczarowane Akademią, by martwić się o bezpieczeństwo. Im bardziej się do niej zbliżały, tym bardziej niesamowity przedstawiała sobą widok. Górowała nad okolicą, pradawna i emanująca historią, a przecież dla nich nowa i nieodkryta.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem – powiedziała Maggie cichym, pełnym szacunku głosem.

– Możesz to sobie, wyobrazić, Evie? Wszystkie te księżniczki, o których zawsze słuchałyśmy, bohaterki baśni i bajek, które opowiadano nam od dziecka – one wszystkie są związane z tym miejscem.

– Evie?

– Brzmi chyba lepiej niż Jedenasta, prawda? – odpowiedziała Maggie z uśmiechem.

– Sto razy lepiej – podchwyciła Demetra i odwróciwszy się przyglądała się przez chwilę uważnie twarzy Jedenastej. – Pasuje do ciebie – zdecydowała wreszcie.

Podczas gdy wszystkie inne pasażerki powozu nie odrywały oczu od Akademii, Evie skupiła się na swoim nowym imieniu. Zabawne, pomyślała, nigdy wcześniej nie miałam imienia, ale to wydaje się... idealne. Evie. Poczwała, jakby odnalazła właśnie jakąś dawno zagubioną część siebie i uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni.

– Jest Wieża Królowej! – wykrzyknęła Maggie, wskazując na ogromną kryształową iglicę wznoszącą się wysoko ponad kampusem. Przy niej wszystkie inne rozsiane po okolicy wieże z wapienia, piaskowca i krzemienia wydawały się karłowate. Iglica, jak gigantyczny soplel, odbijała promienie słońca tak silnie, jakby świeciła własnym światłem.

– Nigdy nie widziałam nic podobnego – przyznała Evie.

– Królowa zarządza całą Akademią.

– A księżniczka Beatrycze? – Beatrycze podlega królowej. Mówią, że nikt jej nigdy nie widuje, ale niektórzy wierzą, że może to być nawet sama Roszpunka.

– Niemożliwe! Roszpunka! – wykrzyknęła Demetra. – To miejsce jest fantastyczne!

Evie uśmiechnęła się grzecznie. Nie wiedziała, kim jest Roszpunka, ale po reakcji Demeter wiedziała już, że powinna znać to imię.

Wokół znowu rozległy się zachwycone okrzyki, gdyż powóz wreszcie wspiął się na płaskowyż i jego pasażerki zobaczyły rozciągający się przed nimi kampus. U stóp Wieży Królowej znajdował się rozległy podmokły teren otoczony siecią dróg, które wiły się pomiędzy ryglowymi domami i ogromnymi kamiennymi konstrukcjami. Akademia była dwa lub nawet trzy razy większa niż Marburg.

– Dobrze, dziewczęta, słuchajcie uważnie – powiedziała sierżant Wróżka. – To, co teraz powiem, jest bardzo ważne. Te budynki... – Wskazała na okna po tej stronie powozu, gdzie siedziała Evie; za nimi widać było szereg długich, niskich konstrukcji o łukowatych dachach. Na każdym z nich powiewała flaga w innym kolorze.

– Tutaj są kwatery rycerzy. Wasze są po drugiej stronie kampusu. Jeśli któraś z was będzie miała ochotę odwiedzić kwaterę chłopców, niech zadba o to, by był to rzeczywiście dobrze spędzony czas. Żeby miała dużo miłych wspomnień, którymi będzie się mogła pocieszać w drodze do domu. Czy to jest jasne?

– Tak, pani sierżant.

Evie rzuciła barakom rycerzy niechętnie spojrzenie. Wiedziała, że nigdy nie dostałaby się tutaj, gdyby nie Remington. Właściwie, gdyby nie on, pewnie by już nie żyła. Mimo wszystko wolałaby jednak, by w Akademii w ogóle nie było rycerzy. Czy kiedykolwiek zdoła poczuć się tu naprawdę swobodnie, wiedząc, że są tak blisko? I dlaczego nikt inny nie zdawał się ich obawiać?

– Przed nami widzicie Trzęsawisko Grennila. Zostało tak nazwane od imienia trolla, który po Siedmioletnim Lecie przywrócił Akademii dostęp do wody. Jeśli któraś z was wybierze się tam bez pozwolenia, również zostanie wydalona ze szkoły.

Wróżka wskazywała kolejno inne co bardziej znaczące miejsca w Akademii, ale dla Evie wszystko to brzmiało jak bełkot. Po chwili przestała próbować zrozumieć, o czym Wróżka mówi, i zamiast tego skupiła się na oglądaniu kampusu. Był siecią omszałych zamków. Tworzyły ją ogromne ufortyfikowane donżony z krużgankami i zewnętrznymi schodami; okrągłe, kwadratowe i ośmiokątne wieże i bartyzany, które zaczynały się w połowie

murowane i otwierały się nad nim w oflankowane szczyty; ambrazury i mordownie, i wykute w kamieniu słowa w dawno wymarłych językach, ledwie już widoczne ze starości. Evie *czuła* tu ciężar historii. Przeszłość wyzierała z każdego ociosanego kamienia. Wszystko to było przytłaczające i ekscytujące zarazem, a przede wszystkim – obiecywało dobrą zabawę.

Powóz przejechał, turkocząc po starym, drewnianym moście, i wjechał na dziedziniec, gdzie przybyłych witała stojąca w jego centralnym punkcie wielka, okrągła, kamienna fontanna. Z wody wyrastały dwa wysokie na sześć metrów posągi rycerza i księżniczki.

Powóz kompanii Ironbone przejechał obok fontanny i dołączył do pozostałych. Evie nie mogła oderwać oczu od posągu księżniczki. Heroiczna poza, malujący się na twarzy spokojny hart ducha... To była dziewczyna z ogłoszenia, które znalazła w lesie. Evie znalazła zatem to, czego szukała, odkąd tamtej strasznej nocy opuściła dom.

– Rozejrzyjcie się wokół – powiedziała sierżant Wróżka, zataczając krąg maleńkimi ramionami. – To są wasze towarzyszki, z którymi będziecie się uczyć. To są osoby, na których będziecie polegać. To są księżniczki, z którymi pójdziecie w bój.

Evie otworzyła szeroko oczy. Bój? O czym ona mówi? Spojrzała na Maggie, która nie wydawała się przejmować tym, co właśnie usłyszały.

– Kompania Ironbone istnieje od czasów, gdy te lasy zamieszkiwały olbrzymy. Uczyło się w niej wiele z najznamienitszych księżniczek, jakie kiedykolwiek żyły. Mam nadzieję, że okażecie się ich godnymi następczyniami. Jeśli nie – nie chcę was tu widzieć.

Powóz zahamował przed innymi pojazdami. Na zewnątrz pozostałe wróżki ostrymi głosami wydawały głośnie rozkazy swoim drepczącym posłusznie kadetkom. Ogromni, zarośnięci drwale chodzili pomiędzy chłopcami i wykrzykiwali komendy. Panował jednocześnie chaos i wojskowy porządek.

Dziewczęta z kompanii Ironbone nie mogły się już doczekać, by wysiąść, ale sierżant Wróżka nadal ich nie wypuszczała. Evie chwyciła swój naszyjnik z łuską smoka. Była zdenerwowana, podniecona i przerażona.

– Dziewczęta, nie wiem, skąd jesteście ani kim są wasi rodzice. Szczerze mówiąc, kompletnie mnie to nie interesuje. Z jednym wyjątkiem – Wróżka zmarszczyła się, patrząc na Bazyla. – Chętnie zamieniłabym słowo z twoją matką. Jeśli chodzi o resztę: nie wiem, może zawsze marzyłyście o tym, by zostać księżniczką, a może traktujecie to jak dobry żart, ale jedno wiem

na pewno...

Serce Evie biło jak szalone. Spojrzała na Maggie i zobaczyła, że ta nie potrafi powstrzymać wypływającego na usta uśmiechu.

– Jakiegokolwiek życie wiodłyście dotąd, właśnie zostawiłyście je za sobą. Witam w Pennyroyal.

Kadetki wyskoczyły z powozu i wmieszały się w tłum na zewnątrz. Demeter chwyciła Evie za ramię i pociągnęła ją za sobą, jednak ta nie była w stanie biec zbyt szybko po bruku i prawie skręciła sobie kostkę. Przez chwilę widziała Remingtona, ale szybko zniknął wśród innych kandydatów na rycerzy. Zresztą została już skierowana w przeciwną stronę – do zamku Pennyroyal, potężnego budynku z błyszczącej czerwonej cegły z wysokimi, okrągłymi, zwieńczonymi blankami wieżami. To właśnie tam miał się oficjalnie rozpocząć proces edukacji przyszłych księżniczek.

– Przepraszam – Evie usłyszała za sobą czyjś łagodny głos. – Upuściłaś to w powozie.

Odwróciła się i zobaczyła drobną dziewczynę. Jej pozszywana z łąt sukienka i nieco potargane włosy wskazywały, że musi należeć do nisko urodzonych. Wyciągała do Evie rękę, w której trzymała naszyjnik z łuską smoka. Evie odruchowo dotknęła swojej szyi i poczuła przyływ paniki. Wzięła naszyjnik z ręki dziewczyny i od razu związała go mocniejszym niż uprzednio węzłem.

– Dziękuję – powiedziała.

– Mam na imię Amaryllis – uśmiechnęła się dziewczyna. – Cieszę się, że mogłam pomóc. Evie zawiesiła naszyjnik z powrotem na szyi i sprawdziła wytrzymałość nowego wiązania. Powoli się uspokajała. Odwróciła się i ruszyła dalej w kierunku zamku, za swoją kompanią. *To się nie może powtórzyć* – obiecała sobie.

Następne godziny dziewczęta spędziły, na przemian stojąc w kolejkach, odpowiadając na rozmaite pytania, szturchane i popychane w różnych kierunkach oraz dokładnie oglądane. Biegały to tu to tam wąskimi, oświetlonymi pochodniami korytarzami pomiędzy różnymi komnatami. Wreszcie, wyczerpane fizycznie i psychicznie kadetki z kompanii Ironbone przeszły pod łukowatym sklepieniem do ciemnego pokoju bez okien, gdzie na kominku płonął ogień. Z tego pomieszczenia kolejne zwieńczone łukami drzwi prowadziły do jeszcze innych części zamku. Kadetki stały ciasno przy sobie. Evie znalazła się obok Sage – towarzyszki Malory z powozu.

Ta popatrzyła na okrywającą Evie pajęczą sieć i uśmiechnęła się szyderczo.

Nagle dziewczęta usłyszały dziwny, wilgotny i surowy głos.

– A więc wy chcecie być nowymi księżniczkami...

Z cienia wyłonił się troll. Miał surową twarz o chropowatej, usianej brzydkimi brodawkami skórze. Jego prawa noga była znacznie krótsza niż lewa, przez co chodził, kołysząc się na boki. Był też garbaty i podpierał się laską zrobioną z nierównego kawałka czarnego drewna, która wyglądała, jakby mogła się rozsypać przy każdym jego kroku. Miał krzaczaste, białe brwi, a jego broda była zbitką sterczących, szorstkich włosów. Ubrany był za to we wspaniały, aksamitny garnitur w kolorze bordo i skórzane, błyszczące buty; na szyi miał kremową jedwabną apaszkę, a w kieszonce marynarki ozdobną chusteczkę w tym samym kolorze. Mimo że wyglądał jakby wyszedł z pnia butwiejącego drzewa, jego strój był bezdyskusyjnie elegancki.

– Nazywam się Rumpelszwacz. Jestem trollem. I krawcem. Najlepszym w kraju. Jest to fakt, któremu nikt rozsądny nie przeczy. Będę waszym nauczycielem stylu.

Malora wydała z siebie sceptyczne prychnięcie. Evie zauważyła, że także w tej sytuacji Malora była niezwykle swobodna: jedną rękę skrzyżowała nonszalancko na piersi, drugą przeczesywała swoje czarne włosy. Zdawała się w ogóle nie obawiać ewentualnego konfliktu z którymkolwiek z nauczycieli i pracowników szkoły.

– Spotkałem już wiele dziewcząt przekonanych, że nie mam nic do zaoferowania w temacie mody. Zachęcam was, byście przejrzały ich szafy dzisiaj i zobaczyły, czyje projekty noszą.

Powiedziawszy to, troll klasnął w swoje zakurzone dłonie i spod łukowatych sklepień wychyliły się inne trolle. Wszystkie były bardzo elegancko ubrane, co silnie kontrastowało z ich owłosionymi nosami i uszami oraz odstającymi naroślami na twarzach. Asystenci głównego krawca szybko i sprawnie za pomocą miar i kredy zmierzyli wszystkie kadetki, po czym zniknęli. Gdy pojawili się znowu, okazało się, że przynieśli ze sobą jakieś tobołki, które rozdali dziewczętom. Wewnątrz nich znajdowały się oficjalne mundurki kompanii Ironbone. Rumpelszwacz kolejno kierował dziewczęta przez jedne z łukowato zwieńczonych drzwi do przebieralni. Gdy Evie czekała na swoją kolej, jeden z mniejszych trolli podszedł do niej i wyciągnął w jej kierunku potężną, niezgrabną rękę.

– Naszyjnik – powiedział.

– Naszyjnik? – powtórzyła, nie rozumiejąc o czym mówi.

– Musisz zdjąć naszyjnik – powiedział troll, wskazując na wiszącą na szyi Evie łuskę smoka.

– Ale... on jest dla mnie bardzo ważny...

– Zostaw ją, Rabeneau – wtrącił się Rumpelszwacz. Przykuśtykał do nich i wziął do ręki naszyjnik Evie. Uważnie go obejrzał, dotykając swoimi grubymi, krótkimi palcami plamy smoczej krwi.

– Skoro już jestem taki miły i pozwalam ci go zatrzymać – powiedział – ty też okaż wolę współpracy i schowaj go pod ubranie, dobrze?

– Oczywiście – odpowiedziała.

Rumpelszwacz odwrócił się do reszty dziewcząt.

– Duma z własnego wyglądu to nie to samo, co próżność – powiedział, dając znaki kolejnym kadetkom, by przeszły do przebieralni.

– Jest niezmiernie ważne, byście rozumiały tę różnicę.

Nadeszła kolej Evie. Wchodziła do przebieralni zaraz za Sage. Za łukowatym sklepieniem drzwi znajdowała się sala podzielona na kilka mniejszych nisz. Jeden z asystentów wskazał jedną z nich. Zasunęła za sobą zasłonę i wzięła głęboki oddech. Wreszcie była sama. Spojrzała na siebie w zawieszonym na ścianie lustrze i poczuła, jak zalewa ją fala wstydu. Tak właśnie wyglądała, zsuwając się na ziemię z konia Remingtona – brudna i potargana. To właśnie widziały wszystkie jej nowe koleżanki. To, że Maggie i Demetra w ogóle zechciały z nią rozmawiać, zakrawało na cud. Otworzyła tobołek i poczuła dziwne zdenerwowanie. Co jeśli założy na siebie tę suknię i nadal nie będzie wyglądać dobrze? Wyjęła lniany strój z tobołka i przez chwilę trzymała go przed sobą, przyglądając mu się uważnie. Była to sukienka o kroju tuniki, w cudownym niebieskim kolorze wieczornego, zimowego nieba. Jej brzegi wykończone były na biało i taki też był kolor rękawów.

Evie wyplątała się ze swojej pajęczej sieci, przełożyła sukienkę przez głowę i wsunęła ramiona w rękawy. Sukienka spłynęła w dół jej ciała. Materiał był przyjemnie chłodny. Natychmiast poczuła się jakoś inaczej. Jakkolwiek wydawało się to śmieszne, ta sukienka zdawała się podkreślać jej człowieczeństwo. Wyjęła z tobołka tiarę, lekką i delikatną jak wata cukrowa, i wsunęła ją w kasztanowe włosy, wyjmując z nich wcześniej jakąś zaplątaną gałązkę, następnie luźno zawiązała biały pasek wokół bioder. Przyjrzała się sobie w lustrze. Dziewczyna, która na nią teraz patrzyła, zdawała się być kimś zupełnie innym.

Kim jestem?

Gdyby nie asystenci Rumpelszwacza, którzy dbali o to, by dziewczęta żwawo przechodziły przez przebieralnie, Evie chętnie patrzyłaby w to lustro przez resztę wieczoru. Gdy wyszła z przebieralni, zwinęła swoją pajęczą sieć w lepiący się kłębek i wrzuciła go do kosza na śmieci.

Ubrana w szkolne mundurki kompania Ironbone była gotowa, by iść dalej. Poprowadzono je krętymi schodami, a następnie przez jedną z tylnych bram zamku do niewielkiej baszty, gdzie czekała na nie sierżant Wróżka. Kazała im stanąć w szeregu i zaczęła wyliczać długą listę zasad. Evie nie mogła się skupić, wciąż myśląc o tym, co przed chwilą zobaczyła w lustrze. Własne odbicie sprawiło bowiem, że zaczęła nagle postrzegać siebie zupełnie inaczej. Po raz kolejny poczuła, że dobrze zrobiła, słuchając Losu i wybierając się na poszukiwanie dziewczyny z pergaminu. A jednak, gdy teraz stała tutaj wśród swoich nowych siostr (i jednego brata), dwie rzeczy rzucały cień na jej rodzącą się pewność siebie.

Naprzeciwno miejsca, w którym stała, przez okno baszty widziała ciemne, złowrogie chmury, które wyłoniły się zza Szklanych Gór. Mogły to być zwykłe burzowe chmury niosące bardzo potrzebny deszcz. Było w nich jednak coś niepokojącego.

Nie chcąc dłużej na nie patrzeć, wyjęła ze swojego tobołka małe, srebrne pudełeczko i zaczęła je obracać w dłoni. Była to kolejna część standardowego wyposażenia kadetek. W środku znajdowało się lustro i sprasowany puder – nic więcej. Zaniepokoił ją jednak obrazek wyryty w srebrnym wieczku. Był to oficjalny herb szkoły – cztery jego pola zajmowały kolejno: księżniczka, rycerz, smok i wiedźma.



Wróżka prowadziła kadetki kompanii Ironbone serpentynami zwirowych uliczek kampusu, od czasu do czasu zatrzymując się, by opowiedzieć o jakimś budynku. W pewnym momencie Evie spojrzała w górę i zobaczyła rząd wyciosanych w granicie gargulców, dziwacznych bestii o rozwartych paszczach, które łpały na nią z góry szeroko otwartymi ślepiami. Budynki Akademii sprawiały, że czuła się mała i niezauważalna. Wiekowe drzewa nigdy jej w taki sposób nie onieśmiały. Mimo że celem tego spaceru było zapoznanie dziewcząt z terenem kampusu, Evie już po kilku minutach wszystkie te pnące się ku niebu wieże i grube mury zaczęły się zlewać w jedno i poczuła się jeszcze bardziej zagubiona.

Wróżka opowiadała im także ciekawostki o dawnych księżniczkach, które niegdyś również spacerowały tymi uliczkami – o Blackstone, Śnieżce, Aurorze – a także o bardziej znanych współczesnych księżniczkach – Marianie, Middlemiss, Torgesson. Każde wspomniane imię wywoływało wśród innych dziewcząt wyraźne poruszenie; gdy padło imię Aurory, Maggie prawie się popłakała. Dla Evie jednak żadne z tych imion nic nie znaczyło – nie znała ich, podobnie jak wcześniej nie rozpoznała imienia Roszpunkki. Być może jednak diagnoza, że padła ofiarą klątwy, która pozbawiła ją pamięci, nie była aż tak absurdalna...

– To jest Jasiowa Polana – powiedziała Wróżka, gdy wyszły wreszcie z klaustrofobicznych uliczek na rozległy przestwór uginającej się na wietrze

szmaragdowozielonej trawy. Pokazałam wam zaledwie ułamek kampusu. Chcę, żebyście zrozumiały, że imiona, które znacie z przeróżnych opowieści, to imiona prawdziwych kobiet, nie postaci z bajek. I każda z tych kobiet uczyła się właśnie tutaj – w Akademii. Jeśli będziecie ciężko pracować i jeżeli Los pozwoli, być może i o was kiedyś ludzie będą opowiadać podobne historie.

Evie zastanawiała się nad tym, podczas gdy Wróżka prowadziła ich przez Jasiową Polanę do baraków. Spojrzała na Malorę, która jak zawsze wyróżniała się z grona innych dziewcząt – była wyższa i bardziej pewna siebie. Łatwo było sobie wyobrazić, jak rodzice opowiadają swoim dzieciom historie o niej. Albo o Maggie – ona też bardzo pasowała do tego miejsca. Byłaby doskonałą bohaterką takich opowieści. Ale ona? Evie? Co można by o niej powiedzieć?

– Ależ to wszystko jest ekscytujące! – powiedziała Maggie, biorąc Evie pod rękę. – Wszystkie te wielkie księżniczki przeszłości uczyły się tu, gdzie teraz my będziemy się uczyć!

Evie uśmiechnęła się, nie przestając iść po miękkiej od wilgoci trawie.

– Zawsze przed snem mama opowiadała mi historię księżniczki Aurory – mówiła dalej Maggie. – Zawsze była jedną z moich ulubionych. Próbuję ją sobie tu wyobrazić, ale to wszystko wydaje się takie nierealne.

Z tym Evie mogła się zgodzić. Wszystko tu wydawało się nierealne. Gdyby jej matka mogła ją teraz zobaczyć, nie uwierzyłaby własnym oczom...

Wreszcie dotarli do budynku, nad którym powiewał szafirowy sztandar. Stała przed nim wysoka kobieta, ubrana w suknię podobną do ich strojów. Ramiona miała założone na piersi i najwyraźniej na nie czekała. Jej rozpuszczone, brązowe włosy były gdzieś przyprószone siwizną. Biła od niej jakaś ciepła energia, jakby otaczała ją aura dobroci. Nie można było mieć wątpliwości, że jest wybitną księżniczką u schyłku kariery.

– Witajcie dziewczęta! Jestem księżniczka Hazelbranch, opiekunka waszej kompanii – powiedziała, a brzmienie jej głosu napełniało serce ciepłem, niczym zapach pieczonego chleba. – W tym roku te kwatery będą waszym domem. Proszę, wejdźcie i rozgoście się. Mamy jeszcze sporo do zrobienia i coraz mniej słońca.

Evie zerknęła na ciężką szarą chmurę sunącą powoli ponad szczytami gór. Wyglądała, jakby mogła zasłonić słońce nawet na kilka dni. Mimo znacznych rozmiarów budynek, do którego je wprowadzono, był w środku bardzo przytulny. Szkielet sklepienia zbudowany był ze starych świerkowych desek.

Na kinkietach wiszących nad pryzkami zamocowane były zapalone pochodnie. Same prycze miały drewniane zdobione ramy, a na końcu każdej z nich znajdowała się niewielka rzeźbiona skrzynia. W każdej ścianie było kilka zaokrąglonych u góry okien, a główne przejście pomiędzy pryzkami wyścielono brązowymi niedźwiedzimi skórami.

Gdy wszystkie kadetki jedna po drugiej weszły do środka, Demetra zaprowadziła Evie do łazienki na końcu budynku. Poprosiła, by usiadła, po czym wycesała z jej włosów brud i inne pozostałości leśnej wędrówki. Potem pomogła jej także umyć twarz i ręce.

– Wybacz, ale trzeba to zrobić – powiedziała, szorując dłonie i paznokcie Evie szorstką szczotką.

– Nie szkodzi.

– Jedną z korzyści, jakie wyniosłam z dorostania na zamku, jest to, że nauczyłam się, jak ważne jest dbanie o wygląd – zaczęła znowu Demetra, ale przerwała nagle i cofnęła się o krok. – Przepraszam, nie zamierzałam sugerować, że ty nie...

– Nie przepraszaj. Wiem, jak wyglądam – odparła Evie, uśmiechając się przepraszająco. – Nie miałam jednak okazji umyć się, odkąd opuściłam dom.

Demetra pochyliła się znowu nad nią i wytarła jej twarz czystym kawałkiem płótna.

– Wybacz mi to, co powiedziałam. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w obcowaniu z prostymi... – zawahała się – z ludźmi, którzy nie należą do szlachty. I szczerze mówiąc, chętnie zapomniałabym tutaj o tych podziałach.

Wyprostowała się znowu i spojrzała z uśmiechem na Evie.

– Teraz wyglądasz świetnie.

Evie przyjrzała się sobie w lustrze. Jak to możliwe, że ta dziewczyna – czysta, zadbana i ładnie ubrana – była tą samą, która wczesnym rankiem, gdy Remington jeszcze spał, wygrzebywała rękoma termity z gniazda i jadła na śniadanie te smakujące nieco jak marchewka insekty? – Dobrze. To teraz chodź, wybierzmy sobie prycze, zanim nam wszystkie zajmą – powiedziała Demetra, prowadząc Evie z powrotem przez tętniący życiem budynek.

Evie nie mogła przestać się uśmiechać. Dziewczęta powoli się zadomawiały. Wkładały do skrzyń przy pryzkach skromne osobiste rzeczy i opowiadały sobie nawzajem o tym, kim były w domu. Żadna z nich nie rzucała Evie dziwnych spojrzeń. Żadna się z niej nie śmiała. Żadna z nich nawet jej nie zauważała. Dla Evie było to cudowne uczucie.

– Zarezerwowałam dla nas te dwie – powiedziała Maggie, wskazując na prycze po swojej prawej i lewej stronie. – Wybierz, którą chcesz...

– O rany! – wykrzyknęła dziewczyna na sąsiedniej pryczy. Uklękła na jedno kolano i nisko schyliła głowę. – Nie przypuszczałam, że spotkam tu Waszą Wysokość!

Demetra rozejrzała się zażenowana i zaczęła pośpiesznie podnosić dziewczynę z klęczek.

– Jestem kadetką, tak samo jak ty.

– Ojciec w życiu mi nie uwierzy, jak mu opowiem, że dotknęła mnie królewska dłoń!

– To Anisette – powiedziała z uśmiechem Maggie. – Ona też jest z Czarnych Błot.

– Naprawdę? – spytała Demetra.

– Jak najbardziej, Wasza Wysokość.

– Nakazuję ci zatem mówić do mnie po imieniu – powiedziała Demetra, przechodząc obok Evie i zajmując pryczę naprzeciwko pryczy Maggie.

– Anisette – przedstawiła się dziewczyna, ściskając mocno dłoń Evie.

– Eeee... Evie.

– Miło cię poznać, Evie.

Anisette wróciła do rozpakowywania swoich rzeczy. Evie patrzyła chwilę na nią, później na inne dziewczęta, niepewna, co powinna teraz zrobić. Włożyła swój tobołek do skrzyni i usiadła, żeby posłuchać.

– Mój ojciec jest szewcem na głównej ulicy w Czarnych Błotach – powiedziała Anisette. Była podobnie nieokrzesana jak Evie, ale znacznie bardziej otwarta i zaraźliwie wesoła. Evie natychmiast ją polubiła. – Jak będzie Wasza Wysokość kiedyś potrzebować naprawić buty, niech Wasza Wysokość pamięta do niego zajrzeć. Chyba że członkowie rodziny królewskiej po prostu wyrzucają buty, jak tylko się nieco zarysują – mówiąc to, Anisette uśmiechnęła się i mrugnęła do Evie.

– Proszę, nazywaj mnie Demetra. Nie znoszę tego tytułu.

– Jasne. Demetra. Więc wpadnij do nas kiedyś, Demetro. Jesteśmy najlepszymi szwcami w tamtej okolicy. Bo ja już od dawna jestem w tym lepsza od mojego ojca. Ale nie mów mu.

– Będiesz więc znakomitą Księżniczką Podeszwy – prychnęła Malora, która właśnie do nich podeszła. Za nią posłusznie dreptały jej przyjaciółki z powozu, Kelbra i Sage.

Anisette spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi, niepewna, jak powinna zareagować na tę złośliwość. Zanim cokolwiek zdążyła zrobić, Malora zwróciła się do Demetry:

– Jeśli zmęczyłaś się już towarzystwem prostaczek, to wiedz, że księżniczki z dobrych rodzin zajmują prycze tam w gębi.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Wszystkie czekały, aż Malora w jakiś dowcipny sposób zakończy tę wypowiedź, która była tak niesłychana, że musiała być żartem. Ale ona tylko uśmiechnęła się zimno, patrząc na Evie.

– Naprawdę przyszedł tu tylko po to, by nas obrażać? – spytała Anisette. Napięcie przerwało pojawienie się księżniczki Hazelbranch, która zerkając na trzymany w dłoni zwój pergaminu, odczytała:

– Kadetka... Jedenasta?

– Moja oferta jest cały czas aktualna – powiedziała Malora do Demetry, po czym oddaliła się wraz ze swoimi przyjaciółkami, pozostawiając grupę Evie w głębokim szoku.

– Czy jest tu kadetka Jedenasta? – powtórzyła Hazelbranch.

– To ja – odezwała się Evie, wstając.

– Chodź ze mną, moja droga.

– Dokąd idziemy?

– Do szpitala. A może już zapomniałaś, że rzucono na ciebie klątwę odbierającą pamięć? – Hazelbranch zaśmiała się z własnego żartu i ruszyła naprzód. Evie poszła za nią, ale za chwilę odwróciła się, niepewna. Popatrzyła na swoje koleżanki. Dopiero zaczęła czuć się z nimi swobodnie, a już musi je zostawić.

Okazało się, że w kompanii Ironbone jest więcej kadetek dotkniętych klątwami, niż Evie mogła się spodziewać. Zobaczyła wśród nich także Sage, która zawsze wyglądała tak, jakby nienawidziła tego, że żyje. Gdy dotarły do szpitala, słońce już prawie zaszło. Nadchodziła pierwsza z wielu nocy, kiedy Evie będzie mogła spokojnie się wyspać, nie martwiąc się, że goblin albo wilk czai się gdzieś w zaroślach. Już nie mogła się tego doczekać.

Szpital był przestronną i dobrze oświetloną komnatą, w której stał rząd łóżek dla chorych. Wokół nich krążyły ubrane na biało pielęgniarki. Jasne, kamienne ściany budynku przechodziły w całkowicie szklany sufit, oparty na szkielecie z drewnianych belek. Dziewczęta zostały poproszone o zebranie się w jednej części sali, gdzie stało kilka ciężkich drewnianych stołów, a wokół nich rzędy półek z poustawianymi na nich fiolkami z niebieskimi,

czarnymi, zielonymi i żółtymi miksturami, egzotycznymi proszkami, kielichami wypełnionymi bulgoczącą zawartością i glinianymi garnkami pełnymi tajemniczych substancji.

Evie była jedną z pierwszych, które poproszono do badania. Usiadła przed głównym lekarzem Akademii – zaniedbaną księżniczką Wertzheim o zmęczonych oczach – i odpowiedziała na kolejną już w tym dniu listę pytań. Spróbowała po raz ostatni wyjaśnić, że z jej pamięcią wszystko jest w porządku, ale gdy Wertzheim zaczęła wypytywać o szczegóły związane z jej rodziną, Evie stwierdziła, że woli milczeć. Nie chciała powiedzieć nic o swojej matce czy ojcu, czując, że musi ich chronić. Wołała już wypić dziwnie wyglądający wywar niż wydać swoją rodzinę obcym. Gdy więc Wertzheim przygotowała dla niej małą fiolkę czerwonego płynu, Evie bez protestów wypiała wszystko.

Musiała poczekać, aż jej koleżanki także zostaną zbadane i otrzymają lekarstwa. Miała więc trochę czasu, żeby rozejrzeć się dookoła i zaczęła zauważać dziwne rzeczy. W różnych miejscach ogromnej sali stały rzeźby kobiet i mężczyzn, chłopców i dziewcząt. Niektóre tkwiły przy łóżkach, ale większość stłoczono w odległym rogu pomieszczenia. Wyglądało to tak, jakby szpital służył dodatkowo jako magazyn ogrodowy przy królewskim pałacu. Poza tym po komnacie biegały przez nikogo niepilnowane zwierzęta: gęsi, kuce i całe stado kaczek dreptały w kółko za pielęgniarkami; po ścianach chodziły jaszczurki; świny i prosiaki urządzały sobie drzemkę na jednym z łóżek.

Obok niej, na tylnych łapach, jak człowiek, przeszedł lis. Podążając za nim wzrokiem, Evie zauważyła stojącą za sobą Sage. Jej twarz była jak liść gruszy – delikatna i okrągła, zakończona ostrym podbródkiem, ale zawsze mająca wyraz nieskrywanej wrogości. Ale w tym momencie i w tym dziwnym miejscu była to dla Evie jedyna znajoma twarz. Odważyła się zatem zacząć rozmowę:

- Ty też straciłaś pamięć?
- Jeśli już musisz wiedzieć, straciłam poczucie humoru.

Evie zaśmiała się nerwowo, niepewna, czy rzeczywiście właśnie usłyszała żart.

- Miło widzieć, że możesz się pośmiać. Ja nie mogę.
- Przepraszam, nie chciałam sprawić ci przykrości.

Sage prychnęła i odwróciła się do stołu, przy którym pielęgniarka dawała

właśnie innej kadetce łyżkę zielonego, dymiącego płynu. Evie nie rozumiała sugestii i kontynuowała rozmowę.

– Jak myślisz, dlaczego trzymają tu wszystkie te dziwne posągi i zwierzęta?

– To nie są *zwierzęta* – fuknęła Sage. – To ludzie, na których rzucono klątwy.

Evie spojrzała uważniej. Pod jednym z łóżek leżał pies i właśnie drapał się za uchem. Evie spróbowała sobie wyobrazić, że to człowiek. Wtedy zauważyła, że leżący na tym samym łóżku posąg chłopca podniósł głowę. Żył. Jego skóra była jednocześnie skamieniała i elastyczna, w dziwacznej fazie przejściowej pomiędzy kamieniem a ciałem.

Gdy Evie miała dziesięć lat, natknęła się kiedyś na małego rannego liska. Wyglądało na to, że zranił go jastrząb albo sowa. Lisek jakimś cudem przeżył spotkanie z drapieżnym ptakiem, ale nie zostało mu wiele życia. Pamiętała to dziwne uczucie intensywnego współczucia dla rannego zwierzęcia, pomieszane z obrzydzeniem dla jego ran. To samo czuła teraz, patrząc na żyjącego posąg chłopca. Poczwała, że ktoś na nią patrzy. Odwróciła się i zobaczyła przysadzistą, tłustą świnię, która sapała, parskała i nie spuszczała z niej oczu. W jej zachowaniu było coś niepokojącego, było nieco zbyt napastliwe jak na spokojne zwierzę gospodarskie. Evie odsunęła się i udawała, że podziwia kolorowe fiołki na półce. Ale zaraz usłyszała za sobą stukot racic.

– Czego chcesz? Odejdź.

Świnia poczuła nowy zapach i jej gęsto porośnięty szczecina pysk drgnął. Evie rzuciła zażenowane i nieco już przestraszone spojrzenie w kierunku swoich koleżanek, ale nikt inny zdawał się nie widzieć, co się dzieje. Gdy próbowała uciec, świnia pocwałowała za nią. Znow próbowała się jej wymknąć, ale zwierzę natychmiast skoczyło w jej kierunku. Evie gwałtownie przywarła plecami do jednej z półek i kilka fiołek posypało się na podłogę.

– Pomocy! – krzyknęła.

Świnia chrupkała teraz głośniejsze i bardziej natarczywie. Znowu natarła na Evie, która cofając się, wpadła na zielonogłową kaczkę krzyżówkę i upadła na podłogę wśród panicznego kwakania. Świnia stała teraz w odległości mniej niż pół metra od Evie, a jej cielsko drżało jak ciało tego rannego liska, którego wtedy znalazła w lesie.

Kilka pielęgniarek zainteresowało się sytuacją, ale nie podchodziły bliżej, jakby bały się, że świnia może zaraz rzucić się i na nie.

– Co ona robi? – zawołała Evie.

– Spokojnie! – odparła Wertzheim. – Nie ruszaj się!

Świszczący oddech świni stawał się coraz cięższy, zaczęła też przeraźliwie piszczeć. Widać było, że coś ją straszliwie męczy. W pewnym momencie je ciałem wstrząsnęły silne dreszcze i racice zastukotały na posadzce. Duża brązowa plama na świńskim boku zaczęła się wydymać. Evie ze zgrozą obserwowała, jak ciało zwierzęcia wyciąga się i wygina w przerażający sposób. Cały szpital wypełnił się krzykami kadetek, wtórującymi panicznym piskom świni. Wreszcie pokryte szczeciną nogi zwierzęcia poddały się i świnia upadła na bok, kwicząc, jakby uderzał w nią właśnie niewidzialny topór. Pokryte sterczącym włosiem ciało zdawało się jednocześnie rozciągać i kurczyć. Nogi wyprostowały się nagle tak gwałtownie, że dało się słyszeć trzask ścięgien. Świński ryj zaczął wciskać się w resztę twarzy.

Cierpiące zwierzę kwiczało spazmatycznie, podczas gdy całe jego ciało skręcało się i zmieniało. Evie wstrzymała oddech, gdy stworzenie – którego nie można już było nazwać świnia – zaczęło zwijać się w kłębek na podłodze.

– Niech ktoś coś zrobi!

Wertzheim rzuciła się do przodu i przykryła biedne stworzenie narzutą z grubego płótna.

– Odsuń się, dziewczyno!

Evie zerwała się na równe nogi. Inne kadetki odsunęły się od niej, jakby to ona spowodowała całe to niewytłumaczalne zajście.

Kilka pielęgniarek natychmiast pośpieszyło Wertzheim z pomocą. Przytrzymały przykryte narzutą, wijące się na podłodze stworzenie, mówiąc do niego uspokajająco. Ono zaś, łapiąc duże hausty powietrza, rzeczywiście zaczęło się powoli wyciszać. Szok wywołany przez przerażające sceny, które się przed chwilą rozegrały, nie ustępował. W sali panowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu odgłosami wydawanymi przez łabędzia. Wreszcie pielęgniarki pomogły stworzeniu usiąść.

– Och, niesamowite – westchnęła Wertzheim.

Narzuta opadła, odsłaniając nie łaciatą świnie, ale chłopaka. Był wysoki i dobrze zbudowany. Miał czarne włosy i krzaczaste brwi. Jego mętne brązowe oczy wyrażały niewysłowione zdumienie, jakby właśnie w cudowny sposób przeżył upadek z Wieży Królowej.

– Gdzie ona jest? – wydał z siebie suchy pisk, coś pomiędzy świńskim kwikiem a ludzkim krzykiem.

Jego zmrużone oczy szukały kogoś w tłumie. Zatrzymały się na Evie. Spróbował się podnieść, ale jego ramiona okazały się zbyt słabe, by się na nich wesprzeć. Złapał go rwący kaszel zaczynający się gdzieś w najgłębszej części płuc. Pielęgniarki pomogły mu wstać. Zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku Evie, podtrzymując koc, którym okrywał teraz swoje ciało. Z każdym niepewnym krokiem wydawał się bardziej ludzki.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała jedna z pielęgniarek.

– To ty... Inne kadetki jeszcze bardziej odsunęły się od Evie, zostawiając ją samą, twarzą w twarz z nim.

– Witaj – powiedziała z niepewnym uśmiechem.

Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?

– Wróciłem.

Pokręcił głową, dawno nieużywane ludzkie mięśnie zatrzęszczały. Znowu spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się szeroko.

– Wróciłem!

Wśród obecnych rozległy się niepewne szepty. Napięcie w komnacie opadło równie nagle i nieoczekiwanie, jak się pojawiło.

– Wróciłem!

Chwycił w ramiona jedną z pielęgniarek i obrócił ją w improwizowanym tańcu. Jego szalony śmiech odbijał się echem od ścian. Rzucił się w pogoń za stadem kaczek, które rozproszyły się, kwacząc z irytacją.

– Wróciłem, kaczuszki!

Potem jego wzrok znowu padł na Evie. W jego oczach zapłonął nowy ogień.

– Gdzieś ty, do licha, była? – zapytał, podchodząc zupełnie blisko. Próbowała coś odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Dłońmi objął jej głowę, ustami przycisnął jej usta, składając na nich miękki, ciepły i zupełnie nieoczekiwany pocałunek. W jej głowie rodziły się i wybuchały naraz tysiące myśli. Nagle jego usta zniknęły. Odwrócił się do innych i triumfalnie wyrzucił w górę ramiona.

– WRÓCIŁEM!

Evie stała bez ruchu, nadal czując na swoich rozchylonych wargach dotyk jego ust.

– Już dobrze, młody człowieku – powiedziała jedna z pielęgniarek, kładąc mu rękę na plecach.

– Kolejna do całowania? – zapytał, patrząc na nią dzikimi z radości

oczami.

– Ooo, lepiej nie – zaśmiała się pielęgniarka i poprowadziła go w stronę zamkniętej części szpitala.

Po drodze odwrócił się jeszcze i krzyknął:

– Książę Forbes opuścił dziś chlew! Ogłóście to wszędzie! Evie wytarła usta wierzchem dłoni i poprawiła suknię. Nic nie mogła jednak poradzić na pokrywający jej twarz rumieniec. Starła się zachowywać, jakby nic się nie stało, ale w środku, pod naszyjnikiem z łuską smoka, jej serce biło tak silnie, że chyba wszyscy je słyszeli.

– Niesamowite – powiedziała Wertzheim, w zdumieniu potrząsając głową.
– Absolutnie cudowne. Ojciec tego młodego człowieka przywiózł go do nas pięć lat temu. Niczym nie mogliśmy zdjąć tej klątwy. Powiedz mi, kadetko, skąd go znasz?

Evie skrzywiła się. Podobnie jak wtedy, gdy przybyła do Marburga z Remingtonem, także teraz wszystkie oczy skierowane były na nią.

– Nigdy w życiu go nie widziałam.

– Myślę, że widziałas. Lek na klątwę wiódźmy bardzo często jest związany z tym, co ją wywołało. Być może, gdy twoja pamięć zacznie wracać, odnajdziesz go w jakimś wspomnieniu – wytłumaczyła. – Byłoby dziwne, gdyby tak się nie stało, skoro on tak cię całuje – dodała z uśmiechem.

Niektóre z kadetek zaśmiały się. Poza jedną. Sage, dziewczyna, która straciła poczucie humoru, przyjaciółka Malory, stała z boku i zimno patrzyła na Evie, która natychmiast zrozumiała, że nie da się utrzymać w tajemnicy tego, co się tu wydarzyło. Nie wiedziała jeszcze, czym jest plotka, ale intuicyjnie czuła, że gdy dziś wieczorem zasiądzie do kolacji przy stole kompanii Ironbone, jej pocałunek będzie już na wielu ustach.



Evie szła po nierównym bruku dziedzińca przed zamkiem Pennyroyal, powłócząc nogami. Ciężył jej pełny żołądek, ciężyły powieki. Nad sobą miała rozgwieżdżone nocne niebo. Po tym, jak przebyła tę straszną odległość od domu do Akademii, i po wszystkich dziwnych rzeczach, które się od tego czasu wydarzyły, chętnie po prostu zwinęłaby się w jakimś ciemnym kącie i spała. Tymczasem jednak przesuwiała się po dziedzińcu niesiona falą świeżo upieczonych uczennic Akademii Pennyroyal, ubranych w różnokolorowe suknie, w zależności od przydziału do określonej kompanii.

Przez całą kolację nie mogła się skupić. Jedli w dużej sali jadalnej oświetlonej świecami i pochodniami. Na kominkach przyjemnie trzeszczał ogień. Było ciepło i sennie. Każda kompania siedziała przy osobnym długim stole, przykrytym białym obrusem i zastawionym jedzeniem. Zawsąd dochodziły ją strzępy wesołych rozmów dziewcząt, które powoli zmieniały się ze znajomych w przyjaciółki. Evie jednak nie mogła oderwać myśli od tego, co widziała po drugiej stronie jadalni. Siedzieli tam ubrani w czarne kaftany kandydaci na rycerzy z kompani Thrushbeard. Wśród nich Remington. Zajął miejsce obok tego dziwnego chłopca-prosiaka, którego zwano księciem Forbes. Z jakiegoś powodu nie podobało jej się to. O czym mówili? Czy Remington wiedział, co się zdarzyło w szpitalu? Z niejasnych powodów nie chciała, by wiedział.

Niesiona falą kadetek Evie przeszła przez zamkową bramę, pod

szpiczastymi zębami spuszczonej kraty, do ogromnej rotundy, oświetlonej osadzonymi w kinkietach pochodniami. Pomiędzy nimi wisiały poblakłe olejne portrety przedstawiające wielkie księżniczki i rycerzy przeszłości. Wąskie schody z wygładzonego kamienia prowadziły z rotundy na wyższe piętra pałacu, a przez kilka znajdujących się poniżej łukowato zwieńczonych drzwi można było się dostać do Sali Królewskiej. Evie spojrzała w górę. Sufit pod ogromną kopułą był w całości pokryty skomplikowanymi freskami. Przedstawiały kobiety w obszarpanych sukniach, stojące na ruinach starożytnych pałaców. Przy ciemnych brzegach fresków gromadziły się bezkształtne cienie i żółte oczy świeciły w mroku. Evie poczuła, jak dreszcz przebiega jej ciało. Widziała już takie oczy. Co one robiły tutaj, w zamku Pennyroyal?

– Wiesz, że walki toczą się już o twierdzę Tarburn? – spytała Demetra. – Moja siostra została już wysłana na front.

Odkąd Evie wróciła do sali jadalnej po leczeniu, Demetra, Maggie i Anisette nie przestawały mówić. Maggie trzymała dla niej miejsce na ławce przy stole i nawet nałożyła jej jedzenie na talerz, ale Evie nie udało się włączyć do rozmowy dotyczącej miejsc i rzeczy, o których nie miała pojęcia.

– Twierdza Tarburn? To przecież zaraz za zatoką! – zawołała Anisette.

– W Sevigny jak na razie jest spokojnie, dzięki Losowi – dodała Maggie.

Evie nadal próbowała zrozumieć, po co ktoś miałby malować oczy widzmy na suficie, gdy usłyszała za sobą chrupkanie. Zanim zdążyła się odwrócić, minęła ją Malora ze swoją świtą. Malora uśmiechnęła się złośliwie, Kelbra się roześmiała, a Evie poczuła, że jest cała czerwona ze wstydu i złości. Podążając za tłumem, przeszła pod łukowato zakończonymi drzwiami na drugim końcu rotundy. Mimo że otoczona masą ludzi, nadal czuła się bardzo samotna.

Opiekunki kompanii zaczęły wskazywać kadetkom przydzielone im ławki. Prostokątna Sala Królewska była ogromna, jej ściany wyłożono ozdobnym kamieniem, a na dwóch jej końcach znajdowały się olbrzymie, dekoracyjnie rzeźbione kominki, które dawały zarówno ciepło, jak i światło. Wielkie purpurowe chorągwie z herbem Pennyroyal – tym samym, który tak zaniepokoił Evie, gdy znalazła go na wieczku swojego kompaktowego lusterka – zwieszały się z sufitu pomiędzy zdobionymi filarami. Na prawie każdej ścianie znajdowały się wysokie od podłogi do pułapu okna. Z wyjątkiem jednej – tam, nad podestem, wisiał ogromny obraz w odcieniach sepii,

przedstawiający grupę zmęczonych wojną księżniczek wspinających się na schody zniszczonego królestwa.

– Dlaczego wszystkie te księżniczki są takie... *obdarte*? – zapytała Evie, siadając na drewnianej ławie. Jednak Maggie nie słyszała tego pytania, pogrążona w rozmowie z Bazylem, chłopcem z powozu. On również ubrany był w niebieską tunikę kompanii Ironbone, ale nie tak długą jak suknie dziewcząt i zestawioną z białymi, lnianymi spodniami. Do sali weszli nauczyciele i zasiedli na zdobionych tronach ustawionych na podeście. Evie rozpoznała wśród nich kilku widzianych już wcześniej tego dnia, w tym Rumpelszwacza, któremu towarzyszyli dwaj jego miniaturowi asystenci. Główny tron, największy i najpiękniej zdobiony, nadal był pusty. Lokaj zadał w trąbkę, z której zwisała miniaturowa wisząca u sufitu flagi. Dało się słyszeć szuranie i szelest ubrań i wszyscy obecni na sali powstali z miejsc. Evie starała się coś zobaczyć, ale widok zasłaniała jej dziewczyna stojąca przed nią – tyczkowata kadetka z kompanii Goosegirl, ubrana w szkarłatnoczerwoną suknię. W końcu Evie udało się przez małą dziurkę pod ramieniem dziewczyny dojrzeć księżniczkę Beatrycze sunącą po podeście w swojej obfitej złotej sukni. Na jej białych włosach lśniła wspaniała opaska, wyglądająca jak piana u stóp wodospadu. Księżniczka miała poważny, wręcz zmartwiony wyraz twarzy.

Wszyscy usiedli, również nauczyciele. Tylko Beatrycze stała pośród zapadłej nagle niezwyklej ciszy. Nawet ogień zdawał się syczeć i strzelać nieco delikatniej niż wcześniej. Wzrok księżniczki Beatrycze prześlizgiwał się z wolna od jednej kadetki do drugiej. Każdy ruch jej głowy wywoływał odczuwalne napięcie wśród wszystkich obecnych na sali.

– Jesteśmy w stanie wojny.

W ustach Beatrycze słowa te zabrzmiały tak ostatecznie, że nikt nie miał śmiałości się ruszyć. Zdawało się, że wszyscy wręcz wstrzymali oddech. Evie nagle poczuła się uwięziona w tej sali i musiała spojrzeć na łukowate drzwi, by upewnić się, że nie jest tu zamurowana.

– Jesteśmy w stanie wojny z prawdziwie mrocznymi siłami. Właśnie dowiedziałam się, że trzy kolejne królestwa zostały zajęte przez Calivigne i jej Siostry. Hundschloss został starty na proch. Evie rozejrzała się wokół. Wszyscy obecni na sali siedzieli wpatrzeni w Beatrycze, nieruchomo jak posągi. Ona sama nie rozumiała, o czym mowa, ale ponura reakcja innych kadetek sprawiła, że to uczucie tkwienia w pułapce stało się jeszcze

intensywniejsze, a ława, na której siedziała – jeszcze bardziej niewygodna.

– Kim jest Calivigne? – wyszeptała do Maggie. – O czym ona mówi?

– Rozumiem niepokój wielu spośród was i waszych rodziców związany z decyzją królowej, by przyjmować do Akademii także dziewczęta z nieszlacheckich rodów – ciągnęła dalej Beatrycze. Z jej twarzy nie dało się wyczytać nic na temat tego, co sama o tym myśli. – Po pierwsze, jeśli uważacie, że to do was należy kwestionowanie decyzji królowej, możecie to robić, ale w waszych domach. Ona jest naszym Naczelnym Dowódcą i kwestionowanie jej rozkazów jest w obecnej sytuacji równoznaczne ze zdradą. Po drugie, z pewnością wiele z was ma fałszywą wizję tego, czym jest bycie Księżniczką Tarczy. Być może przyszyście tu zachęczone majestatem i splendorem życia na zamku, z koroną na głowie. Wyobrażacie sobie, że spędzicie tu trzy lata, a potem będziecie spacerować wśród wielbiącego was ludu.

To mówiąc, Beatrycze przechadzała się przed rzędami kadetek, a stukot jej obcasów odbijał się echem od ścian.

– Te z was, które tak myślą, pierwsze zostaną odesłane do domu, nieważne jak szlachetna krew płynie w ich żyłach.

Evie kątem oka zauważyła, jak Malora pogardliwie potrząsa głową.

– Księżniczka Tarczy jest odważna, współczująca, dobra i zdyscyplinowana. Bez tych czterech głównych cech dziewczyna może mieć wszystkie korony i zamki świata, ale nie będzie bardziej księżniczką niż pierwszy lepszy smok. Musicie przygotować się na wojnę jak żołnierze, choć walczyć będziecie inaczej niż oni. Waszą bronią będą wasze czyste serca i stalowe morale. Nie jest to broń, którą my wam damy do ręki – ona już w was jest. Aby nauczyć się nią władać, musicie poznać siebie. Tego właśnie będziemy was tutaj uczyć.

Evie poczuła coś jakby prąd przebiegający przez jej głowę i przez chwilę bała się, że zemdleje. Słowa Beatrycze obudziły w niej głęboko schowany instynkt, który teraz intensywnie ją przed czymś ostrzegwał. Poczuła, że Beatrycze powie zaraz coś, czego ona – Evie – nie będzie już mogła zapomnieć.

– Dziś padły trzy kolejne królestwa. Trzy piękne, szlachetne miasta wypełnione historią, kulturą i niewinnymi mieszkańcami – ciągnęła Beatrycze. Splotła dłonie na plecach i przechadzała się po podeście. – Zło rośnie w siłę, nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Potrzebujemy was, dziewczęta.

Potrzebujemy, byście przeszły swoje szkolenie i wsparły nas w walce. To wy – powiedziała i zatrzymała się dla podkreślenia wagi tych słów – tylko wy jesteście w stanie powstrzymać Calivigne i jej armię złych wiedźm przed szerzeniem w naszym kraju śmierci i rozpacz.

Armia złych wiedźm. Nagle wszystkie drobne elementy układanki, które nurtowały ją od momentu, kiedy tu przybyła, znalazły swoje miejsce. Freski, słowa jej przyjaciółek... herb Pennyroyal ... – wszystko to wskazywało na jeden prosty fakt: bycie księżniczką oznaczało walkę z wiedźmami.

– W miarę upływu czasu zauważycie, że nasza Akademia pod wieloma względami przypomina akademie wojskowe szkolące największe światowe armie. Nie jest to przypadek. Nasza szlachetna założycielka, księżniczka Pennyroyal, tworząc tę instytucję, oparła ją na precyzji, honorze i dyscyplinie, jakie cechują wszystkie królewskie armie. Miała okazję obserwować, jak niezliczeni królowie szkolą swoich niezliczonych żołnierzy do walki z żołnierzami innych królów. Mimo że pogardzała tym niekończącym się marszem śmierci i przemocy, szanowała dobre cechy, które żołnierskie kampusy zaszczyślały swoim wychowankom. To ona pierwsza zauważyła, że jedynie prawdziwa księżniczka może pokonać wiedźmę. To ona wyszkoliła pierwsze Księżniczki Tarczy. To ona zaszczyśla wartości, które przekazaliśmy jak dotąd całej armii księżniczek, zmieniając je w armię szlachetności i dobroci.

Próbując zachować spokój, Evie wpatrywała się w czerwien sukni stojącej przed nią dziewczyny. Starła lepki pot, który wystąpił jej na czoło, mimo że skóra pozostawała chłodna.

– Niektórzy pytają, dlaczego liczni, doskonale wyszkoleni i wyposażeni żołnierze z królewskich armii nie mogą sami uwolnić świata od wiedźm. Odpowiedzi na to pytanie dostarczają niezliczone pola usiane skamieniałymi żołnierzami. To my, dziewczęta, tylko my – księżniczki – posiadamy broń, która jest naprawdę użyteczna w tej walce.

W jednym z kominków przepalona kłoda rozsypała się w proch, ginąc w syczących płomieniach.

– Ta walka jest ważniejsza niż wy czy ja. Jest ważniejsza niż jakakolwiek księżniczka czy rycerz, którzy kiedykolwiek chodzili po tych uświęconych salach. W tej walce chodzi bowiem o nich – wskazała palcem w przestrzeń tak dobitnym gestem, że objęła nim każdego mężczyznę, kobietę i dziecko żyjących w strachu, gdziekolwiek na świecie. – Jest to walka o wszystkich niewinnych

ludzi w całym kraju, którzy będą cierpieć bez ochrony, jaką zapewnić im może jedynie Księżniczka Tarczy.

Beatrycze pozwoliła, by jej głos wybrzmiał, aż znowu zaległa kompletna cisza. Wróciła do swojego pustego tronu, ale nie od razu usiadła.

– Żyjemy w trudnych czasach, dziewczęta. Wojna, którą przyjdzie wam stoczyć, jest coraz bliżej.

To powiedziawszy, zajęła miejsce. Wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby ta mowa postarzyła ją o dziesięć lat. Powoli gdzieś dało się słyszeć zduszone szepty.

Evie poczuła na swoich plecach dotyk czyjejś dłoni, która lekkimi kolistymi ruchami masowała jej ramię.

– Wszystko w porządku, Evie? Trochę zbladłaś.

– Nie wiedziałam, że będziemy walczyć z wiedźmami, Maggie – powiedziała Evie. Jej dłonie drżały.

– Co? – zaskoczona Maggie zmarszczyła czoło. – Czego się spodziewałaś? Księżniczka...

– Cisza! – warknęła Liverwort. W sali znowu zrobiło się cicho. Beatrycze skinęła głową w kierunku Liverwort i ta zniknęła w drzwiach na końcu podestu.

Evie schowała twarz w dłoniach i próbowała się skupić na tym, że Maggie dalej rytmicznie głaskała ją po plecach.

Chwilę później Liverwort pojawiła się z powrotem. Nie sama. Jej towarzystwo sprawiło, że z piersi obecnych wyrwały się zduszone okrzyki przerażenia. Evie podniosła wzrok i zobaczyła, że nauczycielka pomaga wejść na podest zgarbionej postaci w poszarpanym płaszczu. Cieniutka jak pajęczyna skóra zwisała luźno z ostrych, wystających kości twarzy. Jej usta były naciągnięte do granic wytrzymałości na mrozącym krew w żyłach uśmiechu, a oczy zupełnie zalepione opadającymi powiekami. Ogień, który jeszcze przed chwilą płonął intensywnie, zmienił się teraz w żarzące się popioły. Jeden z asystentów Rumpelszwacza rzucił się, by ponownie go rozpałić. W tym czasie prastara wiedźma chwiejnym krokiem doszła do środka podestu, opierając się na lasce ze zwietrzałej kości. Obecnych doszedł mroczny odór dymu i wszyscy dostali gęsiej skórki.

Evie poczuła się, jakby znowu była uwięziona w chacie w środku lasu, pewna, że zaraz umrze.

– Dziewczęta, proszę o spokój – powiedziała zirytowana Beatrycze. – Tej wiedźmy nie musicie się obawiać. To dysydentka, jest po naszej stronie.

Przerażone głosy zamilkły, ale napięcie pozostało.

– Intuicyjne siły wiedźmy mogą być całkiem użyteczne, o ile kierują nią czyste intencje. Ta wiedźma przyszła tu, by wygłosić wykład, nic więcej. To pozwoli nam lepiej ukierunkować nasze nauczanie, lepiej przygotować was na cały rok pracy. Proszę was teraz tylko o to, byście siedziały cicho i okazały naszemu gościowi nieco szacunku.

Ślepa wiedźma rozpoczęła cichą pieśń. Podniosła swoją laskę i przesuwała ją powoli od jednego końca sali do drugiego. Gdy wskazywała na Evie, ta wzdrygnęła się i zrobiło jej się niedobrze ze strachu.

– Widzę – zaskrzeczała wiedźma; jej skóra w kącikach ust była luźna i poruszała się podczas mówienia – że decyzja królowej była dobra...

Nagle laska wiedźmy z hukiem upadła na posadzkę. Kadetki, a także niektórzy nauczyciele, podskoczyli.

– Ona tu jest! Waleczna Księżniczka jest wśród nich!

– Co? – wysyczała Beatrycze i skoczyła na równe nogi. – Jesteś zupełnie pewna? Na podeście zapanowało wielkie poruszenie. Kilka księżniczek wybiegło z sali. Inne zaczęły bardzo dokładnie przyglądać się kadetkom. W oczach Hazelbranch pojawiły się łzy, ale na jej twarzy malowało się więcej nadziei niż strachu. Rumpelszwacz opadł na oparcie swojego fotela, a jego asystent zaczął go wachlować.

– Tak. Ona jest wśród nich!

– O czym ona mówi? – zapytała Evie.

– Jest opowieść o Walecznej Księżniczce – odpowiedziała Maggie, nie potrafiąc ukryć zdumienia, że w ogóle musi to tłumaczyć. – O księżniczce szlachetnej krwi, której dobroć będzie tak wielka, że na zawsze pokona wszystkie wiedźmy świata. Ale... myślałam, że to tylko bajka.

– Ale zważcie moje słowa... – zasyczała wiedźma, celując swoją laską w nauczycieli. – Musicie uczyć ten rocznik jak każdy inny. Waleczna Księżniczka musi dojść do swojej potęgi własnymi siłami, nie może być w żaden sposób wyróżniana. Jeśli kierowani lękiem będziecie traktować ten rocznik łagodniej i pozwolicie, by te, które powinny opuścić Akademię, jednak tu zostały, wówczas potęga Walecznej Księżniczki zniknie i nigdy nie powróci. Nie próbujcie oszukać Losu, bo się na was zemści!

Księżniczka Beatrycze opadła z powrotem na tron i ukryła twarz w dłoniach. Wiedźma zwróciła wysuszoną, upiornie wykrzywioną twarz z powrotem w kierunku kadetów, śmiejąc się sucho i rechetliwie. Potem,

powłócząc nogami, poszła za Liverwort w kierunku wyjścia, zostawiając zebranych w sali wstrząśniętych i milczących. Wreszcie Beatrycze opuściła dłonie i spojrzała po sali. Była bardzo blada, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Cóż, z pewnością jest to interesująca informacja – powiedziała. Kadra nauczycielska szybko wyprowadziła dziewczęta z sali i zaprowadziła je do baraków. Napięcie tej nocy rozpuściło się po drodze w świetle gwiazd. Jedynie Evie zdawała się ciągle przejmować tym, co wydarzyło się w Sali Królewskiej. Wszędzie wokół buzował entuzjazm, a tematy rozmów zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wolność! Akademia! Przepowiednia! Rycerze!

Evie usiadła na swojej pryczy. Siedziała tak ze skrzyżowanymi nogami, obgryzając paznokcie. Większość dziewcząt była zachwycona przepowiednią wiążącą, każda emocjonowała się możliwością, że to w niej kryje się świeży i nieskażony niczym pierwszy śnieg potencjał stania się w przyszłości Waleczną Księżniczką. Dla Evie jednak cały ten wieczór był raczej traumatyczny. Od momentu, kiedy opuściły zamek Pennyroyal, nie rozmawiała z nikim – starała się trzymać z boku, aż w końcu inne dziewczęta zostawiły ją w spokoju. Gdy znalazły się w baraku, Evie skierowała się prosto do swojej pryczy.

– Już taka nieszczęśliwa mina? – zagadnęła przyjaźnie Anisette. – Jeszcze nawet nie zaczęliśmy szkolenia.

Evie uśmiechnęła się tak słabo, że Anisette nie pozostawało nic innego, jak tylko odwrócić się do innych dziewcząt. Śpiewały właśnie jakąś piosenkę, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich księżniczka Hazelbranch. Gestem poprosiła o ciszę.

– Rozumiem, że pierwszy dzień w Akademii może być bardzo ekscytujący, ale już naprawdę czas gasić światła – powiedziała.

Rozległ się zgodny jęk, ale mimo niezadowolenia kadetki zaczęły jedna po drugiej wracać do swoich łóżek. W powietrzu jednak nadal dało się wyczuć atmosferę podekscytowania.

– To ja już pójdę... – powiedział Bazyl, stojąc niepewnie w drzwiach. Hazelbranch przygotowała dla niego łóżko w magazynie za barakiem.

– Poczekaj jeszcze chwilę. Mam jeszcze jedno obwieszczenie dla tej kompanii. A ty jak najbardziej jesteś jej częścią.

– I to najpiękniejszą! – wykrzyknęła Anisette, wywołując wybuch śmiechu. Bazyl pokręcił żałośnie głową. Nie zdołał jednak ukryć uśmiechu.

– Zanim będziecie mogły poczuć się w pełni... – zaczęła Hazelbranch, ale

zaraz zamilkła, marszcząc brwi. W głębi baraku, z prycz stojących najbliżej wejścia do toalet, zeskoczyły jak jeden mąż trzy dziewczęta i ruszyły w jej kierunku. Idąc po niedźwiedzich skórach wyścielających posadzkę, trzymały się blisko siebie. Szły ze wzrokiem wbitym w podłogę i wyglądały bardzo poważnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała Hazelbranch.

– Proszę nam wybaczyć, księżniczko, ale... my chcemy wracać do domu.

Jedna z dziewcząt zaczęła płakać, ukrywając twarz na ramieniu przyjaciółki.

– Wracać?

– Nie chcemy tu być. Nie tak to sobie wyobrażałyśmy.

I nagle radosna atmosfera pękła jak bańka mydlana. Twarze dziewcząt posmutniały. Jedna z nich wykrzyknęła do tych trzech, że powinny się jeszcze zastanowić. Ale one już podjęły decyzję.

– Chodźcie, dziewczęta – powiedziała Hazelbranch, otwierając ramiona, by je objąć.

– Poczekać na mnie na zewnątrz. Zaraz odprowadzę was do zamku.

Trzy dziewczęta przemknęły obok Bazyla, który stał ze wzrokiem utkwionym w podłogę i rękoma założonymi na piersi.

Hazelbranch zrobiła krok do przodu i zwróciła się do całej kompanii.

– Czy jeszcze któraś z was chciałaby do nich dołączyć?

Dziewczęta popatrzyły po sobie. Każda miała nadzieję, że żadna inna już się na to nie zdecyduje.

– Nie ma się czego wstydzić. Nie wszyscy nadają się do walk z wiedźmami.

Evie zazgrzytała zębami. Wydawało jej się, że Hazelbranch zwraca się głównie do niej. *Dalej – powiedziała do siebie. – Trafiałś tu przypadkiem, idąc za głupim ogłoszeniem. Nie wiedziałas, że idziesz na wojnę. Dalej. Teraz.*

Ale nie zrobiła nic.

– Dobrze – powiedziała w końcu Hazelbranch. – Reszta z was złoży zaraz przysięgę Pennyroyal. Połóżcie dłonie na sercu, a gdy skończę, powiedzcie: „Obiecuję”.

Evie podniosła dłoń i położyła ją na klatce piersiowej. Dłoń wydawała jej się lekka i bez czucia, jakby należała do kogoś innego. Odwróciła się w stronę wiszącego nad drzwiami herbu Pennyroyal przedstawiającego księżniczkę, rycerza, smoka i wiedźmę.

– Obiecuję wypełniać moje obowiązki względem wolnych ludzi tego świata – pomagać im i bronić ich przed wiedźmami. Będę się ćwiczyć w Odwadze, Współczuciu, w Dobroci i Dyscyplinie najlepiej, jak potrafię, i będę się starać praktykować w moim życiu wysokie zasady moralne.

Nikt się nie odezwał. Jakby wszystkie z nich – od Maggie do Malory – chciały oddać tej chwili należny jej szacunek. Złożenie tej obietnicy było jednocześnie ostatnim krokiem inauguracji i pierwszym krokiem na drodze do osiągnięcia tytułu księżniczki. Każda z nich to rozumiała.

– Obiecuję – odpowiedziały zgodnie.

– Obiecuję – powiedziała cicho Evie, chwilę po wszystkich.

– Gratuluję – powiedziała Hazelbranch z uśmiechem. – Jesteście oficjalnie kadetkami pierwszego roku w Akademii Pennyroyal. Dołączyłyście właśnie do szeregów, z których wyłoniły się najpotężniejsze księżniczki, jakie kiedykolwiek istniały, a jeśli przepowiednia wiedźmy jest prawdziwa, imię co najmniej jednej z was będzie kiedyś wypowiedane na równi z imionami tych największych.

Powoli koszary znowu wypełniały się radosną wrzawą. Hazelbranch kolejno podchodziła do dziewcząt, by pogratulować każdej z osobna. Maggie zwróciła w stronę Evie rozradowaną twarz: „Udało nam się!”.

Evie opadła na swoją pryczę. W głowie wirowała jej czarna chmura. Właśnie złożyła przysięgę, która zobowiązywała ją do stawienia czoła temu, czego już nigdy w życiu nie chciała oglądać.

Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć i jeszcze długie godziny po tym, jak zgasła ostatnia pochodnia, Evie leżała z otwartymi oczami. Patrzyła na ciężkie, szare chmury, które przesuwały się po niebie, powoli obejmując całe okno i gasząc księżyc, który zniknął za nimi jak za ciężką zasłoną.

A to co? – zapytała wiedźma z chaty, patrząc na nią szeroko otwartymi i głodnymi oczami.

A to co? – zabrzmiało to tak, jakby Evie była wyjątkowo smakowitym cukierkiem, w którym można zatopić zęby.

A to co? – powiedziała wiedźma.

A to co?



– CO WY JESZCZE ROBICIE W ŁÓŻKACH? JUŻ CZAS NA... W jednej chwili różowy zachód słońca i fale rozbijające się o brzeg, które Evie widziała we śnie, zmieniły się w nudną szarość baraku. Zamrugła, by się rozbudzić, nie pojmując jeszcze, dlaczego nie jest w lesie. Wtedy właśnie zobaczyła, że patrzy na nią rozzłoszczona sierżant Wróżka.

– Co to ma znaczyć?

Szelest pościeli i sukni, stukot butów na kamiennej posadzce – wszystko nagle ucichło. Wszystkie kadetki patrzyły teraz tam, gdzie ich dowódca – na Evie, przycupniętą na ramie łóżka. Najszybciej jak tylko mogła zeszła na podłogę, ale było już za późno. Wróżka przeleciała całą długość baraku i zawisała przed nią:

– MAM ROZUMIEĆ, ŻE SPĘDZIŁAŚ CAŁĄ NOC PRZYCUPNIĘTA NA TYM JAK KWOKA NA GRZĘDZIE?

– Przepraszam, pani sierżant.

– Dlaczego? – Wróżka z niedowierzaniem pokręciła głową. – Dlaczego zawsze trafiają mi się dziwadła? Założę się o moją różdżkę, że w kompani Bramblestick nie ma ani jednej kadetki, której przyszłoby do głowy SPAC NA RAMIE ŁÓŻKA!

Usta Evie zadrżały. Poczowała, że w jej oczach wzbierają łzy, ale nie pozwoliła im popłynąć.

– Przepraszam, pani sierżant. Nie wiem, jak...

– Kadetki, wygląda na to, że właśnie znalazłam naszą Waleczną Księżniczkę! – Wróżka patrzyła tylko na Evie, ale mówiła na tyle głośno, by mogły ją usłyszeć wszystkie mieszkanki baraku. – Na koniec tego roku te z was, które nie wylecą wcześniej, będą musiały przejść całodzienne zadanie o nazwie Bezradna Niewiasta. Zasady są proste. Albo dacie radę, albo nie macie tu wstępu na drugi rok. Wzrok Evie pochwycił spojrzenie Maggie. Maggie uśmiechnęła się pocieszająco, ale to sprawiło tylko, że Evie poczuła się jeszcze gorzej. Zaczęła się zastanawiać, kiedy i Maggie straci cierpliwość dla takiej idiotki jak ona.

– Połowa z was wyleci, jeszcze zanim zdąży spróbować swych sił w tym zadaniu. – Wróżka odwróciła się i z pogardą spojrzała na Evie. Trzepotała teraz skrzydłami tak blisko jej twarzy, że dziewczyna słyszała ich szum i ciche strzelanie iskier.

– Powiedz mi zatem, kadetko. Jak ty zamierzasz dotrzeć do tego zadania, skoro nie umiesz nawet SPĄĆ JAK CZŁOWIEK?

Evie wbiła oczy w podłogę i skuliła ramiona. Nawet nie patrząc, wiedziała, że oczy wszystkich kadetek skierowane są w tej chwili na nią. W całym swoim życiu nie czuła się tak beznadziejnie. Być może nie byłoby źle, gdyby wyrzucili ją już teraz, zanim zdąży bardziej się skompromitować...

– Dobra, dalej! Ruszajcie się! – krzyknęła Wróżka, klaszcząc w swoje małe dłonie. – Zbierajcie się!

Wszystkie mieszkanki baraku zerwały się na równe nogi. Wróżka odwróciła się znowu do Evie.

– Ogarnij się, kadetko – powiedziała miękko. – Albo będzie to dla ciebie bardzo krótki rok.

Mniej niż godzinę później Evie brnęła już po kolana w błocie, a pot zalewał jej oczy. Wraz z trzema innymi kadetkami miała wepchnąć powóz bez kół na szczyt stromego, śliskiego wzgórza.

– PCHAĆ, OFIARY, PCHAĆ!

Evie zacisnęła zęby i spróbowała wyrzeć zza drewnianego boku powozu. Jakieś trzy metry dalej nie było już błota, zaczynała się trawa. Stok za nimi wyglądał jak pole bitwy – pchany przez nie powóz wyorał w zboczu głęboką drogę, zdeptaną dodatkowo śladami ich stóp. Inne dziewczęta z kompanii stały na dole wzgórza i zagrzewały je do dalszej walki.

– DALEJ, DZIEWCZĘTA! MAMY TYLKO ROK, ŻEBY POPRACOWAĆ NAD WASZĄ KONDYCJĄ! NIE CZAS SIĘ LENIĆ! Evie napała całym

ciałem na metalowy stopień u drzwi powozu.

Aż krzyknęła z wysiłku. Palce jej rąk całkowicie zbieleły. Podwozie wbiło jej się w ramię – wiedziała, że nie ma szans na poprawę pozycji. Jeśli teraz przestanie pchać, cały powóz może runąć w dół.

– Spróbujmy go unieść! – krzyknęła tyczkowata dziewczyna trzymająca powóz z drugiej strony, zwana kadetką Nadele.

Jedna z nich poślizgnęła się i powóz obsunął się niebezpiecznie. Evie jęknęła, gdy gruba drewniana rama wbiła jej się w ramię, ale jakimś cudem udało jej się utrzymać pozycję.

– Trzymaj! Nie puszczaj! – krzyknęła inna dziewczyna, której imienia Evie nie mogła sobie przypomnieć.

Jednak to lekkie obsunięcie się powozu zmieniło jego położenie na tyle, że teraz nie walczyły już o wepchnięcie go na wzgórze, ale o to, by nie zsunął się jeszcze niżej. Nogi Evie ryły i ślizgały się w błocie. Przeniosła cały ciężar ciała na palce stóp, próbując znaleźć jakiś punkt oparcia.

– Zsuwa się! – krzyknęła. – Zsuwa...

Nagle jedna z jej nóg poślizgnęła się i Evie upadła w niezgrabnym rozkroku. Powóz runął w jej kierunku. Zewsząd rozległy się krzyki. Uciekając przed powozem, Evie rzuciła się całym ciałem na bok i upadła twarzą w błoto. Nie mogła oddychać i nic nie widziała. Słyszała tylko oszalałe krzyki dziewcząt u stóp wzgórza. Zaczęła płuć, by pozbyć się z ust gorzkiego, chrzęszczącego piasku, jednocześnie próbując zetrzeć maź z oczu. Na dole, u stóp wzgórza, powóz zatrzymał się na wielkim wale błota.

– NAPRAWDĘ TYLKO NA TO CIĘ STAĆ?

Trzy kadetki, które pchały z nią powóz, podniosły się z błota i stały, patrząc na nią.

– ZADAŁAM CI PYTANIE, KADETKO!

– Przepraszam, pani sierżant, stopa...

– NIE OBCHODZI MNIE TWOJA STOPA! JEDYNE, CO MNIE OBCHODZI, TO TO, ŻE POWÓZ, KTÓRY POWINIEN BYĆ JUŻ NA GÓRZE, JEST ZNOWU NA DOLE!

– Tak, Wróżko, przepraszam...

– I SŁUSZNIE! WRACAJ DO SZEREGU! – wrzasnęła Wróżka, odlatując i potrząsając z pogardą głową.

– NASTĘPNA CZWÓRKA! Evie powoli schodziła ze wzgórza. Chłodny wiatr sprawiał, że przez materiał sukienki jeszcze silniej odczuwała zimno

oblepiającego ją błota. Kadetki, które jeszcze nie wykonywały zadania, stały w swoich jasnoblękitnych, idealnie czystych sukniach i zagrzewały do walki te, które właśnie zabrały się za wpychanie powozu pod górę. Evie spróbowała doprowadzić się do porządku i ignorować spojrzenia swoich trzech towarzyszek, które przed chwilą zawiodła.

Schowała się z tyłu, za tłumem, znajdując wolną przestrzeń obok Bazyla. Maggie i Anisette nadal były z przodu, głośno dopingując koleżanki. Evie miała poczucie druzgocącej porażki. Nie dlatego, że widziała entuzjazm koleżanek, ale dlatego, że sama nie mogła w nim uczestniczyć.

Evie rzuciła tęskne spojrzenie na lasy Dortchen Wild. Myślała o domu, gdzie jej życie było znacznie prostsze. I to proste życie nadal się tam toczyło, także w tym momencie. Bez niej. Gdzieś za tym morzem lasów jej ojciec pewnie właśnie łowił ryby w rzece, a matka sprzątała dom na wypadek, gdyby przyjaciele zechcieli wpaść z wizytą. Myśli o domu nie przyniosły jednak ukojenia, bo zaraz wyobraziła sobie, jak jej siostra cieszyłaby się, gdyby mogła wziąć udział w ćwiczeniu, w którym ona sama poniosła właśnie tak spektakularną porażkę. Zawsze była silniejsza i pewniejsza siebie niż Evie.

Na wzgórzu drużyna Demetry żwawo posuwała się do przodu. Powóz kiwał się niebezpiecznie, ale z każdą chwilą przesuwał się nieco wyżej. Minał już miejsce, w którym wyslizgnął się drużynie Evie. Malora miała podobną technikę jak Evie – pchała ramieniem, dla równowagi przytrzymując się metalowych schodków powozu. Nawet ubrudzona błotem poruszała się z wdziękiem i elegancją. Evie łatwo mogła sobie wyobrazić, jak pomaga jakiejś zwykłej rodzinie, której wóz ześlizgnął się z drogi do parowu. Z pewnością wyglądała na księżniczkę. Być może Evie źle ją oceniła na początku. Być może jej wrogość była jedynie maską, pod którą skrywało się coś więcej.

Mogę już tego nie zobaczyć, ale być może z czasem zaprzyjaźni się nawet z Maggie i innymi...

– Tam, idiotko! – krzyknęła Malora. Obrażliwy epitet skierowany był do Demetry. Wróżka nie zareagowała. Albo nie usłyszała, albo zdecydowała się to zignorować. Tymczasem zdumiona Evie zauważyła, że Demetra zmienia swoją pozycję przy tylnej osi, zgodnie z rozkazem Malory. Evie poczuła zalewającą ją falę gniewu. Dlaczego Demetra się nie broniła? Dlaczego nikt nie zareagował na obraźliwe zachowanie Malory?

– Muszę spytać – odezwał się nagle Bazyl. – Czy to prawdziwa łuska

smoka?

Evie rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

– Ta krew też jest prawdziwa, prawda?

– Tak – odparła rozdrażniona. Nigdy dotąd mu się nie przyjrzała. Nie miał śladu zarostu, za to burza brązowych włosów wydawała się wręcz nie na miejscu przy jego drobnej twarzy. Ale miał piękne oczy.

– Wiedziałem – powiedział, dziwnie się uśmiechając. – Mój brat mówi, że krew smoka jest magiczna. Mówi, że można w niej zobaczyć wizję przyszłości. Czy raczej tego, co jest możliwe.

Evie skrzywiła się i wróciła do obserwowania zmagania koleżanek. Demetra i jej drużyna prawie dotarły już do szczytu wzgórza. Dziewczęta z kompanii Ironbone dopinguowały je coraz głośniejszymi okrzykami. *Nie chcę słuchać o żadnych wizjach.*

– Mój brat mówi, że wszystko, co zobaczysz we krwi smoka, jest możliwe, ale pod warunkiem, że dokonasz właściwych wyborów. Dałabyś mi kiedyś zerknąć? Oczywiście nie teraz, ale...

Evie odeszła, wsuwając łuskę za dekollet sukni.

– W porządku. Innym razem – zawołał za nią Bazyl.

Czy to mogła być prawda? Czy to, co zobaczyła tamtej nocy przy ognisku, mogło się wydarzyć? Co musiałyby zrobić, by powstrzymać przerażającą wiedźmę przed posyłaniem w noc swoich sióstr? A co z księżniczką zmuszoną do ukłęknięcia przed wiedźmą?

Usłyszała szal radości dziewcząt ze swojej kompanii. Powóz dotarł do punktu na szczycie wzgórza, na którym pchające dziewczęta mogły go już puścić bez obawy, że runie w dół. Zmęczone zwyciężczyni upadły na ziemię. Demetra, cała umorusana błotem, usiadła i podziękowała swoim towarzyszkom skinieniem głowy. Ona też wyglądała jak księżniczka. Evie cieszyła się oczywiście, że jej się udało, ale słowa Bazyla sprawiły, że jej myśli krążyły już zupełnie gdzie indziej. Patrzyła nadal w kierunku Demetry, ale wzrok powędrował dalej, ponad drzewami na szczycie wzgórza, i skupił się na niskim paśmie chmur zasłaniających cały horyzont. Ich czarne palce wirowały po szarym niebie; niektóre wypuszczały się dalej, docierając do wszystkich widocznych zakątków szarego nieba, jak ciemne i mroczne strumienie.

Nadal nie mogła oderwać oczu od tych chmur, gdy po ćwiczeniach z Wróżką szły wszystkie przez kampus na swój pierwszy w tym semestrze wykład na temat taktyk wiedźm, prowadzony przez porucznika Volfa.

Ku frustracji Evie, Maggie, Demetra i Anisette chętnie przyjęły do swojej grupy także Bazyla. Było ich więc teraz pięcioro. Ich tuniki były brudne od błota, a w przypadku Anisette także od krwi. Śpieszyli teraz po żwirowej drodze przez podgrodzie w kierunku Baszty Wilczego Oka – masywnego budynku o gładkich obsydianowych ścianach. Podczas gdy inne kadetki żartobliwie omawiały swoje wrażenia z pierwszych ćwiczeń polowych w Akademii, Evie nie mogła oderwać oczu od nieba.

– Jedne ćwiczenia i już nie czuję ramion – powiedziała Demetra z uśmiechem.

– Przydałoby ci się popracować trochę w sklepie mojego ojca, co? Dopiero byś zobaczyła, co to znaczy prawdziwe zmęczenie – powiedziała Anisette.

– Chyba że posłałaby tam zamiast siebie swoją służącą – powiedział Bazyl, uśmiechając się łagodnie.

Anisette roześmiała się, zaskoczona.

– Dobrze, Baz – powiedziała, trącając go przyjaźnie w ramię.

Nagle Evie zauważyła coś po drugiej stronie dziedzińca. Zatrzymała się i stała tak chwilę, mijana przez inne uczennice, patrząc na Remingtona. Częściowo skrywały go jabłunki o gałęziach ciężkich od krwistoczerwonych jabłek. Miał na sobie czarny kaftan kompanii Thrushbeard, który nosił tak swobodnie, jakby się w nim urodził. Stał, śmiejąc się ze swoimi towarzyszami. Sprawiał wrażenie tak pewnego siebie, jakby znał sekret, którego nie poznał nikt inny. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie jednej z wizji, które zobaczyła w łusce smoka – jego półprzymknięte oczy, usta zbliżające się do jej ust... Nagle ktoś położył mu na ramieniu rękę w białym, ubrudzonym błotem rękawie. Malora pochyliła się do przodu. Miała oczy przymknięte ze śmiechu i opierała się na nim, dalej się śmiejąc. Remington coś powiedział i oboje roześmiali się jeszcze bardziej.

– Chodź, Evie! – zawołała Demetra.

Ze zmarszczonymi brwiami pomaszzerowała za towarzyszkami do Baszty Wilczego Oka. Nie mogła przestać myśleć o Remingtonie. Jego obraz towarzyszył jej, gdy szła kamiennymi korytarzami i ciemną, klaustrofobiczną klatką schodową po wijących się w górę stopniach. Nadal o nim myślała, zasiadając w jednej z rzeźbionych ławek w sali wykładowej porucznika Volfa. Dzięki niewielkiemu żarzącemu się palenisku w sali było sucho i ciepło. Za oknem widać było lśniącą Wieżę Królowej, której iglica ginęła

w ciemnych chmurach.

– Radość i szczęście są dla wiedźmy tak samo nie do zniesienia, jak dla księżniczki cierpienie i niedola – mówił sztywny, starszy człowiek; siwe kosmyki włosów sterczały mu na wszystkie strony. Był to porucznik Volf – największy autorytet w dziedzinie tradycji i historii księżniczek w całym kraju. Był drobnej budowy. Jego ostry podbródek zdawał się na stałe ściągać usta w grymas. Jego głos składał się głównie z oddechu, a oddychał ciężko jak po wysiłku.

– Calivigne i jej Rada Sióstr mają w głowie tylko jeden cel: zniszczenie szczęścia. To nie jest kwestia wyboru, jakiego dokonały, to kwestia istoty tego, czym są. To pierwsza rzecz, którą musicie zrozumieć, jeśli chodzi o wiedźmy – powiedział. Jego kruche stawy trzaskały jak ogień, gdy powłócząc nogami, krążył wokół swojego biurka. Było ono tak stare i wykoślawione, jakby wystrugano je z pierwszego na świecie drzewa. Wszystko w tym niewielkim pomieszczeniu było przykryte warstwą kurzu.

– Wiedźma musi nienawidzić, nie ma innego wyjścia.

Powoli przechadzał się przed kadetkami, ze złożonymi za plecami rękoma. Evie zauważyła, że Maggie notuje niewyraźnie słowa nauczyciela. Prawie wszystkie inne kadetki robiły to samo. Evie spojrzała na kartkę papieru przed sobą. Na górze strony widniały słowa „takyki wiedźm” – dalej nie napisała już nic.

– Wiele lat temu uczyłem kadetkę, która nie potrafiła zaakceptować tego faktu. Nazywała się Różyczka.

Ostatnie zdanie zelektryzowało kadetki. Dziewczęta usiadły wyprostowane. Ich słabnąca uwaga została na nowo rozbudzona. Nawet Bazyl, którego głowa przez ostatnie minuty opadała coraz niżej na biurko, podniósł się teraz z szeroko otwartymi oczami.

Imię, które znają wszyscy, tylko nie ja.

– Aby pokonać wiedźmę, trzeba ją najpierw zrozumieć.

Ostatnie zdanie podziało na Evie daleko silniej niż wspomnienie imienia Różyczki. Tyle czasu poświęciła na zadreczanie się pytaniami: czy powinna zostać w Akademii, czy odejść, czy okaże się warta służyć ze swoimi towarzyszkami, czy kiedykolwiek uda jej się stanąć przed wiedźmą i nie zamienić się w dygoczące ze strachu zwierzę – a nigdy jakoś nie pomyślała, że może nauczyć się, jak walczyć. W ogóle nie brała pod uwagę możliwości pokonania wiedźmy.

– Ta instytucja została założona częściowo właśnie po to – by pomóc takim jak wy zrozumieć potwory, które nawiedzają nasz świat. Mam nadzieję, że zdołam obalić wiele mitów, którymi z pewnością byliście od urodzenia karmione. Niefortunnie się stało, że w naszym świecie bajki opowiadają głównie wróżki, które mają na to stanowczo za małe mózdzki, a i pamięć nie lepszą od domowych much.

Klasa zachichotała nerwowo. W przeciwieństwie do Beatrycze, Volf nie próbował nawet ukrywać swych osobistych antypatii.

– Dlatego właśnie od małego słuchałyście o takich nonsensach jak śpiewające siekiery i tańczące muły oraz o innych podobnie bezrozumnych bzdurach, którymi ociekają historie o księżniczkach.

Zatrzymał się przy biurku Malory, opierając się o nie wysuszoną dłoń. Malora spojrzała na to z niechęcią. Volf wytarł czoło chusteczką, wyprostował się i znów zaczął sunąć po klasie.

– W czasach przed księżniczkami wiedźmy bezkarnie terroryzowały kraj. To, że dzieci znikają bezpowrotnie nocami z domów, było po prostu częścią życia. Ludność była bezradna wobec czarnej magii. Dla tych, którzy nie padali jej bezpośrednią ofiarą, życie i tak było... czymś potwornym. Księżniczka Pennyroyal, pierwsza z wielkich księżniczek, odkryła, że potęga odwagi i współczucia może pokonać czarne serce wiedźmy. Notabene, musicie przeczytać jej historię. Znajdziecie ją w trzecim z moich trzydziestu siedmiu tomów historii księżniczek.

Na chwilę zamilkł, pogrążony we własnych myślach. Wreszcie potrząsnął głową. Wspomnienie odeszło.

– Wybaczcie dygresję. Jak mówiłem, księżniczka Pennyroyal założyła tę Akademię, w której zaczęła uczyć inne dziewczęta sztuki odwagi i współczucia. Doprowadziło to do okresu znanego dziś jako Długi Wschód Słońca, w którym to wiedźmy zostały zepchnięte głęboko w lasy i nie mogły już bezkarnie terroryzować ludzi. W ten właśnie sposób księżniczki po raz pierwszy stały się Wielką Tarczą tego świata. Jednak już w tym okresie zanotowano pierwsze przypadki stosowania przez wiedźmy zorganizowanych taktyk walki przeciwko księżniczkom. Wycofując się z miasteczek i wsi, wiedźmy zaczęły zaczarowywać lasy, zapelniając je czarną magią, by utrudnić księżniczkom pogoń za nimi. Stąd właśnie wzięły się zaczarowane lasy, jakie znamy dzisiaj.

W klasie dało się słyszeć gorączkowe skrobanie piór po papierze. Evie

jednak nie notowała. Siedziała i słuchała, pozwalając, by ta niezwykła historia pojawiała się w jej głowie w formie coraz wyraźniejszych obrazów. W ciągu zaledwie kilku minut ten człowiek zdołał odmalować przed oczami jej wyobraźni zupełnie nieznaną jej wcześniej świat. Do tej pory środowisko, które знаła, ograniczało się do niewielkiej powierzchni lasu i gór, które widywała w czasie rzadkich wycieczek. Teraz dowiedziała się o epickich bitwach, nowych odkryciach, bohaterkach kształtowanych w tych murach i wiedźmach, które pokonały. I to było fascynujące.

– Później weszliśmy w czasy zwane Latami Bez Słońca, w którym to okresie Akademia Pennyroyal rozszerzyła swoją działalność i zaczęła szkolić także rycerzy do walki z innym wielkim współczesnym zagrożeniem: smokami.

Evie napisała na swojej kartce słowo „zagrożenie” i zmarszczyła brwi, patrząc na nie.

– Następnie przyszła Klasyczna Era Księżniczek, w której doszło do wytworzenia się swego rodzaju równowagi sił. Księżniczki i wiedźmy wypracowały strategie i kontrstrategie wzajemnej walki – księżniczki doskonaliły się w odwadze i współczuciu, a wiedźmy w strachu i zwątpieniu.

– To właśnie są podstawy wiedźmich taktyk – powiedział Volf, zatrzymując się przed uczennicami i wolno obracając się w ich kierunku.

– Strach i zwątpienie. Ty – powiedział, zawieszając wzrok na Anisette. – Daj mi przykład jednej typowej taktyki wiedźmy.

Anisette wzruszyła ramionami.

– Może macocha? Zła macocha?

– Tak, to dobry przykład. Zła wiedźma opiera swoje działania na oszustwie. Owdowiały mężczyzna jest dla niej idealną zdobyczą. Przez małżeństwo taka wiedźma może wejść do rodziny, zdobyć zamek... może nawet całe królestwo. To często stosowana taktyka, z którą trudno walczyć, bo wiedźma – musicie wiedzieć – nie ma serca. Ponieważ sama go nie posiada, gdy zaczyna mieszać w sprawach sercowych, łatwo jej zaślepić mężczyznę. Czy którakolwiek z was wie, gdzie kryją się ciemne siły wiedźmy, skoro pozbawiona jest serca?

Maggie wystrzeliła rękę w górę, zgłaszając się do odpowiedzi, ale tym razem Volf sam odpowiedział na swoje pytanie:

– W jej oczach. Czy którakolwiek z was miała kiedyś okazję spojrzeć w oczy wiedźmy?

Evie wbiła paznokcie w dłonie. Z pewnością nie zamierzała dzielić się doświadczeniem, w którym wykazała się straszliwym tchórzostwem, i przeżyła jedynie dzięki chłopakowi w klatce i dużej dozie szczęścia.

– Raczej nie, bo już byście były skamieniałe, zapewniam was – zaśmiał się, idąc wzdłuż rzędu ławek, w którym siedziała Evie. Jego śmiech brzmiał trochę jak kaszel umierającego.

– Wiedźma nosi w sobie cały zastęp złych magicznych mocy, różnego rodzaju. Jedna z nich pozwala jej ukryć swoje makabryczne zło tak, że nie ujawnia się nawet w jej spojrzeniu. Tę właśnie umiejętność wykorzystują wiedźmy stosujące technikę złej macochy.

Chwiejnie zbliżył się teraz do ławki, w której siedziała Evie. Wyjął z kieszeni okulary w oprawkach z kości słoniowej i podniósł je do oczu.

– Ty, podaj mi przykład baśni, w której pojawia się postać złej macochy.

Evie nie odpowiedziała. Mijały chwile, a ona czuła, jak jej twarz robi się coraz bardziej gorąca i czerwona. Usłyszała za sobą chichot Kelbry.

– Jakikolwiek przykład, kadetko, jakikolwiek.

Evie zerknęła na Maggie, która starała się dodać jej odwagi spojrzeniem, ale równie dobrze mogłaby zachęcać pustynię, by wystrzeliła strumieniem wody.

– Czy naprawdę można o tym nie mieć pojęcia? – zapytała Malora z charakterystycznym dla siebie lekkim rozbawieniem.

Nagle rozległ się huk. To Anisette uderzyła pięścią w dębową ławkę przed sobą, patrząc ostro na Malorę, która odpowiedziała jej półuśmiechem.

– Proszę o spokój, dziewczęta. Podczas moich zajęć macie zachować ciszę, chyba że poproszę was o odpowiedź.

Odwrócił się do Evie, przyglądając się jej przez okulary, jakby była rzadkim okazem ptaka.

– Kadetko, czy mam rozumieć, że nigdy nie słyszałaś historii o dziewczynie, której zła macocha nie pozwoliła pójść na bal?

Evie wbiła oczy w sęk w ławce. Marzyła o tym, by wciągnął ją jak wir.

– Moja droga, jeśli nie znasz nawet tej historii, być może powinnaś przemyśleć sens swojej obecności w Akademii – powiedział Volf.

Nie odesłał jej jednak i kontynuował zajęcia, które wydawały się teraz ciągnąć w nieskończoność. Nic już nie zanotowała.

Przez całą kolację przesuwała tylko jedzenie po talerzu, nie mogąc nic przełknąć. Potem powlokła się do baraków przez zroszoną Jasiową Polanę.

Usiadła na swojej pryczy ze wzrokiem utkwionym w podłódze – w pojedynczy wmurowany w nią czerwony kamień, wyróżniający się wśród szarości innych.

Wokół niej inne kadetki przygotowywały się do snu, rozciągając obolałe mięśnie, zanim wykończone padły na swoje prycze. Przyjaciółki obserwowały ją przez cały wieczór, ale z pewnej odległości, jakby chciały ją pocieszyć, ale nie wiedziały, co powiedzieć. Teraz, gdy pochodnie zaczynały gasnąć, podeszła do niej Maggie.

– Wszystko w porządku? Evie pokiwała głową, ale nie podniosła oczu na przyjaciółkę. Maggie lekko uścisnęła jej ramię, po czym wróciła na pryczę. Gdy zgasły już wszystkie pochodnie poza jej własną, podniosła swój cynowy kapturek do gaszenia i chwilę trzymała go ponad płomieniem. Migotał coraz słabiej, w miarę jak pozbawiała go powietrza, wreszcie zgasł zupełnie. Evie usiadła na brzegu swojej pryczy i patrzyła w ciemność.



Przy wszystkich ścianach stały regały pełne starych, zakurzonych książek. Jeszcze więcej książek leżało poukładanych w chwiejne stosy na poplamionym dębowym biurku, zasypanym poza tym stertą pergaminów, piór, lasek wosku do lakowania listów i innych przedmiotów należących do najpotężniejszej kobiety w Akademii Pennyroyal. Albo drugiej najpotężniejszej, jeśli królowa rzeczywiście ukrywała się na szczycie zatopionej w chmurach wieży.

– Kopciuszek – powiedziała księżniczka Beatrycze, wyglądając przez panoramiczne okno wychodzące na południową część kampusu. U stóp wzgórza, za równiną widać było czarnozielony brzeg Dortchen Wild – początek niekończących się połaci lasu. Nad tym wszystkim wisiał płaszcz ciężkich srebrnych chmur. Beatrycze odwróciła się i dokładniej zmierzyła wzrokiem Evie, która siedziała po drugiej stronie biurka. Potem znowu zwróciła się ku oknu.

Evie obudziła się tego ranka skulona na brzegu pryczy i pomyślała, że jest to pewien postęp – przynajmniej tym razem nie spała na ramie. Właściwie to obudziła ją Anisette, dzięki czemu oszczędziła jej kolejnej porcji przykrych uwag ze strony Wróżki, która zaledwie chwilę później wpadła do ich baraku, krzycząc, że mają wstawać i ruszać na poligon. Jednak zanim Evie zdążyła opuścić barak z resztą kadetek, zatrzymała ją księżniczka Hazelbranch. Na zewnątrz czekał na nią porucznik Volf, jak zawsze zgarbiony i pokrzywiony. Zobaczywszy, go Evie natychmiast zrozumiała, że jej czas w Akademii

najprawdopodobniej dobiegł końca. Porucznik Volf doprowadził ją do biura dyrektorki, po czym wycofał się do drzwi, przy których teraz stał. W pokoju była też Liverwort, schowana w cieniu jednego z regałów z książkami. Wszyscy milczeli, czekając, aż odezwie się ta jedna osoba, której głos coś znaczył – ubrana w olśniewającą złotą suknię kobieta stojąca przy oknie. – Czy byłaś kiedyś nad morzem, kadetko?

– Nie... nie wiem...

– Oczywiście, że nie.

Gdzieś głęboko na terenie kampusu rozległ się triumfalny krzyk.

– Nad morzem, w bardziej nowoczesnych portach, zobaczyć można niezwykle przykłady technologii – nazywa się żuraw. To, jak wielkie ciężary potrafi udźwignąć, zakrawa na prawdziwą magię. Bębny, korby, koła zamachowe... – wszystkie te elementy tworzą harmonijną, doskonale działającą całość, dzięki której można budować najwspanialsze statki, jakie ten świat kiedykolwiek oglądał.

Odwróciła się do Evie z płonącymi oczami, choć jej spojrzenie pozostawało zimne.

– Każdy, nawet najmniejszy element tej maszyny musi działać zgodnie z planem. Jeśli tak nie jest, cały mechanizm staje się bezużyteczny. Opiekuję się tą Akademią i czuwam nad tym, aby wszystko w niej działało tak, jak powinno. Tymczasem teraz, w moim biurze, widzę element, który nie pasuje do całości.

Evie wzdrygnęła się. Okropnie było usłyszeć potwierdzenie swoich lęków z ust takiego autorytetu. *Sama wiem, że tu nie pasuję. Nie musiałaś mi tego mówić.*

– Od początku spodziewałam się, że nowa polityka królowej dotycząca przyjęć może doprowadzić do kłopotliwych sytuacji. Nie sądziłam jednak... – Beatrycze obeszła swoje biurko i złowrogo pochyliła się nad Evie. – Nie sądziłam jednak, że spotkam kogoś, kto chodząc po świecie tyle lat, nigdy nawet nie słyszał o Kopciuszk. To tak, jakbyś nie wiedziała, co to deszcz albo niebo!

– Może ma to jakiś związek z klątwą, na którą cierpi? – sapnął Volf.

– Poruczniku, proszę... Dziewczęta, które padają ofiarą klątwy zapomnienia, nie pamiętają, ile mają lat i skąd pochodzą, ale nie zapominają imienia naszej najbardziej umiłowanej księżniczki.

Beatrycze wzięła głęboki oddech i usiadła na brzegu biurka, przewracając

mały słoiczek z atramentem.

Livewort zerwała się, by to posprzątać, ale Beatrycze powstrzymała ją ruchem dłoni. – Szpital poinformował mnie o innym niezwykłym wypadku związanym z twoją osobą, kadetko Jedenasta.

– Mam na imię Evie. Kadetka Evie.

– Masz więc imię... Dobrze. Przynajmniej coś wyniesiesz ze swojego pobytu tutaj. Opowiedz mi, proszę, co się stało w szpitalu?

– Nie wiem... Przyglądałam się stojącym tam rzeźbom i zwierzętom, gdy...

– To są ludzie, ofiary klątw, zasługują na odrobinę szacunku – warknęła Liverwort.

– Oczywiście, przepraszam. Chodzi mi tylko o to, że nie robiłam nic szczególnego, gdy ta świnia zaczęła za mną chodzić. Nie chciała zostawić mnie w spokoju. Zaczęła piszczeć i rzucać się... Nie wiem, jak to się stało, ale nagle zmieniła się w chłopca.

– I jesteś pewna, że nigdy wcześniej nie widziałaś księcia Forbes?

– Nigdy.

– Hmm... – Beatrycze odsunęła stemple do woskowych pieczęci, które leżały na drodze rozlewającego się wolno atramentu.

– Doceniam rolę, jaką odegrałaś w wyleczeniu tak szlachetnie urodzonego kadeta. Nie mogę jednak zaakceptować twojej zaskakującej ignorancji. Być może wyleczenie księcia Forbes było zadaniem, które miałaś tu spełnić. Być może dlatego Los cię tu przysłał.

– Ale... to nie może być prawda...

Beatrycze wyprostowała się i stanęła za swoim biurkiem. Wzięła do ręki pióro i zaczęła przerzucać bałagan w poszukiwaniu odpowiedniego dokumentu. Liverwort wykorzystała sytuację, by wytrzeć rozlany atrament. Przy okazji znalazła dokument, którego szukała Beatrycze, i wręczyła go jej.

Jak ktoś tak wytworny i elegancki może pracować w takim bałaganie? – pomyślała Evie.

– Kadetko, jak sama słyszałaś, w tym roku moja praca dodatkowo się skomplikowała wobec faktu, że będę musiała odsiać Waleczną Księżniczkę od pozostałych plew. Wybacz mi szczerą, ale ty zaliczasz się raczej do plew. Nie znajduję więc powodu, dla którego miałabyś dłużej zostać w Akademii.

– Ja również nie – dorzuciła Liverwort. Beatrycze złożyła na dole dokumentu swój podpis. Potem podniosła wzrok i spojrzała na Evie z pewnym zaskoczeniem, jakby nie spodziewała się, że jeszcze zobaczy ją przed sobą.

– Zostałaś wydalona. Możesz iść.

– Nie! – krzyknęła Evie i skoczyła na równe nogi. Przez chwilę pomyślała jeszcze, że wkracza na niebezpieczny teren, ale wszelkie zwątpienie szybko załapała fala adrenaliny. – Nie możecie mnie odesłać!

– Ty krnąbrna dziewucho! – warknęła Liverwort, podchodząc bliżej. Beatrycze znowu zatrzymała ją ruchem dłoni. Liverwort rzuciła Evie niechętnie spojrzenie, ale wycofała się na swoje poprzednie miejsce przy regale z książkami.

– Rozumiem, że to dla ciebie trudne – powiedziała Beatrycze. – Musiałaś pokonać znaczną odległość, by tu dotrzeć, i z pewnością jesteś też odurzona tym wszystkim, co tu widziałaś. Uwierz mi, jednak, że gdy znajdziesz się znowu w domu, dojdiesz do wniosku, że...

– Może i nie jestem Waleczną Księżniczką, ale na pewno nie przysłałam tu tylko po to, by uratować jakiegoś tam księcia! – Jej zielone oczy płonęły słusznym gniewem. – To prawda, że zanim tu przybyłam, nie wiedziałam, na czym polega bycie księżniczką. Nie wiedziałam, dopóki Wasza Wysokość nie powiedziała tego pierwszego wieczora. I pewnie gdybym wiedziała, że bycie księżniczką oznacza walkę z wiedźmami, nigdy bym tu nie przyjechała. Ale gdy słyszę, że jedynym powodem, dla którego Los mnie tu przysłał, było przemienienie tej świni w księcia, wiem, że to nie może być prawda i że jeśli stąd odejdę, na zawsze stracę szansę na to, by poznać swoje przeznaczenie.

Nigdy by się nie spodziewała, że będzie w stanie wyrzucić z siebie takie słowa, stojąc przed Beatrycze, ale nie mogła znieść myśli, że ktoś może wiązać jej przeznaczenie z kimś, kogo dopiero co poznała i kto chwilę przed tym pierwszym spotkaniem był pokryty świńską szczecina.

Beatrycze opuściła pióro, które z brzdękiem uderzyło o dno kałamarza. Jej usta były ściągnięte, oczy patrzyły ostro. Evie nie potrafiła ocenić, czy ten wyraz twarzy oznacza, że księżniczka jest głęboko pogrążona w myślach, czy że próbuje zwalczyć w sobie chęć przeskoczenia przez biurko i uduszenia jej.

– Wasza Wysokość, proszę – podjęła znowu Evie grzeczniejszym tonem. – Zdaję sobie sprawę z tego, że niewiele wiem, ale rozumiem, na czym polega współczucie. I ja... – zawahała się, ale zmusiła się, by wyrzucić z siebie resztę zdania – widziałam wiedźmę. Spojrzałam jej w oczy. Poznałam ten strach i nie chcę, by ktokolwiek jeszcze przeżył to, co ja.

Przed oczami stanęły jej nagle trzy małe dziewczynki, które napotkała tańczące niewinnie i radośnie na jednej z ulic w Marburgu. Jeśli pozostanie

w Akademii i zmierzenie się ze swoimi najgorszymi lękami jest sposobem na ochronę tych dzieci, to jest to niewielka cena.

Beatrycze odwróciła się na krześle i spojrzała przez okno na pełzające po niebie chmury.

– Żeby nigdy nawet nie słyszeć o Kopciuszk... – zaczęła i zamilkła, jakby ta myśl była zbyt absurdalna, by w ogóle ją kończyć. Spojrzała na porucznika Volfa, który stał z wzrokiem utkwionym w drewniane belki sufitu, wyraźnie unikając zajęcia konkretnego stanowiska.

– Bardzo poważnie traktuję moją pracę w tej instytucji. Dobrze rozumiem ciężar wielkości, której muszę wymagać od każdej kadetki chcącej kształcić się w tych murach. Gdy królowa zdecydowała, że będziemy przyjmować także proste dziewczęta, zgodziłam się bez cienia sprzeciwu. Jednak nie mogę przy tym zapominać o obietnicy, którą złożyłam poprzedniczce królowej, innej wielkiej księżniczce – że żadna z naszych kadetek nie będzie specjalnie traktowana, niezależnie od tego, jak trudna będzie nasza sytuacja na polu walki z wiedźmami. I proszę – dokładnie to teraz robię, już w pierwszym tygodniu zajęć...

– Możesz zostać, kadetko – dokończyła.

Livewort wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Dziękuję, Wasza...

– Być może masz rację. Być może Los miał jeszcze jakiś większy powód, by skierować tu twoje drogi. Jeśli jednak rację mam ja i spełniłaś już swoje zadanie tutaj, wówczas bądź pewna, że szybko się pożegnamy.

Przytrzymała dokument nad świecą do czasu, aż papier zaczął ciemnieć i cienki język ognia objął złożony na nim niedawno podpis.

– Mam niewielkie doświadczenie z nisko urodzonymi. Ciekawi mnie więc, co się w tobie kryje pod tymi warstwami klątw. Evie tak szybko biegła przez kampus do szpitala, że prawie wpadła na instruktorkę drugiego roku, młodą kobietę o ciemnej skórze i włosach, zwaną księżniczką Moonshadow. Przeprosiła, zniosła niechętnie spojrzenie i popędziła dalej, a uśmiech nie schodził jej z ust. Tak, wolno jej zostać. Bardzo się z tego cieszyła. Poza radością odczuwała jednak coś jeszcze – dumę z tego, że potrafiła sama o siebie zadbać. To właśnie to uczucie dało jej niesamowity przyływ energii.

Być może kiedyś mnie odeślą, ale jeśli to zrobią, to przynajmniej nie dlatego, że stchórzyłam i nawet nie spróbowałam.

Sprintem obiegła wielki, łukowato wygięty mur Dziedzińca Skymeadow,

na którym echem odbijały się stłumione krzyki jastrzębi trzymanyh w Akademii. Gdy znalazła się po drugiej stronie, uderzył ją w twarz powiew wiatru niosący odór ptasich odchodów, ale nawet to nie ostudziło jej entuzjazmu. Nic nie mogło ściągnąć jej na ziemię... dopóki nie dotarła do szpitala, gdzie księżniczka Wertzheim już na nią czekała z kolejną porcją gorzkiego napoju.

– Muszę to znowu wypić? Ostatnim razem nic się nie wydarzyło.

– Ta kuracja działa w trzech na cztery przypadki utraty pamięci. Czasem jednak trzeba wziąć kilka dawek, zanim zauważy się poprawę.

Evie chwyciła fiolkę, zamknęła oczy i opróżniła ją jednym haustem.

– Smakuje jak krew – powiedziała, przecierając usta dłonią.

– Bez przesady – odparła Wertzheim. – Akurat krwi to tam jest naprawdę bardzo mało.

Nagle rozległ się żaloszny jęk rogu. Wszystko zamilkło, słyhać było tylko kwakanie kaczek i szczekanie psa. Wertzheim zerwała się i kilka razy mocno zaklaskała w dłonie.

– Proszę wszystkich o powstanie! Chcę, żeby było tu absolutnie cicho, gdy przyjdą. Niech ktoś weźmie stąd te gęsi.

Evie wstała, niepewna, co się teraz wydarzy. Pielęgniarki zaczęły się gorączkowo krzątać, odsuwając kadetów i zwierzęta od znajdujących się pod kamiennym łukiem drzwi, by zrobić przejście dla tajemniczych gości. Znów dało się słyszeć dźwięk rogu.

Evie rozejrzała się wokół i zobaczyła, że wszyscy zdają się być tak samo zagubieni i wstrząśnięci jak ona. Wtedy też, po drugiej stronie wielkiej sali, zauważyła księcia Forbes. Siedział wśród obrzuconych klątwą kandydatów na rycerzy i wpatrywał się w nią. Był ubrany na czarno. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd odzyskał swą ludzką postać. Sprawiał wrażenie twardego i surowego, jakby mimo swej młodości łączył w sobie doświadczenia wszystkich rycerzy, których portrety wisiały na ścianach rotundy. Był brudny, co dodatkowo szpeciło jego pozbawioną humoru twarz. Na jego ręce widniała długa strużka zaschniętej krwi. Szybko odwróciła wzrok. Dlaczego tak się w nią wpatrywał? Po tym, jak ją wtedy zawstydził, najchętniej nigdy by już go nie oglądała.

Drzwi otworzyły się i nagły powiew wiatru rozrzucił jakieś papiery. Pielęgniarki stały nieruchomo, a kadeci i kadetki brali z nich przykład. Do sali weszła grupa księżniczek, dziewcząt zaledwie kilka lat starszych od Evie.

Były poobijane i zakrwawione, w podartych i zaplamionych sukniach. Dwie z nich niosły inną na prowizorycznych płóciennych noszach. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Jedno jej ramię zwisało luźno i kołysało się z każdym krokiem noszących. Na wszystkich twarzach widniało zmęczenie i głęboki smutek. Evie wiedziała, skąd się tam wzięły – ze spotkania z wiedźmą.

– Tędy, księżniczki – powiedziała Wertzheim, niemalże szeptem. – Tędy.

Księżniczki przemaszerowały przez salę, kierując się w stronę drzwi prowadzących do zamkniętej części szpitala – tam, gdzie Forbes został odprowadzony zaraz po swoim przeistoczeniu w człowieka.

Gdy księżniczki mijały Evie, dziewczyna przyjrzała się uważniej ich twarzom. Zadrzała, zobaczywszy na nich znużenie i poczucie klęski. Ale było tam też coś jeszcze. Coś, co wykraczało poza okropności, które musiały widzieć. *Dobro*. To było pierwsze słowo, które przyszło jej do głowy, i jedyne, którym mogła to opisać. Krótko mówiąc: nie były to zwyczajne dziewczyny – były to *księżniczki*, których wdzięku i szlachetności nie mogły przesłonić żadne fizyczne rany.

Jedna po drugiej znikwały w drzwiach w towarzystwie kilku pracowników szpitala. Powoli pielęgniarki wróciły do swoich podopiecznych i znów zapanowała szpitalna normalność. Evie z powrotem opadła na krzesło, mimo że już wypięła lekarstwo. Przed oczami wciąż miała obraz tych księżniczek – ich oczu, które tak wyraźnie płonęły siłą. Przez kilka krótkich chwil miała wrażenie, że dostrzegła w nich dokładnie te cechy, które ćwiczyć miała Akademia – odwagę, współczucie, dobroć i dyscyplinę. Tak była zajęta tymi myślami, że nie zauważyła, że obraz przed jej oczami staje się coraz ciemniejszy. Wpatrywała się we wzór na kamiennej posadzce i myślała wciąż o tych płonących oczach. Widziała coraz mniej, aż wreszcie zapadła się w ciemność...

– Kadetko? – To słowo zadrgało w jej głowie, nagle poczuła, że nie może oddychać.

– Księżniczko Wertzheim, niech księżniczka tu przyjdzie!

Cały świat pogrzyżył się w ciszy. Słysząc tylko uparty świst wiatru. Powoli coś wyłaniało się z gęstej ciemności – najpierw słabe światło słońca, a później postać, mała dziewczynka. Miała głęboko zielone oczy i była ubrana w prostą szarą sukienkę z narzuconym na nią wełnianym płaszczem wyszywanym motylkami. Powoli scena rozjaśniała się coraz bardziej i stawała się wyraźniejsza. Dziewczynka stała na niewielkiej górskiej łące porośniętej

strzępiastą trawą i jasnoniebieskimi dzikimi kwiatami.

Trawy wylewały się poza krawędź łąki niczym zielony wodospad. Poniżej, tak nisko, że samo spojrzenie w dół powodowało ścisk żołądka, rozciągała się dolina – miejscami skalista, miejscami porośnięta lasem. Z miejsca, gdzie stała Evie, nie było widać jej dna, ale wydawała się tak przepastna, że trudno było sobie wyobrazić, że w ogóle je posiada. Jednak w niedalekiej odległości widać było kolejne górskie szczyty. Wielkie, grube drzewa porastały skalną ścianę jak futro jakiejś ogromnej, pradawnej bestii. Dziewczynka jednak nie zwracała zbytniej uwagi na bezkres otaczającego ją świata. Skupiała się na niewielkim, nieco już nadgryzionym cieście. Musiało to być wytrawne ciasto z soczystym nadzieniem, bo po jej drobnych palcach spływał brązowy sos.

Z zadowoleniem wbiła w nie zęby, by odgryźć kolejny kawałek...

– Kadetko, kadetko, musisz otworzyć oczy!

Evie zamrugała, wracając do przytomności. Zobaczyła nad sobą krąg księżniczek, a wysoko ponad nimi szklany sufit szpitalnej sali. Leżała na plecach na kamiennej posadzce. – Ocknęła się – powiedziała księżniczka Wertzheim. – Spokojnie, dziewczęta, podnieście ją.

Evie poczuła, jak jej bezwładne ciało jest unoszone z podłogi i sadzane na krześle. Ktoś podał jej szklankę wody i pomógł się napić. Większość płynu spłynęła jej po brodzie.

– Widziałam coś – powiedziała. – Myślę, że to byłam ja.

– To dobrze – odparła Wertzheim z wyraźną ulgą. – Nie byliśmy pewni, czy to wspomnienie, czy uraz głowy od uderzenia w podłogę. Rzadko się zdarza, żeby leczenie działało tak szybko.

Evie dopiero teraz poczuła pulsujący ból głowy w miejscu, którym uderzyła o posadzkę. Dotknęła tego miejsca dłonią i wzdrygnęła się, gdy zobaczyła na swoich palcach krew. Jedna z pielęgniarek odsunęła jej włosy, by odsłonić ranę, którą natychmiast zaczęła opatrywać.

– Wszystko w porządku, moja droga. Po prostu upadłaś. Powiedz mi teraz, co widziałaś.

– Widziałam dziewczynkę. Wydaje mi się, że to byłam ja. Jadłam jakiś rodzaj słonego ciasta.

– Dobrze, dobrze. Co jeszcze? – dopytywała się Wertzheim. Sięgnęła po czysty pergamin i zaczęła pośpiesznie robić notatki.

– Wydaje mi się, że to wszystko. Usłyszałam głos i... – Odstawiła wodę

na stół. Czowała, że jej mięśnie są słabe, a skóra lepka od potu.

– Cóż, szkoda, że tak szybko musiałam przerwać to wspomnienie, ale, jak już mówiłam, nie mogliśmy ryzykować, że chodzi raczej o reakcję na uderzenie.

– A więc... to było wspomnienie?

– Tak. I bądź pewna, że nie ostatnie. W końcu dowiemy się, kim jesteś.

Zamiast szybko dołączyć do innych dziewcząt ze swojej kompanii, Evie znalazła sobie w szpitalu spokojniejszy kąt i została tam jeszcze chwilę. Przez jej głowę przebiegały tysiące pytań. Wspomnienie, które zobaczyła, było krótkie i niejasne, a jednak sprawiło, że zaczęła się zastanawiać nad całym swoim życiem. Starła się wrócić do swoich najwcześniejszych, najdrobniejszych, najmniej wyraźnych wspomnień i zrozumiała, że żadne z nich nie było tak stare jak to, które teraz zobaczyła. Musiało ono wypłynąć z ukrytych głębin jej umysłu, jak zatopiony dawno statek, który nagle oderwał się od dna morza.

Wyszła dopiero, kiedy wyprosiła ją jedna z pielęgniarek. Dzień był ciemny i ponury. Szła wolno w kierunku sali jadalnej, nadal starając się zrozumieć to, co się jej właśnie przydarzyło.

– Hej, księżniczko! – zawołał książę Forbes, podbiegając do niej. – Mogę się dołączyć? Oboje idziemy przecież na kolację, prawda?

Jego głos brzmiał pewnie i dźwięcznie jak pomruki wilka, czaiła się w nim także natarczywość, która wprawiła ją w zdenerwowanie.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Chciałem ci podziękować za uwolnienie z tych świńskich więzów. Dobrze znowu chodzić na dwóch nogach.

Uśmiechnęła się uprzejmie, ale nie podniosła wzroku, wbijając go w wyłożoną kamieniami drogę.

– Wczoraj próbowałem wziąć do ręki miecz. Moje palce są nadal tak słabe, że prawie obciąłem sobie stopę. Chyba musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim zupełnie wrócę do formy.

– Przepraszam, ale właściwie cię nie znam. Ani ty mnie.

Usłyszeli stukot butów i minął ich kadet ubrany w zielony kaftan kompanii Winterspire.

– Przebieraj tymi racicami, Forbes. Dziś na kolację jest gulasz wołowy.

Forbes nie przyśpieszył.

– Nie mogą się powstrzymać – powiedział. – Nie dziwię się. Może trudno

w to uwierzyć, ale jestem jednym z niewielu byłych wieprzków w Akademii.

Przeszli przez niewielki mostek, pełniący bardziej ozdobną niż praktyczną funkcję, bo płynęła pod nim jedynie cienka strużka wody, nazywana przez kadetów Strumykiem Tomcia Palucha. W oddali widzieli już pomarańczowe światło pochodni oświetlających salę jadalną. Zwykle pochodnie nie były zapalane za dnia, ale dziś niebo było tak zasnuwane chmurami, że okazało się to konieczne.

– Właściwie to się znamy. W pewnym sensie od bardzo dawna. Właśnie z okazji naszego pierwszego spotkania zostałem zamieniony w świnię.

– To niemożliwe... – Twój portret wisi w zamku mojego ojca.

Zmarszczyła brwi i odwróciła od niego głowę. Patrzyła na sieć wijących się drózek prowadzących do kampusu.

– Mylisz się. Nie wiem, jak to powiedzieć, żebyś to przyjął, ale taka jest prawda.

Uniósł brwi i spojrzał na nią z niesmakiem.

– Słuchaj, wiem, że masz swoje problemy. Zdrowi ludzie nie spędzają tyle czasu w szpitalu. Ale czy naprawdę uważasz za przypadek to, że moja klątwa została zdjęta akurat wtedy, gdy zobaczyłem ciebie?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie wiedziała co. Chciała tylko, by zostawił ją w spokoju. Wyglądał na zdenerwowanego, zupełnie jak jej ojciec, gdy bała się zeskoczyć ze skały do jeziora niedaleko ich domu.

– Cóż, była to urocza pogawędka. Dziękuję za zdjęcie ze mnie klątwy – powiedział, skłoniwszy się nieznacznie. – I powodzenia w pozbywaniu się własnej.

Poszedł dalej. Evie czuła, że z głodu burczy jej w brzuchu, ale nie poszła za nim. Zamiast tego usiadła na dużym kamieniu obok stajni i próbowała ułożyć sobie w głowie wszystko, co dziś zobaczyła i usłyszała. Jak mogła pogodzić swoje odzyskane wspomnienie i to, co Forbes z taką pewnością powiedział o jej portrecie w zamku swojego ojca, z historią życia, takiego, jakie znała?

Postrzępione białe kosmyki chmur schodzące w dół z nisko zawieszonych nad horyzontem obłoków zaczęły zmieniać się w mgłę tak rzadką, że prawie niewidoczną. Evie siedziała, wdychając czyste zimne powietrze, gdy poczuła, że dzieje się z nią coś nieoczekiwanego. Od momentu, gdy w chacie wiedźmy zobaczyła Remingtona, do tej dokładnie chwili czuła, że nie pasuje do swojego nowego świata. Ale jej poranny udany sprzeciw wobec woli

Beatrycze czegoś ją nauczył. Zamiast pograżać się znów w rozpacz i użalaniu nad sobą, zmusiła się do tego, by wstać i pomaszerować do sali jadalnej. Znalazła swoich przyjaciół na ich zwykłych miejscach przy stole Ironbone. Oczywiście bardzo ucieszyli się na jej widok, a Maggie nawet uroniła łzę, gdy się dowiedziała, że jej nowa przyjaciółka nie została jednak wydalona z Akademii. Gdy skończyli jeść, Evie opowiedziała im, co się wydarzyło tego ranka, od rozmowy z dyrektorką do odzyskanego wspomnienia i spotkania z Forbesem. Jeszcze wczoraj nie zrobiłaby tego, ale uniesienie, które poczuła, opuszczając pokój Beatrycze, przekonało ją, że musi zmienić styl działania. Znała te dziewczęta – i oczywiście Bazyla – zaledwie parę dni, ale musiała komuś zaufać, by przetrwać kolejny dzień. A potem kolejny.

Z każdym dniem stawało się to coraz łatwiejsze. Z wolna czuła się coraz mniej jak wyrzutek, a coraz bardziej jak prawdziwa kadetka pierwszego roku. A trzy dni po tym, jak księżniczka Beatrycze dała jej jeszcze jedną szansę, Evie dokonała czegoś, czego wcześniej nigdy nie ważyłaby się zrobić.

Zdarzyło się to w drewnianej części kampusu zwanej Wilczym Dołem, podczas wspólnych ćwiczeń z rycerzami z kompanii Thrushbeard. Evie nie miała problemów z ignorowaniem Forbesa, który zdawał równie zdecydowanie ignorować ją. Trudno było jednak udawać, że nie dostrzega Remingtona. Za każdym razem, gdy ich oczy się spotykały, posyłał jej ten swój półuśmiech. To, co Maggie opowiedziała jej o jego przeszłości, o zabiciu smoka, zbladło jakoś w jej pamięci. Teraz, gdy inni kadeci i kadetki czekali na swoją kolej do przejścia ścieżki zdrowia, Remington podszedł do niej i nagle wszyscy wokół zamilkli.

– Strasznie trudno tu znaleźć okazję do rozmowy, nie sądzisz? – zagadnął, nie spuszczając wzroku z wielkiego jak niedźwiedź, brodatego mężczyzny w bechterze. Był to kapitan Ramsbottom, dowódca kompanii Thrushbeard.

Serce Evie zaczęło walić jak szalone. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że każdy, kto stał dostatecznie blisko ich dwojga, nadstawiał teraz uszu.

– Rzeczywiście – wykrztusiła.

– I jak? Zadomowiłaś się już? Muszę powiedzieć, że z pewnością zaczęłaś się lepiej ubierać.

– Tak, dziękuję – odparła, splatając palce dłoni. Chciała, żeby już sobie poszedł. I bardzo chciała, by został. – A... co u ciebie?

– W porządku. Nawet przyjemnie się żyje wśród tych chamów i brutali – powiedział, kiwając z sympatią głową w kierunku swoich towarzyszy.

Evie uśmiechnęła się grzecznie, ale uśmiech zamarł zaraz na jej wargach, gdy zauważyła wbite w siebie badawcze spojrzenie Malory.

– Chyba lepiej, żebym już wracał do swoich, zanim kapitan Ramsbottom mnie tu zobaczy. Spuściłby mi manto. Powodzenia na ścieżce zdrowia.

Uśmiechnął się łobuzersko i pobiegł z powrotem do swoich towarzyszy. Evie ponownie zerknęła w kierunku Malory i zobaczyła, że ta wciąż wpatruje się w nią intensywnie. To ją zaniepokoiło.

– NASTĘPNI! START! – zagrział kapitan Ramsbottom.

Kadet i kadetka wystartowali jednocześnie, wbiegając na ścieżkę. Kolejka za nimi przesunęła się do przodu. Evie była następna. Wiedząc, że gdzieś w tym tłumie za nią jest też Remington, i słysząc za plecami głośne, dowcipne komentarze Anisette na temat ich obojga, Evie poczuła, że jej serce bije wyjątkowo szybko.

Nagle poczuła uderzenie z tyłu. To Malora próbowała ją wyminąć, by dostać się na przód kolejki.

– Wysoko urodzone dziewczęta mają pierwszeństwo – powiedziała z lekką groźbą w głosie, unosząc jedną brew.

Evie zacisnęła zęby, a dłonie zwinęła w pięści. Kelbra i Sage stanęły po obu stronach Malory niczym jej straż przyboczna. Dziewczęta stojące za Evie na wszelki wypadek cofnęły się o parę kroków. Malora patrzyła na nią z góry. Jej lodowate oczy rzucały tak intensywnie złowrogie błyski, jakich Evie nigdy dotąd nie widziała.

– Radzę ci rozluźnić te dłonie. Chyba że chcesz pokazać wszystkim tutaj swoją prostacką krew.

Serce Evie tłukło się pod naszyjnikiem z łuski smoka. Jej nozdrza rozszerzyły się. Usłyszała za sobą niepohamowany śmiech Anisette, której Bazyl opowiadał właśnie w ożywieniu jakiś żart. Jej przyjaciele nie widzieli, co się dzieje. Była sama. Patrzyła na Malorę, nie mając pojęcia, co zrobić.

– NASTĘPNI!

Rycerz z równoległej kolejki już wystartował. Usta Malory ułożyły się w zwycięski uśmiech, ale szybko opadły w zdumieniu, bo Evie... wystartowała również.

– Hej! – rzuciła za nią Malora, ale było już za późno.

Evie dopadła do drewnianej ściany i zaczęła się na nią wspinać. Nie mogła przy tym powstrzymać uśmiechu. Wyobrażała sobie wściekłość na twarzy Malory i bezradne protesty Kelbry i Sage. I poczuła ten sam płomień dumy,

który rozpalil ją wtedy, kiedy wyszła z biura Beatrycze.



– Moja droga, ty masz wdzięk słonia w składzie porcelany – powiedział Rumpelszwacz, biorąc z rąk Evie drewniany uchwyt ostrza cierlicy. Otarła pot z czoła i obserwowała, jak karzeł kładzie na koźle kruche złote kłosa.

– Patrz uważnie – powiedział. Łodygi lnu poddały się już po trzech zręcznych uderzeniach. Karzeł delikatnie wydobywał z nich jedwabiste jasne włókna.

– Teraz twoja kolej.

Evie podniosła kolejną garść łądy i położyła ją pomiędzy koźłem a ostrzem. Mimo że niebo wciąż było zasnute chmurami, a chłodny wiatr niósł już w sobie zapowiedź jesieni, jej lniana sukienka była już cała mokra od potu. Niewidoczne drobinki kurzu poprzyklejały się jej do skóry, a na dłoniach pojawiły się odciski. Odgłosy pracy cierlic niosły się po całym polu dojrzałego, jasnobrązowego lnu przy najbardziej wysuniętej na północ granicy kampusu. Evie chwyciła za uchwyt i mocno opuściła ostrze. Pękające łądygi odsłoniły lniane włókna.

– Lepiej, ale postaraj się nie tłuc tym jak cepem. Więcej delikatności – podsumował stary troll i oddalił się chwiejnym krokiem. Podeszedł do Bazyla, by znów pochwalić go za pracę. Rzeczywiście, wydobywane przez niego włókna były dłuższe i czystsze niż te uzyskiwane przez kadetki.

– Moja mama pozwalała mi to robić, jeszcze zanim nauczyłem się chodzić – przyznał Bazyl. Po raz pierwszy Evie usłyszała dumę w jego głosie, gdy

mówił o swojej mamie i o tym, że wychowała go na księżniczkę.

Po godzinie oddzielania włókien od paździerzy uczniowie Rumpelszwacza zebrali się na jego rozkaz wokół wielkiego stosu czegoś, co wyglądało jak jasne włosy. Dwóch jego małych asystentów stało niedaleko po obu stronach nędznego zwoju płótna udrapowanego na prostym stojaku krawieckim. Evie uklękła obok Maggie i pociągnęła łyk wody z jej bukłaka. Inne kadetki rozsiadły się wokół nauczyciela, korzystając z możliwości odpoczynku.

– Ponieważ jesteście nastolatkami, na pewno zastanawiacie się, co u licha robicie tu, na polu, międląc len. Co to... – powiedział, wskazując grubym palcem na stos – może mieć wspólnego z tym? – Miniaturowe trolle odrzuciły na bok wiszące na stojaku płótno, wznecając chmurę lnianego pyłu. Evie opuściła bukłak. Podobnie jak inne kadetki była zbyt zaskoczona, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

– Zapamiętajcie sobie moje słowa – ciągnął dalej Rumpelszwacz, kierując się chwiejnym krokiem w stronę stojaka. – Niezależnie od tego, co myśli o tym kadetka Anisette, moda jest dla księżniczki nadzwyczaj ważna. Tę suknię stworzyłem dla księżniczki Blackstone z okazji jej ślubu z księciem z Doliny Rustbark.

Przerwał i chwilę przyglądał się sukni. Była prosta, a jednak niepodobna do niczego, co dziewczęta do tej pory widziały. Materiał zdawał się być utkany z promieni księżyca. Srebrne nitki migotały w nim tak jasno, że zdawały się być prawie białe, ale jednocześnie lekko przygaszone, jak niebo w chłodną letnią noc. Troll patrzył na suknię i skubał swój sztywny zarost na brodzie.

– To oczywiście prawdziwy jedwab z kokonów jedwabników. Kąpałem go w autorskiej mieszance ziół i minerałów, by lepiej wchłaniał światło. – Podniósł spódnicę, przyglądając się połyskującemu materiałowi z nostalgicznym uśmiechem. – Rozkładałem go na zewnątrz podczas każdej pełni, aż materiał osiągnął ten bogaty połysk. Moi asystenci musieli go wówczas pilnować całą noc, chroniąc przed ślimakami. Do uzyskania odpowiedniego blasku potrzebowaliśmy dwunastu pełni.

Wypuścił z dłoni leżącą się tkaninę i z powrotem odwrócił się do kadetek.

– Jak więc widzicie, nawet najbardziej wysmienity materiał zaczyna się od maleńkiej, wijącej się larwy. Len powstaje z rośliny o tej samej nazwie, która najpierw musi wyrosnąć w brudnej, nawożonej nieczystościami ziemi. I tak dalej. Samo życie. Nieustanne przenikanie się piękna i brzydoty.

Evie zamrugnęła oczami. Nie była zdolna do żadnej innej reakcji. Ta prosta

suknia była odpowiedzią na wszystkie pragnienia, jakie odczuwała jako dziecko, gdy wraz z siostrą wpatrywały się w nocne niebo. Przywodziła na myśl wszystkie ich rozmowy, które prowadziły, patrząc na księżyc wolno przesuwanym się po niebie – te lekkie i te poważniejsze. Czuła też, że głęboko wewnątrz tych delikatnie splecionych nici skrywa się również jej smutek i nostalgia.

– Odpowiednia kreacja nie prezentuje sama siebie – podkreśla cechy osoby, która ją nosi. Tu nie chodzi o krawca czy technikę szycia, ale o to, kim jest ta, dla której suknia powstaje. To, jaka jest. To właśnie powinna pokazać dobrze zaprojektowana suknia. Jak już mówiłem, jeśli dziewczyna czuje się jak księżniczka na zewnątrz, łatwiej jej poczuć się tak także w środku. Okładka książki musi harmonizować z jej treścią.

Podszedł z powrotem do sterty lnianych włókien, a jego asystenci z powrotem zakryli suknię lnianą zasłoną, gasząc jej blask jak światło świecy.

– Dlaczego po całym tym gadaniu o włóknach i materiałach pokazałem wam suknię? Bo to jest wasze zadanie. Każda z was zaprojektuje i uszyje własną balową kreację. Niektóre z was będą miały nawet szansę zatańczyć w niej na Wielkim Balu. Czy księżniczka Hazelbranch już wam o nim mówiła?

Kilka dziewcząt zaprzeczyło, a Maggie uczepliła się ramienia Evie z szeroko otwartymi oczami i jeszcze szerszym uśmiechem.

– Miło z jej strony. Ona wie, jak bardzo lubię przekazywać tę wiadomość osobiście. Wielki Bal jest konkursem tańca. Poza zwalczaniem wiedźm, księżniczki muszą bowiem wypełniać różnego rodzaju dworskie obowiązki: chodzenie na królewskie śluby, oficjalne bale i tym podobne. Z każdej kompanii księżniczka Hazelbranch i ja wybierzemy sześć dziewcząt, które będą konkurować ze sobą podczas Wielkiego Balu. A zwyciężczyni... – podniósł brwi, by podkreślić to, co zaraz powie – zostanie zwolniona z ostatniego zadania – Bezradnej Niewiasty.

Wśród kadetek przebiegł podekscytowany szmer.

– Tak jest. Zwyciężczyni Wielkiego Balu otrzymuje automatyczny wstęp na drugi rok w naszej Akademii. Niewielu rzeczy możecie być tutaj pewne, ale to jest akurat rzecz zupełnie bezsporna. Warto więc się do tego przyłożyć, bo...

– Chwila – przerwała mu Malora. – Z tego mamy uszyć suknie? – zapytała, patrząc z pogardą na stos lnianych włókien. – Nigdy jeszcze nie słyszałam o lnianej sukni balowej.

– Moja droga, len może się zmienić w adamaszek i koronki. Wszystko zależy od wyobraźni projektanta. Chodźcie tu wszystkie, pokażę wam teraz, jak się wyczesuje len.

Pewny powrót do Akademii na drugi rok, pomyślała Evie. Co prawda, jeszcze nikt z nauczycieli nie wspomniał, na czym polega Bezradna Niewiasta, ale skrawki informacji, które docierały do pierwszoroczników od kadetów drugiego roku, wystarczyły, by Evie zaczęła myśleć, że Wielki Bal może być dla niej najlepszą szansą na dostanie się na drugi rok.

Tego wieczora, gdy inne kadetki porównywały swoje zranienia i siniaki oraz lamentowały nad obolałymi mięśniami, Evie kończyła czytać pierwszy tom epickiego traktatu Volfa na temat historii księżniczek. Opowieści o dzieciach porwanych z łóżek, o matkach i ojciecach szukających ich po nocach w lesie, oświeclających sobie drogę pochodniami, zmroziły ją do szpiku kości, mimo że leżała przykryta kołdrą i narzutą.

– Nigdy wcześniej nie miałam pęcherzy – powiedziała Demetra, siadając na końcu pryczy Evie. – Chyba muszę zawalczyć na tym Wielkim Balu, bo moje dłonie nie przetrwają Bezradnej Niewiasty.

– Wytworne życie księżniczki, co? – zapytała Anisette. Pożyczyła jeden z butów Demetry i obcasem masowała sobie obolałe mięśnie szyi.

Evie wyszła spod kołdry i zaczęła masować jej plecy. Poczła tępy ból własnego kręgosłupa, który dawał jej się we znaki przy poruszaniu, ale poza tym wydawała się być w lepszej kondycji niż koleżanki.

– Mój brat, Barend, nigdy by mi nie darował, że byłem tak blisko krwi smoka i nie sprawdziłem, czy sprowadzi na mnie jakąś wizję – powiedział Bazyl. Siedział na skrzyni Anisette i czyścił sobie zęby drzazgą.

– Wystarczy, Baz. Daj mi spokój – odparła ostro Evie. Odłożyła książkę na parapet, gdzie leżało już kilka innych podniszczonych od wilgoci tomów.

– Nie denerwuj się – powiedział Bazyl. – To tylko prośba. Jeśli o mnie chodzi, możesz robić z tą twoją ohydą łuską, co tylko chcesz.

Maggie podniosła głowę znad listu, który pisała do ojca. Anisette padła na wypchany pierzem materac i zaczęła sobie masować stopy.

– Przepraszam – powiedziała Evie. – Po prostu... moje nerwy są nieco nadszarpnięte. To wszystko.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Malorę, która po drugiej stronie pokoju śmiała się z Kelbrą. Od czasu sytuacji na ścieżce zdrowia Malora była jeszcze bardziej agresywna w stosunku do Evie i jej przyjaciół, wykazując przy tym

nadzwyczajną wręcz zdolność do wykorzystywania sytuacji, gdy Wróżka nie patrzyła w jej stronę. W sali jadalnej Maggie zaczęła nawet wybierać dłuższą trasę wokół stołu kompanii Bramblestick, żeby tylko nie musieć przechodzić obok miejsca, na którym siedziała Malora.

– Ach, o to chodzi – domyślił się Bazyl, podążając za wzrokiem Evie. – Księżniczka-potwór we własnej osobie.

– Nie wiem, co ona tu robi. Czytam o tych księżniczkach w książkach Volfa i ciągle powtarza się zdanie, że cechowała je naturalna dobroć. W niej nie ma krztyny dobroci.

– Myślę, że jest tu z tego samego powodu, co my wszyscy – powiedziała Anisette. – Nie chce żyć w świecie rządzonym przez wiedźmy.

Evie zmarszczyła brwi. *Myślę, że chodzi jej raczej o to, by dobrze wyglądać i spotkać odpowiednio wysoko urodzonego rycerza. Jak Remington.*

– Jak jeszcze mieszkałam w Czarnych Błotach, stale słyszeliśmy o wiedźmach, które od miesiący zakradały się coraz bliżej naszej doliny. I nic nie mogliśmy zrobić, tylko siedzieć i czekać, aż jej siostra nas ocali – Anisette kiwnęła głową w kierunku Demetry, która nie zareagowała i dalej beznamiętnie wpatrywała się w podłogę. – Więc gdy tylko usłyszałam, że także dziewczęta nisko urodzone mogą się zapisać do Akademii, pierwsza stanęłam w kolejce. Chciałam coś zrobić, jak księżniczka Kamila. Twoja siostra jest prawdziwą bohaterką dla wszystkich dziewczyn z Czarnych Błot.

– To prawda – powiedziała Demetra, nie podnosząc oczu. Słowa zawisły w powietrzu, bo wszyscy czekali na dalszy ciąg, ale na próżno.

– Ja nie jestem tu przez wiedźmy. Chyba że zaliczamy do nich moją szaloną matkę – przerwał ciszę Bazyl.

Anisette i Evie zachichotały. Demetra i Maggie nie. Zapadła ciężka cisza, w której jedynym dźwiękiem było rytmiczne stukanie buta Bazylego o podłogę. Wreszcie odezwała się Maggie.

– Ja chyba też tu jestem dla mojej mamy – powiedziała. Trudno było odczytać wyraz jej twarzy w nikłym świetle pochodni, ale w jej głosie dało się słyszeć jakieś napięcie. – Umarła kilka miesięcy temu.

Bazyl przestał stukać. Demetra odwróciła się do Maggie. Jej oczy wypełniało współczucie.

– Kurczę... – mruknęła Anisette.

– Przykro mi, Maggie – powiedziała Evie. – Naprawdę.

– W porządku. Nadal mam tatę. Teraz jego proszę, by zakładał moje sukienki, jak muszę je przeszyć – uśmiechnęła się, ocierając łzę. – Żartuję. Prosiłam go o to, jeszcze jak mama żyła. Ona zresztą też – roześmiała się, by przegnać łzy. W grupie przyjaciół zapanowała ciepła atmosfera, która ogrzewała ich jak niewidzialne ognisko.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Maggie – powiedziała Demetra.

– Dość – odparła Maggie, pociągając nosem. – Umarła i nic nie można na to poradzić. A ty, Evie? Co ciebie tu sprowadziło?

Evie zamarła. Poczowała, że jej żołądek wariuje, jakby nagle zmienił się w węzowisko. *Nie rób tego...* Zaczęła naprędce wymyślać kłamstwa – historie na tyle zwyczajne, żeby inni ich wysłuchali i wzruszyli ramionami. Ale potem spojrzała na Maggie i mimo słabego światła pochodni zobaczyła w jej załzawionych oczach szczerłość. Maggie otworzyła się przed nimi. Opowiedziała swoją osobistą historię i zwierzyła się ze swoich osobistych powodów przybycia do Akademii. Wszyscy – Anisette, Demetra, Bazyl... nawet Malora i jej przyjaciółki – każda dziewczyna i każdy chłopak w Akademii mieli swoje historie i swoje powody, by tu być. Dlaczego jej historia miały być na tym tle czymś szczególnym?

– Myślę, że jestem tutaj, bo nie miałam dokąd pójść. Na końcu baraku zaczęły już gasnąć pochodnie. Dziewczęta układały się powoli do snu. Maggie przesiadła się na prycze obok Anisette, a Evie zajęła miejsce obok Demetry. Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej, pilnując, by jej głos był słyszalny tylko dla jej grupy.

– Kocham mojego ojca, matkę i siostrę bardziej niż cokolwiek na świecie. Ale... oni nie są już moją rodziną.

Demetra wsunęła swoją rękę pod ramię Evie.

– Chyba zawsze wiedziałam, że jestem inna. Całe życie to wiedziałam. Ale im byłam starsza, tym boleśniej to odczuwałam. Aż wreszcie zrozumiałam dlaczego... – Podniosła wzrok i jej oczy spotkały oczy Bazylego, a potem Maggie i Anisette. – Zrozumiałam to, gdy moja siostra nauczyła się latać...

Niżej wiatr gwizdał w szczelinach skał, ale na szczycie nie napotykał już żadnych przeszkód. Potężny, powstały na styku ziemi i nieba, huczał i smagał ją po twarzy. Otworzyła oczy – tak zielone i tajemnicze, jak wijące się modrzewie i drżące wiązy, które napotykała, wdrapując się tutaj.

Nie ma się czego bać – powtarzała sobie, spoglądając w dół skalnej ściany. Bose palce jej stóp dotykały brzegu zimnej, gołej skały, za którą

zaczynała się przepaść o głębokości wielu dziesiątek metrów. Skała była porysowana i popękana, jakby podrapana pazurami jakiegoś ogromnego, pierwotnego kota. Dziewczyna wciągnęła w płuca orzeźwiające górskie powietrze i spojrzała na ocean nieba nad sobą. Z tego miejsca chmury i radosny błękit za nimi wydawały się bliższe i bardziej zapraszające niż twarda ziemia nisko w dole. Ale wdrapała się tu z konkretnym zamiarem. *Polecę, tylko jeśli nie będę miała innego wyjścia* – powiedziała do siebie. Po czym pochyliła się do przodu i runęła w przepaść.

Zanim jeszcze jej stopy oderwały się od skały, wiedziała już, jak bardzo się pomyliła. W krótkiej chwili paniki próbowała jeszcze złapać równowagę, ale było za późno. Zawrotna prędkość, z jaką leciała w dół, i wściekłość wiatru, który uderzał ją w twarz, sprawiły, że jedyne, co mogła zrobić, to rozpostrzeć ramiona i prosić w duchu, by koniec nadszedł szybko. Zalesione zbocze, które jeszcze chwilę wcześniej wydawało się tak niemożliwie daleko, teraz zbliżało się do niej niewyobrażalnie szybko. *Ojciec będzie taki zły* – to była ostatnia myśl, która przyszła jej do głowy, zanim...

Coś uderzyło ją z taką siłą, że przez chwilę aż nie mogła oddychać. Nic też nie widziała z powodu nagłej ciemności. Przewracała się wewnątrz czegoś twardego i szorstkiego, aż usłyszała wybuch tak głośny, że zagłuszył nawet jej krzyki. Uderzyła o ścianę tego, w czym była, po czym przekoziółkowała kilka razy, kompletnie tracąc poczucie, gdzie góra, a gdzie dół. Na zewnątrz nadal słychać było huk, ale tym razem był to dźwięk, który rozpoznała – kamień uderzający o kamień. Duże kawałki spadających skał. Jeszcze raz uderzyła o dno miejsca, w którym się znajdowała i w środku wszystko się uspokoiło. Wokół jednak słyszała chrzęst i trzask sypiących się skał. *Przeżyłam upadek* – pomyślała – *ale zaraz zostanę zgnieciona przez te skały*.

Zauważyła światelko i podczołgała się do niego, kaszląc od białego kurzu wirującego w powietrzu. Przecisnęła głowę przez otwór i wyjrzała. Zobaczyła bok góry, który wyglądał, jakby zderzył się z księżycem. To, co niegdyś było długą, gładką powierzchnią, zostało pokruszone. Całe wyrwane z korzeniami drzewa leżały rzucone na bok jak polne kwiaty. Przecisnęła resztę ciała przez otwór i jej serce stanęło.

To, z czego właśnie wyszła, to była szponiasta łapa smoka. Był długi na ponad dwadzieścia metrów. Jeden z jego rogów był krótszy niż drugi – zapewne pamiątka po jakimś starciu z przeszłości. Jego łuski miały zmatowiały, białawy kolor, choć nadal widać było, że kiedyś musiały być

intensywnie zielone. Jego ciało leżało okropnie poskręcane pod wielkimi odłamkami skał. Zobaczyła jedno skrzydło, zgniecione i postrzępione, i strużkę migoczącej czarnej krwi ściekającej od jego szyi po spalonej słońcem skale.

– OJCZE! – krzyknęła, a echo zwielokrotniło jej głos; nikt nie odpowiedział. – OJCZE, NIE!

Chwyciła jeden z bezwładnych, zagiętych jak bułaty pazurów i opuściła się niżej, na muskularną nogę smoka.

– OJCZE!

Zsunęła się jeszcze niżej na potężne ramię i ześlizgnęła na ziemię, wzniecając chmurę kurzu. Odnalazła leżącą bez ruchu długą i gadzią głowę smoka. Jej oczy zaszyły łzami. – Ojczy, co ja zrobiłam?

Próbowała odsunąć od niego pokruszony kawałek skały, ale kamień, który przy nim wyglądał na drobny, dla niej był głazem. Przygnieciona własną bezradnością upadła na kolana. Wtedy zauważyła, że zniszczone skrzydło załopotowało. Przez chwilę myślała, że to tylko wiatr, ale po chwili wystrzeliło w górę, aż jego błony naprężyły się jak żagiel statku. Zniszczone fragmenty skrzydła głośno trzaskały na wietrze, ale jego właściciel bez wątpienia żył. Zaczął się podnosić, wzbudzając małą lawinę kamieni, które posypały się z chrzęstem i hukiem. Na skale została czarna plama jego krwi. Krew spływała mu też po szyi. Strząsnął z siebie gruz i wyprostował się do pełni swojej przerażającej wielkości. Poza straszliwą raną na szyi, zniszczonym skrzydłem i pomniejszych zadrapaniami wydawał się być w dobrym stanie.

Zwrócił ku niej swoją zmęczoną, jaszczurzą głowę, wzbudzając tym ruchem kolejny deszcz kamieni. Z jego nozdrzy wydobywał się czarny dym. Potracił ją lekko pyskiem, większym niż całe jej ciało. Zachwiała się i odskoczyła do tyłu.

– Przepraszam, ojczy – powiedziała. – Bardzo, bardzo mi przykro. Na jej twarzy malowała się taka skrucha, że nie mógł mieć co do tego żadnych wątpiwości.

Tej nocy dziewczyna spała, kucając na wygładzonej wodą wapiennej półce, ciemnej od mchu i małych pomarańczowych grzybków. Obok niej w takiej samej pozycji przycupnął inny smok. Była to młoda, pozbawiona rogów samica o jasnozielonych łuskach. Szyję zwinęła tak mocno, że każdy oddech przynosił bulgoczące chrapnięcie. Była dwukrotnie mniejsza niż starszy smok, ale dziewczyna i tak wyglądała przy niej jak krasnal.

Z kamiennej półki luźno zwisał długi, chropowaty ogon. Należał

do leżącego obok wielkiego smoka. Jego zwinięte ciało otaczało dwójkę jego dzieci. Podniósł się teraz tak cicho, jak tylko mógł, pochylił głowę i trącił lekko młodą smoczycę. Drgnęła i wyprostowała szyję. Chrapanie ustało. Odwrócił się, by spojrzeć na dziewczynę. Na jego twarzy malował się prymitywny chłód właściwy niższemu gatunkom, skoncentrowanym głównie na przetrwaniu. Ale im dłużej patrzył na dziewczynę, tym bardziej jego oczy łagodniały i napełniały się uczuciem. Wreszcie na jego twarzy odmalowała się niemal ludzka czułość. Delikatnie jak kot potarł swoim policzkiem jej bok, uważając, by nie dmuchnąć jej dymem w twarz. Nie zmieniła pozycji, ale przez sen podniosła rękę, która opadła na jego usta. Czekał chwilę nieruchomo, delektując się tą chwilą, jak zrobiłby to każdy ludzki ojciec, po czym wymknął się cicho, zostawiając obie istoty pogrążone we śnie. Dopiero gdy przechodził do drugiej groty, trzask jego kroków odbił się echem od skalnych ścian.

Dziewczyna otworzyła oczy. W sąsiedniej grocie usłyszała teraz ruchy jeszcze jednego smoka – swojej matki – a potem szorstkie, zachrypnięte i dudniące głosy obojga rodziców, zupełnie przepalone po latach zionięcia ogniem.

– To była młodzieńcza głupota, nic więcej – powiedział ojciec. Dziewczyna zesza ze swojej żerdzi i przeskakując przez wielkie głązy, porzucane przed wejściem do jaskini, dotarła do wejścia do drugiej izby, której otwór został wydrążony przez ściekającą przez stulecia wodę. Zajrzała do środka i zobaczyła ojca siedzącego przy wielkim ognisku. Obok siedziała jej matka. Była prawie tak ogromna jak ojciec, ale jej łuski miały żółtozielony kolor jesiennych liści. Oczyszczała właśnie rany swojego towarzysza, zionąc na nie lekko ciekłym ogniem. Ta komora – centralny punkt rodzinnej jaskini – była olbrzymia, na tyle duża, że dałoby się w niej zmieścić dwie największe sosny postawione jedna na drugiej, i nadal zostałyby miejsce.

– Musimy coś zrobić. Jak tak dalej pójdzie, ona się zabije. Albo zabije któregoś z nas – powiedziała matka.

Serce dziewczyny zaczęło uderzać szybciej. Z całą pewnością mówili o niej.

– To musiał być wypadek – powiedział ojciec i wzdrygnął się, poczuwszy ciekły ogień na swojej szyi. – Dlaczego miałyby skoczyć?

– Bo widzi, że jej siostra umie już dobrze latać. Myślisz, że nie dostrzega, że zostaje w tyle?

– Ale ona nawet nie ma skrzydeł.

– Nie ma – potwierdziła matka z nagłą powagą w głosie, która sprawiła, że dziewczyna poczuła dreszcz idący wzdłuż kręgosłupa. – I wiemy dlaczego, prawda?

Ojciec warknął i odwrócił głowę.

– To nie znaczy, że ją mniej kochamy. To znaczy tylko, że musimy stawić czoła faktom i zacząć ją traktować jak człowieka, którym jest.

– A co ja wiem o wychowywaniu ludzi? – prychnął ojciec. – Jak niby mam przygotować człowieka do życia?

Usta dziewczyny zadrżały. Pomarańczowe światło z ogniska tańczyło jej na twarzy, a ona czuła, jak w ciszy rozpada się na kawałki. Ukryła się w cieniu, przyciągając do siebie podkulone nogi. Czekwała, aż rodzice skończą rozmowę i położą się spać. Dopiero wtedy wbiegła do pieczary i wdrapała się po skale na powierzchnię. Gdy podeszła do wejścia do jaskini, uderzyło ją w twarz zimne nocne powietrze. Skała była pokryta mchem, a pomiędzy jej szparami spływały strużki wody. Zrobiła krok w ciemność nocy, woskowy księżyc oświetlał wszystko niebieskawym światłem. Mając na sobie jedynie okrycie z pajęczej sieci, szła wzdłuż podnóża góry tak długo, aż skały przeszły w leśne paprocie.

Co to znaczy, że jestem człowiekiem? Czym ja jestem?

Westchnęła i nagle oddech uwiązał jej w gardle. Przed sobą, w miejscu, gdzie ojciec uratował jej życie, zobaczyła skruszone skały. Wszędzie leżały porozrzucane kamienie i drzewa. W świetle księżyca migotały czarne plamy zaschniętej krwi. *To moja wina. Mógł zginąć. I to moja wina.*

Gdy podeszła bliżej, widok zniszczeń boleśnie przeszył jej serce. To miejsce mogło się stać grobowcem jej ojca, tylko dlatego, że zachciało jej się skoczyć ze wzgórza. Jak mogła być tak samolubna?

Nagle zobaczyła coś tkwiącego w skale, pod plamą krwi. Chwyciła ostrą krawędź i wyjęła łuskę, która musiała odłamać się, gdy smok uderzył o skałę. Pokrywała ją zastygła strużka krwi, która w świetle księżyca migotała teraz jak gwiazda.

Gdy wychodziła z jaskini, jeszcze nie wiedziała, co robi. Teraz, gdy przeciskała wyrwane kłaczce borówki przez szparę w łusce i wieszala ją na szyi, nagle zrozumiała, że nie może wrócić. *Lepiej im będzie beze mnie. Wszystkim. Nie będę hamować siostry ani martwić rodziców.*

Ruszyła w kierunku ciemnego lasu – miejsca, gdzie najtrudniej byłoby im ją

wyśledzić. Zaczęła biec i biegła tak całe godziny. Wkrótce zaczął padać deszcz, który przez resztę nocy tylko przybierał na sile. Była zdecydowana odejść na tyle daleko, by rodzice nie mogli jej znaleźć, ale wkrótce rozszalała się wściekła burza. Wśród bijących piorunów i deszczu dalsza wędrówka stała się praktycznie niemożliwa. Wszystko zmieniło się w lśniącą moką ciemność, którą od czasu do czasu rozjaśniały jedynie błyskawice. Znowu gdzieś uderzył piorun, ale dziewczyna starała się nie zatrzymywać. Zeszła w dół wyschniętego koryta rzeczno, które szybko wypełniało się deszczową wodą. Spróbowała przedostać się na drugą stronę, ale spływająca z gór powodziowa fala zwała ją z nóg i uniosła ze sobą. Walczyła, ale w szalejącej wodzie nie mogła znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Wreszcie, dziesiątki metrów dalej, udało jej się chwycić starą gałąź i wydostać z rzeki. Wypęzła na drugi brzeg i próbowała znowu biec, ale burza tak przybrała na sile, że naprawdę się bała. Wiatr wył wśród drzew, rozchlapując we wszystkie strony spadającą na gałęzie wodę. Gdy tylko udało jej się na chwilę otworzyć oczy, woda znowu je zalewała. Wokół huczało i błyskało. A jej jedyną ochroną była cienka warstwa okrywającej ją pajęczej sieci.

Szukając schronienia, dziewczyna rzuciła się w stronę rozłożystego buku, ale gdy to zrobiła, usłyszała w powietrzu trzask drewna i zobaczyła, jak wielka gałąź uderza o ziemię tuż za nią. Upadła w ściółkę. Gdy się odwróciła, gałąź unosiła się właśnie, trzeszcząc i szeleszcząc liśćmi. Wzniosła się wysoko i zawisała na tle czarnego nieba. Kolejna błyskawica na chwilę oświetliła wszystko i dziewczyna zobaczyła, z czym naprawdę ma do czynienia. *To drzewo chce mnie zabić.*

Kolejny piorun trafił w zagrażającą dziewczynie gałąź, która runęła z powrotem na ziemię przy akompaniamencie wściekłego huku pioruna. Uskoczyła na bok, by uniknąć śmiertelnego uderzenia. Odłamana gałąź upadła tak, że utworzyło się pod nią niewielkie schronienie. Czołgając się w błocie, dotarła do niego.

Niech mi się uda stąd wydostać, proszę!

Potężny podmuch wiatru przeszedł przez las, wzniecając chmurę liści i fragmentów roślin. Był to wicher tak silny, że dziewczyna przestraszyła się, że i ją porwie i uniesie w stronę nocnego nieba. Zaciśnęła powieki i mocno chwyciła się połamanej gałęzi, gdy nagle usłyszała, jak coś z plaśnięciem uderzyło o drzewo tuż nad jej głową. Spojrzała w górę i zobaczyła coś dziwnego. Coś, co nie było częścią natury. Pergamin.

To, co na nim zobaczyła, wprawiło ją w takie zdumienie, że zapomniała o burzy, która omal jej nie zabiła. Było to tak niezwykle, nie do pomyślenia, że kompletnie nie mogła tego zrozumieć. *Może jednak umarłam.*

Zobaczyła przed sobą przyklepione do gałęzi drzewa ogłoszenie Akademii Pennyroyal, z wizerunkiem księżniczki na tle zamku. Sięgnęła po nie drżącymi rękoma. Deszcz spływał jej po twarzy, ale nie zwracała na to uwagi. Była tak zaskoczona, że prawie zapomniała oddychać. Wpatrywała się tylko w księżniczkę na pergaminie.

Wygląda jak ja. Wygląda zupełnie jak ja.



– Przypadkowo spotkany goblin wskazał mi drogę do Marburga, ale bez Remingtona nigdy bym tam nie dotarła.

Przerwała, czekając na reakcję. Nikt się jednak nie odezwał. Jedyne z pryczy obok łóżka Anisette dochodziło ciche chrapanie.

– Wszystkie historie, które słyszałam od moich rodziców, opowiadały o rycerzach zabijających smoki. Więc gdy spotkałam takiego, który chciał mi pomóc, nie mogłam w to uwierzyć.

Nadal nikt się nie odezwał. Evie zacisnęła zęby, a jej serce zaczęło uderzać szybciej. *Powinnam była siedzieć cicho.*

– Wy jesteście pierwszymi ludźmi, jakich zobaczyłam – dodała drżącym ze zdenerwowania głosem. – Gdy Remington przywiózł mnie do namiotu, gdzie się zapisywaliśmy... to było tak, jakby mnie zostawił w zupełnie nowym świecie...

– Przepraszam, Evie, próbuję to sobie jakoś ułożyć w głowie i nie bardzo mi wychodzi – odezwał się Bazyl. – Gdy skoczyłaś z tej skały, chciałaś... ze sobą skończyć?

– Co? Nie! Nie, chciałam tylko, żeby ojciec był ze mnie dumny – odparła, zająknąwszy się. – Myślę, że część mnie wiedziała, że nie będę w stanie polecieć, ale nie byłam już w stanie dłużej znosić ich spojrzeń. Były takie... współczujące i zaniepokojone i... całe życie wiedziałam, że jestem częścią rodziny, do której nie pasuję. Myślałam, że gdyby tylko udało mi się polecieć,

wtedy może... nie wiem... to nie było tak naprawdę przemyślane.

Bazyl założył nogę na nogę, nadal dłubiąc sobie w zębach.

– Cóż, udało ci się przebić moją historię – powiedział.

Evie spojrzała na Maggie, Demetrę i Anisette, wszystkie pogrążone w myślach. W końcu przemówiła ta ostatnia.

– Evie, czy naprawdę chcesz nam powiedzieć, że zostałam wychowana przez smoki?

Evie wzdygnęła się i spojrzała nerwowo po sąsiednich pryczach, upewniając się, że nikt inny tego nie słyszał. *Po co w ogóle się odzywałam? Powinnam była wiedzieć, że mi nie uwierzą.*

– Przecież smoki jedzą ludzi. Jak to się stało, że ciebie nie zjadły?

– Ciekawe, co? – podchwycił Bazyl. – Coś ci się chyba pokręciło...

– Nie, nie rozumiecie. Oni są... byli dla mnie dobrzy. Lepszy niż na to zasługiwałam.

– Słyszałem o wilkach wychowujących koty i podobne historie. Ale żeby smoki? Smoki jako gatunek to z natury bezmyślne, krwiożercze potwory...

– Przestań! – powiedziała Maggie, odrobinę za głośno. – Przecież to jej rodzina!

– Tak, ale to smoki...

– I co z tego? – Maggie zeskoczyła z pryczy Anisette i usiadła obok Evie, przyciągając ją do siebie i obejmując, jakby chciała ją chronić. – Te smoki wychowały ją i dbały o nią. I ona je kocha.

Evie czuła się coraz bardziej bezradna, jak gdyby prąd rwącej rzeki porwał ją i unosił. Maggie usiadła przy niej w samą porę. Była tą deską ratunku, której Evie mogła się schwycić.

– Słuszna uwaga – zauważyła Anisette.

– Cóż, nawet jeśli twoja rodzina to smoki, nadal wydaje się być lepsza niż moja – powiedziała Demetra.

Bazyl zachichotał.

– Racja. Przepraszam, Evie, naprawdę. Moja mama stara się zrobić ze mnie pierwszą męską księżniczkę w kraju, ale gdyby ktokolwiek poza mną nazwał ją świruską, dostałbym szału.

– W każdej rodzinie można znaleźć jakieś dziwne historie – dodała Anisette, wzruszając ramionami.

– Tylko u Evie dziwactwo zostało opakowane w łuski.

– Więc nie uważacie, że zwariowałam? – zapytała Evie.

– Evie, wiele jeszcze musisz nauczyć się o ludziach – odparła Maggie. – Lekcja pierwsza: wszyscy jesteście wariatami.

Evie spędziła tę noc, szczelnie owinięta kocem. Pomyślała, że jeśli uda jej się przespać jedną noc na leżąco, jak inni, wówczas może pozbędzie się w końcu nawyku kucania do snu. Zgasły już wszystkie pochodnie, ale sen nadal nie nadchodził. Leżała w ciemności z otwartymi oczami, słuchając powolnych chrapnięć Anisette i odległego rechotu żab. Mijały godziny. Przez jej głowę przepływały wspomnienia. Żaden leczniczy napój nie był potrzebny, żeby je przywołać. Wspomnienie o tym, jak ojciec uczył ją i jej siostrę wspinać się po drzewach... albo jak wspinała się z matką po skałach na szczyt klifu... jak jej siostra zanurzała łapę w jeziorze i wyciągała zwisającą bezwładnie srebrzystą rybę większą od Evie. To było szczęśliwe życie. Nawet teraz, gdy analizowała je z najdrobniejszymi szczegółami, mogła w nim znaleźć tylko jedną rzecz, z której nie była zadowolona i było to jej własne ciało. Nie miała skrzydeł, nie miała łusek. W porównaniu ze swoją siostrą była maleńka. Gdyby tylko wyglądała jak smok, wszystko byłoby wspaniale. A tak – musiała opuścić swojego ojca, matkę i siostrę, i jedyny dom, jaki kiedykolwiek знаła, i przybyć w to dziwne miejsce, gdzie miała się nauczyć, jak walczyć z wiedźmami. Co Los dla niej zaplanował? W którymś momencie, podczas tych nocnych godzin, wspomnienia zmieniły się w sny. Ocknęła się, gdy pierwsze szare światło dnia wpadło przez okno, a głos z sąsiedniej pryczy zawołał:

– Evie! Udało ci się!

Evie otworzyła oczy i zobaczyła kątem oka śmiejącą się twarz Anisette. Z tej niecodziennej dla niej perspektywy wydawało jej się, że Anisette siedzi na ścianie. Jej zmęczony umysł powoli dochodził do siebie. Okazało się, że spała na leżąco. Jej prawe ramię zupełnie zdrętwiało. Gdy wstała, poczuła w nim ostre ukłucie bólu.

– Udało mi się – powiedziała. – Tak! Udało się! Ale moja głowa jest jakaś ciężka, jakbym spała głębiej niż zwykle.

– Bo twój mózg jest ukrwiony, tak jak powinien. Wstawaj, zbierajmy się, zanim przyjdzie Wróżka.

Mijały tygodnie, a niebo nadal było przykryte ciemnym płaszczem chmur. W niektóre dni ta pokrywa była puszysta i białoszara, w inne zmieniała się w olbrzymie, kotłujące się kłęby, które wyglądały jak dym. Powietrze stało się chłodniejsze, deszcz bardziej zacinał, chmury nigdy nie znikwały. Jednak pod

tym niespokojnym niebem, na żwirowych i wyłożonych kamieniami alejkach, które wiły się po całej Akademii, Evie czuła się coraz bardziej jak w domu. Wyjawienie przyjaciółom sekretu uwolniło ją od jego ciężaru. Teraz łatwiej było jej się skupić. Jej mózg stał się chłonny jak gąbka i błyskawicznie przyswajał wiedzę. Porucznik Volf być może i był oschłym, szorstkim starszym mężczyzną, o nieświeżym oddechu i słabych nerwach, ale napisał fascynującą książkę o księżniczkach i wiedźmach. Evie przeczytała już kolejne dwa tomy – nad każdym spędzając niecały tydzień – po czym przeskoczyła do przodu, do jednej z późniejszych części. Podczas ćwiczeń w lochach Ciernistej Baszty Maggie opowiedziała jej o nowożytniej księżniczce zwanej księżniczką Middlemiss, jedynej jak dotąd kadetce, której udało się uciec z zamurowanej celi. Ta historia tak zafascynowała Evie, że koniecznie musiała dowiedzieć się więcej. Niesamowite było to, że ta księżniczka nadal żyła i gdzieś poza granicami Dortchen Wild walczyła z wiedźmami. Evie przeczytała całą książkę Volfa, po czym wróciła do początku i zaczęła od nowa, choć tym razem opuściła już część o dzieciach porwanych z łóżek, zabieranych nocami do lasu i ginących bez wieści. Te porwania wywoływały w niej taki smutek i złość, że nawet jeśli próbowała po nich czytać dalej, szybko orientowała się, że nic nie pamięta. Lubiła dowiadywać się o wyczynach wielkich księżniczek z przeszłości i zmianach w układzie sił, które prowadziły do wojen pomiędzy nimi a wiedźmami, ale dopiero poznanie historii prawdziwej osoby, która uczyła się w tych samych budynkach, co ona teraz, tylko kilka lat wcześniej, sprawiało, że wszystkie te historie wydały jej się bliższe i prawdziwsze. Według tego, co pisał Volf, Middlemiss była w Akademii niczym niewyróżniającą się kadetką, a nawet jedną z gorszych w swojej kompanii, ale w prawdziwym świecie okazała się jedną z lepszych – księżniczką, która sama doprowadziła do przepędzenia z nadmorskich królestw wiedźm z Jednobreżnego Morza. Jeśli Middlemiss potrafiła poradzić sobie w Akademii i znaleźć dla siebie miejsce w świecie, może ona – Evie – również mogła?

Rzadko widywała teraz Remingtona – jedynie w sali jadalnej – i była z tego zadowolona. Miała wrażenie, że gdyby widywała go częściej, tylko by ją rozpraszał, a naprawdę miała co robić, dzieląc czas pomiędzy leczenie pamięci, pracę nad balową suknią i próby sprostania fizycznym wymaganiom treningu.

Jednak teraz, gdy stała zaledwie kilka metrów od niego, zdała sobie sprawę

z tego, że tęskniła za tym łobuzerskim błyskiem w jego oczach. Chciała zerknąć na niego niepostrzeżenie, ale okazało się, że on już patrzył w jej kierunku; kąciki jego ust były lekko uniesione, jakby starał się stłumić uśmiech. Szybko odwróciła głowę.

– Teraz proszę wszystkich o uwagę – powiedziała Wróżka, unosząc się obok potężnego, brodatego kapitana Ramsbottoma. – To nie jest zabawa – dodała.

Kompanie Ironbone i Thrushbeard zebrały się w cieniu wąskiej, ośmiobocznej wieży zwanej Pniem Joringela. W pobliżu znajdowały się też inne, wyższe wieże, z których największa była Wieża Dapplegrima, tak zniszczona i pokruszona, jakby była kiedyś celem ataku jakiegoś olbrzyma. Niemniej jednak, gdy stało się u podstaw Pnia Joringela, także jego rozmiary robiły wrażenie. Zwłaszcza gdy na tle czarnych, wirujących chmur, na parapecie najwyższego okna pojawiła się drobna, ubrana w srebrną suknię postać. Ku przerażeniu obserwujących, postać ta nagle rzuciła się w dół. Przez dziedziniec galopował ku niej rycerz na koniu – kadet w srebrnym ubraniu i pasującej kolczudze. Galopował w półsiadzie, przechylony do przodu, by łatwiej ciąć powietrze. Gdy wydało się, że księżniczka zaraz roztrzaska się o bruk, koń z jeźdźcem dotarli pod wieżę i dziewczyna wylądowała bezpiecznie na grzbiecie zwierzęcia. Rycerze kompanii Thrushbeard zaczęli wiwatować na cześć pary, która – zrobiwszy jedno małe okrążenie – przykłusowała z powrotem.

– Tak właśnie wygląda ucieczka z wieży – powiedziała Wróżka. – Dziękuję, kadeci.

Rycerz i księżniczka skłonili się lekko i odjechali, znikając za wieżą.

– Taki rodzaj ucieczki wymaga oczywiście odpowiedniego zgrania czasowego i zaufania. Ale jeśli się tego nie nauczycie, może się zdarzyć, że większość waszego księżniczkowego życia spędzicie w wieży.

Wśród księżniczek dało się słyszeć nerwowe szepty.

– Spokojnie, żałosne tchórze. W razie czego mam ze sobą różdżkę. Ta para, którą oglądaliście w akcji, to kadeci ostatniego roku. Tylko oni są w stanie to zrobić bez asekuracji.

Evie zauważyła, że twarz Demetry stojącej obok Maggie poszarzała nagle, a jej wzrok powędrował na dół, zatrzymując się na samotnym kwiecie mleczu. *Coś się z nią ostatnio dzieje – pomyślała. – Muszę pamiętać, żeby spróbować z nią o tym porozmawiać w wolnej chwili.*

– Dziś będziecie pracować w parach.

Evie spojrzała na Remingtona. Odpowiedział uśmiechem i poruszył brwiami. Również się uśmiechnęła. Wówczas Malora zrobiła krok do przodu i stanęła pomiędzy nimi, przysłaniając im siebie nawzajem. Evie nie była pewna, czy był to przypadek, czy zrobiła to specjalnie, ale przypuszczała, że raczej to drugie.

Ku jej konsternacji, nie sparowano jej z Remingtonem, tylko z Forbesem. Sądząc po jego mało entuzjastycznej reakcji, on również niezbyt był z tego zadowolony. Wreszcie Evie i inne dziewczęta z kompanii Ironbone ruszyły za Demetrą i Maggie w górę krętych schodów, które zdawały się prowadzić aż do nieba.

– Dalej Demetro, nie ma się czego bać – mówiła Maggie. Jej głos dochodził do Evie odbity od kamiennych ścian klatki schodowej. Minęli małe okienko w kształcie brylantu, przez które Evie zauważyła kadetów stojących na dole. Już z tej wysokości wydawali się mali i odlegli, a miały jeszcze przed sobą bardzo wiele schodów do pokonania. Wreszcie dotarły na szczyt i weszły do pustej komnaty o strzelistych, łukowato zakończonych, panoramicznych oknach. Maggie pociągnęła za sobą Demetrę przez pustą drewnianą posadzkę do jednego z tych okien. Wychodziło na dziedziniec. Evie ruszyła za nimi. Pokój powoli wypełniał się innymi dziewczętami, które wyłaniały się jedna po drugiej z klatki schodowej, łapiąc oddech po wspinaczce.

– Patrzcie, jest mój rycerz! – krzyknęła Maggie, wskazując palcem jakiś punkt pod wieżą.

– Skacz, jak tylko będziesz gotowa, kadetko! – usłyszały stłumiony odległością głos Wróżki.

Maggie odwróciła się do Evie z szeroko otwartymi oczami i uśmiechem podekscytowania. Chwilę później już jej nie było.

– Maggie! – krzyknęła Demetra. Evie wychyliła się z okna, opierając się na wygładzonym deszczem kamiennym parapecie i zobaczyła poruszenie na dziedzińcu w dole, a chwilę później – wierzchowca, który z rozpędu wjechał na pobliskie pole, unosząc na swym grzbiecie Maggie i jej rycerza.

– Znakomicie, kadetko! – krzyknęła Wróżka. – Która następna? Niewielka grupa dziewcząt tłoczyła się jeszcze u szczytu schodów prowadzących na wieżę. Co jakiś czas dołączały do nich kolejne. Większość stała pochylona do przodu lub opierała się o ścianę, próbując złapać oddech. Żadna z dziewcząt stojących już na szczycie wieży nie śpieszyła się, by pójść w ślady

Maggie.

Evie odwróciła się do Demetry.

– Chyba nasza kolej.

– Czy szlachetnie urodzone dziewczęta nie powinny mieć pierwszeństwa? – zwróciła się Kelbra do Malory. Evie spojrzała za siebie, gotowa do walki. Ale Malora uśmiechnęła się tylko chytrze.

– Niech skaczą – powiedziała. – Nie będą nam się przynajmniej cisnąć za plecami.

Evie zmarszczyła gniewnie brwi, ale Malora zupełnie ją zignorowała.

– Idź pierwsza – powiedziała Demetra.

Evie spojrzała raz jeszcze na Malorę i postawiła stopę na parapecie. Zawahała się jednak, bo zauważyła coś dziwnego w oczach Demetry.

– Dobrze się czujesz? – spytała, schodząc z parapetu.

– Nie dam rady – odpowiedziała Demetra, wolno potrząsając głową. Jej usta drżały, a niebieskie oczy wypełniły się łzami.

– Ale o co chodzi?

– Nie dam rady. Wolę już, żeby mnie odesłali do domu.

– Demetra, posłuchaj, zamkniesz oczy, zrobisz krok do przodu i po chwili będzie po wszystkim – powiedziała Evie, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Zaufaj mi, skoczyłam z wyższego miejsca.

– Nie boję się upadku. Boję się konia.

– No dalej! Robi się tu tłoczno – poganiała Malora. Rzeczywiście coraz więcej dziewcząt docierało do szczytu wieży.

– Demetra... – Evie chwyciła przyjaciółkę za ramiona i spojrzała jej głęboko w oczy. – Co jest? – Co tam się dzieje? – krzyknęła z dołu Wróżka. – Mam tam wejść i powyrzucać was po kolei z tego okna?

– Powinnam dać sobie spokój – powiedziała Demetra, pociągając nosem.

– Ale dlaczego? Jesteś jedną z najlepszych...

– Ale nie jestem moją siostrą, prawda? Nigdy nią nie będę. Nie potrafię nawet wsiąść na głupiego konia. – Wzięła głęboki oddech i wyjrzała przez okno. W świetle słońca łatwiej dało się zauważyć cierpienie w jej oczach. – Kiedyś ciągle jeździłam konno. Ale raz mój koń mnie zrzucił. Nie pamiętam już dlaczego, ale pamiętam ten upadek. Nie mogłam oddychać. Chciałam krzyknąć, powiedzieć ojcu, że czuję, że umieram, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Czy ty naprawdę tu teraz płaczesz? – spytała z niedowierzaniem Malora.

Kelbra zaśmiała się, a wraz z nią kilka innych dziewcząt.

Evie rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

– Możesz przestać? Nie widzisz, że ona się boi?

Malora zacisnęła zęby. Widać było, że jest wściekła, ale nic już nie powiedziała.

– Ojciec podniósł mnie i wsadził z powrotem na siodło. Nadal nie mogłam oddychać, ale on powiedział, że mam przestać się mazgać i jechać dalej. Koń znowu mnie zrzucił i... – Demetra z trudem przełknęła ślinę, jakby przełykała jednocześnie to straszne wspomnienie, ale łzy nadal płynęły jej z oczu. – To spojrzenie mojej siostry... jakby to była moja wina...

– Zapomnij o swojej siostrze. Robisz to dla siebie. Nie da się przejść przez tę szkołę, nie stawiając czoła swoim lękom.

– Dziewczyny! Co się tam dzieje? Jedyne, czego od was wymagam, to to, żebyście SPADŁY!

– Wejdź na ten parapet i po prostu zrób to. Nic więcej. Zresztą nie możesz wrócić do domu. Co jeśli to ty jesteś Waleczną Księżniczką? – zapytała Evie z uśmiechem.

Demetra zaśmiała się i otarła łzy.

– Waleczna Księżniczka, która boi się koni? Już Bazyl ma większe szanse.

– Hej! – odezwał się Bazyl. – Ja tu jestem! Przez okno wpadł silniejszy podmuch wiatru.

– Dobrze – powiedziała Demetra z drżeniem. – Dobrze.

Chwyciła dłońmi obie strony okiennego łuku i stanęła na parapecie.

– Tam w dole jest twój rycerz – powiedziała Evie, wskazując chłopaka na koniu czekającego z boku dziedzińca. – A ten koń jest tam po to, żeby ocalić ci życie, rozumiesz?

Demetra pokiwała głową. Spojrzała na odległy horyzont, gdzie grafitowe chmury przecinały na pół Szklane Góry. Za chwilę już jej nie było.

W całym kampusie rozległy się jej przeszywające krzyki. Dziewczęta stojące za Evie, i tak już zdenerwowane koniecznością skoku ze szczytu wieży, poczuły się jeszcze bardziej niepewnie. W dole, obok wieży, Evie zauważyła furkoczące w powietrzu złote włosy i galopującego ku nim konia, a potem właścicielka tych włosów pogalopowała dalej w kierunku zielonej łąki.

– O to chodziło, kadetko! Może jednak was nie doceniłam, co? Kompanio Ironbone? Która następna?

Evie nie czekała na dalszy ciąg. Weszła na wygładzony kamień parapetu

i przykucnęła na nim. Wiatr hulał po całym pokoju. Jego podmuchy były tak silne, że prawie nie mogła utrzymać równowagi. Z tej wysokości pofałdowana powierzchnia Dortchen Wild wyglądała jak wzburzone zielone morze. Mogła nawet zauważyć lekkie zakrzywienie ziemi, gdy patrzyła z jednego końca świata na drugi. Zamknęła oczy, ignorując głosy imitujące chrupkanie świni i śmiech, który za sobą słyszała. Pozwoliła, by wiatr swobodnie owiewał jej twarz. Wyjęła łuskę smoka zza dekoltu sukni i przyłożyła ją do ust.

– Dla ciebie, ojczy – wyszeptwała. A potem wychyliła się w stronę pustej przestrzeni i runęła w dół.

Zbliżała się do ziemi, ale nie towarzyszyły temu żadne lęki, takie jak wtedy, gdy skoczyła z klifu. Było jakoś inaczej. Pozwoliła, aby wiatr uniósł jej ramiona po bokach ciała i poczuła silny zastrzyk adrenaliny. Mając zamknięte oczy, mogła sobie prawie wyobrazić, że leci. Była to rozkoszna lekkość, jakiej nigdy wcześniej nie odczuwała. I wiedziała, że to jest dobre... Coś zatrzymało ją tak gwałtownie, że jej głowa poleciała naprzód. *Nie trafiłam w konia* – pomyślała. – *Umarłam*. Spróbowała oddychać, ale udało jej się wciągać jedynie małe hausty powietrza. Otworzyła oczy i zobaczyła... trawę?

– CO TY, DO CHOLERY, ROBISZ? – wrzasnęła Wróżka tak głośno, że jej głos załamał się na koniec i przeszedł w chrypkę.

Stopniowo płuca Evie zaczęły pracować normalnie. Rozejrzała się i zobaczyła, że wisi jedynie kilka centymetrów nad ziemią, ocalona od strasznej śmierci przez magiczną moc różdżki Wróżki.

Ale dlaczego tu jest trawa, a nie bruk?

– CHCESZ SIĘ ZABIĆ? ODPOWIEDZ, KADETKO!

– Przepraszam, Wróżko. Nie wiem, co się stało – odparła Evie. Odkaslnęła i jej oddech zupełnie się unormował.

Wróżka machnęła różdżką i Evie opadła na ziemię. Gdy uklękła, by się podnieść, nagle zrozumiała. *Leciałam*.

Forbes siedział na swoim wierzchovcu niedaleko wieży, a na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie. Jakimś cudem go minęła. I nie tylko jego – cały dziedziniec, wylądowała dopiero na środku zielonego pola.

Niech Los będzie pochwalony, leciałam.

Podchwyciła zszokowane spojrzenia Maggie i Demetry.

– natychmiast wracaj na wieżę! będziesz tak biegać po schodach, PÓKI NIE KAŻĘ CI PRZESTAĆ. NIE BĘDĘ TOLEROWAĆ TEGO...

COKOLWIEK TO BYŁO... W MOJEJ KOMPANI!

Evie podniosła się na nogi. Jej mięśnie były osłabione i drżące. Zaczęła niepewnie biec z powrotem. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Z każdym kolejnym chwiejnym krokiem śmiała się coraz głośniejsze. Wrzaski Wróżki cichły w oddali.

Zrobiłam to, ojcze. Leciałam.

Gdy wbiegała przez drzwi wieży i zaczynała wspinać się znowu po krętych schodach, inni kadeci powoli wracali do przerwanej ćwiczenia. Evie biegnęła po schodach w górę i w dół ponad godzinę. A czuła się tak lekka i wolna, że mogłaby biegać i dwadzieścia razy dłużej.

Leciałam, ojcze. Jednak jestem twoją małą córeczką.



Evie siedziała na niskim murku, obok jednej z wielu baszt Akademii. Niedaleko rosły patykowate, bezlistne drzewa owocowe. Nieobrobiony kamień murku jeszcze był suchy, ale czarne chmury na niebie wisiały nisko, ciężkie od nadciągającego deszczu. Powietrze było tak chłodne, że gdy przewracając kolejną stronę książki, odetchnęła głęboko, z jej ust wydobyła się para. Spędziła ostatnio tyle czasu na czytaniu o Middlemiss i innych współczesnych księżniczkach, że zaniedbała naukę tego, co aktualnie robili na zajęciach. Nie miała jednak nic przeciwko temu, by teraz nadrobić zaległości. Historia, którą właśnie czytała, całkowicie ją pochłonęła. Opowiadała o doniosłym etapie historii księżniczek, kiedy to księżniczka Pennyroyal odkryła działanie odwagi. Była wówczas jedynie dwa lata starsza niż Evie teraz. Zła wiedźma napadła na jej wioskę i zabiła jej ukochanych dziadków, którzy zajmowali się nią od urodzenia. To wydarzenie obudziło w niej coś, co stłumiło lęk i pozwoliło jej stanąć oko w oko z wiedźmą. Uzbrojona jedynie w odwagę i wspomnienie swoich dziadków, Pennyroyal po raz pierwszy w historii przepędziła wiedźmę z królestwa. Był to najczystszy pokaz odwagi, o jakim Evie kiedykolwiek słyszała. Fakt, że czytała tę historię w Akademii Pennyroyal, czynił ją jeszcze cudowniejszą. Pogładziła ręką kamień, na którym siedziała, poprzerastany darnią i podniszczony wiekiem i działaniem żywiołów. Wszystko tu nabrało dla niej nowego znaczenia. Każdy kamień, każdy budynek, każde pojęcie związane

z Akademią brały swój początek w historii, którą czytała teraz...

– *Tom trzeci: Historia odwagi. Geneza.* Autor... Volf. Brzmi absolutnie strasznie.

Evie podniosła oczy i zobaczyła Remingtona. Miał na sobie czarną tunikę i czarny skórzany kaftan kompanii Thrushbeard. W zmatowiałej spiżowej pochwie spoczywającej na jego biodrze krył się miecz. Remington uśmiechał się do niej tym swoim półuśmiechem, a jego oczy błyszczały typowym dla niego rozbawieniem.

– Cześć – powiedziała.

– Nie jest ci tu trochę zimno? – zapytał, chuchając w dłonie. Zamknęła książkę, ale nic nie odpowiedziała. Jakoś brakowało jej słów. Może dlatego, że jeszcze przed chwilą była tak pogrążona w lekturze, a może chodziło o coś zupełnie innego.

– Chociaż z tego, co pamiętam... – powiedział, patrząc na odległy sztandar łopocący na wietrze – jesteś dość odporna na niskie temperatury, czego dowiodłaś podczas naszego pierwszego spotkania, kąpiąc się ze mną w lodowatej wodzie.

Evie zauważyła jakiś ruch na drodze niedaleko uschniętej jabłonki. Stały tam trzy pogrążone w rozmowie dziewczęta w szmaragdowych sukienkach. Drżały z zimna, ale udawały, że tak nie jest. Remington podążył za wzrokiem Evie i też je zauważył.

– Niech to... – Potrząsnął głową. – Jak tam, dziewczęta? – zawołał. Rozbiegły się, upokorzone tym, że je zobaczył. – Co jest z wami nie tak? Mam na myśli dziewczyny. Najwyraźniej wydaje im się, że jeśli tylko będą się wokół mnie czaić i wprawiać mnie w zakłopotanie, na pewno zostanę ich partnerem podczas Wielkiego Balu.

– Może boją się, że porwie cię jakaś wiedźma i chcą być blisko, żeby w razie czego móc cię uratować – powiedziała Evie i zaraz opuściła głowę. Chciała, żeby to zabrzmiało kokieteryjnie, ale zaraz zdała sobie sprawę z tego, że nie wie, jak się to robi. Jego śmiech rozwiął jednak jej wątpliwości.

– Ach tak? Dobra. Zobaczmy jeszcze, kto tu kogo ratuje.

Przez chwilę patrzyli sobie w milczeniu w oczy. Trwało to może sekundę, może dwie, ale wystarczyło, by zdarzyło się między nimi coś niezwykłego. Jego pewność siebie opadła jak maska, pod którą Evie zobaczyła zupełnie inną twarz.

– Poza tym, ja nie zajmuję się już wiedźmami – powiedział, niezdarnie

próbując odzyskać swoją oficjalną twarz. – Teraz moim celem są smoki.

Wzdrygnęła się i wyprostowała nieco. – Skoro już o tym wspominasz... – powiedziała. – Zdaje się, że jesteś mi winny przeprosiny.

– Naprawdę?

– Okłamałeś mnie przy naszym pierwszym spotkaniu. Powiedziałeś, że nie jesteś rycerzem.

Rozejrzał się niepewnie wokół, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, gdzie jest.

– A to my nie jesteśmy w szkole, w której uczymy się na księżniczki i rycerzy? Ktoś musiał mnie wprowadzić w błąd.

– Słyszałam, że... – słowa nie chciały jej przejść przez gardło – zabiłeś już smoka.

– Kto ci to powiedział? – jego twarz pociemniała. – To jakaś stugębna plotka. Nie, moja pani, nie zabiłem smoka ani olbrzyma, ani tygrysa, ani nawet węża morskiego.

Przyglądała mu się, szukając w jego twarzy potwierdzenia, że to, co mówi, jest prawdą. Wydawał się szczerze zdenerwowany tą plotką. Czy rzeczywiście nie była prawdziwa? Stali tak przez chwilę i żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Ciszę przerwało uderzenie dzwonu gdzieś w głębi kampusu.

– Dzwonią na spóźnionych kadetów – powiedział, oczy mu rozbłyły, a na wargi powrócił zwyczajowy półuśmiech. – Postaraj się tu nie zamarznąć. Nie po to cię ratowałem przed wiedźmą, żebyś teraz zaziębiła się na śmierć.

Uniósł ciemne brwi i już go nie było. Evie patrzyła, jak odchodził, a jej twarz powoli rozjaśniał uśmiech. Jeśli Maggie nie miała racji i on naprawdę nie zabił żadnego smoka, to może...

Jej uśmiech powoli rozkwitał, gdy przypominała sobie poszczególne fragmenty ich rozmowy i te trzy dziewczyny, które uciekły, gdy je zauważył. Wreszcie roześmiała się głośno.

Tego wieczora w sali jadalnej złapała się na tym, że cały czas zerka w jego kierunku. O ile świadomie nie zmuszała się do tego, by słuchać rozmowy przyjaciół – a dziś tematem był biały niedźwiedź śnieżny, przy czym wszyscy twierdzili, że nie istnieje i jedynie Maggie przekonywała, że mieszka na południu – jej oczy stale uciekały w jego kierunku.

Przez kilka następnych dni stale wracała myślami do ich spotkania przy murze. Jednak nie zabił smoka. A jeśli tak, mógł się pojawiać w jej myślach podczas posiłków, ćwiczeń, lekcji i wizyt w szpitalu. I w przeciwieństwie

do nieprzyjemnej dekoncentracji, którą myśli o nim powodowały w pierwszych tygodniach pobytu w Akademii, tym razem było to całkiem miłe.

Anisette kierowała na temat rycerzy wiele nocnych rozmów. Ona i Maggie zdawały się czerpać szczególną przyjemność z drażnienia się z Evie na tematy związane z Remingtonem. Bazyl zwykle w takich sytuacjach wychodził z baraku i szedł do swojego magazynu. Ale sama Evie nie mówiła głośno o swoich uczuciach i zbywała śmiechem zaczepki przyjaciółek.

Nadal się uśmiechała, gdy wraz ze swoją kompanią szła za Wróżką w górę mokrej od deszczu ścieżki do zbrojowni – brązowego budynku w kształcie kopuły, który wyglądał jak ogromna przewrócona tarcza o lśniącej od deszczu powierzchni.

– Do środka – rozkazała Wróżka, która zdawała się być dzisiaj w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle.

Strumień kadetek wlał się przez obite żelazem drzwi do wielkiej okrągłej sali z niskim, półkolistym sufitem. Na ścianach wisiały wszelkie możliwe rodzaje zbroi i broni bliskiego kontaktu. Włócznie i piki, miecze, buzdygany i tarcze. Zatknięte na ścianach chorągwie Pennyroyal spływały w dół, oddzielając od siebie różne rodzaje broni. Na samym środku zbrojowni znajdowała się niewielka arena do walki, o nierównej powierzchni z kamieni i kawałków skał, noszącej ślady uderzeń.

– Będziemy walczyć! – zawołała Anisette, gdy kadetki chodziły po sali, oglądając broń. Ona i Bazyl spierali się o to, czy lepsze są miecze jednoręczne, czy dwuręczne.

Evie zatrzymała się w drzwiach. Coś w tym pokoju ją zaniepokoiło. Były to dwa duże posągi – jeden wysoki na jakieś trzy metry, drugi o połowę niższy. Stały pod wąskim, wysokim oknem. Mniejszy z tych posągów przedstawiał dziewczynkę bawiącą się z żabką. Na jej twarzy malowała się wyryta w kamieniu dziecięca niewinność i zachwyt nad światem. Większy z posągów przedstawiał zgarbioną, okrytą płaszczem wiedźmę. Posągi były ustawione wobec siebie w taki sposób, że dziewczynka nie widziała wiedźmy; stała odwrócona do niej plecami, w błogiej nieświadomości tego, co stało się za nią czai.

– Zbierzcie się wszystkie tutaj, dziewczęta – powiedziała Wróżka. Lśniący pył z jej skrzydeł opadał na drewnianą poręcz otaczającą arenę, przetrwaną w kilku miejscach, aby walczący mogli wejść i wyjść.

– Dobrze. Hessekel, Gisela. Podejdźcie tutaj, proszę.

Nikt nie wystąpił. Dziewczęta rozejrzały się skonsternowane.

– Tak. Dobrze widzicie. Nie ma ich. Zostały wydalone wczoraj wieczorem.

Wszystkie kadetki były wyraźnie zszokowane. Evie była w parze z Hessekel podczas ćwiczeń w poruszaniu się po zaklętym lesie, które odbyły się miesiąc temu. Od tego czasu nie rozmawiały. Giseli nie znała wcale. Niemniej jednak były to dziewczęta z ich kompanii i zostały wyrzucone.

– Wielki Bal może wygrać tylko jedna – powiedziała Wróżka. – Reszta z was będzie musiała przejść przez zadanie Bezradnej Niewiasty.

– Zaplotła ramiona za plecami i zaczęła kołysać się w powietrzu w przód i w tył. – Czas zająć się na poważnie waszym przygotowaniem. Świat wokół nas rozpada się na kawałki. Pamiętacie Marburg? Tam, gdzie się po raz pierwszy spotkałyśmy? Wiedźmy już tam dotarły.

Kilka dziewcząt wydało z siebie zduszone okrzyki. Demetra wykrzyknęła „Nie!”. Evie natychmiast pomyślała o tych trzech małych dziewczynkach tańczących na ulicy i ich radosnych twarzach. Co stało się teraz z tą radością?

– Wiedźmom będzie bardzo trudno zająć cały Marburg – stacjonująca tam księżniczka Gabriela jest jednym z naszych najlepszych ludzi. Jednak sam fakt, że tam są, jest niepokojący. Dlatego dziś tu przyszliśmy. Chcę dać wam przedsmak tego, co czeka was na drugim roku. Chcę wam przypomnieć, o co tu w ogóle chodzi.

Evie wciąż miała przed oczami trzy radosne dziewczynki wirujące coraz szybciej do muzyki skrzypka.

– Co w pierwszej kolejności może zrobić księżniczka, gdy zobaczy wiedźmę?

– Ukryć się – odpowiedziało kilka kadetek. Nawet chórem ich głos zabrzmiał ponuro.

– A jeśli już została zauważona? Małe dziewczynki zniknęły. Zamiast nich w umyśle Evie zapłonęły żółte przekrwione oczy. *Jeśli została zauważona, jest już za późno.*

– Co byście wybrały? Miecz? – Wróżka machnęła różdżką i ciężki obosieczny miecz przeleciał przez cały pokój. Gdy wbił się w przeciwległą ścianę, z ostrza posypały się iskry. Jeszcze przez chwilę rękojeść drżała od uderzenia.

– Może kopię? Może buzdygan?

Ruchem różdżki poderwała do lotu drewnianą włócznię i kiścień. Maggie spojrzała na Evie. Nawet ona wyglądała na przestraszoną.

– Każda szanująca się wiedźma ma do dyspozycji magię potężniejszą od mojej. Cała ta broń – Wróżka zrobiła ruch ręką, dając im do zrozumienia, że ma na myśli naprawdę wszystkie zgromadzone tu rodzaje oręża – jest bezużyteczna. Bitwy, które przyjdzie wam stoczyć, nie rozegrają się w miastach i wsiach, ale tutaj – uderzyła się w pierś zaciśniętą pięścią. – A wasza broń jest z wami od dnia narodzin. Wiedźma walczy strachem. Jej celem jest napełnienie strachem waszych serc, zanim wam je wyrwie. Chyba że postanowi zamienić was w kamień. Jeśli to zdaje się być mniej przerażającą opcją, zapewniam was, że tak nie jest. Skóra twardnieje. Krew przestaje płynąć. Ciało kamienieje, ale umysł nie.

Poza słowami Wróżki w przestronnej zbrojowni dało się słyszeć jedynie monotonne dudnienie deszczu. Żadna z dziewcząt nie poruszyła się. Większość wpatrywała się w broń, którą Wróżka porozrzucała po podłodze.

– Wiedźma wykorzystuje strach, ale my też. Bo nie ma niczego, czego bałaby się bardziej niż miłości.

Wróżka powoli przelatowała pomiędzy dziewczętami, patrząc w oczy tej, którą akurat miała przed sobą.

– Wobec miłości wiedźma jest bezradna. Na tym polega magia Księżniczki Tarczy. To jest broń, dzięki której może pokonać wiedźmę. Wygra ta, która bardziej zdoła przstraszyć przeciwniczkę. Na tym polega ta gra.

Wróżka skierowała swoją różdżkę na stojące pod oknem posągi. Zamachała nią i kamienne postacie zaczęły z hukiem przesuwac się po podłodze w kierunku areny. Kilka dziewcząt krzyknęło i zasłoniło uszy, by nie słyszeć okropnego tarcia kamienia o kamień. Wreszcie posągi dotarły do środka areny i straszny dźwięk ustał, choć jeszcze przez chwilę odbijał się echem od ścian.

– Te posągi zostały stworzone jako symulacja rzeczywistości. Nasza wiedźma-dysydentka pomogła nam je zaprojektować i zaczarowała je, by wydawały się prawdziwsze. Każda z was, która wejdzie do tego kręgu, musi pamiętać tylko o dwóch rzeczach: tarczą jest współczucie, bronią – odwaga. Jeśli któraś nie da rady sięgnąć po te narzędzia, odczuje działanie narzędzi wiedźmy. Trzeba znać siebie i sobie ufać. No dalej, dziewczęta, przekonajmy się, co w was siedzi.

Evie przyjrzała się uważniej złośliwemu uśmiechowi wiedźmy. Jej szeroko otwarte oczy wygłodniałe patrzyły na niewinną dziewczynkę.

– Kadetka Magdalena wystąp!

Maggie przeszła przez przerwę w balustradzie i weszła do kręgu. Podłoga

areny schodziła nieco w dół ku środkowi, jak bardzo płytka misa. W najpłytszym miejscu stały posągi.

– Boisz się, kadetko?

– Tak, Wróżko.

– Poczekaj, aż staniesz oko w oko z ponadtrzymetrową wiedźmą. Spróbuj znaleźć w sobie odwagę, by stawić jej czoła – powiedziała i znowu zamachała różdżką. Posągi poruszyły się, wzbudzając nad sobą małe obłoczki kurzu. Powrócił okropny hałas kamienia trącego o kamień.

– Postaraj się, kadetko! – wrzasnęła Wróżka, przekrzykując hałas. Posągi poruszały się powoli, jakby były zanurzone w ruchomych piaskach. Z miejsca, w którym stała, Evie widziała większość prawego profilu Maggie. I widziała malujący się na nim strach.

– Odwaga nie lubi zwątpienia! – krzyczała Wróżka.

Maggie stała sama przed poruszającymi się posągami. Nie ruszała się, jedynie wpatrywała w rozwijającą się przed jej oczami scenę. Wiedźma cofnęła ramiona i płaszcz powoli ześlizgnął się do jej stóp. Mała dziewczynka wyciągnęła delikatną rączkę, by pogłaskać żabkę.

– Jakie uczucia budzi w tobie ta dziewczynka? Czy twoje serce ściska się na myśl o tym, co na nią czyha?

Dziewczynka boleśnie długo odwracała głowę. Gdy zauważyła wiedźmę, blask w jej oczach ustąpił miejsca absolutnej grozie. Rozległ się jej przerażony krzyk. Tymczasem wiedźma uniosła swoje kościste ręce. Jej oczy i usta rozszerzyły się jeszcze bardziej, aż twarz zmieniła się w zniekształconą, straszliwą maskę. Dreszcz strachu przeszedł Evie od stóp do głów. *A nawet nie stoję w kręgu.*

– Teraz czas sięgnąć po broń, kadetko – powiedziała Wróżka. Maggie zamknęła oczy i zapadła się w sobie. Jej opuszczone po bokach ciała ręce drżały. Mocno zacisnęła powieki. Inne kadetki patrzyły jedna na drugą, w przerażeniu i niepewności oczekując na to, co się dalej wydarzy. Bo było jasne jak słońce, że w kręgu coś się działo...

Dziwna poświata zamigotała w powietrzu przy piersi Maggie. Była słaba i nieokreślona, ale mimo wszystko wyraźna.

– O to chodzi, kadetko! O to właśnie chodzi!

Słabe światło robiło się coraz bardziej intensywne, jakby wzmacniało je każde uderzenie serca Maggie. Kadetki patrzyły na to z podziwem, z szeroko otwartymi oczami obserwując, jak poświata przed Maggie rozwija się

w świetlisty kwiat, którego płatki unoszą się w powietrzu niczym rozgwieżdżone meduzy.

– O to chodzi, dziewczęta! To jest odwaga! – zawołała Wróżka. Szczęki Maggie drżały, zaciśnięte powieki pobieleły. Magia księżniczki falowała w powietrzu. Wiedźma odwróciła swój nienawistny wzrok od dziewczynki i skierowała go na Maggie, uśmiechając się krwiożerczo, po czym z całą siłą skierowała przeciwko niej swoją czarną magię. Dziewczyna zadrżała. Wiedźma wlewała w jej serce nieprzebrane morze najstraszniejszej grozy.

– To jej broń. Cierpienie... rozpacz... jedynie współczucie może im przeciwdziałać! Patrz na dziewczynkę!

Całe ciało Maggie drżało od nadludzkiego wysiłku. Falujący przed nią świetlisty kwiat zaczął rozprzestrzeniać się na boki, jak deszcz albo śnieg. Był coraz słabiej widoczny. Maggie otworzyła oczy, żeby skupić się na dziewczynce. Po policzkach płynęły jej łzy. Było już za późno. Krzyknęła z bólu i upadła do tyłu. Nie wstając, przesuwała się w stronę brzegu kręgu, aż poczuła za plecami jeden ze słupków podtrzymujących obręcz. Wtedy podciągnęła do siebie kolana i mocno objęła nogi. Wróżka zamachała różdżką i okropny hałas ścierających się kamieni umilkł.

– Współczucie i odwaga to jedyna broń, jaką dysponujecie w walce z wiedźmą – powiedziała Wróżka. – Na waszym miejscu wzięłabym to sobie do serca. Hessekel i Gisela tego nie zrobiły. Jak wam się podobało to, co zobaczyłyście? To zaledwie cząstka tego, na co stać prawdziwą wiedźmę. Czas przestać się obijać, moje panie, i naprawdę zabrać się do pracy.

Demetra pomogła Maggie wstać. Evie była tak roztrzęsiona, że nie była nawet w stanie dołączyć do chóru dziewcząt mówiących: „Tak, Wróżko”. Jeśli dobra, życzliwa Maggie tak przeżyła symulację, jaką szansę w starciu z prawdziwą wiedźmą mogła mieć ona sama? Cały postęp, jaki zrobiła od momentu przybycia do Akademii, wydawał się teraz mizerny. Czy wystarczyłby, by stawić czoła tym przeszywającym żółtym oczom? Czy może poległaby, jak obrońcy tych wszystkich zajętych przez wiedźmy królestw?



– Księżniczka kadetka Magdalena! – krzyknęła Beatrycze.

Rozległ się radosny aplauz, który wyrwał Evie z zadumy. Była w sali królewskiej. Maggie chwyciła ją za ramię, jej oczy były wielkie jak dwa słońca.

– Wyczytała mnie... ale przecież tam są tylko szlachetnie urodzone...

Inne kadetki zaczęły jej gratulować i wskazywać drogę pomiędzy rzędami w kierunku głównej nawy. Dopiero gdy Maggie poszła, Evie olśniło, że jej przyjaciółka została właśnie wybrana, by wziąć udział w Wielkim Balu. Nie od razu zrozumiała, co się stało, bo myślami była daleko. Ciągle analizowała to, co się wydarzyło w zbrojowni. Myślała o odwadze. I jej braku.

Wszyscy kadeci pierwszego roku zebrali się, by wysłuchać ogłoszenia nazwisk zawodników wybranych, by wziąć udział w Wielkim Balu. Czterdziestu kadetów – po dziesięciu z każdej kompanii – stało na podeście w ubłoconych po ćwiczeniach uniformach. Beatrycze wyczytywała nazwiska księżniczek, które miały im towarzyszyć na balu. Zostały wybrane przez niewielką komisję składającą się z nauczycieli i opiekunów kompanii w nagrodę za poczynione do tej pory wysiłki i postępy w nauce. Każda z nich dostawała jednocześnie szansę na zdobycie upragnionego wstępu na drugi rok w Akademii bez zdania końcowego egzaminu – Bezradnej Niewiasty. Jedna po drugiej uszczęśliwione dziewczęta, których nazwiska wyczytano, wstawały ze swoich miejsc i wstępowały na podium.

Gdy Evie zobaczyła idącą w tamtym kierunku Maggie, której rude loki

podskakiwały rytmicznie z każdym krokiem, a drżące dłonie unosiły się do ust, poczuła ukłucie żalu, że była zbyt roztargniona, by jej pogratulować. Aplauz i gwizdy – dochodzące głównie od strony kompanii Ironbone – zaczęły powoli cichnąć. Maggie zajęła miejsce obok swojego partnera, kadeta Stanischilda. Był to postawny chłopak o ramionach tak potężnych, że czarna tunika ciasno się na nich opinała, ale w tym momencie sprawiał wrażenie zupełnie przerażonego. Evie spojrzała na podium, jakby właśnie obudziła się ze snu, co w pewnym sensie było prawdą. Każdy z kadetów miał już swoją partnerkę. Na samym końcu tylko jeden stał samotnie. Miał na sobie czarny strój kompanii Thrushbeard. Z rozbawionym półuśmiechem na ustach i wzrokiem wbitym w sufit wyglądał, jakby walczył ze sobą, żeby nie parsknąć śmiechem. Dziewczęta ze wszystkich kompanii pochyliły się odrobinę do przodu, niecierpliwie oczekując słów, które miały później zostać zacytowane w tysiącu listów do domu, jakby fakt, że jakaś dziewczyna została wybrana na jego partnerkę podczas Wielkiego Balu i mogła pomaszerować w dół tej nawy, by stanąć u jego boku, był jedynie wstępem do innego marszu, wzdłuż innej nawy, prowadzącej do małżeństwa.

Evie przebiegła wzrokiem po ubranych w niebieskie suknie dziewczętach i dostrzegła Malorę, siedzącą kilka rzędów z tyłu, wygodnie odchyloną na oparciu krzesła, z jedną nogą elegancko założoną na drugą. Była spokojna i pogodna, jak kot, który wie, że zaraz dostanie rybę. Na jej twarzy malowała się zapowiedź uśmiechu.

Niech to będzie ktokolwiek, tylko nie ona.

Księżniczka Beatrycze powróciła na mównicę.

– Ostatnią zawodniczką tegorocznego Wielkiego Balu jest kadetka... – zawiesiła głos, biorąc złocistą kartę od jednego z miniaturowych asystentów Rumpelszwacza, ubranego w stylowy garnitur w kolorze karminowego różu – kadetka z kompanii Ironbone, której towarzyszyć będzie kadet Remington z kompanii Thrushbeard... księżniczka kadetka Bazyl.

W sali rozległ się pomruk zakłopotania. Evie poszukała wzrokiem Bazyla, który siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami i z wyrazem wielkiej irytacji na twarzy.

Beatrycze, zaskoczona reakcją tłumu, dopiero po chwili zrozumiała, co właśnie powiedziała. Jeszcze raz zerknęła na kartę, po czym ofuknęła ostro nieszczęsnego trolla, który wyciągał przed siebie ręce, próbując tym bezradnym gestem pokazać, że to nie była jego wina. Evie spojrzała

na Malorę, która siedziała teraz zeszywniała na brzegu krzesła, rozpaczliwie rozglądając się po sali w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby naprawić tę straszną niesprawiedliwość. Księżniczka Hazelbranch podeszła śpiesznie do Beatrycze i szepnęła jej coś do ucha. Rektorka spojrzała po sali z wyrazem gniewnego wyrzutu na twarzy i uniosła ręce gestem nakazującym ciszę. Oczywiście Evie i Remingtona spotkały się na chwilę i Remington mrugnął do niej leciutko. Nie wiedziała, co to mrugnięcie ma oznaczać, ale jej policzki oblały rumieniec.

– Wygląda na to, że wkradł się jakiś błąd – powiedziała Beatrycze. Evie nie odwróciła się, ale mogła sobie wyobrazić zadowolenie na twarzy Malory.
– Ostatnią zawodniczką oczywiście nie jest kadet Bazyl. Jest nią kadetka Jedenasta.

Rozległy się niemrawe oklaski. Wszystkie twarze zwróciły się w kierunku Evie, która niemal zapomniała, że to ona jest kadetką Jedenastą. Anisette podniosła ją z krzesła i wyprowadziła z rzędu.

– Dalej, Evie! Wybrali cię!

Dziewczyny z kompanii Ironbone klaskały i skandowały jej imię, pomagając jej przejść w kierunku głównej nawy. Dopiero gdy już tam stała i miała pomiędzy sobą a Remingtonem jedynie księżniczkę Beatrycze, która znowu zaczęła rugać biednego trolla, zrozumiała, co się stało. Ona, nie Malora, będzie towarzyszyć Remingtonowi podczas Wielkiego Balu.

Zacząła iść w kierunku podium, odprowadzana spojrzeniami kadetów i kadetek. Gdy weszła po schodkach, Hazelbranch skinęła na nią z wyrazem dumy na twarzy. Po raz pierwszy od swojego przybycia do Akademii Evie czuła się swobodnie z tym, że wszyscy na nią patrzą. Minęła Maggie, która uśmiechnęła się do niej uszczęśliwiona, i stanęła obok Remingtona.

– Żal mi twojego kolegi, ale nie było innego wyjścia – powiedział miękko.

– O czym ty mówisz?

– O Bazylu. Strasznie mnie męczą takie formalności. Musiałem coś z tym zrobić. Odwróciła się do niego i zobaczyła wyjątkowo wyraźnie łobuzerski błysk w jego oczach.

– To ty zamieniłeś imiona? Ale jak?

– Tajemnica – wyszeptał.

Znowu przemówiła Beatrycze, uciszając tłum.

– Zwycięzcy i zwycięzca Wielkiego Balu przynoszą wielki zaszczyt swoim kompaniom. Zdobędą także trofeum, które obecnie jest w posiadaniu

kompanii Stonewitch.

Dziewczęta z kompani Stonewitch zawiwatowały.

– Kadeci i kadetki – kontynuowała Beatrycze, nadal ze złością spoglądając na miniaturowego trolla. – To są wasi zawodnicy.

Królewska sala zagrziała aplauzem tłumu. Dziewczęta skandowały imiona swoich szczęśliwych koleżanek, które zostały wybrane. Pierwsze kilka rzędów kadetów i kadetek wstało, aż wreszcie do owacji dołączyła się cała reszta uczniów pierwszego roku. W obliczu tak masowej aprobaty Evie poczuła, że ma gęsią skórkę. Nie musiała już zbierać się na odwagę. Zapomniała, że była kiedyś dziwaczką ubraną w pajęczą sieć, która leczyła się na klątwę niepamięci. *Wreszcie czuję, że tu pasuję...*

– TO NIESPRAWIEDLIWE! – rozległ się pełen jadowitej pasji wrzask. Krzyk był tak głośny, że przedarł się przez ogólną wrzawę i oklaski. – ONA JEST NIKIM!

Oklaski ucichły. Wszyscy odwrócili głowy w poszukiwaniu osoby, do której należał ten głos. Błękitne sukienki kompanii Ironbone rozstąpiły się, odsłaniając Malorę.

– ONA NIE MA PRAWA STAĆ TAM Z NIM! – jęknęła dziewczyna, przyciskając dłonie do piersi. Jej twarz była wykrzywiona od gniewu, a po policzkach spływały łzy. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– ONA W OGÓLE NIE MA PRAWA TU BYĆ! TO ZWYKŁA WIEŚNIACZKA I WARIATKA!

– WYSTARCZY! – zagrziała księżniczka Beatrycze.

– To ja... ja... – płakała Malora, ale jej gniew już osłabł.

– POWIEDZIAŁAM WYSTARCZY! Powietrze w Sali Królewskiej było gęste od napięcia. Mimo że wszyscy patrzyli na Malorę, próbując zrozumieć jej szokujący wybuch, Evie nigdy jeszcze nie czuła się tak upokorzona. Jej budząca się pewność siebie została zmieciona jak zamek z piasku zabrany falą przyływu. Powoli oczy wszystkich zaczęły zwracać się w jej kierunku, jakby kadetki i kadeci szukali potwierdzenia tego, co właśnie o niej usłyszeli. Dziewczyna, która była smokiem, a potem człowiekiem, teraz stała się czymś jeszcze innym – podczłowiekiem. Obiektem żartów. Wariatką.

Po sali nadal niosły się szlochy Malory. Evie poczuła falę gorąca, która rozszerzała się od klątki piersiowej w górę, obejmując jej szyję i twarz, jak płomień pochłaniające budynek. Nie mogła się ruszyć.

– Zatem... – podjęła znowu Beatrycze, ale jej głos brzmiał niepewnie,

jakby nawet ona była nieco wstrząśnięta tym wybuchem. – O czym to mówiliśmy...

Gdy Beatrycze odczytywała zasady oceniania zawodników podczas Wielkiego Balu, Evie rozglądała się po sali. Wszystkie oczy były zwrócone na nią. W niektórych dostrzegała współczucie, w innych rozbawienie. Niektóre osoby patrzyły na nią, szepcząc coś jednocześnie do swoich sąsiadów, a z wyrazu ich twarzy można się było domyślić, że nie są to miłe rzeczy.

– Nie myśl o tym – powiedział Remington, pochylając się do niej tak blisko, że czuła jego oddech na szyi. – Zapomną...

Dwoma długimi susami zeskoczyła z podestu i rzuciła się biegiem wzdłuż nawy w kierunku wyjścia z sali.

– Evie! – krzyknął za nią Remington, ale jej już nie było.

Echo uderzających szybko o posadzkę stóp unosiło się jeszcze w rotundzie, gdy wybiegła z zamku Pennyroyal. Przebiegła obok fontanny i stojącego pośrodku niej posągu księżniczki i biegła dalej w dół pagórka przez kiwające się na wietrze trawy. Zanim ktokolwiek zdążył zbiec ze wzgórza, przeskoczyła już przez wałący się murek. Zanim ktokolwiek dobiegł do brzegów polany, ona zniknęła już w gęstych, zielonych cieniach Dortchen Wild, ryzykując spotkanie z wszystkimi strasznymi rzeczami, które mogły na nią czyhać poza ochronnym działaniem muru.

Biegła i biegła. Jej stopy raz po raz uderzały o rdzawy dywan z dębowych liści. Biegła przez niskie czerwone kwiaty martwych pokrzyw w dół zielonej doliny. Biegła, ale jej serce nadal trwało zamarłe w Sali Królewskiej, uwięzione w tej chwili potwornego upokorzenia. Czuła, jakby po jej ciele wędrowały robaki, i biegła, by strząsnąć z siebie to wrażenie. Biegła przez pagórki i szumiące strumienie, przez białe kaliny i gęsto rosnące aronie. Włochate ramiona buków kołysały się nad nią poruszane powiewami wiatru, a niebo zmieniało się i ciemniało, przechodząc od jasnej morskiej szarości w złowrogi odcień ciemnego, świeżego dymu. Biegła przez chłoszczące jej ręce szalenie, aż paprocie stały się tak gęste, że nie widać było ziemi pod nimi.

Jeśli ludzie tak traktują się nawzajem, to już wolę być smokiem.

Biegła, aż paliły ją płuca, a ubranie nasiąkło białą mgłą. Minęły już całe godziny, odkąd uciekła z Akademii i jej bieg przerodził się w mozolny marsz. Wreszcie zatrzymała się, a jej zmęczonym ciałem zaczął wstrząsać szloch. Mimo że zostawiła Salę Królewską daleko za sobą, nie udało jej się zostawić

w niej tego, od czego uciekała. Nagle powietrze przeszył głośny trzask. Uskoczyła, by uniknąć uderzenia gałęzi, która jednak zdołała podciąć jej nogę. Evie potoczyła się po ściółce. Kora gałęzi rozcięła jej ubranie i do krwi zadrapała łydkę. Przyptyw adrenaliny sprawił, że Evie nawet nie poczuła bólu. Wstała i podbiegła do pnia drzewa, gdzie jego gałęzie nie mogły jej sięgnąć. *Co ja zrobiłam?*

Starła mgłę z oczu i rozejrzała się po mrocznym lesie. Gdziekolwiek spojrziała – wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Ściany drzew, których korzenie kładły się na ziemi jak pajęczne nogi, zdradliwe paprocie porastające wąwozy, kamienie. Szukając jakiejś wskazówki co do kierunków, spojrziała w niebo, ale nawet te niewielkie jego skrawki, które dawały się dostrzec przez gęste korony drzew, były już ciemne od zmroku. Zapуściła się w las, który Wróżka nazwała najniebezpieczniejszym lasem w kraju. Była zgubiona.

– Nie, nie, nie... – powtarzała; zrobiło się zimno i z jej ust wydobywała się biała para.

Usłyszała trzask gałązki w oddali. Omiotła wzrokiem puste przestrzenie pomiędzy drzewami, ale zobaczyła jedynie gęstniejącą ciemność. Upadła na kolana i skuliła się przy pniu, próbując stać się tak małą, jak to tylko możliwe. Jej serce waliło jak oszalałe. *Jeśli cię znajdzie, nie patrz jej w oczy, nie pozwól, by zauważyła twój strach. Inaczej umrzesz, umrzesz...*

Wiedziała, że to musi być wiedźma. Nagle wszystko, czego się uczyła przez ostatnie tygodnie, wyparowało. Nadal była tą samą przerażoną dziewczyną, co wtedy w chacie, pod stołem z maszyną do robienia cukierków.

Z ciemności doszedł zimny, odległy rechot, który zdusił w niej ostatnią iskierkę nadziei. Po chwili ją zobaczyła. Szła w dół wzgórza, kiwając się na boki – szczelnie zasłonięta postać, kołysząca się w mrocznej zieleni lasu. Evie była jak sparaliżowana, niezdolna nawet mrugnąć okiem. Kątem oka zauważyła inny ruch po lewej stronie. Spojrzała tam przerażona i zobaczyła kolejną postać, tak samo bezkształtną i skuloną jak ta pierwsza, mozolnie maszerująca wśród drzew. Ona też rechotała. Był to nieprzyjemny śmiech, w którym czaiła się groźba.

– Zgubiłaś się, maleńka? – zapytała pierwsza głosem miłej staruszki. Dobrotliwej staruszki ze śladami krwi na rękach.

– Co ja widzę – powiedziała druga. – Toż to dziewczyna z Akademii.

Wiedźmy były teraz na tyle blisko, że mimo mroku Evie widziała ich bladożółte oczy i kolce zębów, które szczerzyły w szczerbatych uśmiechach.

– Niech Losowi będą dzięki!

Głos należał do jeszcze innej, trzeciej wiedźmy. Evie zatoczyła się, patrząc w panice po wszystkich trzech.

– Calivigne dobrze nas za to wynagrodzi.

Wiedźmy zbliżyły się jeszcze bardziej, z każdym swoim chwiejnym krokiem wzbudzając w Evie jeszcze większą panikę. Czuła się, jakby była o krok od utonięcia. Wszystko – las, wiedźmy, nawet jej własne dłonie – wydawało się teraz oddalać, jakby spadała z zawrotną prędkością w głąb studni. Czuła cierpki zapach mokrej, zatęchłej ziemi, widziała spękania i strupy na ustach wiedźm.

Potem nie widziała już niczego.

Z ciemności wyłoniła się nad nią nieznana twarz, ale była początkowo tylko słabą aureolą światła. Evie nie mogła odróżnić rysów twarzy, ale wydawała się młoda. Z pewnością była to twarz kobiety. Matka, pomyślała. Mama?

– Obudziła się – powiedział jakiś miękki głos, po czym twarz ponownie zatonała w ciemności.

– Obudziła się – zabrzmiało to cicho i odlegle, jakby głos dochodził z wnętrza jaskini.

Evie wsłuchiwała się w próżnię, by go usłyszeć, i zrozumieć, co mówi.

– Obudziła się, malutka... – ten głos zabrzmiał dużo wyraźniej. Evie prawie zupełnie już oprzytomniała.

– Dobrze...

Poczuła zapach ognia, a potem dziwny smak na swoich ustach. Połknęła to i poczuła na języku jakąś ziarnistą substancję, gorzkawą jak oliwa, ale z mięsnym posmakiem żelaza.

– Obudziła się...

Oślepiły ją okruchy światła. Przymknęła oczy. Otwierała je powoli, w miarę jak przyzwyczajały się do jasności. Łzy łaskotały ją w skronie, z czego wywnioskowała, że leży na plecach. Drewniana łyżka znowu rozchyliła jej usta i wypełniła je kolejną porcją ohydnej, zsiadłej cieczy.

Wypluła ją i zmusiła się do otwarcia oczu. Jedna z wiedźm wisiała nad nią, trzymając łyżkę umazaną czymś zielonym. Pozostałe dwie mieszały coś w parującym kotle wiszącym nad trzaskającym ogniem.

Evie spróbowała usiąść, ale okazało się, że jest przywiązana do łóżka liną

szorstką jak zardzewiały metal. Zaczęła się szarpać, ale nic to nie dało.

– Tak, tak! Poczuj w żyłach strach! – zaskrzeczała wiedźma stojąca obok ognia. – Im więcej strachu, tym lepsze to cudowne serce, które nam podarujesz.

Evie przestała się szarpać, ale jej mięśnie pozostały tak samo napięte jak lina, którą była spętana. Wszystkie trzy wiedźmy łypały na nią wygłodniałymi oczami i uśmiechały się. Wyglądały jak już raz pochowane zwłoki, które wstały z grobów. Ich skóra, o woskowej barwie, miejscami zwisająca, była tak cienko naciągnięta na czaszki, że miało się wrażenie, że najlżejszy dotyk może ją rozerwać. Z ich głów i podbródków wystawały kępki białych włosów, ich szerokie musztardowe oczy nabiegły krwią.

– Nasza siostra wkrótce przybędzie – powiedziała wiedźma trzymająca łyżkę. – Byłoby dobrze, gdybyś się do tego czasu porządnie wystraszyła...

Przerwało jej ciche stukanie do drzwi. Podekscytowane wiedźmy wyrzuciły w górę ręce i zaczęły tańczyć, krzycząc:

– Już jest! Już jest!

Jedna ruszyła do drzwi, ale nie od razu je otworzyła.

– Pamiętajcie, co uzgodniłyśmy, dziewczęta. Nie schodzimy z ceny...

– Nie schodzimy – potwierdziły dwie pozostałe.

Przez głowę Evie przebiegały dziesiątki myśli. Próbowwała skupić się tylko na jednej – ucieczce. Ale ucieczka w tej sytuacji zdawała się być jedynie pustym słowem i Evie szybko o nim zapomniała, przerażona wizją tego, co czekało za drzwiami. Znowu splunęła, próbując pozbyć się z ust drażniącego ziarnistego smaku. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i w chacie zapadła cisza. Słysząc było jedynie strzelanie i syczenie ognia, gdy paskudny wywar przelewał się z bulgotem nad brzegiem kotła i spadał na rozżarzone węgle.

– Witaj, siostro – powiedziała wiedźma stojąca najbliżej drzwi. Cofnęła się chwiejnie, by nie blokować przybyłej wejścia.

Pozostałe dwie skuliły się obok siebie. Evie pomyślała, że wyglądają na przestraszone. Jeśli one się bały, co to znaczyło dla niej?

Zimne nocne powietrze dostało się do chaty, a tuż za nim – najbardziej przerażająca postać, jaką Evie kiedykolwiek widziała. Wiedźma. Nie szła, unosiła się w powietrzu, a jej bezwładne stopy ciągnęły się po posadzce. Jej skóra była nierówna i wyglądała na oślizgłą, jak szlam na stojącej sadzawce. Jej żuchwa wisiała nisko, opuszczona w szerokim uśmiechu. Jasnożółte oczy

zmuszone były stale w coś się wpatrywać, bo były pozbawione powiek. Jak tylko przesunęła się nad progiem chaty, skierowała oczy na Evie, która wzdrygnęła się, jakby sam ten wzrok zadał jej fizyczny ból. Wiedźma dopiero co weszła do chaty, ale już była głęboko w oczach Evie, szukając dojścia do jej serca. Szukając odwagi.

– Witaj w naszych skromnych progach, siostrze. Mamy nadzieję, że podróż tutaj nie była zbyt uciążliwa – odezwała się drżącym głosem wiedźma stojąca przy drzwiach.

Siostra zignorowała gospodynię i przysunęła się do łóżka. Jej rozpadające się, zrobione z kory buty zaszurały o podłogę. Nozdrza Evie wypełnił odór pleśni i zgnilizny. Pole widzenia zaczęło się zawężać, okalane coraz gęstszą ciemnością. Wiedźma, która stała nad nią z łyżką, zauważyła to i wlała jej do ust jeszcze jedną porcję gorzkiej mikstury. To ją ocuciło. Łzy pociekły w dół po jej skroniach, wsiąkając we włosy. Obezwładniało ją to samo uczucie paniki, co wtedy, gdy skoczyła ze skały... – zimna pewność, że zaraz umrze.

– Nasza droga siostrze – powiedziała wiedźma trzymająca łyżkę. – Jak widzisz, to dziewczyna z Akademii. Cenna sztuka.

Oczy „siostry” wwiercały się w Evie. Usta miała nadal szeroko rozwarte.

– Oczywiście, siostrze, możesz ją zabrać. Wszystkie jesteśmy lojalne wobec Calivigne i tylko wobec niej.

Im dłużej Evie wpatrywała się w oczy wiedźmy, zmuszona do tego jej hipnotycznym spojrzeniem, tym więcej w nich dostrzegała. Poza zimną nienawiścią była w nich też nieoczekiwana głębia cierpienia, jakby ta wiedźma nie miała wyboru i musiała wędrować po świecie, widząc wszystko – każde zło – i nigdy nie mogąc zamknąć oczu. I cała ta podłość, rozpacz i szaleństwo spływały teraz prosto z jej oczu do serca Evie. Nigdy w życiu nie czuła się tak nic nieznacząca, jak w tej chwili.

– Chętnie, jeżeli to możliwe, porozmawiałybyśmy o cenie... – powiedziała wiedźma stojąca najbliżej Evie, na co pozostałe przysunęły się jeszcze bliżej do siebie. – Nie chciałybyśmy obrazić tak znamienitej wiedźmy, ale jesteśmy tylko trzema biednymi siostrami, które w ciemnym lesie z trudem wiążą koniec z końcem.

Evie czuła, jak opuszczają ją siły. Nie mogła już dłużej napierać na więzy. Jej głowa opadła na wypchaną słomą poduszkę.

– Czy wiesz – zaczęła siostra niskim szeptem – jak rodzi się wiedźma?

Nie słuchaj! – krzyczała Evie w duchu. – *Nie patrz!* Gdzieś głęboko w niej nadal tliła się iskierka zdolna do walki.

– Rodzi się z kotła – mówiła dalej, z dziwnym akcentem, niemożliwym do przypisania do żadnego miejsca – ze składników, które się w nim mieszają. Pierwszym jest serce smoka. Im starszy smok, tym lepsza wiedźma, bo stare smoki widziały wszystko, co najgorsze w życiu. Wściekłości smoczego serca nie da się porównać z niczym innym.

– Mamy też znakomitą kolekcję smoczych serc, gdyby była siostra zainteresowana...

– Drugim koniecznym składnikiem jest serce sprawiedliwego człowieka – ciągnęła „siostra”. Evie zdała sobie sprawę z tego, że jej szczęka prawie się przy tym nie poruszała, jakby słowa powstawały gdzieś indziej, głębiej. – Niewinne dzieci, dobrzy mężczyźni i kobiety. Właściwie wszystkie takie serca się nadają, ale najlepsze jest serce księżniczki. Takie bije silnie cnotą, dobrocią i niewinnością.

Z oczu Evie popłynęły łzy. Raz jeszcze spróbowała zawalczyć z więzami, ale był to ruch tak słaby, że wiedźmy nawet go nie zauważyły.

– Aby stworzyć prawdziwie okrutną wiedźmę, potrzebne jest cnotliwe serce skąpane w strachu. Tak jak twoje w tej chwili. Jedno wściekłe serce smoka i jedno cnotliwe, załęcznione serce. To jest recepta na najstraszniejszą wiedźmę.

– I jedyne, o co prosimy w zamian za serce tej dziewczyny, to miejsce w królestwie – powiedziała wiedźma trzymająca łyżkę. Pozostałe dwie kulily się w strachu, jakby siostra mogła je w każdym momencie zabić. – Wybacz śmiałość, siostrzo, ale nasze kości są już zbyt zmęczone na to leśne życie...

„Siostra” nie spuszczała swoich oczu z oczu Evie. Powieki dziewczyny zaczęły drżeć i zamykać się powoli, jak dwa umierające motyle.

– To dobra cena...

– Chciałybyśmy także audiencji u Calivigne – mówiła dalej wiedźma. Jednak z chwilą, kiedy wypowiedziała te słowa, jej oczy rozszerzyły się, a ramiona opadły. Zrozumiała, że przesadziła.

– Tylko po to, aby pokazać jej nasze eliksiry... żeby zobaczyła, czy możemy jej się przydać...

– Nie będzie żadnej audiencji u Calivigne – powiedziała siostra. Uniosła rękę. Jej kościste palce zaklekotały, gdy rozwarła dłoń. Wsunęła cienki palec pod naszyjnik z łuską smoka. – Ale wynagrodzę wam waszą lojalność... tym.

Szarpnęła gwałtownie, zrywając naszyjnik z szyi Evie.

– Nie... wymamrotała słabo Evie. Na więcej nie miała już siły.

– O, dziękuję, pani, dziękuję! – powiedziała uszczęśliwiona wiedźma. – Patrzcie, dziewczęta – zwróciła się do swoich towarzyszek.

– Krew smoka!

Ku ucieście swoich sióstr nonszalanckim ruchem rzuciła łuskę w kierunku kotła.

– Nie! – krzyknęła Evie, otwierając oczy. Gasnąca iskra jej życia rozpalila się znowu silnym płomieniem. – Nie, nie, nie!

Łuska przeleciała łukiem przez izbę i wpadła do kotła, ale nie od razu cała w nim zniknęła. W miejscu, gdzie wpadła, utworzył się pęcherzyk, który zaraz pękł, uwalniając cuchnący, brunatny dym. Evie wstrzymała oddech i pozwoliła, by płomień, który się w niej zapalił, wybuchnął ogniem. Powróciła jasność umysłu. Strach zniknął. Popatrzyła po izbie szeroko otwartymi oczami.

– NIE, NIE, NIE!

Szarpnęła swoje więzy z całej siły. Nie puściły, więc rozluźniła się i spróbowała raz jeszcze. Czuła w sobie siłę, o jaką nigdy się nie podejrzewała. Gdy ostatni fragment łuski znikł w kotle, coś w niej wybuchło.

– NIE!

Przed jej klatką piersiową rozbłysło jaskrawe światło. Więzy, które dotąd tak skutecznie ją unieruchamiały, rozdarły się jak pajęczyna. Była wolna. Wówczas, niczym błyskawica, białe światło zniknęło.

Zeskoczyła z łóżka i ramieniem popchnęła wiedźmę stojącą najbliżej kotła. Ta upadła w płomienie. Krzyknęła, gdy ogień zaczął palić jej cienką, przezroczystą skórę, uwalniając cienką strużkę zielonego dymu. Evie włożyła rękę do gotującej się mazi. Ból był tak intensywny, że jej mózg zarejestrował go jedynie jako szok. Nie czuła dłoni, ale wiedziała, że zdążyła chwycić łuskę. Wyszarpnęła ją z mazi i szybko wybiegła przez otwarte drzwi.

Biegła przez czarny las. Dopiero teraz zaczęła odczuwać prawdziwy, stopniowo narastający ból w ręce, jakby tysiące małych robaków wgryzało się w jej ciało w tym miejscu. Kurczowo zacisnęła na łusce palce drugiej, zdrowej dłoni. Jej stopy wpadły w goblinią dziurę i runęła twarzą w gnijące, czarne liście tworzące niższą warstwę ściółki. Wypluła błoto, które dostało się jej do ust, i rozejrzała się, szukając dalszej drogi ucieczki. Zamiast niej zobaczyła jednak coś innego. Coś, co znowu napełniło jej serce znajomym

lękiem, beznadziejnym przerażeniem, przed którym nie było ucieczki – uparty, blady błysk pary żółtych oczu. Evie rzuciła się do tyłu, upadła na plecy i zobaczyła, że patrzy na nią kolejna wiedźma.

– Zostawcie mnie – krzyknęła. Nie widziała nic przed sobą, a jednak poczuła, że coś chwyta ją za nogę. Siostra ciągnęła ją ku sobie przez paprocie, używając jakiegoś starego, nieznanego zaklęcia.

– Nie, przestań, proszę! – Evie kopała i drapała ziemię, próbując uwolnić się od magii; wiła się i krzyczała, ale bez skutku. Siostra przyciągała ją coraz bliżej, używając czarnej magii, którą mogłoby pokonać jedynie współczucie w połączeniu z odwagą. A Evie nie była w tej chwili w stanie znaleźć w sobie ani jednego, ani drugiego.

Nagle ze zdziwieniem odkryła, że już się nie przesuwa. Chwilę później usłyszała wybuch i potężny wstrząs poruszył całym lasem. Coś uderzyło o ziemię zaledwie kilka metrów od nich. Jakaś pierwotna siła.

Evie krzyknęła i zasłoniła głowę zdrową ręką. Była wolna. Z jakiegoś powodu zaklęcie wiedźmy przestało działać. Oślepią paniką rzuciła się do ucieczki. Nagle uderzyła o coś dużego, twardego i szorstkiego od łusek.

– Siostro...

Jej smocza siostra zmarszczyła oblicze, na którym malowała się potworna wściekłość, i wydała z siebie okropny ryk, który poniósł się po lesie.

– A kysz, wstrętne bestio! – krzyknęła jedna z wiedźm, gdy echo smoczego ryku rozplywało się w nocnym powietrzu.

– Zabijemy cię i wyrwiemy ci serce – tylko dla zabawy! – zawołała kolejna.

Smok zionął płynnym ogniem pomiędzy gąszcz drzew. Rozeszła się tak gryząca woń, że Evie zaczęły szczytać oczy. Usłyszała krzyki bólu i przerażenia, i ze zgrozą pomyślała o sile rażenia tego ognia. Jednocześnie jednak myśl o tym, że te straszliwe, paskudne wiedźmy, które omal jej nie zabiły, teraz same boją się o swoje życie, dodała jej odwagi. A potem, tajemnicą ludzkiego umysłu, stanęły jej przed oczami twarze trzech małych dziewczynek, które widziała w Marburgu.

– Precz z wami, wiedźmy! Słyszycie mnie? Precz! – zrobiła krok naprzód, w ciemność. Coś poruszyło się razem z nią. Kilka metrów przed nią jakby niewidzialna tarcza reagowała na każdy jej ruch. Nie była pewna, czy to jest tam naprawdę, czy jej zmęczony umysł jedynie to wymyślił.

– NIE BOJĘ SIĘ WAS! – krzyknęła i nagle poczuła pewność, że jej tarcza

jest prawdziwa, że powstała z wewnętrznej mocy, o której dotąd nie miała pojęcia.

– Smoki i księżniczki nie walczą razem! – zaskrzeczał głos tak okropny, że Evie od razu rozpoznała w nim głos „siostry”. – Calivigne się o tym dowie!

Usłyszały poruszenie, jakby trzepot skrzydeł nietoperzy. Potem zapadła cisza. Evie stała w ciemności przez kilka chwil, czekając, by się upewnić, że wiedźmy rzeczywiście zniknęły. Wreszcie jej siostra podeszła do niej i pochyliła ku niej swoją smoczą głowę.

– Chodźmy, zanim drzewa się obudzą.



W oddali, za zielonymi falami paproci i sosnami ościstymi, które znaczyły początek lasu, wznosiły się potężne ramiona górskiego pasma. Szczyty gór były okryte śnieżnymi czapami. Śnieg pokrywał też porastające zbocza drzewa, niemal do połowy głębokości doliny.

Evie spoglądała na ten górski, malowany czernią, zielenią i bielą krajobraz, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. A przecież był to ten sam obraz, który widywała kiedyś zawsze po przebudzeniu. Znowu była w domu, w dobrze znanej jaskini. Coś jednak wydawało się jej dziwne. *Niebo* – pomyślała. – *Od miesięcy nie widziałam tak błękitnego nieba.*

Odwróciła głowę i skrzywiła się, gdy nagły ból przeszył jej szyję. Zignorowała go i rozejrzała się po omszałej skalnej półce, na której siedziała. Gdy była małą dziewczynką, to było jedno z jej ulubionych miejsc do spania. To tutaj, leżąc i patrząc, jak gwiazdy wolno przesuwały się po niebie, słuchała opowieści swojego ojca o wielkich smokach z przeszłości. Jej umysł budził się powoli ze snu. Wracały do niej szczegóły tego, w jaki sposób się tu znalazła. Siostra odnalazła ją w nocy. Uratowała ją. Ból szyi był pewnie wynikiem tego, że uderzyła głową w potężną nogę smoczycy podczas szaleńczej ucieczki przed...

...wiedźmami.

Już po raz drugi spotkanie z nimi nieomal kosztowało ją życie. Jednak tym razem wyglądało to jednak zupełnie inaczej. Spojrzała na swoje ręce, na tę

rękę, którą uratowała smoczą łuskę, wyciągając ją z kotła. Była owinięta w wielki, szary liść dziewanny. Zdjęła powoli mokre warstwy opatrunku. Podrażniona skóra zaszczypała w kontakcie z chłodnym górskim powietrzem. Ostrożnie rozprostowała palce, następnie zacisnęła je w pięść. Skóra była napięta, mięśnie zeszywniałe, ale w porównaniu z tym, jak poparzona ręka wyglądała wczoraj, dziś było już znacznie lepiej. Wiedziała, że to dzięki siostrze. Smoki, same noszące w sobie ogień, od małego uczą się, jak leczyć wszelkie rodzaje oparzeń.

Jeszcze raz rozłożyła palce poparzonej dłoni. Nie czuła jej zbyt dobrze, miała wrażenie, że należy do kogoś innego. Skóra wyglądała inaczej – świeża blizna była nienaturalnie gładka, ze smugami czerni i brązu. *Nieważne – pomyślała. – Było warto. Uratowałam...*

Dotknęła dłonią szyi, ale panika odeszła tak szybko, jak się pojawiła. Łuska wisiała na swoim miejscu. Przejechała kciukiem po jej poszarpanych brzegach i poczuła ogromną wdzięczność. Jeśli wszystko, co jej zostało z tego spotkania z wiedźmami, to kilka blizn na ręce, można powiedzieć, że ma szczęście.

– Spałaś dwa dni – doszedł ją dudniący, zachrypnięty głos siostry. Odwróciła się i zobaczyła wielkiego gada zwiniętego w skalnym zagłębieniu jak kawałek liny.

– Siostro!

– To wszystko, co mogłam zrobić, żeby ci pomóc – powiedziała, podnosząc swoje wielkie, zielone ciało. Opuściła głowę. Evie pogłaskała ją po policzku pokrytym zaschniętym brudem.

– Jak mnie w ogóle znalazłaś? Zabiłyby mnie, gdyby nie ty.

– Coś mi kazało tam lecieć. Nigdy nie zapuszczam się aż tak daleko od domu, ale... nie wiem. Miałam wrażenie, że... tam znajdę ojca.

Jednym ze swoich szponów podniosła łuskę wiszącą na szyi Evie.

– Chyba przez to – dodała.

Słońce schowało się za chmurę i na jaskinię padł cień. Evie zadrżała, ale bardziej z powodu tego złowieszczonego tonu, który czaił się w słowach siostry, niż z zimna.

– Dlaczego miałabyś tam znaleźć ojca? Gdzie on jest? – zapytała, rzucając spojrzenie w głąb jaskini. Nie było tam nic prócz kamieni, mchu i marszczących się od wiatru kałuż wody. – Gdzie jest matka?

Obsydianowe oczy smoczycy, otoczone łuskami i ciężkimi fałdami skóry,

posmutniały. Coś się stało, pomyślała Evie. Nawet jeśli jej siostra nie mogła znaleźć słów, jej oczy mówiły aż nazbyt wiele.

– Gdzie oni są? – zapytała Evie, zrywając się z miejsca. – Tak mi przykro, siostró – powiedziała smoczyca. – Tak bardzo mi przykro.

Evie poczuła, że drżą jej kolana.

– Ojciec... nie żyje.

– Co?! – wykrzyknęła łamiącym się głosem.

– Został zabity przez wiedźmy. Kilka miesięcy temu. Matka wciąż nie może w to uwierzyć. Wyrusza na długie wyprawy i wciąż go szuka. Ale jego nie ma...

Evie zerwała się na równe nogi i rzuciła w kierunku wejścia do jaskini. Słońce znowu pokazało się zza chmur i rozświetliło zbocze tak rażącym światłem, że musiała zmrużyć oczy. Jej siostra stanęła obok niej.

– Nie rozumiem – powiedziała Evie. – Jak im się udało... to zrobić? Był najsilniejszym smokiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Musi gdzieś być... musi...

– Była burza. Matka mówi, że najgorsza, jaką pamięta. Zalało większą część jaskini. Nie mogliśmy cię nigdzie znaleźć.

Evie opadła na niewielki, porośnięty trawiastymi chwastami skrawek skały. Słowa siostry przebiły ją na wylot. Rozpacz uderzała w nią falami, jak morze wdzierające się w brzeg. *Szukał mnie.*

– Trzymałyśmy wartę, ja i matka, na zmianę. Miałyśmy nadzieję, że sprowadzi cię z powrotem, ale... nigdy nie wrócił.

Zamiotła ogonem kamienie, przysuwając je bliżej nóg Evie.

– Nasi przyjaciele zza gór słyszeli od innych smoków, które z kolei słyszały od jeszcze innych, że ojca uderzył piorun. Gdy leżał ranny, dopadły go wiedźmy Calivigne.

Poparzone palce Evie zamknęły się wokół łuski. *Tylko to mi po nim pozostało.* Po wyblakłej czarnej plamie krwi jej ojca przebiegł blask słonecznych promieni. Evie otarła łzy z twarzy, ale pojawiły się kolejne. Czowała, że ma rozdarte serce i nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Wpatrywała się w las, wsłuchiwała w jego odgłosy. Minuty mijały w ciszy, mąconej jedynie urywanym śpiewem ptaków, odległym szumem wodospadu, szelestem poruszanych wiatrem liści. Wszystko było tak samo, jak wcześniej, a jednak na zawsze, nieodwołalnie się zmieniło.

– Nienawidzę wiedźm – wyrzuciła z siebie. Jej smutek zaczął przekształcać

się z czystego żalu w pogardę dla winnych. – Nigdy nikogo nie nienawidziałam, ale ich nienawidzę.

– Mówią, że smoki wynoszą się z północy, wypierane przez wiedźmy. Wyobrażasz sobie Smocze Kraje bez smoków? Jeszcze trochę, a dotrą i tutaj, do naszych lasów.

– Prędzej zginę – powiedziała Evie.

– Obawiam się, że niewiele można zrobić. Jest ich zbyt dużo. Mają siłę i wolę.

– To miejsce, w którym teraz jestem – uczą nas tam, jak z nimi walczyć.

– Naprawdę? Wspaniale! Mam wrażenie, że jakoś się zmieniłaś. Wyglądasz na większą. Silniejszą.

– Nie jestem silna – powiedziała Evie, spuszczać głowę. – Do walki z wiedźmami potrzeba odwagi. Poczułam ją tylko raz – tam w chacie. I nawet wówczas zebrałam się na nią tylko ze względu na to – zakończyła, podnosząc łuskę.

– Masz w sobie całe mnóstwo odwagi. Pamiętasz, jak pokonałaś tę samicę sokoła i zabrałaś jej jajko?

– Prawie mnie zabiła!

– Ale tylko prawie. Chodź, zabiorę cię z powrotem do tego twojego miejsca.

– Nie mogę tam wrócić. Ono już... nie jest moje.

– Ojciec był najodważniejszym smokiem pod słońcem, sama tak powiedziałaś. Jeśli potrzebujesz odwagi, weź go ze sobą. Tu – powiedziała smoczyca, kładąc pazur na piersi Evie. – On pomoże ci znaleźć odwagę, której potrzebujesz.

Evie nabrała powietrza w płuca. Pachniało nadchodzącą zimą. Powoli odetchnęła.

– Czasem mam wrażenie, że jest we mnie za dużo smoka, bym kiedykolwiek mogła zostać księżniczką. Z drugiej jednak strony – za dużo we mnie księżniczki, bym mogła być smokiem. Nie wiem, kim jestem.

– Wiedźmy muszą zapłacić za to, co zrobiły – powiedziała jej siostra.

Mały węgielek tych słów dalej tlił się w Evie. Stale przychodziły jej do głowy obrazy związane z jej ojcem – jej drogim, kochanym ojcem, który uczył ją patrzeć na świat z całą jego cudownością i potwornością, podążać w kierunku dobra i sprzeciwiać się złu. *Wiedźmy muszą zapłacić*. Przed oczami stanął jej obraz pozbawionej powiek czarownicy – członkini Rady

Sióstr Calivigne – i węgielek rozgorzał na nowo wściekłym płomieniem. *Wiedzmy muszą zapłacić.*

Jej gniew zebrał się teraz w wielki płonący stos, który spalał ją od środka czystą smoczą furją.

– Jestem córką smoków i już nie zleknię się żadnej wiedźmy. Wyruszyły jeszcze tego samego popołudnia. Siostra Evie, dzięki przyrodzonemu smokom zmysłowi orientacji w terenie i nawigacji, bez trudu odnalazła drogę do miejsca, gdzie zwęgliła kawał lasu, by przestraszyć wiedźmy. Potem wystarczyło już tylko pokonać kilka wzgórz. Evie leciała na grzbiecie siostry, aż ponad koronami drzew zobaczyła światła wież Akademii. Zanim jej siostra opadła w dół na brzeg wielkiej polany, zdążył już zapaść mrok.

Evie wyjrzała zza drzew, mając przy sobie siostrę. Świerszcze grały na łące rozciągającej się za murem Akademii, ale z zaczarowanych lasów, które miały teraz za sobą, nie dochodził żaden dźwięk. Akademia błyszczała na szczycie wzgórza, jej okna jarzyły się światłem wielu pochodni. Evie dostrzegła w tym piękno – światelko dobra w morzu ciemności. Zobaczyła je i już wiedziała, że siostra miała rację, przywożąc ją tu z powrotem.

– Myślisz, że mogę tam wrócić? – zapytała. – Ostrzegano nas, że nie wolno nam opuszczać granic Akademii.

– Jaki mamy wybór? Poza tym, po tym, co ta dziewczyna powiedziała, nikt nie powinien mieć do ciebie pretensji za to, że uciekłaś. I pech chciał, że znalazł cię zły, mięsożerny smok. Jeśli uda nam się dostarczyć cię do środka, nikt cię nie wyrzuci.

Evie wpatrywała się w nikłe światelka wież. Jej serce waliło jak oszalałe. Bardzo chciała już być w środku, ale coś w opracowanym planie budziło jej niepokój. Położyła dłoń na łapie siostry.

– Jak tylko otworzą dla mnie przejście, ty musisz zniknąć. Rozumiesz? Obiecuj mi.

Oblicze smoczycy przybrało tkliwy wyraz. Siostra pogładziła Evie pazurem po twarzy.

– Będiesz walczyć z wiedźmami. Ojciec byłby z ciebie taki dumny.

Rozpostarła skrzydła, aż sięgnęły czubków sosen, i jednym potężnym machnięciem uniosła się w powietrze. Evie zabrakło tchu. Chciała krzyknąć do siostry, że zmieniła zdanie, że to nie jest dobry pomysł, ale było już za późno. Unosząc się ponad korony drzew, smoczyca powaliła jedno z nich uderzeniem skrzydła.

Chwilę później, po tym, jak dopiero co wspięła się pod same chmury, smoczyca runęła w dół, rycząc i ziejąc ogniem. Z jej pyska wydobywał się ognisty deszcz, od którego zapalały się sosny i trawa. Ryknęła raz jeszcze, z jakąś pierwotną zajadłością. Na szczycie wzgórza zagrzmiały dwa rogi, a małe punkciki światła – ludzie z pochodniami – zaczęły się przemieszczać w różnych kierunkach. Plan zadziałał.

Gdy smoczyca uderzyła o niewidzialną ochronną ścianę zbudowaną przez magię wróżek, Evie nieomal upadła. Ze wzgórza, jak deszcz meteorytów, zbiegały punkciki pomarańczowego światła. Byli to nie tylko nauczyciele, ale także kadeci. Najwyraźniej nikt nie chciał stracić rzadkiego widoku rozszalałego, atakującego smoka. *Nieważne* – powtarzała sobie Evie. – *Najważniejsze to dostać się do środka.*

– DZIEWCZĘTA, WRACAJCIE tu! – zagrzmiął czyjś głos. Evie rozpoznała szorstkie warczenie kapral Liverwort. – CHŁOPCY TEŻ!

ODSUŃCIE SIĘ OD TEGO MURU!

W blasku ognia, którym nadal zionęła jej siostra, Evie zaczęła dostrzegać twarze. Widziała kadetów, a wśród nich Remingtona, który zasłaniał oczy ręką. Pracownicy Akademii krzyczeli coś do siebie niezrozumiale, próbując stworzyć naprędce jakiś plan działania. Serce Evie uderzało jak milion wojennych werbli. Teraz nadeszła jej kolej.

Wówczas zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Nauczyciele odsunęli kadetów na bok, by zrobić miejsce dla groźnie wyglądającej kolumny koni i mężczyzn. Ich ciała od stóp do głów okrywały czarne błyszczące zbroje. Również konie były osłonięte kropierzami. W blasku ognia wyglądali jak istoty nie z tego świata, lodowi jeźdźcy. Każdy z nich dzierżył zakończoną stalą kopię. Inne rodzaje broni mieli przyłączone do siodła. – Pogromcy smoków... – wyszeptała Evie. Ci mężczyźni byli absolwentami Akademii. Należeli do elitarnych jednostek, których zadaniem było chronić przed smokami królestwa, którym służyli. W Akademii uczyli nowe pokolenia swoich następców. Jedynie stal, którą dzierżyli w dłoniach, wiedziała, ile smoków każdy z nich już powalił. Evie spojrzała na swoją siostrę, która pikowała w dół, ponownie atakując ścianę, i zrozumiała, że ona zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Wyskoczyła zza drzew i zaczęła biec po nierównej powierzchni.

– POMOCY! – krzyczała. – POMOCY!

Ale jej krzyki zagłuszył kolejny dobiegający z góry ryk jej siostry.

Pogromcy smoków tkwili nieporuszeni w miejscu, być może czekając na rozkaz księżniczki Beatrycze albo nawet samej królowej. Stopy Evie nie nadały za palącym ją od środka uczuciem paniki, potknęła się i poleciała do przodu, upadając twarzą na ziemię.

– KTOŚ TAM JEST! – Mimo strasznego bólu stłuczonego podbródka Evie rozpoznała głos Wróżki. – WSTAWAJ, KADETKO!

BIEGNIJ!

Evie podniosła się z trudem i ruszyła przed siebie, wycierając krew z twarzy. Upadając, uderzyła się w głowę i nie myślała zupełnie trzeźwo, ale jedno wiedziała na pewno – wejście zostało już otwarte i musi jak najszybciej znaleźć się w środku.

Smok przefrunął nisko nad polaną. Rozległ się krzyk kadetów przekonanych, że zaraz chwyci ją w swoją straszną paszczę. Nauczyciele też krzyczeli, gorączkowo wydając rozkazy. Pośród tego chaosu Evie nagle zobaczyła Forbesa, dokładnie w momencie, gdy jego usta składały się w okrzyk „DO ATAKU!”. W zamieszaniu Forbes chwycił kopię jednego z rycerzy, zbyt rozgorączkowanego, by temu zapobiec. Forbes wskoczył na jego konia i przebił się przez tłum.

– FORBES, NIE! – krzyknął Remington. Zepchnął z drogi młodego nauczyciela i sam wskoczył na grzbiet jego czarnego wierzchowca. Gdy ruszył za Forbesem, ten był już po drugiej stronie muru.

Biegnij, biegnij szybciej! Może uda ci się to powstrzymać. – POGROMCY SMOKÓW! ZATRZYMAJCIE TYCH CHŁOPCÓW! – dało się słyszeć przerażony głos Beatrycze.

Smoczyca tymczasem wzbijała się w powietrze i wydała z siebie kolejny przerażający ryk. Siostra Evie najwyraźniej nie zauważyła chłopców, którzy przeskoczyli przez mur, nie wiedziała też, jak groźni są dla niej pogromcy smoków, którzy podążyli za nimi. Nagle zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

Evie starała się biec w kierunku muru tak szybko, jak to tylko możliwe, ale nie było to łatwe. Biegła po ziemi zbitej w twarde, nierówne grudy. Znowu upadła, tym razem uderzając się w ramię. Przeturlała się na bok i zobaczyła przed sobą straszliwą scenę.

Forbes szarżował na ogromny cień smoczy, która opadała szybko, strasząc ogniem i rykiem. Za nim, coraz bliżej, galopowali pogromcy smoków, ich broje lśniły w blasku płonących drzew Dortchen Wild.

– SIOSTRO! – krzyknęła Evie. – Siostro!

Coś porwało ją z ziemi. Poczowała ból w żebrach, usłyszała trzask pękającego materiału i uderzenia kopyt. To Remington, przejeżdżając obok, chwycił ją w locie za sukienkę i wciągnął na swojego konia.

– TRZYMAJ SIĘ! – krzyknął.

Ale Evie opuściły już siły. Bezwładnie podskakiwała na koniu, zamknięta w ramionach Remingtona, który skierował swojego rumaka z powrotem w stronę muru.

Rozległ się kolejny przerażający ryk. Trawa położyła się od poddmuchu smoczego oddechu. Smoczyca przeleciała nisko przed szeregiem uzbrojonych mężczyzn, zamiatając ogonem Forbesa i rzucając nim i jego koniem w kierunku drzew.

Jeden z pogromców rzucił kopią i nagle na polanie rozległ się potworny ryk. Evie zobaczyła, jak jej siostra zwija się z bólu i zrozumiała, że rzut był celny.

– NIE!

Potem nie słyszała już nic. Nie słyszała krzyków kadetów, gdy koń Remingtona przemknął pod magiczną barierą. Nie słyszała trzasku płomieni trawiących brzeg lasu. Ani nawet ryków swojej siostry, gdy szarpnięciem oderwała się od ziemi i wzniosła się niepewnie w powietrze, uciekając poza zasięg broni pogromców smoków.

Maggie, Demetra, Anisette i Bazyl biegli na czele grupy kadetów, którzy rzucili się, by pomóc Evie zejść z konia. Szybko jednak odepchnęli ich nauczyciele. Hazelbranch i Wertzheim dopadli do niej i położyli jej bezwładne ciało na trawie. Sprawdzili, czy nie jest ranna, i zakryli jej podartą suknię kocami. Nie słyszała ich pytań. Nie spuszczała wzroku z siostry, która wciąż walczyła, by wzbic się wyżej, na przemian wznosząc się i opadając.

– Jesteś ranna?

– Co się stało?

– Zróbcie miejsce! Ona nie ma czym oddychać!

– Twoja ręka! Co się stało z twoją ręką? Smok ją poparzył! Zraniona smoczyca rozpaczliwie uderzała skrzydłami, próbując wnieść się ponad wierzchołki drzew. W końcu jej się to udało. Nierównym, szarpanym lotem wbiła się dostatecznie wysoko i zniknęła w niskich, srebrnych chmurach.

– Przepraszam... – powiedziała Evie. – Przepraszam...

Myślała o siostrze, ale nauczyciele odebrali te słowa zupełnie inaczej.

– Nie masz za co przepraszać, kadetko – powiedziała Hazelbranch.

– Nie zrobiłaś nic złego...

– Co się stało? – zapytała zdenerwowana Beatrycze, wyłaniając się z tłumu.

– Jest w szoku – odpowiedziała Hazelbranch, podnosząc Evie. – Musimy zabrać ją do szpitala.

– WSZYSCY DO BARAKÓW! PRZYNIĘŚCIE WIADRA Z WODĄ I UGAŚCIE TEN OGIEN!

Gdy Hazelbranch i Wertzheim pomagały Evie iść w kierunku kampusu koleinami wyłobionymi przez koła powozów, Evie zauważyła sobą swoich przyjaciół. Wyrwali się do niej, ale nauczyciele kazali im pozostać z innymi kadetami.

– Evie, wszystko w porządku? – krzyknęła do niej Maggie, ale tłum kadetów zdążył już porwać ją dalej.

Umysł Evie wyłączył się. Szła chwiejnie przed siebie, podtrzymywana przez księżniczki, nie myśląc i nie czując – ani bólu, ani strachu, ani żadnych innych emocji. Tylko w ten sposób mogła uspokoić oddech.

Spojrzała w górę i – pośród tego chaosu, który panował teraz na wzgórzu – zauważyła coś zupełnie nieoczekiwanego. Coś tak zaskakującego, że nie od razu pojęła znaczenie tego, co widzi. W pewnej odległości od niej, wśród innych kadetów, szła Malora. Ich oczy spotkały się i Evie zobaczyła w jej oczach współczucie. Prawdziwe, niekłamane, ludzkie współczucie. Trwało to tylko chwilę, ale widząc to spojrzenie, Evie poczuła, że Malora zrozumiała, co się stało, i jaki sama miała w tym udział. W tej krótkiej chwili zobaczyła w Malorze wrażliwość, jakiej ta nie okazywała na co dzień. Oszołomiona podniosła oczy wyżej i ujrzała ciemną kopułę chmur nad Akademią, z których zaczęły właśnie spadać pierwsze płatki śniegu.



Evie szła chwiejnie przez śnieżną zamieć. Jej błękitna sukienka wyraźnie odznaczała się na tle szarego nieba. Silny wiatr wzbijał w powietrze drobinki lodu. Nagle zauważyła coś w śniegu przed sobą – jakąś czarną plamę. Skrzyła się podobnie jak wirujące wokół niej płatki śniegu.

Krew smoka.

Evie spojrzała w lewo, potem w prawo, ale wśród niesionych wiatrem tumanów śniegu określenie kierunków było niemożliwe. Poczowała, że ktoś idzie za nią. Odwróciła się i zobaczyła swoją siostrę. Bagienna zielen łusek wydawała się prawie czarna na tle śniegu. Potworna rana w jej boku krwawiła obficie.

– *Znajdź Saudade... znajdź siebie* – powiedziała smoczyca zachrypniętym głosem.

– Czy znajdę tam ojca?

– *Znajdziesz tam siebie.*

Nowy powiew wiatru porwał smoczycę, rzucił ją w śnieg i rozwiął we wszystkie strony, aż wtopiła się zupełnie w szare niebo. Evie odwróciła się i zobaczyła, że krew też zniknęła. Stała teraz sama pośrodku lodowatej zimy.

Po chwili, początkowo tak niewyraźnie, że mogłyby być jedynie cieniami śnieżnych zasp, wokół Evie zaczęły pojawiać się zamazane postacie. Były ich dziesiątki, jedna po drugiej wyłaniały się z mgły. Nadchodziły ze wszystkich

kierunków, kołysząc się jak statki widma na zamrożonym morzu. Wiedźmy. Gdzieś w oddali, za tą powoli nadciągającą chmurą, jedna wyrastała ponad wszystkie. Evie nie mogła zobaczyć jej twarzy, skrytej w cieniu grubego czarnego kaptura.

Nagle drgnęła i obudziła się. Nie była sama na śniegu, otoczona przez wiedźmy, zasnęła na krześle w szpitalu, czekając na kolejny etap kuracji. Starła odrobinę śliny, która zebrała jej się w kąciku ust i wyprostowała się na krześle. Mimo że był to tylko sen, obraz ponurej sylwetki Calivigne nadal pozostawał jej przed oczami.

– Dobrze, że się obudziłaś – powiedziała księżniczka Wertzheim. – Akurat w porę, żeby dostać to – postawiła na stole przed Evie małą fiolkę z czerwonym płynem i zanotowała coś na swoim pergaminie. Evie podniosła napój, głaszcząc palcami gładką powierzchnię buteleczki. Potem z brzdękiem odstawiła ją z powrotem.

– Wolałabym po prostu wrócić do mojej kompani, jeśli mogę.

– Wrócisz. Gdy wypijesz lekarstwo.

Wertzheim usiadła i zajęła się swoimi notatkami.

Evie zmarszczyła się, patrząc na małą, zakorkowaną fiolkę. Od momentu, kiedy przebudziła się tutaj w poranek po wydarzeniach przy murze, była w złym nastroju. Okropne wspomnienie krzyku siostry wdarło się w jej głowę jak fala przyływu wdzierając się w brzeg.

– Tu nie chodzi o smak. No dalej, pij.

Ale Evie nadal ani drgnęła. Wpatrywała się w stojący przed nią płyn, nie mogąc przestać myśleć o siostrze, ojcu i swojej nienawiści. Wertzheim opuściła pergamin.

– Kadetko Jedenasta, proszę to wypić.

– Nie. Nie obchodzi mnie wasza wymyślona przeszłość. Nie obchodzą mnie wasze wywary i klątwy niepamięci. Jestem tu po to, by walczyć z wiedźmami.

– Kadetko Jedenasta...

– Miałam jedno wspomnienie – przerwała jej Evie, podkreślając te słowa ostrym gestem wskazującego palca. – Jedno. O jakimś cholernym cieście...

– Uważaj na słowa, kadetko – powiedziała Wertzheim ostrzej. – Masz traktować pracowników Akademii z szacunkiem. Mnie również należy się szacunek. Nie zapominaj o tym albo zostaniesz wydalona...

– Proszę bardzo! – wypaliła Evie, skacząc na równe nogi. *Dlaczego tak się*

zachowuję? – pomyślała przy tym. Lubiła i szanowała pracujące w Akademii pielęgniarki, ale czuła, że obudziło się w niej coś, co nie dbało o nic i nikogo. A ona nie miała nad tym kontroli. – Nie wypiję tego cholernego lekarstwa... Jakieś ramię objęło ją w pasie, odciągając od stołu.

– Proszę jej wybaczyć, księżniczko, miała ostatnio trudny okres – powiedział Forbes. – Bardzo, bardzo trudny okres.

Jego widok jeszcze bardziej ją rozwścieczył. Próbowwała wywinąć się z jego uścisku, ale chwycił ją jeszcze mocniej za ramiona i uniósł lekko nad podłogą.

– Co ty wyprawiasz? Puść mnie!

– Kadecie Forbes, proszę puścić tę dziewczynę!

– Próbuję tylko ocalić ją przed nią samą.

– Zostaw mnie! – rzucała się i wierzgała, ale trzymał ją mocno.

– Dobrze – powiedział. Delikatnie postawił ją na podłodze, ale nie rozluźnił uścisku. – Puszczę cię, ale proszę, uspokój się. Zanim powiesz coś, czego będziesz żałować.

Rozluźnił ramiona. Odepchnęła go i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Wystarczy!

– Czy nie można by wyjątkowo darować jej tę dawkę lekarstwa, księżniczko? – zwrócił się Forbes do Wertzheim.

– Nie będziesz za mnie decydował, Forbes!

– Nasze kompanie mają dziś po południu wspólne ćwiczenia. Proszę pozwolić mi ją zabrać. Zapewniam, że wróci grzecznie po następną dawkę w zupełnie innym nastroju.

Wertzheim spojrzała na Evie, potem na Forbesa i prawie niezauważalnie skinęła głową.

– Proszę mi wierzyć, że ona przeprasza. Nawet jeśli tego nie powie, na pewno w duchu jest jej przykro i wstyd – dodał Forbes, próbując wziąć ją za rękę. Odtrąciła jego dłoń. – Chodź teraz ze mną, zanim zrobisz coś, czego nie da się już odkręcić – powiedział, patrząc na nią stanowczo. Stłumiła złość. Wiedziała, że ma rację.

Znowu podziękował Wertzheim i pośpiesznie ruszył z Evie do wyjścia. Otworzyła usta, żeby na niego nakrzyczeć, ale już był za drzwiami. Nie przytrzymał ich dla niej.

– O, jak pięknie. Znowu chmury – powiedział, patrząc w niebo.

– Co ty sobie wyobrażasz? Jakim prawem mnie tak traktujesz? Zatrzymał

się tak gwałtownie, że prawie na niego wpadła. – W porządku. Czyli wracamy tam, żebyś mogła dopełnić dzieła samozagłady?

Nie spodziewała się tak ostrego spojrzenia i nie miała żadnej gotowej odpowiedzi na to, co usłyszała. Sprawił, że poczuła się jak głupiutkie dziecko i nienawidziła go za to.

– Te kobiety opiekowały się mną przez ostatnie pięć lat i nie będę spokojnie patrzył, jak ktoś źle je traktuje. Zwłaszcza jakaś marudna krowa, która w ogóle nie powinna tu być.

Odwrócił się, by iść dalej. Jego buty uderzały o zamarznąłą ziemię.

– Och, kolejny, który ocenia ludzi po tym, w jakiej rodzinie się urodzili.

– Mam gdzieś twoje urodzenie. Oceniam to, że uciekłaś. Poddałaś się. Księżniczki Tarczy nigdy się nie poddają – nieważne jak urodzone.

Przeszła parę kroków i zatrzymała się. Kolejny raz powiedział coś, na co nie miała odpowiedzi. Byłoby łatwiej, gdyby był po prostu kolejnym przedstawicielem arystokracji patrzącym z góry na plebs.

– Chodź już, zimno jest – powiedział z irytacją. – A może chcesz rzucić się tutaj na ziemię i walić rękoma i nogami?

Zniknął za rogiem, a ponieważ Evie uświadomiła sobie, że nie wie, dokąd powinna iść, popędziła za nim. Forbes zaczął już wspinać się po biegnącym łagodnie w górę murku – niszczącym i pokrytym liściastą szarą plechą porostów, których korzenie wciskały się w spoiny pomiędzy kamieniami. Murek został zbudowany jako ochrona dla młodych drzew, które już dawno go przerosły. Zamiast go zburzyć, ogrodnicy postanowili poczekać, aż po prostu sam się rozpadnie.

– Dokąd idziemy?

Nie odpowiedział. Szła więc za nim, potykając się na nierównej powierzchni muru, aż znaleźli się na wysokości Kuźni Stendala. Nie była to szczególnie wysoka budowla, ale na tyle duża, że spadając z niej, można było sobie coś złamać. Wreszcie mur przestał się piąć i Forbes zeskoczył pomiędzy drzewa porastające mały zagajnik za kuźnią. Dalej podążała za nim, uważając, by w zielonej gęstwinie nie stracić z oczu jego czarnego kaftana.

– Nauczyciele próbowali zaczarować te drzewa kilka lat temu – dla celów szkoleniowych. Ale nigdy jakoś nie udało im się dobrać właściwej magii. Porzucili więc ten zamysł i od tego czasu drzewa rosą tutaj przez nikogo nie niepokojone.

Evie próbowała nadal być na niego zła, ale nie udawało jej się. Była już

w tak wielu lasach, które próbowały ją zabić, że doświadczenie przebywania w spokojnym zagajniku na bezpiecznym terenie Akademii okazało się dziwnie kojące. Rosły tu dęby i świerki, jodły i olbrzymie sosny. Spokojne, dostojne drzewa, które przypominały jej o domu.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale w pewnym stopniu cię rozumiem – powiedział, schylając się, by przejść pod rozwidloną gałęzią dębu. – Rozumiem twoją awersję do magicznych mikstur. Ci, na których nie rzucono żadnej klątwy, patrzą na nas jak na dziwadła – dodał, nie kryjąc pogardy w głosie.

– Nie interesuje mnie, co oni myślą – powiedziała. – Jestem tu po to, żeby walczyć z wiedźmami, a nie zawracać sobie głowę klątwami, lekarstwami i innymi bzdurami.

– Masz, jak widzę, duże mniemanie o sobie – powiedział, zaśmiewając się arogancko. – Domyślam się, że w twojej klasyfikacji ja jestem bzdurą.

– W zasadzie tak.

I chętnie dałabym ci w twarz. Gdyby nie miał tej niebywałej zdolności do irytowania jej, ten spacer mógłby być nawet całkiem przyjemny.

Wszystko w nim – od jego protekcyjnego uśmiechu do łatwości, z jaką przedzierał się teraz przez ten las – świadczyło o dużej pewności siebie.

– Mój ojciec jest jednym z największych militarnych strategów naszych czasów. Dowodził armiami w niezliczonych bitwach, a niektóre z nich należą do tych najślawniejszych. Moja matka zmarła, kiedy byłem mały, i ojciec postanowił, że nauczy mnie, jak być mężczyzną. Jednak większość z tych lekcji przekazał mi przez swoją nieobecność. Nie było go całymi tygodniami, czasem miesiącami. Walczył lub podróżował, zdobywając nowe lądy i skarby. I oczywiście prestiż. Jako dziecko nie mogłem tego zrozumieć, ale wystarczyło, że zobaczyłem żagle jego statku na horyzoncie i czułem, że wszystko jest dobrze. Byłem w niego naprawdę zapatrzony. Dość wcześnie zrozumiałem, że inni chłopcy nie mają takich ojców jak mój.

Nagle drzewa się skończyły i wyłonili się w cieniu ogromnej budowli z ciosanego żółtego piaskowca.

– Widzisz to? To Brązowa Baszta. Tędy.

Szli dalej wzdłuż muru, aż stanęli na rozstaju wielu brukowanych ścieżek, które odchodziły we wszystkich kierunkach. Nie wahał się, którą z nich wybrać. Ruszyła za nim alejką wijącą się serpentynami pomiędzy ryglowymi domami o białych ścianach i widocznych ciemnobrązowych belkach.

– Gdy mój ojciec wrócił ze swojej ostatniej wyprawy, coś było inaczej – mówił dalej Forbes. – Nie przywitał mnie w porcie ani nie zabrał ze sobą na przejażdżkę, co wcześniej zawsze robił. Nie przywiózł żadnych skarbów ani historii o odległych krainach, które zwykł opowiadać mi przed snem. Przywiózł jedynie portret.

Evie skrzywiła się. *Znowu ten głupi portret.* Od czasu, gdy szli razem do sali jadalnej, Forbes nie miał okazji wrócić do tego tematu i Evie miała nadzieję, że da sobie spokój.

– Mój ojciec to twardy człowiek. Jest szlachetny, ale... niekoniecznie dobry. Ten portret wygrał od kogoś w wyniku nie do końca czystej umowy. Obraz został przeklęty przez wiedźmę, która powiedziała mojemu ojcu, że jeśli kiedykolwiek na niego spojrzy, zostanie ukarany za swoją chciwość. Więc zamknął go, ukrył w jednej z izb głęboko w zamku i zabronił komukolwiek tam wchodzić, pod karą śmierci. Widywałem ojca wówczas jeszcze rzadziej, mimo że dokładnie wiedziałem, gdzie był. Siedział przed drzwiami tej zamkniętej komnaty. Był opętany tym obrazem. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł go zobaczyć, ale nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Evie milczała. Nie znosiła Forbesa, ale w jego głosie wyczuwała szczerłość.

– Musiałem się dowiedzieć, co zajęło moje miejsce w jego sercu, więc zszedłem tam któregoś dnia, gdy on był akurat na misji dyplomatycznej. Przemknąłem niezauważony obok strażników, których tam postawił, i dostałem się do środka. To było stare zakurzone pomieszczenie, bez okien i mebli. Był tam tylko ten jeden portret, oparty o sztalugę i zasłonięty. Podniosłem zasłonę. To właśnie wtedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. I wtedy przyprawiono mi świński ryj – przerwał i odwrócił się do niej. Uśmiechał się, ale uśmiech ten w żaden sposób nie potrafił pokryć gniewu. – Wybacz, jeśli moja historia jest dla ciebie kolejną irytującą bzdurą.

Wbiła wzrok w wyłożoną kamieniami drogę. Forbes patrzył na nią jeszcze przez chwilę, zanim ruszył dalej. Poszła za nim, pomiędzy nieznanymi sobie budynkami, aż całkiem niespodziewanie zobaczyła nad głową Wieżę Królowej. Wyglądała jak utkana z najdelikatniejszego szkła – perfekcyjna, krystaliczna budowla zatopiona w chmurach. Evie z zachwytem wpatrywała się w to niesłychane piękno, dopóki nie zasłonił go na chwilę przechodzący obok Forbes.

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała, zostawiając za sobą wieżę,

by dotrzymać mu kroku.

Czuła się skarcona, jakby była częściowo winna temu, co mu się przydarzyło.

– Po prostu... miałam jeszcze inne wspomnienia, ale skłamałam i nie powiedziałam o nich księżniczce Wertzheim, bo nie mają żadnego znaczenia.

Nie zareagował, ale też nie przerywał jej.

– To tylko jakieś przebłyski, nie składają się nawet w sensowne sceny. Stół, góra, człowiek z brodą... ryczący z bólu smok.

– Słyszałaś, jak ten potwór wył tamtej nocy? – podchwycił nagle Forbes. Nie widziała jego twarzy, ale w jego głosie dało się słyszeć uśmiech. – Prawie mnie dopadł, ale na szczęście zajęli się nim pogromcy smoków. Szkoda tylko, że to nie ja wsadziłem w niego tę kopię.

– W nią – powiedziała Evie. Jej serce, które przed chwilą nieco stopniało dla niego, zlodowaciało teraz ponownie. – Rozumiem, że mordowanie smoków to dla ciebie powód do dumy?

– Mordowanie, mówisz? – zapytał ze śmiechem.

– Dla niektórych rycerskość i honor są ważniejsze niż zabijanie.

– Postaram się nie potknąć o ich kości, jak będę likwidował smoki, które ich zabiły.

Miała ochotę rzucić mu się do gardła, powiedzieć, że żałuje, że jej siostra nie zabiła go tamtej nocy, ale bała się wspomnieć o tym, że sama jest córką smoków.

– Może wyglądasz teraz jak człowiek, ale w środku nadal jesteś świnią!

– Tak myślisz? Nie zapominaj więc, że nie mógłbym zabijać żadnych smoków, gdybyś nie zwróciła mi tego – powiedział, prezentując jej swoje ubrane w rękawice pięści. – Dziękuję.

Zaczął schodzić ze wzgórza, zostawiwszy ją przy posągu mężczyzny w kompletnej, gładkiej zbroi. Granitowa postać pokryta była grubą warstwą śniegu. Był to posąg rycerza z kopią w dłoni, którego surowe oblicze ukształtował pewnie widok krwi tysięcy smoków. Stała tam przez chwilę, wzburzona tym, co powiedział Forbes. Gdy wreszcie przeszła przez kampus i dotarła do swojej kompanii, dowiedziała się ku swojemu przerażeniu, że właśnie on jest jedynym kadetem z kompani Thrushbeard, który został bez pary. Na szczęście obecność Maggie, Demetry, Anisette, i Bazyla nieco ją uspokoiła i obiecała sobie, że przez pamięć o swojej siostrze da z siebie wszystko, nawet ćwicząc w parze ze „świnią”.

Gdy więc chwilę później z trudem przeciskała się pod powalonym drzewem, nie mogąc znaleźć stopami żadnego oparcia w błocie, odmówiła przyjęcia jego wyciągniętej pomocnicie dłoni. Czowała, jak czarny szlam wyciąga z niej wszystkie siły, ale wołała już tkwić tam w nieskończoność, niż skorzystać z jego pomocy.

– Pośpiesz się!

Kadet pokonujący tę samą przeszkodę z łatwością przecisnął się pod zwalonym pnem i odwrócił się, żeby pomóc Bazylowi.

– Ze wszystkich licznych poniżających chwil, jakie przeżyłem w życiu, ta jest chyba najgorsza – powiedział Bazyl, gdy jego partner wyciągał go z błota.

Evie przekreśliła się na plecy i zaczęła odpychać się nogami. Wreszcie udało jej się przesunąć kawałek. Schwyciła się szorstkiej kory i reszką sił podciągnęła się na rękach. Wygrzebała się po drugiej stronie i podniosła, cała umazana spływającym z niej błotem. Pobiegli dalej. Była połączona z Forbesem długą liną, w większości owiniętą wokół jego ramienia.

Przed nimi wznosiła się wysoka na prawie dziesięć metrów drewniana ściana zakończona zębami. Była osmalona i nosiła ślady innych zniszczeń. Po jej prawej stronie znajdowała się cuchnąca fosa. Ale kadeci, z którymi się ścigali, skręcili w lewo, w stronę budynku gospodarczego, przez który po schodach można się było dostać na biegnący górą muru chodnik.

– DALEJ, KADECI! – krzyczała za nimi sierżant Wróżka. – Poza parą, która pierwsza ukończy wyścig, wszyscy będą dziś biegać w górę i w dół po kręconych schodach Wieży Woundwort! Więc radzę wam RUSZYĆ TYŁKI!

Evie i Forbes zatrzymali się w cieniu muru. Zaczął się odcinać za pomocą przypiętego do pasa noża.

– Pośpiesz się, ty głupku! – Przyjemnie było go obrazić, nawet jeśli nie robił akurat nic, by na to zasłużyć. Spojrzała na podstawę schodów i zmarszczyła brwi na widok Remingtona, który pomagał swojej partnerce, Malorze, wejść na pierwszy schodek.

Forbes wcisnął jej w rękę ciężką, zwiniętą linę.

– Próbujesz z nim wygrać, czy marzysz o tym, żeby go pocałować? Chwyciła linę i puściła się sprintem w górę schodów, przeskakując po dwa stopnie. Ona i Malora dopadły do muru w tej samej chwili. Jedynie garstka innych kadetek była na tym samym etapie. *Zamierzam wygrać ten wyścig* –

pomyślała, mijając pierwsze blanki. Demetra też tam była. Zdążyła już spuścić swoją linę, która napięła się pod ciężarem jej rycerza i z trudem go utrzymywała. Evie przechyliła się przez wolną przestrzeń pomiędzy zębami muru i zobaczyła czekającego na dole Forbesa. Przerzuciła linę na drugą stronę, owijając sobie jej drugi koniec wokół ręki, od dłoni po łokieć. Chwilę później, gdy Forbes zaczął się wspinać, poczuła tak potężne szarpnięcie, że poleciała do przodu i zatrzymała się dopiero na murze.

– TRZYMAJ TO, DO CHOLERY! – krzyknął Forbes.

Zebrała linę i napięła mięśnie. *To będzie trudniejsze, niż myślałam.*

Znów zaczął się wspinać. Zacisnęła zęby, pochylając się od ciężaru. Lina wbijała jej się w ramię, a wszystkie mięśnie – od szyi przez plecy i w dół aż do nóg – paliły ją niemiłosiernie.

– Co robisz? – zapytała nagle Demetra, w jej głosie dało się słyszeć niepokój. Evie spojrzała w jej stronę i zobaczyła, że Malora wepchnęła się w miejsce obok Demetry i przerzuciła linę na drugą stronę. Minęło je kilka innych kadetek w niebieskich sukniach, ale na całym murze było jeszcze mnóstwo wolnego miejsca pomiędzy blankami. Malora specjalnie wybrała to, które wcześniej zajęła Demetra, i zaczęła ją stamtąd wypychać.

Ramiona Evie drżały z wysiłku, ale wychyliła się nieco, by móc zobaczyć, co dzieje się na dole. Rycerz Demetry był już prawie w połowie ściany, niemal bezpośrednio nad Remingtonem.

– STARAJ SIĘ NIE MACHAĆ LINĄ! – krzyknął do swojej partnerki.

– Malora, nie mam tu miejsca! – krzyknął Remington.

Evie spojrzała znowu na Demetrę i zobaczyła, że usilnie stara się utrzymać pozycję. Malora także walczyła ze swoją liną, ale mimo to zdołała kopnąć Demetrę w piszczel.

– Malora! – krzyknęła Evie. – Zwariowałaś? – była tak wzburzona tym, co zobaczyła, że kompletnie nie mogła się już skupić na własnym zadaniu. Straciła pozycję i lina jeszcze bardziej zaczęła wbijać się w jej w ramię.

– Zamknij się! – wrzasnęła Malora i dalej napierała na Demetrę, spychając ją na blankę, gdzie nie było już miejsca dla rąk. Obie stękały z wysiłku, walcząc o miejsce, ale Malora była silniejsza i bardziej zdeterminowana. Stawało się jasne, że Demetra zaraz puści swojego rycerza.

– Nie potrafisz nawet trzymać porządnie liny? – zawołał Forbes do Evie.

– DALEJ CHŁOPCY, W GÓRĘ! – wrzasnęła sierżant Wróżka i Evie naprawdę się zaniepokoiła. Jeśli Wróżka była nadal na dole, nie mogła

wiedzieć, co tu się dzieje. Nie mogła więc pomóc Demetrze.

– Malora, proszę! – powiedziała Demetra. – Upuszczę go! Niespodziewanie jednak to Malora upadła, puszczając przy tym linę, która niczym wąż prześlizgnęła się po murze i zniknęła po drugiej stronie.

– Remington! – krzyknęła Evie. Przechyliła się nad szorstkim murem, mimo że lina jeszcze bardziej wbiła jej się w ramię. Remington leżał na plecach, masując tył głowy – oszołomiony, ale żywy.

Evie z całej siły pociągnęła linę, odsuwając się nawet nieco od muru. Kątem oka widziała, że Demetra nadal walczy. Miała zamknięte oczy i zaciśnięte zęby, a jej ramiona drżały jak skrzydła ważki.

– Trzymaj się, Demetra! Jest już prawie na górze!

Ale Malora rzuciła się na Demetrę, popychając ją na najbliższą blankę. Demetra wypuściła z rąk linę, która ze świstem przeleciała nad murem na drugą stronę. Z dołu doszedł ich straszny, głuchy odgłos uderzającego o ziemię ciała.

– CO TAM SIĘ DZIEJE?

Demetra dotknęła ręką tyłu swojej głowy. Gdy znów opuściła dłoń, okazało się, że jest cała we krwi. Jej rysy stężały. Popchnęła Malorę, plamiąc jej suknię krwią.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj, ty krowo!

Malora natarła na nią, chwyciła ją za ramiona i rzuciła w przestrzeń pomiędzy blankami. Demetra rozpaczliwie próbowała złapać się muru, ale nie udało jej się zatrzymać i przeleciała nad nim.

– DEMETRA! – krzyknęła Evie. Upuściła Forbesa i przechyliła się przez mur.

– Aaaaa! – wrzasnął Forbes, chwytając się za nogę.

W międzyczasie sierżant Wróżka zdołała niemal w ostatniej chwili złapać Demetrę swoją różdżką, ratując ją przed skruceniem karku.

– JAKIM CUDEM TY SPADŁAŚ, KADETKO?

Evie poczuła w sobie płomień gniewu. Natarła na Malorę i obie przewróciły się na chodnik na murze.

– Evie, przestań! – zawołała Anisette.

Obie dziewczyny szamotały się na chodniku. Evie szukała czegokolwiek, co mogłaby chwycić, by zyskać przewagę – ubrania, ciała, włosów. Malora zadrapała jej twarz do krwi.

– Zostaw mnie! – warknęła.

– Mogłaś ją zabić! – krzyczała rozjuszona Evie.

Anisette dopadła do nich i próbowała je rozdzielić. Inne kadetki tylko stały i patrzyły, nadal trzymając swoje liny.

– Dziewczyny, wystarczy! – powiedziała Anisette, odciągając ręce Malory od włosów Evie. Malora krzyknęła i wyrwała się. Gdy Anisette próbowała znowu ją złapać, uderzyła ją niechcący łokciem w oko. To natychmiast zakończyło walkę. Malora odskoczyła, zakrywając dłońmi pół twarzy.

– WSZYSTKIE TRZY NATYCHMIAST NA DÓŁ!

Evie podniosła się i podała rękę Anisette. Malora macała dłonią wokół oka, szukając śladów krwi. Usiadła.

– Przepraszamy, Wróżko...

– NATYCHMIAST NA DÓŁ!

– Nie możecie mnie odesłać – powiedziała Malora. Oddychała ciężko, ale jej głos brzmiał tak spokojnie i krnąbrnie jak zawsze. – Moja matka...

– ...MOŻE BYĆ NAWET SAMYM KOPCIUSZKIEM! NIE OBCHODZI MNIE TO! NA DÓŁ!

Evie też oddychała ciężko, a jej oddech w zetknięciu z rześkim powietrzem zmieniał się w kłęby pary. Nagle zrozumiała, co zrobiła.

Odeślą mnie. Zostanę wyrzucona z Akademii i nigdy nie nauczę się, jak pokonać wiedźmę.

U szczytu klatki schodowej pojawiła się Wróżka, a tuż za nią i ścieżką iskier, które rzucały jej skrzydełka – Maggie, patrząca ze zgrozą na swoje koleżanki.

– To nie wina Evie – powiedziała Anisette. – To ja zaczęłam.

Wróżka odwróciła się do niej, wściekła.

– ŚWIETNIE! UŁATWIASZ MI ZADANIE. ZEJDŹ MI Z OCZU!

– Z całym szacunkiem, to nie byłoby sprawiedliwe, gdyby Evie miała zostać odesłana. To nie ona zaczęła. To ja...

– Anisette, co ty wyprawiasz? – powiedziała Evie, ale Anisette zmroziła ją wzrokiem.

– NA DÓŁ, KADETKO! WIĘCEJ TEGO NIE BĘDĘ POWTARZAĆ!

Następnie odwróciła się do Evie i Malory, wycelowała w nie swój palec wskazujący.

– A wy, obie... Wami zajmie się księżniczka rektor.

– Ale to nie wina Anisette! – zawołała Evie.

– Evie, daj już spokój... Anisette minęła Wróżkę, idąc wolno w kierunku

schodów. Na dole kapitan Ramsbottom, próbując przywrócić porządek, pokrzykiwał na kadetów, ale na górze słychać było jedynie wściekłe pomruki Evie i Malory.

Oczy Evie napotkały wzrok Maggie, ale znalazły w nim jedynie bezradność. Anisette zatrzymała się obok rudowłosej koleżanki, tuż przy schodach. Odwróciła się i wtedy Evie zobaczyła, że płacze. Na jej czole widać było powiększające się zaczerwienienie od uderzenia, którego doznała w czasie walki. Położyła dłoń na piersi, uśmiechnęła się przez łzy i już jej nie było.



Księżniczka Beatrycze z niechęcią patrzyła na obie kadetki stojące przed jej biurkiem. Ubrana w złotą suknię, zaplotła ręce za plecami i mierzyła je wzrokiem, bez słowa okazując im swoją dezaprobatę. Odkąd zostały tu z Malorą wezwane, Evie nawet nie podniosła oczu, ale cały czas czuła na sobie wzrok Beatrycze i wiedziała, że zasłużyła na to spojrzenie. Jej sukienka była podarta, mimo że dopiero co, korzystając z pomocy Rumpelszwacza, naprawiła szkody wynikłe podczas jej ucieczki. Próbowwała ukryć lewą rękę pod prawą, ale plamy zaschniętej krwi zdawały się być wszędzie. Kosmyk włosów spadł jej na twarz, ale nie odgarnęła go – przynajmniej przysłaniał jej stojącą obok dziewczynę. Dziewczynę, przez którą jedna z jej niewielu przyjaciółek została właśnie wydalona z Akademii. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Evie aż podskoczyła.

– Oto dokumenty konieczne do usunięcia ze szkoły – powiedziała Liverwort. Podeszła do biurka, trącając przy tym Evie, i na stercie innych rzeczy położyła dwa pergaminy.

Beatrycze wolno wyszła z za swojego biurka. Jej usta były zaciśnięte. Stała przed Evie i Malorą i przez chwilę wpatrywała się w każdą z nich błękitnymi oczami. Nagle, jak wąż atakujący ofiarę, chwyciła okrytą bliznami i plamami krwi dłoń Evie.

– Czy tak wygląda dłoń księżniczki?

Evie skrzywiła się.

– Nie, Wasza Magnificencjo.

Beatrycze odrzuciła jej dłoń i zwróciła się do Malory.

– A ty? Czy uważasz, że królowa byłaby dumna z tego, co dziś zrobiłaś?

Malora wbiła wzrok w wytarte deski podłogi. Nie odpowiedziała.

– Kadetka Anisette została już wydalona. I słusznie – powiedziała rektorka. Evie w końcu rozumiała, jakie uczucia kryją się w jej głosie: gniew, rozczarowanie i zniesmaczenie. – Niewiele mam powodów, by zatrzymać którąkolwiek z was...

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta. Na jej twarzy malowało się zaniepokojenie.

– Malora?

– Matko! – wykrzyknęła Malora, podbiegając do kobiety i chowając się w jej ramionach. Beatrycze otworzyła usta, by zaprotestować, ale powstrzymała się. Evie przyglądała się matce Malory. Niegdyś była z pewnością kobietą o niezwykłej urodzie, która jednak z wiekiem zmieniła się w chłodną, porcelanową elegancję. Jej oczy były tak samo ciemne jak jej włosy, które wystawały spod zamotanego na ramionach szala, wyglądającego jak pajęcza sieć owinięta wokół muchy.

– Zapewniam, Wasza Magnificencjo, że nie tak ją wychowywałam.

– Cóż – odparła Beatrycze – jest pani od lat przyjaciółką tej instytucji, hrabino Hardcastle, za co jesteśmy niewymownie wdzięczni... Evie stała jak sparaliżowana i wpatrywała się hrabinę Hardcastle. Pozostałe osoby w pokoju nadal coś mówiły, ale ona była jak zahipnotyzowana i nie słyszała nic. Było coś takiego w tej kobiecie, że wydawała się dziwnie znajoma... Evie dręczyło uczucie, że już ją kiedyś widziała. A im dłużej przyglądała się jej twarzy, tym wyraźniej to czuła. Zachwiała się i sięgnęła ręką za siebie w poszukiwaniu krzesła, na którym mogłaby się oprzeć, ale zanim jej się to udało, porwało ją wspomnienie tak wyraźne i pełne, że przysłoniło wszystko inne...

To była ona, młodsza Evie, którą znała już z pierwszego wspomnienia odzyskanego w szpitalu. Stała w przytulnym pokoju. Był tam dębowy stół, a w kominku paliło się drzewo. Po obu stronach ciężkich drewnianych drzwi znajdowały się dwa nieprzejrzyste okna. Ściany przysłonięte były szafkami i hakami, i wszelkiego rodzaju sprzętem kuchennym. Było ciemno i ciepło, a ona szykowała się właśnie, żeby zanurzyć zęby w ciastku o złocistej, rumianej skórce...

Wspomnienie rozplątało się i znowu była w gabinecie Beatrycze, zdezorientowana i oszołomiona...

Jednak wkrótce pojawiło się kolejne. Zarost mężczyzny o szczerym uśmiechu, odzianego w lekką kolczugę. Jego też już wcześniej widziała, w skrawku wizji po kolejnej porcji leku. Nigdy jednak tak wyraźnie, jak w tej chwili. Siedział na wielkim białym wierzchowcu o czarnej grzywie i takichż kopytach. Ona, mała Evie, siedziała za nim, obejmując jego potężny pas i uśmiechając się od ucha do ucha...

Słowa zaczęły mieszać się ze wspomnieniami i rzeczywistością. Nie mogła zrobić nic poza staniem i wpatrywaniem się w hrabinę Hardcastle, czekając, aż to wszystko się skończy.

– ... ale walczyć z inną kadetką? – doszedł ją stłumiony głos księżniczki Beatrycze. – Czegoś takiego Księżniczka Tarczy nie zrobiłaby nigdy...

Kolejne wspomnienie. Wspaniała posiadłość o białych ścianach, poprzecinanych ciemnobrązowymi belkami, usytuowana wysoko ponad zalesioną doliną. Duże okna z żelaznymi okiennicami. Na przeciwległych końcach dachu kominy z czerwonej cegły, jakby dom miał rogi...

I jeszcze jedno: dwie małe dziewczynki biegnące po łące niedaleko lasu. Jedna z nich to mała Evie, druga – o długich, czarnych włosach...

– A oto druga uczestniczka całej afery. Proszę pozwolić, że przedstawię kadetkę Jedenastą...

Rdzawe oczy Hardcastle spotkały wzrok Evie i również w nich pojawił się błysk rozpoznania, ale także ona nie od razu zrozumiała...

Tymczasem do Evie wspomnienia płynęły teraz szerszym strumieniem. Hrabina Hardcastle, dziesięć lat młodsza, wysuwająca ciasto z opalanego drewnem pieca. Evie przygląda się, jak kładzie je na kamieniu, by ostygło...

Mała Evie rzuca śnieżką w wysokiego, zarośniętego mężczyznę, który wybucha dudniącym śmiechem, a potem upuszcza małą kulkę śniegu na głowę młodszej Hardcastle...

Evie i czarnowłosa dziewczynka siedzą po obu stronach Hardcastle, która uczy je grać na harfie...

Evie i Hardcastle stały, nie mogąc oderwać od siebie oczu. Wspomnienia zlewały się w całość jak przyciągające się krople rtęci.

– Co tu się dzieje? – spytała Malora, która w końcu zauważyła dziwne spojrzenia, jakie jej matka wymieniała z Evie. Evie odwróciła się do niej i przed oczami stanął jej kolejny obraz...

Czarnowłosa dziewczynka wdrapuje się na małe modrzewiowe łóżko i siada obok Evie. Odwraca się do niej z uśmiechem, który rozwiewa wszystkie wątpliwości. To jest Malora, tylko dziesięć lat młodsza...

Twarz Evie zrobiła się zupełnie biała. Nie mogła normalnie oddychać, z trudem chwyciła powietrze. Jej oczy zwróciły się ku hrabinie Hardcastle...

– Mamo?

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

– Nicolina? – wyszeptała wreszcie słabo Hardcastle.

– O czym ona mówi? – zapytała Malora. Mimo że w jej głosie zabrzmiała panika, wszyscy ją zignorowali.

Evie osłupiała. To imię – Nicolina – było jej obce, ale jednocześnie niesło mnóstwo znaczeń. Beatrycze podchwyciła wzrok Liverwort i kiwnięciem głowy rozkazała jej wyjść z pokoju.

– Hrabino... – zaczęła. – Czy zna pani tę dziewczynę?

– Tak, Wasza Magnificencjo – odparła kobieta osłabłym ze zdumienia głosem. – Ta dziewczyna ma na imię Nicolina i jest... – Przerwała i z trudem przełknęła ślinę. – Ona jest moją córką.

Kolejne kilka minut minęło Evie jak sen. Beatrycze wprowadziła ją do przyległego przeszklonego pomieszczenia, gdzie dziewczyna opadła na pluszowy fotel i słuchała przez drzwi stłumionego, rozgorączkowanego głosu Malory.

Nalała jej filiżankę herbaty z passiflory. Evie wypiła i doznała wrażenia, że jej umysł stał się zupełnie pusty...

– Moja kochana Nicolino, myślałam, że straciłam cię na zawsze. Evie spojrzała na swoje dłonie, zamknięte w dłoniach hrabiny Hardcastle. *Chyba zasnęłam* – pomyślała – *ale jeśli tak, dlaczego to wszystko nie jest snem?*

Rozejrzała się i zobaczyła Beatrycze i Liverwort skulone nad ogromną, starą księgą o cienkich, kruchych stronach. Zdecydowanie, wszystko, co się działo, było tak prawdziwe jak blizny na jej dłoni.

– Czy mogłabyś... nazywać mnie Evie? – wychrypiała. Jej głos był suchy jak strony książki. – Oczywiście, moja kochana, jak tylko chcesz.

Dobrze. Nie zniosłabym kolejnej zmiany imienia. Czują, że powinna coś powiedzieć, jakoś wyjaśnić tę niewiarygodną rzecz, która się właśnie wydarzyła, ale w głowie miała pustkę. Podniosła wzrok na Hardcastle i wzdrygnęła się na widok jej słabego uśmiechu. Czy ta kobieta – chuda, koścista i blada jak mgła – rzeczywiście mogła być jej matką?

– Szlachecka księga genealogiczna potwierdza. To musi być córka hrabiny Hardcastle – oświadczyła Liverwort.

– Szlachecka? – powtórzyła Evie. – Księga zawierająca spis wysoko urodzonych?

– Jeśli pani pozwoli, hrabino – powiedziała Beatrycze, wskazując na starą księgę.

Liverwort odsunęła się, robiąc miejsce dla hrabiny Hardcastle, która złożyła swój podpis piórem i podała je następnie Beatrycze, jako świadkowi. Spis został uaktualniony. Liverwort zamknęła księgę, włożyła ją sobie pod pachę i wyszła.

– Moja droga, nic dziwnego, że czujesz się zagubiona – zwróciła się Beatrycze do Evie. – Jako dziecko zostałam obłożona rodzajem klątwy, która pozbawiła cię wszelkich wspomnień.

Hardcastle wróciła na krzesło naprzeciwko Evie, ale Beatrycze nadal stała.

– Ta kobieta jest twoją matką. To prawdziwe szczęście mieć taką matkę. To dobra kobieta i serdeczny przyjaciel naszej Akademii.

– Dziękuję, Wasza Magnificencjo, to bardzo miłe, co pani mówi – odezwała się Hardcastle. Teraz, gdy pierwszy szok już nieco minął, Evie usłyszała w jej głosie tę samą jedwabistą nutę, co w głosie Malory.

– Twoja siostra, jak możesz sobie wyobrazić, jest... nieco zmieszana tym wszystkim. Gdy zniknęłam, wyparła wszystkie wspomnienia o tobie. Tak powiedzieli lekarze. Zawsze wierzyłam, że tak było lepiej – Pokręciła głową, a w jej oczach widać było udrękę. – Nie mogłam znieść myśli, że mogłaby czuć taką samą rozpacz, jaką ja czułam. Cieszyłam się, że znalazła własny sposób na radzenie sobie z bólem. Zależało mi tylko na tym, by wyrosła na normalną dziewczynę.

Beatrycze położyła jej dłoń na ramieniu, patrząc smutno. – Powiedz mi, Nicolino, eeee.... Evie... – zaczęła znowu Hardcastle. – Naprawdę nic nie pamiętasz?

Właściwie to nagle okazało się, że Evie pamięta całkiem sporo. W ciągu ostatniej godziny przypominała sobie więcej niż przez cały czas spędzony w Akademii. Jednak większość tych wspomnień to były tylko przebłyski, twarze, miejsca, sceny – nic konkretnego.

– W takich sytuacjach dość często nagły wypadek uruchamia przyływ wspomnień – powiedziała Beatrycze. – Odczekaj. Oddychaj. Pomyśl.

Evie wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, szczęśliwa, że może w ten

sposób uciec spod kontroli osób obecnych w tym pokoju. Po chwili w jej głowie zaczęła pojawiać się kolejna scena, tak samo niepokojąco znajoma jak inne...

Była w małej kuchni, tej z nieprzejrzystymi oknami. Tylko tym razem rzeczywiście tam była. Pomieszczenie sprawiało wrażenie przestronnego, bezpiecznego i ciepłego.

Wyłożona kamiennymi płytami posadzka cała była usiana pachnącymi gałązkami lawendy, a okna nie były brudne, tylko oszronione od zewnątrz. W powietrzu unosił się też aromat świeżego ciasta i gulaszu. W tej kuchni siedziała Evie, jako mała dziewczynka, i jej matka, hrabina Hardcastle – młodsza, delikatniejsza i o bardziej pogodnym spojrzeniu. Evie właśnie włożyła trójkącik białego sera do plecionego piknikowego kosza i czekała na kolejny przysmak. Hardcastle zawinęła w płótno niewielki placek i wręczyła go córce. Evie uśmiechnęła się do niej zawiadaczająco, po czym od razu odwinęła parujące jeszcze ciasto.

– O nie, moja droga. Wiem, że masz dziś urodziny, ale to nie znaczy, że możesz to ciasto od razu zjeść. Musisz poczekać.

– Kawałeczek?

Hardcastle spojrzała na nią surowym wzrokiem, ale dziewczynka wiedziała, że tak naprawdę wcale się nie gniewa.

– No dobrze – powiedziała, uśmiechając się. – Ale tylko jeden. Evie odgryzła tak wielki kawał ciasta, że z trudem mogła utrzymać go w ustach. Hardcastle patrzyła na to i śmiała się zachwycona.

– Ty mały łobuzie – powiedziała. Do kuchni wpadł duży, zaróżowione od wielogodzinnej było zarówno zdecydowanie, jak brodaty mężczyzna. Policzki miał konnej jazdy. W jego głosie słysząc i śmiech. Na widok małej dziewczynki z piknikowym koszem jego oczy rozbliły radośnie.

– Masz ciasto? – zagrział, wyjmując je z rąk Evie. Odgryzł wielki kawałek i z całego placka została już tylko połowa.

– Tato! – upomniała go Evie.

– Nic wam nie zostanie na piknik – powiedziała Hardcastle, wkładając resztę do kosza.

– Dobrze, dobrze – powiedział mężczyzna, obejmując swoimi potężnymi ramionami Hardcastle i przyciągając ją do siebie. – Jesteś pewna, że możemy jechać, kochanie?

– Tak – powiedziała, delikatnie całując go w usta. – Musicie. Przecież

od tygodni obiecywaliśmy jej ten urodzinowy piknik.

– Urodzinowy? Chcesz mi powiedzieć, że ktoś ma dziś urodziny? – zagrział znowu, puszczając Hardcastle i podnosząc z podłogi Evie, która zachichotała zachwycona, gdy ojciec podrzucił ją w powietrzu.

– Wasza mapa do miejsca pikniku – powiedziała Hardcastle, podając mu zwinięty pergamin. – Jesteście doskonale przygotowani – dodała, wieszając koszyk na jego ramieniu. – I nie martw się o Malorę. Znajdę sposób na to, by zbić tę gorączkę.

Podniósł zwinięty pergamin jak miecz i skierował go na drzwi.

– Dobrze, zatem ruszajmy... ku przygodzie!

I wyszedł na zewnątrz, w chłodne jesienne powietrze.

Hardcastle ukucnęła przy Evie i objęła ją. Potem spojrzała na nią z matczyną mieszaniną słodko-gorzkiej świadomości upływającego czasu.

– Moja mała dziewczynka ma już pięć lat. Wszystko przychodzi i odchodzi, prawda?

Mała Evie ucałowała policzek swojej matki i pobiegła do drzwi...

– Ach, tak – doszedł ją odległy głos. – Król Callahan.

Evie otworzyła oczy, zdezorientowana, jakby obudziła się z głębokiego snu. Dopiero po chwili zrozumiała, że opisywała na głos to, co widziała. Cały czas była w przeszklonym gabinecie Beatrycze, ale to wspomnienie wydawało się tak żywe i prawdziwe...

– Był cudownym mężczyzną – powiedziała Hardcastle. – Jest aktualnie poddawana intensywnemu leczeniu, hrabino, które wkrótce powinno przynieść jeszcze więcej wspomnień. Obawiam się jednak, że na razie musimy zakończyć to cudowne spotkanie.

– Zakończyć? – zdziwiła się Evie. – Ale przecież dopiero co...

– Wiem, że to może się wydawać dziwne, kadetko, ale musisz zrozumieć, że znamy się na leczeniu klątw niepamięci. Najlepiej, żebyś kontynuowała naukę bez zmian i pozwoliła wspomnieniom samym się ułożyć. Po skończonym semestrze będziesz miała dużo czasu dla swojej nowo odzyskanej rodziny.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedziała Hardcastle, podnosząc się z krzesła. – Cieszę się, że po raz pierwszy od twoich piątych urodzin wiem, gdzie jesteś.

– Jeszcze jedno, jeśli hrabina pozwoli...

– Oczywiście.

Beatrycze spojrzała z góry na Evie.

– Jak już powiedziałam kadetce Malorze, dostajecie ode mnie ostatnią szansę. Jeśli jeszcze raz będę musiała was tu gościć, to tylko po to, żeby wam wręczyć decyzje o usunięciu ze szkoły. Czy wyrażam się jasno?

– Czy Anisette także zostaje? – zapytała Evie.

– Były kadetki nie powinny cię już interesować.

Nie powinny mnie interesować – pomyślała Evie. – *Jedna z moich najlepszych przyjaciółek nie powinna mnie już interesować.* Z trudem pohamowała łzy.

Po długim pożegnaniu Evie z matką, pełnym przytulania i uścisków, Beatrycze poprosiła jedną z pracownic administracyjnych Akademii – młodą dziewczynę o imieniu Rahden, która uzyskała tytuł Księżniczki Tarczy zaledwie trzy lata wcześniej – o to, by zaprowadziła Evie z powrotem do jej baraku. Evie była tak skołowana tym wszystkim, co się właśnie wydarzyło, że przez całą drogę przez Jasiową Polanę nie powiedziała ani jednego słowa. W jakiś tajemniczy sposób, w momencie, gdy wchodziła do baraku, Hazelbranch wydawała się już wiedzieć wszystko o jej nowej sytuacji rodzinnej. Wzięła ją za rękę i poprowadziła przez puste wnętrza. Gdy miały pryczę Anisette, serce Evie załapała nowa fala bólu. Na manekinie wisiała jej balowa kreacja. Była kiepsko zaprojektowana i niechlujnie wykonana – Anisette nigdy nie była najlepszą z uczennic Rumpelszwacza – ale była to jednak jej sukienka. A teraz już nigdy nie będzie miała szansy jej dokończyć.

Hazelbranch zabrała Evie do łazienki, posadziła ją na małym drewnianym stołeczku przed lustrem i przy pomocy bardzo ciepłej wody z wiadra zaczęła zeskrobywać z niej brud, krew i łzy, pozostałości walki.

– Twoja balowa suknia wychodzi bardzo ładnie – powiedziała. – Rumpelszwacz naprawdę zdołał rozwinąć twój talent.

Wyjęła z szuflady toaletki bukszpanowy grzebień i zaczęła rozczesywać włosy Evie.

– Podejrzewam jednak, że nie moda ci teraz w głowie.

– Mam już siostrę i nie chcę innej. Zwłaszcza tak wrednej jak Malora.

Hazelbranch uśmiechnęła się, pociągając grzebieniem od nasady włosów ku końcowi. Robiła to tak delikatnie, jakby grała na tych włosach.

– Dlaczego? Dlaczego ona nadal tu jest, a Anisette nie?

– Może jest w niej coś, czego jeszcze nie odkryliśmy? – zapytała Hazelbranch. Odłożyła grzebień i zaczęła układać włosy Evie w luźno opadające na ramiona pasma.

– Tak to już jest z ludźmi. Kiedy byłam dziewczynką, moja matka nagle zmarła. Była dla mnie wszystkim. Dla mojego ojca także. Ale w swojej żałobie zdecydował ożenić się ponownie. Jego nowa żona była okropną kobietą, a jej dwie wstrętne córki zostały moimi przyrodnimi siostrami. Ich jedyną radością było dręczenie mnie. Każdego ranka budziłam się i zastanawiałam, co takiego im zrobiłam, że mnie tak nienawidzą. W końcu jednak zrozumiałam, że to nie miało nic wspólnego ze mną. W którymś momencie ich życia wydarzyło się coś, co je bardzo zraniło – one tego nie rozumiały, ja tak. Dlatego zdecydowałam się traktować je tak dobrze, jak najwyraźniej nie były nigdy wcześniej traktowane.

Evie przyglądała się jej twarzy w lustrze. *Nigdy nie będę tak dobra jak Hazelbranch, nawet jeśli żyłabym tysiąc lat.* Dobroć wypływała z niej naturalnie, jakby to była część niej, jak skóra czy włosy.

– Każdy z nas może kontrolować swoje własne decyzje – mówiła dalej. – Nie mamy wpływu tylko na decyzje innych. Nic nie mogłam poradzić na to, jak one mnie traktują, ale sama postanowiłam traktować je dobrze. I wiesz, co się stało? Gdy dorosłyśmy, jedna z tych wrednych przyrodnich sióstr stała się najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Evie skrzywiła się i wbiła wzrok w podłogę. Nie miała w tej chwili ochoty na pracę nad swoim charakterem. Nie znosiła Malory i uczucie gniewu sprawiało jej przyjemność.

– To nie jest sprawiedliwe. Ze wszystkich ludzi...

– Życie nie jest sprawiedliwe, Evie. Nigdy nie było i nie będzie. Możesz siedzieć i użalać się na tę niesprawiedliwość, podczas gdy wiedźmy będą szalały po kraju, albo możesz wziąć się w garść i coś z tym zrobić.

Zrobiła krok w tył. Evie spojrzała w lustro. Dziewczyna, którą w nim zobaczyła, była kimś obcym. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą siedział ktoś nieokrzesany, brudny i umazany krwią, zobaczyła najpiękniejszą wersję siebie, jaką kiedykolwiek widziała.

Hazelbranch zaplotła jej włosy w delikatny warkocz wokół głowy, który wyglądał jak korona. Niesforne kosmyki wymykały się i opadały za uszy.

– Lustra pokazują to, czego twoje oczy nie widzą. Lustra pokazują prawdę.

W tej nowej osobie w lustrze można było dostrzec więcej niż nową fryzurę – coś, co kryło się znacznie głębiej. Jakaś istotna zmiana dokonała się w tej dziewczynie, która przysła tu okryta pajęczą siecią. Wyglądała jakoś... prawdziwiej, jak młody wilczek, który nauczył się już polować.

– Ty decydujesz o tym, kim chcesz być. Nikt inny.



– Jadłaby teraz już trzeciego bażanta – powiedział Bazyl. – Nic nie pobudzało jej apetytu bardziej niż wykłady o mechanice kołowrotka.

On, Demetra i Evie siedzieli na swoich zwykłych miejscach w sali jadalnej. Straty wśród niebieskiej kompanii były bardzo dotkliwe. Również inne kompanie przyszły na kolejny posiłek wyraźnie przetrzebione. Od czasu odejścia Hessekel i Giseli odsyłano do domu coraz więcej kadetek. Jednak odejście żadnej nie bolało tak bardzo, jak zniknięcie Anisette.

– Uwielbiam prząść – mówił dalej Bazyl. – Ale bez przesady, ile razy jeszcze będzie nam pokazywał, jak się mocuje kądziel?

– Słyszałam jakieś dziewczyny plotkujące w toalecie. Chyba były z kompanii Goosegirl. Mówiły, że każda odesłana do domu wieśniaczka przybliży je do możliwości bycia Waleczną Księżniczką – powiedziała Demetra i z odrazą odsunęła od siebie talerz. – Miałam ochotę je udusić.

Evie spojrzała na drugi koniec stołu, gdzie siedziała Malora. *Moja siostra*. Myślenie o niej w ten sposób nie sprawiało jednak, że sytuacja wydawała się choć trochę mniej absurdalna. Oczywiście wiadomość o tym, że mają wspólną historię, nadała ich relacji nowego znaczenia, ale nawet rozmowa z księżniczką Hazelbranch nie zdołała złagodzić gniewu Evie. Nie dała też jej odpowiedzi na pytanie *dlaczego?* I Evie bała się, że już nigdy tej odpowiedzi nie znajdzie.

– Evie! Evie, musisz to zobaczyć! – powiedziała Maggie, zmierzając w ich

kierunku z szerokim uśmiechem na twarzy, w dłoniach trzymała oprawioną w skórę książkę.

– Jesteś wreszcie – powiedział Bazyl. – Wszędzie cię szukaliśmy. Maggie usiadła obok Evie, odsuwając na bok sztućce i naczynia, by zrobić miejsce na książkę.

– Nie chciałam przeszkadzać waszym wysokościach, skoro to ja jestem jedynym wieśniakiem, jaki nam w tym gronie pozostał.

Nadal się uśmiechała, ale unikała patrzenia im w oczy. Evie spojrzała na Demetrę i Bazyla. Ich zmieszanie było dowodem na to, że i oni to zauważyli.

– Przypomniało mi się coś, co czytałam dawno temu na temat klątw i ich leczenia, więc poszłam do archiwum, by zobaczyć, czy znajdę coś na ten temat. Tam jest naprawdę niesamowicie. Mają kopie chyba każdej książki i każdego zwoju, jakie kiedykolwiek napisano.

Wszyscy troje wymienili kolejne zaniepokojone spojrzenia. Dziwna była ta reakcja Maggie na to, że odesłano do domu Anisette.

– I wtedy znalazłam to – Maggie położyła dłoń na okładce książki.

– To na temat Forbesa. A raczej portretu, o którym mówił Evie.

– Naprawdę? – zapytała Evie, zapominając kompletnie o dziwnym zachowaniu przyjaciółki.

– Posłuchajcie tego... – powiedziała Maggie, kartkując strony, aż znalazła tę, której szukała. – „Pomieszany i zdezorientowany umysł osoby, na którą rzucono klątwę, usilnie szuka wytłumaczenia tego, co niewytłumaczalne. Ozdrowienie powoduje często nie cały obiekt, ale jakiś jego mały, pozornie nieznaczący element. Jednak cierpiący z powodu klątwy umysł czepia się tego, co najłatwiej mu dostrzec” – przeczytała Maggie, po czym podniosła na Evie duże, pełne wyczekiwania oczy.

– Nie rozumiem...

– To tak jak z tą dziewczyną, o której opowiadał nam Volf – powiedziała Demetra. – Księżniczka Dalfsen...

– Dallesfen – poprawił Bazyl.

– Właśnie, Dallesfen. Pamiętasz, Evie? Przeszukała cały kraj w poszukiwaniu idealnego kęsa chleba, przekonana, że jedynie on będzie w stanie przywrócić jej wzrok. Okazało się jednak, że wcale nie chodziło o chleb...

– ... tylko o nóż, którym go ukroiła – dokończyła Evie.

– Właśnie! – wykrzyknęła Maggie. – Być może twoje włosy mają ten sam odcień, co włosy dziewczyny, którą Forbes zobaczył na tym portrecie. A może twój zapach w jakiś sposób skojarzył mu się z pokojem, w którym ten obraz trzymano. Niekoniecznie *ty* byłaś tym lekiem. Mogła nim być *jakakolwiek* twoja cecha.

– Więc... ten portret wcale nie musi przedstawiać mnie?

– Oczywiście, że nie! Forbes był tak zaskoczony swoim nagłym ozdrowieniem, że przekonał sam siebie, że to ty go uleczyłaś, podczas gdy tak naprawdę mogła to być mucha siedząca na twoim ramieniu albo cokolwiek innego.

Evie porównała w myślach to, o czym mówiła Maggie, z teorią Forbesa. To wydawało się sensowne. Teoria Forbesa wymagałaby dziwnych przeskoków czasowych i logicznych akrobacji. Musiał się mylić.

– Och, Maggie, nie wiesz, ile to dla mnie znaczy! – powiedziała, przyciągając do siebie przyjaciółkę i obejmując ją.

– To znaczy, że nic mu nie jesteś winna – powiedziała Demetra. – Wszyscy widzieliśmy, jak cię to męczy, jakbyś była w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za jego grubiaństwo. Evie, od tej pory nie musisz się nim w ogóle przejmować.

– I on tobą też nie, tylko jeszcze sam o tym nie wie – dodał Bazyl. Dreszcz przemknął jej po plecach. Poczła wielką ulgę.

– Teraz, gdy odesłali Anisette – powiedziała, kręcąc głową w niedowierzaniu – gdy Bezradna Niewiasta zbliża się coraz większymi krokami i jeszcze po tym, jak dowiedziałam się, że jestem *jej* siostrą... Maggie, to najlepsza wiadomość, jaką mogłam w tej sytuacji usłyszeć. Przynajmniej tym nie muszę się już martwić – powiedziała, całując przyjaciółkę w policzek. – Dziękuję.

– Powinnaś podejść teraz do niego i rzucić mu tę książkę w jego głupawą twarz – powiedział Bazyl z bezczelnym uśmiechem.

Evie uśmiechnęła się chytrze. Perspektywa odmalowana właśnie przez Bazyla była nader kusząca. Mogłaby w końcu oficjalnie odciąć się od Forbesa. Właśnie rozważała, czy rzeczywiście do niego nie podejść, gdy zauważyła porucznika Volfa idącego w kierunku wyjścia.

– Zaraz wrócę. Muszę tylko załatwić jeszcze jedną rzecz... Podniosła się i pobiegła za nauczycielem, ignorując spojrzenia, jakie Malora i Sage rzuciły jej, gdy je mijała. Gdy wyszła, natychmiast owiało ją rześkie, wieczorne

powietrze. Przebiegła wzrokiem po śladach stóp na śniegu pokrywającym bruk, aż na końcu utworzonej przez nie ścieżki zobaczyła Volfę, maszerującego mozolnie we mgle, coraz dalej od światła pochodni oświetlających salę jadalną. W dłoni trzymał jabłko.

– Poruczniku! – zawołała go.

Odwrócił się. W bladym świetle pochodni jego wychudzona twarz wydawała się jeszcze starsza i bardziej poorly zmarszczkami niż zwykle.

– Tak? O co chodzi? Mam randkę z moim ciepłym kominkiem i jeszcze cieplejszą brandy.

– Słyszał pan kiedyś o miejscu zwanym Saudade?

Zamrugnął, po czym zaśmiał się suchym śmiechem, który brzmiał bardziej jak kaszel. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby się uśmiechał. Wyglądał, jakby sprawiało mu to ból, i Evie pomyślała, że nie chce tego więcej oglądać.

– Saudade, mówisz? To stare sprawy.

– Więc słyszał pan tym miejscu?

– Saudade to mityczne, wodne królestwo. Wymyślone. Nigdy nie istniało.

Zmarszczyła niepewnie brwi. Słowo, które prześladowa ją od tak dawna, miałoby się okazać mitem?

– Według legendy Saudade nie cieszyło się przychylnością Losu, który na każdym kroku próbował je zniszczyć. Gdy to się w końcu udało, królestwo to rozpadło się, wywołując Wielką Falę, która obmyła cały świat i stała się początkiem Epoki Królów. Ale to tylko kolejny produkt wyobraźni wróżek – dodał z niesmakiem. – Naprawdę, dziecko, czy niczego się ode mnie nie nauczyłaś? Nie powinnaś wierzyć w te ich historie.

– Nie przeczytałam tego. Widziałam to. Tu – powiedziała, wyjmując zza dekoltu łuskę smoka.

– Ach tak – powiedział, kiwając ze zrozumieniem głową. – Krew smoka. Minimalnie bardziej wiarygodna niż historie wróżek.

– Miałam wizję, z której wynikało, że będę księżniczką Saudade. Volf cmoknął z dezaprobatą.

– Powiedz mi, moja droga, ile decyzji dziś podjęłaś? Dziesiątki? Setki? Może tysiące? A ile podejmiesz jutro? Krew smoka pokazuje ci to, co jest możliwe. To się zgadza. Ale to są wizje, które mogą się sprawdzić jedynie wówczas, gdy każda decyzja z tysięcy będzie z nimi idealnie zgodna. Jeśli choć jeden wybór nie będzie pasował, taka wizja nie ma do zaoferowania więcej prawdy niż moja dzisiejsza brandy. – Odwrócił się w kierunku

ciemnego kampusu. – Dobranoc, kadetko.

– Ale ja też o tym śniłam. Kilka razy.

Jego oczy, zwykle tak wyniosłe, rozjaśniły się w świetle pochodni czymś w rodzaju współczucia.

– A te sny miały miejsce, zanim zobaczyłaś tę wizję w krwi smoka, czy po tym?

Evie nie odpowiedziała. Miał rację. Wszystkie sny, w których pojawiało się to słowo, miała już po wizji wywołanej przez krew smoka.

– Śnieżka zjadła kiedyś jabłko zatrute przez wiedźmę. To nie znaczy, że w moim jabłku też jest trucizna – powiedział Volf, prezentując jabłko, które trzymał w dłoni. – Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? To, że magia istnieje, nie oznacza jeszcze, że wszystko jest magiczne.

Odwrócił się, a z głębi jego płuc wyrwał się dudniący kaszel. Ruszył mozolnym marszem w górę brukowanej ścieżki i po chwili zniknął w nocnej mgle.

Evie stała jeszcze przez chwilę, analizując w myślach to, co usłyszała. Kryształiczne płatki zdmuchiwane przez wiatr z dachu sali jadalnej krążyły nad jej głową. Przeanalizowała jeszcze raz dokładnie słowa Wolfa, aż poczuła, że je rozumie i akceptuje. Wtedy odetchnęła głęboko i podniosła głowę, by popatrzeć na chmury. Na jej ustach pojawił się uśmiech, który szybko rozprzestrzenił się na całą twarz i oczy.

– Nie istnieje – powiedziała cicho. Mogła więc przestać się zadrećcać także tą drugą zagadką. Poczowała przyjemną lekkość.

Nawet Wróżka zauważyła, że Evie się zmieniła. Bez tych dwóch tajemnic, które wcześniej stale zajmowały jej umysł, mogła w spokoju skupić się na jednej rzeczy, która ją teraz interesowała i z powodu której wróciła do Akademii – na walce z wiedźmami. Noszona na szyi łuska nie miała już nad nią władzy. Stała się jedynie pamiątką po ukochanej rodzinie. Nie musiała już przejmować się jej kłamliwymi wizjami; mogła nosić ją blisko serca, ignorując sprowadzającą problemy smoczą krew. Podczas ćwiczeń polowych za każdym razem powtarzała sobie w duchu obietnicę, że postara się najbardziej, jak to możliwe – dla swojego ojca, matki i siostry... tych smoczyc. Zawsze modliła się do Losu o swoją smoczą siostrę – o to, by bezpieczna, spokojna i szczęśliwa mogła zajadać z matką pieczonego niedźwiedzia w jaskini. Uwolniwszy umysł od tego, co wcześniej go rozpraszało, Evie wkrótce stała się jedną z najpilniejszych i najbardziej

zdyscyplinowanych kadetek w całej kompanii.

Co zaś się tyczy jej nowej, ludzkiej siostry – to, co usłyszały w gabinecie Beatrycze, miało jeden niezamierzony, ale bardzo wygodny dla Evie skutek. Obie z Malorą bardzo starały się udawać, że druga nie istnieje, unikając w ten sposób przyjęcia do wiadomości koszarnej prawdy o swoich wzajemnych relacjach.

Evie czuła się wreszcie wolna. Saudade nie miało z nią nic wspólnego i portret w zamku, w którym Forbes mieszkał jako dziecko, również nie miał z nią nic wspólnego.

Rozwinęła się także w innych obszarach. Potrafiła teraz w kilka minut wydobyć włókna lnu z surowych, kruchych łodyg. Nauczyła się zaskakująco dobrze międlić i czesać len oraz znakomicie przędła. Spędzała długie wieczory na ćwiczeniu się w szyciu, gdyż po oparzeniach jej palce stały się sztywne i zdrętwiałe, więc potrzebowała czasu, by na nowo je rozruszać. Jej suknia była prawie skończona. Był to dziwny projekt, ale na swój sposób piękny, wykorzystujący niespokojną czerwień i pomarańcz, które tańczyły wokół jej ciała jak płomienie.

Ona i jej przyjaciele wychodzili zwycięsko z kolejnych prób. Wkrótce uodpornili się na te dramatyczne momenty, gdy nauczyciel przerywał ćwiczenie, wskazywał na kadetkę i jednym gestem przekreślał jej marzenia o zostaniu księżniczką. W barakach coraz więcej było pustych pryczy. Zimowa pogoda dodatkowo nie ocieplała atmosfery. Niemniej, ku ogólnemu zaskoczeniu, Evie radziła sobie znakomicie, a Maggie, Demetra i Bazyl również jej nie ustępowali. Mimo że nigdy nie rozmawiali między sobą o perspektywie Bezradnej Niewiasty – być może hamowani jakimś przesądnym lękiem, że rozmowa na ten temat może sprowokować Los i skończy się odesłaniem z Akademii w jednym z tak często teraz odjeżdżających powozów – każde z nich widziało zmiany zachodzące w przyjaciołach. Wszyscy stawali się twardsi. Rosła w nich pewność siebie, zakorzeniona w tych czterech magicznych cnotach, których potrzebuje każda księżniczka: Dobroci, Współczuciu, Odwadze i Dyscyplinie.

Mimo że Evie czuła się szybsza, mądrzejsza i pewniejsza siebie praktycznie w każdej dziedzinie, jedno wydarzenie wystawiło jej cierpliwość na próbę. Po wyjątkowo nudnych zajęciach w stajniach, prowadzonych przez księżniczkę Doberan, która starała się przekazać im wiedzę na temat hodowli zwierząt, Evie i Maggie odłączyły się od pozostałych i udały do sali balowej

imienia Flecisty z Hameln – wielkiej, wykutej w kamieniu, białej jak kreda budowli, po której obu stronach rosły stare wierzby płaczące. Wewnątrz znajdował się ogromny, siedmiopoziomowy parkiet z gładkich dębowych desek. Poszczególne poziomy schodziły stopniowo w dół, jak strumień miękko spływający z gór. Całą salę otaczały szerokie balkony galerii z miejscami dla muzyków. To tutaj Evie i inne kadetki i kadeci, wybrani do wzięcia udziału w Wielkim Balu, uczyli się tańca.

Evie spędzała ten czas z jedną ręką zamkniętą w dłoni Remingtona, a drugą na jego ramieniu, ale nie wolno jej było zamienić z nim więcej niż kilka słów. Cała komunikacja między tancerzami przebiegała za pomocą spojrzeń, ponieważ sir Osdorf, Rycerz Jaśminowego Pasa, nie pozwalał na żadne rozmowy w trakcie jego zajęć. *Jak mamy być partnerami, skoro nie wolno nam nawet porozmawiać?* – myślała Evie, po raz kolejny przydeptyjąc brzeg sukni. Remington potrafił się nie śmiać w tych okolicznościach, ale kilka razy dostrzegła rozbawienie w jego oczach. Niemniej jednak tygodnie, które minęły od czasu, kiedy poznała – czy raczej *rozpoznała* – swoją matkę, były jej najlepszym jak dotąd okresem w Akademii. Gdy wieczorem przed zaśnięciem leżała na swojej pryczy, odczuwała zadowolenie i pewną dozę dumy. Aż którejś nocy obudził ją wyjątkowo głośny żabi rechot.

Początkowo go nie usłyszała. Nikt go nie usłyszał. Gardłowe rechotanie wtopiło się w treść snów. W pewnym momencie jednak żaba odezwała się szczególnie głośno. Evie obudziła się i szeroko otworzyła oczy. Leżała nieruchomo w ciemności, czekając, czy dźwięk się powtórzy, ale słyszała tylko rytmiczny oddech Maggie. Już miała ponownie zamknąć oczy, gdy żaba znów zaskrzeczała. Evie usiadła i powoli odsunęła koc. Na parapecie pomiędzy jej pryczą a pryczą Anisette siedziała żaba. Okno było uchylone, by wpuszczać nieco świeżego powietrza. Tą właśnie szparą zwierzę musiało dostać się do środka.

I patrzyło teraz na Evie. Dziewczyna zeszła ze swojej pryczy. Deski podłogi lekko zaskrzypiały. Podeszła do okna, a wtedy żaba zeskoczyła z parapetu i zniknęła w ciemnościach nocy. Evie otworzyła okno szerzej i zobaczyła ją siedzącą na zamarzniętej trawie. Nie spuszczała z niej oczu.

Chyba zwariowałam – pomyślała. – Mogłabym przysiąc, że ta żaba chce, bym gdzieś za nią poszła.

Rozejrzała się po baraku, mimo że w ciemnościach trudno było coś dostrzec. Wokół panowała cisza. Evie wdrapała się na kamienny parapet

i wyszła przez okno. Gdy jej stopy uderzyły o ziemię, wstrzymała oddech i przyłgnęła plecami do chropowatego kamienia zewnętrznej ściany baraku.

Ktoś się obudził. Widzieli mnie – pomyślała, słysząc jakiś ruch, być może szelest pościeli w dalszej części pomieszczenia. Ale może to tylko cienie robiły sobie z niej żarty. Żaba wydała z siebie kolejny bulgoczący dźwięk, po czym odwróciła się i dała susa w kierunku innego baraku.

Evie wzięła głęboki oddech i pośpieszyła za nią. *Co ja robię?* Mimo że księżyc był tej nocy jedynie bladą plamą, słabo podświetlającą czarne kontury chmur, starała się trzymać nisko przy ziemi. Gdyby zobaczył ją ktokolwiek z nauczycieli czy innych pracowników Akademii, prawie na pewno wylądowałyby znowu w gabinecie Beatrycze, a stamtąd mogła trafić już tylko do kolejnego z powozów, którymi odjeżdżali wyrzuceni ze szkoły. Podążała za żabą, kierując się jej śladami na śniegu i bulgoczącymi odgłosami. Po kilku minutach zrozumiała, gdzie żaba ją prowadzi – na Trzęsawisko Grennila, część kampusu, do której normalnie nie wolno im było wchodzić i z której korzystano jedynie podczas niektórych ćwiczeń polowych.

Szaleństwo – wyszeptała. – *Zwłaszcza jeśli ktoś jednak zauważył, że wyszłam. Czego chcesz, żabo?*

Żaba zrobiła ostatni, leniwy skok, po czym odwróciła się i do niej. Błona pod gardłem opadła, gdy wydała z siebie kolejny niski skrzek. Evie przyglądała się jej z rosnącą paniką. *Co ja tu robię?*

Tymczasem zwierzę skrzeknęło znowu, tym razem głośniej. A potem znowu i znowu. Żaba skrzeczała teraz coraz bardziej natarczywie, nadymając okropnie pęcherze głosowe po obu stronach głowy, która w pewnym momencie odchyliła się do tyłu pod nienaturalnym kątem, odepchnięta przez niebezpiecznie wybrzuszone gardło, które wyglądało jak bąbel powietrza na bagnie, gotów lada chwila pęknąć. Evie otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

– Proszę – powiedziała. – Przestań!

Ale drażniący dźwięk nie milkł, a gardło żaby stawało się coraz większe i większe. Evie była pewna, że teraz słyszy ją już cały kampus. Cofnęła się, gotowa uciec z powrotem do baraku, ale już przy pierwszym kroku potknęła się o guzowaty korzeń figowego drzewa. Upadła i dokładnie w tym momencie błona zsunęła się z żaby jak kaptur i odsłoniła czyjaś głowę...

– Remington!

Wstał, wygładzając na ramionach płaszcz, który jeszcze przed chwilą był

gardłem żaby.

– Niezłe, co? Mój pradziadek był prawdziwym Żabim Królem. On mnie wszystkiego nauczył.

– Jesteś... żabą?

– Bywam. Ale nikt o tym nie wie, poza pradiadkiem i moim bratem. A teraz tobą. Więc – powiedział, wyciągając do niej dłoń – chodź ze mną, zanim ta lista się wydłuży.

Pociągnął ją za rękę, pomagając wstać, i nie puszczając jej dłoni, przeprowadził ją pod wijącymi się gałęziami winorośli na mokradła. Minęli umierające drzewa, powalone i częściowo zmurszałe, mętne wody i błoto, i okrywające drzewa połacie mchu tak długie i gęste, że wydawały się roztopionymi gałęziami, spływającymi po drzewach jak wosk po świecy. Nagle Evie zatrzymała się i spojrzała za siebie.

– O co chodzi?

Nasłuchiwała przez chwilę, ale wokół panowała cisza.

– Nie powinniśmy tu być.

– Mam to gdzieś – powiedział. – W ogóle nie mamy okazji, żeby porozmawiać. Stoję twarzą w twarz z tobą w sali balowej i nie mogę z tobą pogawędzić nawet o pogodzie.

Przebiegł ją dreszcz, który nie tyle miał coś wspólnego z chłodnym powietrzem, co ze świadomością, że on o niej myślał.

– Nigdy nawet nie mogłem ci powiedzieć, jak przykro mi było z powodu tego, co się stało w zamku.

Zmarszczyła brwi, starając się zrozumieć, o czym on mówi. Gdy zrozumiała, puściła jego rękę.

– Masz na myśli sytuację z Malorą?

– Próbowałem cię znaleźć, ale nie byłaś nawet na tyle uprzejma, żeby rzucić za siebie okruszki chleba. Potem zobaczyłem cię z tym smokiem i...

– Możemy porozmawiać o czymś innym? Proszę.

– Mam lepszy pomysł. Zróbmy coś innego. Chodź.

Przeskoczył przez masę zwalonych drzew i gałęzi i zniknął w ciemnościach. Poszła za nim i znalazła go stojącego na brzegu sporego stawu, na którym unosiły się dziesiątki lilii wodnych – każda wielkości koła od powozu. Podniósł brwi, potem uniósł nogę i zaczął wchodzić na jeden z pływających liści.

– Co ty robisz? – zapytała, kładąc mu dłonie na piersi. Chwycił ją

za nadgarstki i pociągnął ze sobą.

Wciągnęła powietrze i spięła się cała, pewna, że zaraz znajdzie się w lodowatej wodzie, ale nic takiego się nie stało. Pewnie stanęli na jednym z liści, który ugiął się nieco pod ich ciężarem, ale nie załamał się i utrzymał ich oboje.

– Lilie tratwowe. W razie potrzeby utrzymają nawet konia. W ten właśnie sposób sir Isaac uciekał przed smokiem w bitwie pod Innisglen. Nauczyłem się tego tutaj.

Splótł swoje palce z jej palcami i pociągnął ją na następny liść.

– Chodź, zaufaj mi...

– Poczekaj! – wysyczała, odtrącając jego ramię tak, że prawie wpadł do wody, w porę jednak odzyskał równowagę.

– Zwariowałaś?

– Ciiii! – Evie wpatrywała się w ciemność. W pewnej odległości od nich po ściółce przemknął cień. – Widziałeś to?

– Jak na dziewczynę, która wychodzi nocą przez okno, by pójść za dziwną żabą, jesteś dość lękliwa.

Evie jeszcze przez chwilę wpatrywała się w ciemne kontury drzew, ale nic więcej się nie poruszyło.

– Może to tylko jeleń albo coś takiego.

– Dobrze. Nie pozwólmy jakiemuś dzikiemu leśnemu zwierzakowi zrujnować tego wieczora.

Prowadził ją od jednej lili do drugiej, a z każdym krokiem coraz bardziej udzielał im się spokój nocy. Było to jedno z najdziwniejszych doświadczeń, jakich Evie w życiu doznała. Miała wrażenie, że stąpa po wodzie. Każda lilia wytrzymała jej ciężar, jedynie odrobinę się marszcząc. Jednak jeszcze dziwniejszym wrażeniem było to, co czuła w środku. Jakby w jej brzuchu kotłowała się chmara motyli. I to tylko dlatego, że jej palce były splecione z jego palcami.

– Cieszę się, wiesz?

– Z czego?

– Że jesteś taką dziewczyną, która wychodzi nocą przez okno, by pójść za dziwną żabą.

Roześmiała się, możliwe, że po raz pierwszy, odkąd opuściła dom. Było to cudowne uczucie. Zdała sobie sprawę, jak bardzo za tym tęskniła. Czuła się, jakby odnalazła właśnie zapomnianą zabawkę z dzieciństwa.

– Mogę cię o coś spytać? – zaczęła, czując, że jej serce wali równie mocno, jak wówczas, gdy próbowała z nim flirtować wtedy na dziedzińcu. Miała wrażenie, że było to już milion lat temu. – Jest tu całe mnóstwo dziewcząt, które dałyby wszystko, by być tu teraz z tobą. I z tego, co słyszałam, jeszcze dużo więcej ich w całym kraju. Więc... co ja tu robię?

– Aaaa – powiedział, uśmiechając się tak, że zrobiły mu się dołeczki w policzkach. – Dlaczego nurkuję w dół mojej złotej wieży, wyciągając rękę po taki niepozorny, wyrosły na gnoju kwiatek?

Zaśmiała się znowu. Nie mogła nie zgodzić się z takim opisem.

– Nie wiem, naprawdę. Chyba dlatego, że jesteś trochę niebezpieczna. – Ja? Niebezpieczna?

– Jak mam ci to wyjaśnić? Gdzie nie pójdę, ludzie wiedzą na mój temat więcej niż ja sam. Moja matka zaplanowała moje życie od początku do końca – nawet jakie hymny będzie się śpiewać na moim pogrzebie. To, co teraz robię... to mój wybór. A ja niestety rzadko mam okazję dokonywać wyborów.

Delikatna muzyka leciutkich fal akompaniowała ich powolnej, nocnej przechadzce po wodzie.

– Nie zawsze dobrze jest mieć wybór – powiedziała. – Łatwo dokonać niewłaściwego.

– Pierwsza zła samodzielna decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem, to był wybór tego skrótu przez zaczarowany las. Ale mimo że omal nie skończyłem martwy i przerobiony na cukierki, dzięki temu, że wybrałem ten skrót, mogłem uratować ciebie.

Żartobliwie klepnęła go w ramię. *To jest ten moment* – pomyślała.

– *Takie momenty chcę pamiętać zawsze.* Mimo że noc nadal była młoda, a jej prycza nadal była daleko, Evie już wiedziała, że wspomnienie tego spaceru będzie jednym z najczęściej przez nią przywoływanych, że będzie je oglądać ze wszystkich stron i cieszyć się nim jeszcze długo później.

Obeszli staw dookoła i znów byli przy brzegu, ale Remington zatrzymał ją, gdy chciała zejść z liścia. Puścił jej dłoń i objął talię. Miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Spojrzała mu w oczy i tej dziwnej nocy coś się między nimi wydarzyło, jakby przebiegła pomiędzy nimi iskra.

– Ooo... – powiedziała powoli. Nie potrzebowali więcej słów. Początkowa zalotna lekkość tej chwili zmieniła się w coś znacznie większego. Patrzyła mu w oczy i widziała kogoś, kogo do tej pory nie znała, kto ukrywał się pod pewnymi siebie uśmieszkami, rodzowym nazwiskiem i wspaniałym

życiem, które mogło mu zaoferować wszystko, czego zapragnął. Wreszcie zamknęła oczy i rozchyliła usta.

Remington przyciągnął ją do siebie...

Nagle spomiędzy drzew za Evie doszło ich niskie, wściekłe warczenie, w którym słychać było pragnienie krwi i mięsa. Evie otworzyła oczy i zobaczyła, że Remington patrzy na coś nad jej ramieniem. Nie było w nim paniki, ale wyraźne napięcie kogoś, kto szykuje się do walki lub uciezki.

– Odwróć się powoli...

Tak zrobiła... W tym momencie ich bajkowy wieczór przeciął przerażający błysk białych kłów. Dwa ogromne, kudłate wilki wyskoczyły z głębi zarośli, z mrozącym krew w żyłach rykiem. Jeden z wilków uderzeniem zepchnął Evie do wody. Spadając, zdążyła jeszcze instynktownie popchnąć Remingtona w kierunku brzegu. Sunęła przez lodowatą wodę wężowymi ruchami, których nauczyła ją jej smocza rodzina. Potrafiła pływać szybciej i sprawniej niż jakikolwiek człowiek – czy wilk.

Muskularne bestie ruszyły za nią, rozchlapując wodę, warcząc, rycząc i kłapiąc paszczami.

– EVIE!

Wyskoczyła na brzeg. Chwyciła dłoń Remingtona i razem wbiegli pomiędzy drzewa. Za nimi kłapały spienione szczęki bestii.

Tylko proszę, żadnych korzeni, króliczych nor czy kamieni!

Biegając, rozglądała się wokół, szukając jakiegokolwiek schronienia. Nie patrzyła za siebie, ale mogła sobie wyobrazić smukłe ciała pięknych drapieżników, goniące ich w ciemności, gotowe wykorzystać każde najmniejsze potknięcie.

Gdy przedzierali się przez wiszącą połąć mchu, kątem oka zauważyła, że jeden z wilków szykuje się do skoku. Zareagowała natychmiast. Rzuciła się do przodu, przewracając Remingtona, który przekoziółkował i wpadł do niewielkiej jaskini pomiędzy głazami. Atakujący wilk zdołał jedynie zahaczyć go kłębem. Gdyby Remington upadł ułamek sekundy później, wilk zdołałby go pochwycić i powlekłby go w noc, by obgryźć do czysta jego kości.

Evie skoczyła w lewo. Drugi wilk rzucił się za nią w pogoń. Obejrzała się, by zobaczyć, czy choć jeden z nich został w tyle, ale zaraz zobaczyła je znowu oba – warczące i kłapiące paszczami, rozchlapujące przy tym na boki gorącą ślinę opływającą ich ostre jak brzytwy zęby.

– Evie! – usłyszała w oddali głos Remingtona. – Evie!

Wpadła na wykręconą gałąź drzewa, potknęła się i upadła w szuwary. Pierwszy z wilków od razu na nią skoczył. Drugi czekał morderczo przyczajony. Przewróciła się na plecy, przyciśnięta potężną łapą zwierzęcia, które rozwarło nad nią swoją wielką paszczę. Błysnęły zęby – obietnica szybkiej śmierci, zanim zdąży naprawdę poczuć związany z nią ból.

Coś zagrało w głębi jej piersi. Zanim sama zorientowała się, co robi, wzbierający w niej ryk zdążył już wydostać się z ust. To był jej głos, ale dziki i nieludzko głośny. Prawdziwie smoczy ryk, pochodzący z głębi smoczej części jej natury.

Wilki odskoczyły, skowycząc i kładąc po sobie uszy, potem zakwiliły zawiedzione, lekkim truchtem przeskoczyły po kamieniach i zniknęły w zaroślach.

Evie leżała na plecach, z trudem łapiąc powietrze, nie rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło. W jakiś sposób przetrwała ten atak. Jej zwierzęcy ryk nadal brzmiał w uszach. Jakim cudem mogła z siebie wydać taki dźwięk? Nie wiedziała, ale czuła, że siła tego ryku nadal pulsowała w jej żyłach.

– Remington! – Z trudem podniosła się na równe nogi i pobiegła w kierunku miejsca, gdzie go zostawiła. Przebiegł ją dreszcz przerażenia. Czy on to słyszał? Musiał słyszeć. Jak mu to wyjaśni?

– Evie! – krzyknął znowu. Pobiegła w kierunku, z którego dochodził jego głos. Siedział na ziemi. Wokół nogi miał zawiązany podarty skrawek swojej czarnej tuniki – nasiąknięty krwią.

– Nic ci nie jest? – Uklękła obok niego, starając się obejrzeć ranę.

– Co to było? – zapytał.

– Chyba je odstraszyłam, ale lepiej stąd idźmy. Ktoś musiał to usłyszeć.

Objęła go ramieniem i pomogła mu wstać.

– Serio? To byłaś ty?

Nie mów mu. Nie mów.

– Zostałam wychowana przez smoki.

– Co?

Rzuciła mu spojrzenie, w którym była zarówno bezradna prośba, jak i rozdrażnienie. Nie mogła już cofnąć tych słów. – No proszę – powiedział. – Wygląda na to, że oboje jesteśmy gadami.

– Nie. Ty jesteś płazem. Chodź...

Gdy kołysząc się, ruszyli w noc, rozsadzała ich nagła radość życia, jaka

przychodzi, gdy oszuka się śmierć.



Evie rozglądała się, szukając w tłumie Remingtona, ale nigdzie go nie widziała. Cała Akademia Pennyroyal zebrała się w Sali Królewskiej, by usłyszeć o tym, co się wydarzyło w nocy. Kadeci drugiego i trzeciego roku, nauczyciele i pracownicy szkoły stali pod ścianami otaczającymi ławki wypełnione pierwszorocznikami. Krążyły co prawda plotki o wtargnięciu wilków na teren Akademii, ale większość z tego, co mówiono i co dotarło do Evie, miało się z prawdą. Jedna z najlepszych kadetek kompanii Schlauraffen twierdziła z wielkim przekonaniem, że były to jednak olbrzymy. Szukając Remingtona, Evie niechcący pochwyciła wzrok Malory, która wpatrywała się w nią z drugiej strony pomieszczenia. Miała zaczerwienione oczy i patrzyła na nią tak intensywnie, że Evie musiała w końcu odwrócić wzrok.

Obcasy księżniczki Beatrycze zastukały ostro po kamiennej posadzce i szum tłumu ucichł. Za nią szło kilkoro starszych członków kadry nauczycielskiej oraz kilku rycerzy o białych brodach. Tych ostatnich Evie nigdy wcześniej nie widziała. Byli to potężni, silni mężczyźni, którzy pewnie nie raz stanęli oko w oko ze śmiercią i Evie zadrżała na myśl o tym, ile smoczej krwi musieli w życiu przelać.

Beatrycze podeszła do mównicy i rozwinęła pergamin. Wydawała się jakoś mniej pewna siebie niż zwykle. Być może chodziło o to, że niewiele spała tej nocy, a może powodem były gorączkowe rozmowy, które z pewnością toczyły

się na najwyższych szczeblach szkolnej administracji. Wkrótce Evie otrzymała odpowiedź.

– Decyzja królowej – ogłosiła Beatrycze i zaczęła czytać. – Trzy godziny przed świtem na teren Akademii Pennyroyal przedostały się dwa wilki z Dortchen Wild.

Tłum zaszumiał, gdy wszyscy uświadomili sobie, że w rzeczywistości nie są aż tak bezpieczni, jak im się wydawało. – Komendant Muldenhammer i jego drużyna zlikwidowali zagrożenie i teren szkoły znowu jest czysty – powiedziała, dziękując skinieniem głowy stojącemu za nią mężczyźnie. Wyglądał jakby mierzył nawet nieco ponad dwa metry, dłonie miał wielkości melonów. Beatrycze odwróciła się z powrotem do tłumu. Zanim na nowo podjęła swoją mowę, kolejnym skinieniem głowy przywitała osobę, która podeszła do podium. Była to hrabina Hardcastle. Minęła jeden z wielkich kominków, wstąpiła na podest i dołączyła do opiekunów i opiekunek kompanii, którzy w ogóle nie wydawali się zaskoczeni jej obecnością.

Evie spojrzała na Maggie, siedzącą na końcu rzędu w towarzystwie Demetry, i rzuciła jej pytające spojrzenie: *Co ona tu robi?*

– Niemniej jednak królowa jest zaniepokojona faktem, że ochronna bariera wokół Akademii została naruszona. Dlatego też zawieszają wszystkie zajęcia aż do ukończenia śledztwa i aż do momentu, kiedy znowu będziemy mogli zapewnić bezpieczeństwo każdemu uczniowi Akademii.

W zatłoczonej sali rozległy się kolejne zaniepokojone głosy.

– Wracajcie do baraków. Wkrótce powozy zabiorą was do zamku Waldeck. Marburg nie jest już... dobrym wyborem.

Pracownicy szkoły zaczęli rozkazami przekrzykiwać pomruki zdeorientowanych i przestraszonych kadetów. Beatrycze i jej doradcy zebrali się w ciasną grupę. Kadeci i kadetki powoli opuszczali salę i przechodzili do rotundy. Czekając na swoją kolej do wyjścia, Evie spojrzała na Hardcastle, która stała nieco na uboczu grupy otaczającej Beatrycze. Jej oczy były pełne matczynego współczucia, a gdy Evie pobiegła za jej wzrokiem przez całą salę, znalazła na jej drugim końcu Malorę.

Gdy wrócili do baraków, w końcu miała okazję opowiedzieć Maggie, Demetrze i Bazyłowi, co się wydarzyło na mokradłach. Opowiadanie zostało jednak gwałtownie przerwane wejściem Hazelbranch, której towarzyszyła Hardcastle. Przybyła zabrać obie swoje córki. Evie pożegnała się zatem z przyjaciółmi i pełna obaw podążyła za Hardcastle i Malorą przez Jasiową

Polanę. Malora szła szybko, wyprzedzając je znacznie, i pierwsza wskoczyła do powozu matki. Był okrągły, czarny, delikatnie zdobiony srebrem. Po obu stronach lśniły trzy okna; ogromne koła miały średnicę niemalże równą wzrostowi Evie. Na koźle siedział służący o nazwisku Wormwood. Wziął od Evie jej tobołek, a następnie podał jej rękę i pomógł wsiąść. Wewnątrz powozu znajdowały się dwie położone naprzeciwległe tapicerowane ławki, wypełnione gęsim pierzem. Malora usiadła tyłem do kierunku jazdy i zimnym wzrokiem wpatrywała się w okno.

– Nicolino, usiądź ze swoją siostrą.

Evie usiadła obok Malory, która zebrała spódnicę swojej sukni tak ciasno, jakby nie chciała dotykać siostry nawet ubraniem.

Hardcastle zajęła miejsce na przeciwległej ławce. Złożyła sztywno ręce na kolanach, patrząc na córki z najwyższym zadowoleniem.

– Cudownie – powiedziała. – Nasza mała rodzina znowu razem. Powóz ruszył. Przetoczył się obok fontanny z posągami rycerza i księżniczki i dalej – w dół wzgórza w kierunku Dortchen Wild. Nikt się nie odzywał. Ciszę mąciły jedynie głucho uderzenia kopyt o ziemię. Nie minęło wiele czasu i Evie znów znalazła się w lesie.

Rozpoczęła się długa, monotonna jazda przez pagórki i doliny Dortchen Wild. Evie udawała, że śpi. Pod podwójnym dachem z koron drzew i chmur, wewnątrz małej, ciepłej skorupki powozu jadącego przez zimowy las, sen wydawał się dobrą wymówką od rozmowy. Powóz podskakiwał na drodze, kołysząc się na resorach. Godziny mijały w ciszy. Od czasu do czasu Hardcastle pytała o coś Malorę, ale jej burkliwe odpowiedzi szybko kończyły każdą próbę rozmowy.

Evie próbowała odtworzyć w głowie ostatnią noc, zwłaszcza jej część przed atakiem wilków. Co właściwie wydarzyło się pomiędzy nią a Remingtonem? Nie wiedziała, jak to opisać. Z pewnością zamierzał ją pocałować, co samo w sobie było ekscytujące. Ale zaszło między nimi coś jeszcze. Prawie nic o nim nie wiedziała, a jednak teraz złapała się na tym, że podczas tej długiej jazdy do domu próbuje sobie wyobrazić, jak może wyglądać jego dom. Kim jest Remington na królewskim dworze? Czy wśród tych wszystkich dworskich konwenansów jest jakiś inny? Czy pod czujnymi spojrzeniami uwielbiającego go ludu znika błysk w jego oczach i półuśmiech na wargach? Czy może zawsze jest po prostu Remingtonem – pewnym siebie, ujmującym, ale i ostrym jak kolec róży? Na tych myślach zeszyły jej minuty

i godziny i zanim się zorientowała, powóz zaczął już wspinać się na górską przełęcz, porośniętą sosnami okrytymi gęstymi czapami śniegu. Wyrzała przez okno na dolinę, której dno wciąż było ciemnozielone. Tam w dole najwyraźniej nadal było zbyt ciepło na śnieg, ale na wyższych poziomach szmaragdowe lasy okrywała biel. Evie z zaskoczeniem zauważyła nikły ślad słońca chowającego się już za szczytem odległej góry. Najwyraźniej spędziła na snach i marzeniach większość dnia.

Wreszcie, gdy byli już tak wysoko, że powietrze stało się rzadsze i ostrzejsze, powóz wjechał na wyrównaną, wysypaną żwirem drogę. Na jej końcu Evie ujrzała dom, który widziała już wcześniej w swoich powracających wspomnieniach. Czas wyraźnie odcisnął na nim swoje piętno. Wyglądał na zaniedbany, tynk był popękany, a niektóre ciemnobrązowe belki wyglądały na przegniłe. Niegdyś piękne ogrody, teraz przykryte śniegiem, były poprzerastane chwastami, wśród których leżały martwe fragmenty innych roślin. Posiadłość nadal robiła wrażenie, ale jej dawna świetność pogrzebana została pod warstwą rdzy i zgnilizny.

Powóz zatoczył koło i zatrzymał się przed domem. Malora przepchnęła się przed Evie i pobiegła do drzwi wejściowych. Była bardzo blada, jakby długa podróż po nierównym terenie przyprawiła ją o mdłości.

– Oto posiadłość Callahanów, Nicolino.

Evie wyszła z powozu. Za nią wysiadła Hardcastle. Evie rozejrzała się po okolicy. Posiadłość była wspaniale położona, na wysokim wzgórzu, z którego niemal w każdym kierunku rozciągał się imponujący widok na głęboką dolinę porośniętą prastarym lasem.

– Mam na imię Evie, proszę.

– Tak, oczywiście. Evie. Zapomniałam. Chodź, Evie, pokażę ci twój dom.

Podczas gdy Wormwood zajął się bagażami i końmi, Hardcastle wzięła Evie pod rękę i poprowadziła ją w górę ścieżki. To był jej rodzinny dom. Tu się urodziła. *Tu mieszkałam z hrabiną Hardcastle, królem Callahanem i Malorą* – myślała, ale nadal wszystko to wydawało się jej bardziej historią wyczytaną w książce niż rzeczywistością.

Do momentu aż... kolejne obrazy wyłoniły się z jej pamięci. W tych wspomnieniach posiadłość była w idealnym stanie – zadbane, czysta i tętniąca życiem. Brodaty i wesoły król siedział na swoim wierzchowcu, mając za sobą Evie. Kosz piknikowy przymocował do jednej ze swoich wodoodpornych sakw. Spojrzał na Hardcastle, która stała w przedsionku i patrzyła na nich.

Posłał jej powietrzu całusa, pomachał, po czym ruszył lekkim truchtem w kierunku wąskiej ścieżki, która ginęła w lasach...

To wspomnienie uderzyło Evie. Czuła, że tego dnia przed odjazdem widziała posiadłość Callahanów po raz ostatni. Aż do tej chwili.

Hardcastle przeprosiła i odeszła rozpalać ogień w kominkach, by rozgrzać stare kąty. Dom był ciemny i ponury, pełen zdobionych mebli i innych zakurzonych przedmiotów. Wormwood poprowadził ją w górę po schodach do pokoju na końcu korytarza, uklonił się i z zatrzasnął za sobą drzwi. Wreszcie była sama. Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że uspokoi w ten sposób ogarniającą ją melancholię. Tak się jednak nie stało.

Jej łóżko było ogromne, co najmniej trzy razy większe od pryczy, którą miała w Akademii. Ściany przykrywały wyblakłe olejne obrazy przedstawiające mężczyzn w wojskowych mundurach i kobiety o poważnych twarzach, ubrane w gorsety i suknie. Przy jednej ze ścian stała elegancka szafa i pasująca do niej toaletka. Na toalecie stało lustro, przed którym leżały w nieładzie zakurzone buteleczki dawno zwiędniętych perfum. Z ochotą weszłaby od razu do tego łóżka i spała aż do rana, najchętniej na swój dawny, przykucnięty sposób. Ale Hardcastle jasno dała jej do zrozumienia, że chce jeszcze dziś zobaczyć córkę, po tym, jak ta się rozgości. Więc otworzyła drzwi i zeszła na dół po schodach. Szła, stąpając cicho, jakby się skradała w miejscu, w którym nie powinna być. Zdawało się, że nikogo nie ma, a przynajmniej ona nikogo nie zauważyła. Pomyślała więc, że może zaczerpnie trochę świeżego powietrza. Przez zmatowiałe oszklone drzwi wyszła na przestronny taras z wypolerowanego marmuru. Podeszła do samego brzegu i wyjrzała ponad balustradą. Poniżej głęboka zalesiona dolina opadała tak stromo, że Evie zabrakło tchu. Zwłaszcza gdy zachodzące słońce wychyliło się zza chmur i pomalowało wszystko na kolor purpury.

– Magiczny widok, nieprawdaż? – zagadnęła hrabina Hardcastle. Stała przy balustradzie obok Evie i również przebiegła wzrokiem dolinę ciągnącą się aż do ściany gór na horyzoncie.

– Tu właśnie mieliśmy żyć – wszyscy razem, szczęśliwie, do końca naszych dni.

Evie nie odpowiedziała. W oddali odezwał się jastrząb, a echo jego krzyku wypełniło całą dolinę smutkiem.

– Zimno tu trochę – spróbowała znowu hrabina. Evie uśmiechnęła się, ale nadal nie odpowiedziała.

– Księżniczka Beatrycze mówi, że powinnam pozwolić ci wejść w twoje nowe-stare życie w twoim własnym tempie, ale... – Przerwała, by odzyskać nad sobą panowanie. – Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie przestałam cię szukać.

Evie czuła, że Hardcastle jej się przygląda, ale nie odrywała wzroku od ogromnej, czerwonej jak krew kuli chowającej się za horyzontem. Po raz pierwszy od swojego krótkiego pobytu w jaskini oglądała słońce. Po raz pierwszy od dnia, w którym kopia przebiła ciało jej siostry.

– Czy jest coś, co chciałabyś wiedzieć? Cokolwiek? Jak powiedziałam, to musi się dziać *twoim* tempem, ale...

– Co się stało z moim prawdziwym ojcem?

– Ach... a więc potrafisz przyśpieszyć.

– Przepraszam – powiedziała Evie. Nie chciała tak wypalić, ale nie potrafiła zachować się w tej sytuacji.

– Rozumiem, że masz na myśli swojego rodzzonego ojca?

– Tak. Powiedziałaś, że król był moim przybranym ojcem.

– Tak było w istocie. Co do twojego rodzzonego ojca... cóż, to było zaaranżowane małżeństwo. Obawiam się, że nie znałam go za dobrze. Zginął zabity przez olbrzyma, jeszcze zanim przyszedł na świat.

A więc nigdy nie pozna swojego prawdziwego ojca. Ale prawdę mówiąc, nie bolało jej to aż tak bardzo. Jej jedynym prawdziwym ojcem i tak na zawsze pozostanie smok. A jeśli sądzić z jej wspomnień, kochała była kochana także przez swojego przyrodniego ojca, króla Callahana. Jej rodzony ojciec wydawał jej się tak abstrakcyjny, jak postać z jakiejś opowieści. I nawet jeśli była to opowieść o jej życiu, on po prostu nie był jednym z jej głównych bohaterów.

– Byłyśmy same, zanim poznałam króla Callahana. Otrzymałam zaproszenie na bal w jego pałacu. Zakochaliśmy się w sobie bez pamięci. On także owdowiał. Kiedy się pobraliśmy, został twoim ojczymem, a ja macochą Malory. Nie byliście więc spokrewnieni, ale kochał cię jak rodzoną córkę. Gdy... umarł, z królowej Hardcastle zmieniłam się w królową wdowę Hardcastle. Jakby sam fakt utraty męża nie był dość bolesny, dostałam jeszcze na stałe ten przydomek – *wdowa* – prychnęła, smutno kręcąc głową. – Mój nowy tytuł stał się tak okropnym przypomnieniem tego dnia, że zdecydowałam się wrócić do tytułu hrabiowskiego, który nosiłam, zanim poślubiłam króla.

Evie ukradkiem zerknęła na matkę, która odwróciła od słońca wypełnione

łzami oczy. Poczowała przyływ czułości dla tej kobiety, za wszystkie trudy, które musiała znieść w ciągu zaledwie kilku lat. *Jak wyglądałoby teraz moje życie, gdyby spełniła się jej wizja naszego wspólnego szczęścia?*

– A teraz, czy ja mogę zadać ci pytanie?

– Oczywiście – odpowiedziała Evie.

Hardcastle uśmiechnęła się, jakby zawstydzona tym, co zamierzała powiedzieć.

– Nie wiem, jak cię o to poprosić, ale... – Zwróciła twarz ku Evie.

– Czy mogłabyś rozważyć... pozostanie tutaj? Ze mną? Księżniczka Beatrycze zgodziła się przyjąć cię z powrotem w przyszłym roku...

– Zostać...?

– Chodzi o to, że... dopiero cię odzyskałam. Akademia może wznowić działalność jutro, pojutrze, za dwa dni... i wtedy znowu cię stracę.

Evie odwróciła się, zmarszczywszy strapione czoło. Wokół zachodzącego słońca zebrały się chmury i otoczyły je, jak pajęczna nić otacza złowioną w sieć ofiarę.

– Nie stracisz mnie – Tylko tyle potrafiła odpowiedzieć. Hardcastle nie odezwała się. W milczeniu oglądały zachód słońca.

– Wiesz... To wszystko, co widzisz... jest twoje. – Pokazała ręką zimowy raj. – A ja jestem tylko starą królową wdową i nie wiem, jak długo jeszcze będę żyła.

– Nie jesteś stara.

– Nie zamierzałam wprawiać cię w zakłopotanie, kochanie. Chciałabym tylko posmakować znowu trochę tego życia, które tamten smok mi zabrał. Życia, które mi się należało...

– Smok?

Hardcastle powstrzymała łzy. Jakikolwiek wspomnienie obudziło się w niej teraz, wyraźnie bolało ją nadal tak samo, jak w dniu, w którym powstało.

– Wormwood? – zawołała. – Wormwood! Służący pojawił się przy drzwiach tarasu.

– Tak, pani?

– Przynies portret króla.

Wormwood skłonił się i zniknął w jasnym ciepłym domu.

– Twoje wspomnienie, to, które wróciło do ciebie w gabinecie Beatrycze... To samo wspomnienie dręczyło mnie codziennie, odkąd

odjechaliście na ten piknik. Niekończący się koszmar. – Wzięła głęboki oddech i przytrzymała się balustrady, by się uspokoić. – Tego dnia skończyłaś pięć lat. I tego dnia umarł król.

Wspomnienia zaczęły kotłować się w głowie Evie. Zobaczyła fragment sceny w kuchni, która znajdowała się dokładnie pod tarasem, na którym teraz stała. Usłyszała swój radosny śmiech, gdy król porwał ją w ramiona.

– Wszyscy mieliśmy świętować razem, ale Malora bardzo się rozchorowała. Zdecydowaliśmy, że nie możemy zrezygnować z pikniku, który obiecywaliśmy ci od tak dawna.

Kolejny przebłysk wspomnień. Evie i jej ojczym na górskiej łące patrzyli na rozciągającą się poniżej dolinę. Ogromny wodospad spada setki metrów, jego wody giną w zimnym błękitcie jeziora. U stóp Evie spoczywa otwarty kosz piknikowy.

– Gdy ludzie króla poszli was szukać, znaleźli... coś potwornego na szczycie tej góry...

Teraz wspomnienie stało się tak wyraźne, jak wówczas w oszklonym gabinecie Beatrycze. Evie stała na górze, mając stopy zanurzone po kostki w trawie. Wiatr rozwiewał jej włosy, niosąc ze sobą zapach wiciokrzewów i goryczek. Wodospad huczał nisko, spadając białą pianą w dół górskiej skały. A król... król...

Spojrzała na niego i to, co zobaczyła na jego twarzy, zmroziło ją do szpiku kości. Wśród jego szlachetnych rysów, brody, blizn i szorstkiej, ogorzałej skóry szafirowe oczy wpatrywały się w ten wodospad – kompletnie puste. Wydawał się zagubiony, nieobecny...

Wówczas drzewa za nimi zaczęły łamać się jak uschłe patyki i na łąkę wtargnęła, rycząc przeraźliwie, góra bladezielonych łusek.

– SCHOWAJ SIĘ! – krzyknął król. Wyjął z pochwy długi miecz. Stał błysnęła w promieniach słońca. Evie pobiegła i ukryła się w splątanej gąszczu kolcorośli. Zaciśnęła zęby i zakryła uszy, by nie słyszeć straszliwych odgłosów walki. Płynny ogień sunął po trawie. Pojawiły się płomienie i dym. Krzyki króla i brzdęk stali świadczyły o tym, że nadal żył. Po chwili rozległ się ryk smoka. Król zadał celny cios. Zaraz potem ciało rycerza upadło w trawę jedynie kilka metrów od miejsca, gdzie ukryła się Evie. Zerwał się na nogi akurat w porę, by uskoczyć przed kolejnym strumieniem ognia, który podpalił łąkę.

Evie była zbyt przerażona, by się ruszyć. Widziała jedynie przebłyski tej

walki, ale trudno jej było sobie wyobrazić, jak król może przetrwać atak istoty, która sięgała wierzchołków drzew. Mimo to nadal słyszała jego dzielne okrzyki. Wreszcie smok ryknął tak głośno, że ścisnęła dłońmi głowę. Gdy ryk umilkł, otworzyła oczy i zobaczyła, jak wielka bestia unosi się w powietrze. Wiatr, który wzbudził jego skrzydła, przycisnął ją do ziemi. Ku jej przerażeniu, wraz ze smokiem unosił się także król, wciąż trzymając rękojeść miecza, którego ostrze tkwiło głęboko w smoczej łapie. Nie mogła się ruszyć, nie mogła oddychać, nie mogła nawet mrugnąć. Smok unosił się ponad doliną, zabierając ze sobą jej ojczyzna na pewną śmierć...

– Myślałam, że smok zabił tego dnia połowę mojej rodziny, a jednak... jesteś tutaj...

Evie stała na tarasie, wpatrując się w ostatnie, znikające już promienie słońca, przytłumione warstwami chmur. Nie mogła otrząsnąć się z szoku. Jej oczy były szeroko otwarte, jej twarz bardzo blada.

– Gdzie byłaś tyle czasu, kochanie? Jeden element wspomnienia nie dawał jej spokoju. Moment, w którym wielki smok zbliżał się do nich, łamiąc po drodze drzewa, był jedynym, w którym widziała go dokładniej. Jego ogromne, czerwone z wściekłości oczy... jego rogi, zakrzywione i pokryte śladami walk... znajomo wygięta szyja, znajome zagłębienie na pysku...

To był jej ojciec. Z oczu Evie popłynęły łzy. W miarę jak uświadamiała sobie, co to znaczy, początkowy szok zmieniał się w poczucie, że została zdradzona. To jej własny ojciec osierocił ją tego dnia...

Drzwi się otworzyły i wrócił Wormwood. Niósł kawałek podniszczonego płótna, nie większy niż smocza łuska wisząca na szyi Evie.

– Oto on. Twój prawdziwy ojciec.

Załamana Evie wzięła w swoje drżące dłonie postrzępiony portret, który przedstawiał mężczyznę z jej wspomnień – króla Callahana. Stał na szczycie wzgórza, patrząc w niebo, radosny i roześmiany. Jej ojciec. Jej prawdziwy ojciec.

– Przepraszam... nie czuję się dobrze... – Przebiegła obok Wormwooda i zniknęła w domu, znów pozostawiając Hardcastle samą.

Evie usiadła na brzegu łóżka w swojej sypialni, chwytając smoczą łuskę tak silnie, jakby zamierzała ją zmiażdżyć. Po twarzy płynęły jej łzy gniewu i tego okropnego poczucia, że została zdradzona.

– Jestem przybraną córką króla. Księżniczką. Nigdy nie byłam żadnym cholernym smokiem.

Rzuciła łuską o ścianę. Łuska stuknęła, opadając na dębową posadzkę. Evie szarpnęła zardzewiałą klamkę i otworzyła drewniane okiennice, by wpuścić do środka trochę mroźnego powietrza. Księżyc, częściowo zasłonięty chmurami, tak cienkimi jak włosy starej kobiety, skąpał dolinę w niebieskawej poświacie; na tle nieba odznaczały się czarne zęby kolejnego górskiego pasma. Evie usłyszała w głowie zwierzęcy krzyk. Znow zobaczyła tę straszną scenę, w której smok unosił króla nad doliną – jej dwaj ojcowie spleceni razem w śmiertelnej walce, którą przeżyje tylko jeden z nich. Potem nastąpiła cisza. Słychać było tylko wiatr szumiący w porastających zbocze góry trawach i cichy trzask ognia. Evie wychyliła się ze swojej kryjówki. Kolce podrapały jej ramiona i twarz. Łąka, sielankowy pas zielonej trawy, na którym miała uczcić swoje piąte urodziny, była zniszczona, pokryta pasami zwęglonych resztek roślin. Gdzieś tam ogień nadal się tlił. Miejscami ziemia była rozorana śladami walki. W miejscach, gdzie pozostała zielona trawa, mieszały się na niej czerwona krew ludzka i czarna smocza.

Przypomniała sobie, jak tam stała, patrząc na te ślady zniszczenia. Już wtedy wszystko to wydawało się jej odległe – jakby była to historia opowiedziana podczas wieczoru przy ognisku, a nie straszliwa scena przemocy i śmierci rozgrywająca się na jej oczach. Nagle zobaczyła, że coś się porusza pomiędzy drzewami. Nie była tu sama. Był jeszcze jeden smok – mniejszy, jasnozielony, nie większy od powozu. Ten smok, samica, wyszedł z lasu i patrzył na nią. Zadrapała ziemię jasnozielonym pazurem i wydała z siebie głośny pomruk. Evie nie czuła strachu ani złości, ani żadnego z tych uczuć, które miotały ją teraz. Nie czuła nic. Zrobiła krok w kierunku bestii. Smoczyca cofnęła się o kilka kroków, po czym stanęła. Wreszcie, stwierdziwszy, że mała dziewczynka nie stanowi zagrożenia, odwróciła się i ruszyła z powrotem do lasu. Evie, niczym we śnie, poszła za nią.

– Siostró – powiedziała teraz, bo smok, którego widziała w swoim wspomnieniu, właśnie nią miał się kiedyś stać. Gdy wspomnienie odeszło w ciemność nocy, Evie wyjęła mały portret króla Callahana i przyjrzała mu się w świetle księżyca. Wpatrywała się w jego surową twarz, dumny kształt ust, wesołe oczy. – Co mam teraz zrobić? – szepnęła łamiącym się głosem. – Czy powinnam tu zostać?

Księżniczka Beatrycze zasugerowała kiedyś, że Los sprowadził ją do Akademii Pennyroyal, by uwolniła Forbesa od klątwy. Ale może prawda była taka, że sprowadził ją tam, by odnalazła matkę. I swoje prawdziwe życie.

Być może jej przeznaczeniem było zostać tutaj i pomóc matce uleczyć rany, które wciąż ją bolały.

Kątem oka zauważyła słabą, jasną falę światła, która przebiegła po krwi smoka na leżącej na podłodze łusce. Podniosła ją swoją pokrytą bliznami dłonią i zalała ją falą cierpienia.

– Ukradłeś mnie... ukradłeś mi moje życie... zmieniłeś je w kłamstwo...

Wszystkie te niepasujące do siebie elementy jej życia, dziwne rzeczy, które nie dawały się zrozumieć, nagle – niczym kawałki układanki – wskakiwały na swoje miejsca. Kochała swoją smoczą rodzinę całym sercem i zawsze wierzyła, że oni również ją kochali. Ale teraz wszystko, co wiedziała o nich i o sobie samej, okazało się kłamstwem. Zamordowali jedyne ludzkiego ojca, jakiego kiedykolwiek знаła, i ukradli ją matce i siostrze. Forbes miał całkowitą rację – smoki to brutalne, okrutne potwory. Żyła wśród nich przez te wszystkie lata, nie wiedząc, jakiego zniszczenia dokonały w jej życiu. Łuska była szorstka, jej brzegi ostre i postrzępione. Ślad krwi po wypukłej stronie łuski miał jakby lekkie odpryski – być może był to wynik gorącej kąpieli w kotle czarownic. Łuska wydawała się teraz martwa, szara i pozbawiona znaczenia, jakie kiedyś miała dla Evie.

Jestem córką króla. Jestem księżniczką.

Zamachnęła się, by wyrzucić łuskę przez okno, a wraz z nią swoje stare życie. Ale nie mogła tego zrobić. Z każdą sekundą, w której trzymała w dłoni łuskę wyrwaną z ciała jej smoczego ojca, gdy ratował jej życie, wahała się coraz bardziej. Nienawidziła ich, ale wiedziała, że kiedyś ich kochała, i podejrzewała, że ta miłość nadal w niej jest, mimo że jednocześnie czuła nienawiść. Jej ramię opadło. Opuściły ją wszystkie siły. Ciężko oparła się o parapet. *Nienawidzę ich...*

Krew na łusce znów zamigotała. Podniosła ją do księżyca tak, by jego światło padło na jej powierzchnię. Następnie zbliżyła ją do oka i zatopiła się w wirującej czerni...

Z nicości wyłonił się słabiutki obraz. Była to duża polana w Dortchen Wild, z której można było dostrzec Akademię Pennyroyal na szczycie wzgórza. Nie wyglądała jednak tak, jak ostatnio, gdy Evie ją widziała. Była zniszczona wojną. Wyglądała jak porzucone ruiny czasów, gdy księżniczki nadal miały nadzieję, że są w stanie pokonać złe wiedźmy. Wśród zniszczonych budowli, na spalonej ziemi stała złamana w połowie Wieża Królowej. Po chwili ruiny Akademii odpłynęły w ciemność, ale zaraz pojawił się kolejny obraz.

Ośmiokątna, granitowa wieża. W jej dach uderzały wielkie krople ulewnego deszczu. Evie zobaczyła Remingtona, któremu woda spływała po twarzy. Klęczał, trzymając w dłoni swój miecz. Obraz rozszerzył się i teraz Evie zobaczyła kolejną postać – wiedźmę. W ulewnym deszczu nie mogła dojrzeć jej twarzy. Unosiła się metr nad ziemią, wyciągając swoje kościste ręce ku niebu. Na wysokości jej serca Evie zobaczyła wijący się powoli czarny dym, który wyglądał jak pierwsza zapowiedź ognia. I nagle czarna wstęga jak wąż pomknęła w kierunku piersi Remingtona. Uderzony, odrzucił w tył głowę w niewysłowionym bólu. Klątwa wiedźmy spaliła jego kaftan, spod którego ukazała się szara, skamieniała skóra...

Evie gwałtownie odsunęła łuskę od oka. Siedziała chwilę, próbując uspokoić oddech. Potem z walącym sercem wsunęła portret Callahana w zagłębienie łuski i włożyła oba talizmany do swojego tobołka. Usiadła przy oknie, wpatrując się w nocne niebo, aż na horyzoncie pojawiła blada luna żółtego światła. Jeśli to, co widziała, naprawdę mogło się zdarzyć – a nawet Volf, mimo całego swojego sceptycyzmu, przyznał, że krew smoka pokazuje to, co jest możliwe – znaczyło to, że Akademia jest w niebezpieczeństwie, a wraz z nią los wszystkich księżniczek. A Remington, pierwszy człowiek, którego spotkała, może skończyć jako zapomniany głaz, gdzieś na zniszczonej wieży, na zawsze unieruchomiony w niekończącej się agonii.



Przez następnych kilka dni Evie robiła wszystko, by uniknąć spotkania z Hardcastle i Wormwoodem. Jej matka musiała wyczuć tę potrzebę samotności, bo dni mijały spokojnie, a przed drzwiami jej sypialni zawsze czekał ciepły posiłek. Evie wymykała się wyjściem dla służby, obok piwnicy z trunkami, i spędzała większość dnia z dala od głównego budynku, objeżdżając okolicę na jednym z dzianetów Hardcastle – brązowym wierzchowcu o czarnej grzywie i takichż kopytach. Do niedawna życie Evie było spokojnie płynącą rzeką, ale rozmowa z Hardcastle wzburzyła jej wody i zmąciła ich wcześniejszą przejrzystość. Spokojny błękit nieba i te długie wycieczki, na które się teraz wybierała, poznając wspaniałą posiadłość Callahanów, uspokajały jej rozgorączkowany umysł. Oczekiwała też, że przejażdżki obudzą jeszcze więcej wspomnień, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Za to powoli zakochiwała się w tym miejscu. Każde wzgórze, na które się wspięła, odsłaniało kolejny cudowny sekret. Natrafiła na łąki pełne dzikiego kwiecia w kolorze złota, fioletu i bieli, miękko spływające potoki, nieoczekiwane widoki na sosnowe i świerkowe lasy tak gęste, że wyglądały jak pasma błękitnego mchu okrywające góry aż do ich ośnieżonych szczytów. Nawet powietrze było tu piękne – czyste i świeże, zdawało się przepuszczać więcej słonecznych promieni niż gdziekolwiek indziej. Podczas jednej przejażdżki odkryła u stóp stromego wzgórza małe słodkowodne jeziorko. Krystaliczna mgła, wzbijana spadającymi wodami wodospadu,

osnuwała całą okolicę magiczną mgiełką. Wśród tego całego piękna mieszkał kiedyś król. Wyobrażała sobie, jak mogliby tu razem spędzać czas, gdyby żył. Gdyby smok jej go nie zabrał. Miała jedynie kilka rozproszonych wspomnień o nim, z których do jednego nigdy już nie chciała wracać, ale poznawanie ziemi, która należała do jej ojczyzny – do nich – sprawiało, że czuła się z nim bardziej związana.

Któregoś ranka, zanim zdążyła wstać i znowu wymknąć się z domu, rozległ się głos dzwonka. Evie poszła za tym dźwiękiem aż do jednej z komnat, której zmatowiałe, nieprzejrzyste okna wychodziły na las. Malora już tam była. Siedziała przykryta wełnianym kocem, wyglądając na chorą i osłabioną. Hardcastle stała przy kominku, zaraz za nią Wormwood. Matka trzymała w dłoniach zalakowany pergamin.

– Usiądź, proszę – zwróciła się do niej.

Evie dołączyła więc do Malory, zajmując miejsce na drewnianej ławie pod oknem. Hardcastle uniosła pergamin.

– Od Jej Magnificencji – powiedziała.

Zdjęła pieczęć i rozwinęła pergamin. W miarę jak czytała, jej twarz tężała. Gdy skończyła, zwinęła list i spojrzała na córki.

– Cóż, wygląda na to, że brakująca różdżka, przez którą powstał wyłom w ochronnej tarczy wokół Akademii, została odnaleziona. Wprowadzono bardziej restrykcyjne zasady kontroli i tak dalej... – Przerwała i dała sobie chwilę na uspokojenie, zanim dokończyła. – Zajęcia zostaną wznowione za dwa dni.

Evie siedziała z kamienną twarzą, niepewna, jak powinna się teraz zachować. Po chwili ciężkiej ciszy Malora wstała i zwinawszy się szczelniej w swój koc, wyszła bez słowa.

– Zatem, moja ukochana córko, nadszedł czas, byś dokonała wyboru. Zostaniesz ze mną, czy nie?

Evie jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zupełnie rozdarta. Gdyby tylko mogła powiedzieć „tak!” – żyłaby spokojnym życiem w pięknej posiadłości, odbudowując relację z matką i wynagradzając sobie i jej krzywdy doznane od smoka. Nie wyrzekła jednak ani słowa. Z każdą chwilą jej decyzja stawała się coraz bardziej oczywista. Uciekła wzrokiem w kąt, utkwivszy oczy w zdeptanym chodniku.

– Rozumiem – powiedziała Hardcastle. Wrzuciła pismo w płomienie, po czym odwróciła się do Wormwooda. – Zbierz rzeczy dziewcząt i odwieź

je.

Evie nie zobaczyła już więcej matki. Nie pojawiła się nawet wtedy, gdy powóz wioził ją i Malorę w dół zwirowej alejki i znikał w lesie.

Dwa dni później siedziała już wraz z innymi kadetkami ze swojej kompanii na trybunach ustawionych w części kampusu najbardziej oddalonej od baraków księżniczek i w lekkiej mżawce wpatrywała się w to, co naprawdę zadecydowało o jej powrocie do Akademii.

– Dawaj, Remington! – krzyknął jeden z rycerzy z kompanii Thrushbeard. Ubrani w czarne kaftany kadeci siedzieli na drugim końcu trybun, intensywnie zagrzewając do walki swojego przedstawiciela, który lekko kulejąc, schodził właśnie ze schodów na poorly końskimi kopytami arenę.

Evie miała ochotę do niego podbiec i opowiedzieć mu o wizji, którą zobaczyła we krwi smoka, błagać go, by nigdy w życiu nie zbliżał się do żadnej wieży. Ale pod jej lękiem czaiło się coś jeszcze. Gdy zobaczyła jego uśmiech, jego radość z żywiołowego dopingu, przerażająca wizja zbladła w jej pamięci. Zamiast niej pojawiły się wspomnienia chwil, które z nim spędziła, zanim zaatakowały ich wilki. Wspomnienia tego, co mogło się zdarzyć, gdy ją objął, przymknął oczy i pochylił się...

– Kadecie Remingtonie – odezwała się sierżant Wróżka. – Kogo sobie wybierasz na przeciwnika?

Remington spojrzał na kapitana Ramsbottoma, który stał z założonymi rękoma na samym brzegu areny, mając twarz zupełnie już mokrą od deszczu. Remington odwrócił się od niego i zaczął przeskakiwać wzrokiem po kadetkach z kompanii Ironbone. Jego wzrok prześlizgnął się po Evie i w końcu zatrzymał na...

– Jego. Wyzywam cię do walki.

– Mnie? – upewnił się Bazyl.

– Wolałbym nie walczyć z dziewczyną. Matka by mnie zabiła.

– Wszyscy będziecie walczyć z dziewczynami – powiedziała sierżant Wróżka. – I niejeden z was wyjdzie z tego z poobijaną dumą. Kadecie Bazyl, wystąp!

Bazyl niechętnie zszedł z trybun na turniejową arenę. Kadeci Thrushbeard zaczęli dokuczać Remingtonowi, który jednak przyjmował wszystkie ich okrzyki z bardzo pewnym siebie uśmiechem.

– Na ogół walka bliska pojawia się w programie nauczania dopiero na drugim roku. Ale wygląda na to, że sprawy nieco wymknęły się spod

kontroli. Wobec niedawnych wydarzeń wydaje się, że umiejętność samoobrony w walce wręcz może wam się przydać szybciej, niż zakładaliśmy.

Nagle na trybunach pojawił się Rumpelszwacz. Usiadł na jednej z ławek, a dwóch jego asystentów podtrzymało nad jego głową parasol, by chronić go przed padającym wciąż deszczem.

– Co on tutaj robi? – zdziwiła się Kelbra.

Evie również pomyślała, że to dziwne, bo – poza kapitanem Ramsbottomem – inni nauczyciele nigdy nie pojawiali się na zajęciach z Wróżką.

– Pamiętaj, czego się nauczyłeś, kadecie! – krzyknął Rumpelszwacz do Bazyla. Dziewczęta spojrzały po sobie, nic nie rozumiejąc.

– O czym on mówi? – wyszeptała Demetra. Evie tylko pokręciła głową.

– Zwycięża ten, kto dwa razy położy przeciwnika na ziemię – zawołała Wróżka. – Gotowi?

– Nie! – zaprotestował Bazyl. Remington za to pokiwał głową i stanął mocno na ugiętych nogach, pochylając się nieco do przodu.

– Zaczynajcie.

W deszczu, który padał teraz miękko jak śnieg, Remington i Bazyl zaczęli się nawzajem okręzać. Błoto pod ich stopami było tak śliskie i gęste, że żaden z nich nie zamierzał w nim lądować. Rycerze zaczęli pokrzykiwać, domagając się jakiejś akcji.

– Dalej, kadeci! – krzyknęła również Wróżka. – Nie tańczyć mi tutaj. To nie jest jeszcze Wielki Bal.

Remington natarł na Bazyla, uderzając go ramieniem. Obaj upadli z pluskiem w czarną kałużę, ale Bazyl zdołał szybko się pozbierać. Remington również podniósł się chwiejnie. Wyraźnie dokuczała mu chora noga. Wróżka okrężyła Bazyla, próbując zachęcić go do walki.

– Masz dwudziestu jeden braci i nie umiesz się bić?

– Nigdy nie musiałem! Oni zawsze bili się między sobą!

Radosne okrzyki kadetów, przekonanych o zwycięstwie swojego przedstawiciela, stały się jeszcze głośniejsze. Przyszłe księżniczki patrzyły na to z ponurymi minami. Evie odwróciła się i spojrzała na Rumpelszwacza. Wydawał się tak zadowolony jak zawsze i to ją zirytowało. Ze wszystkich treningów, które mógł wybrać do oglądania, wybrał akurat ten, w którym zaraz poniosą sromotną klęskę...

– Chwileczkę, sierżant Wróżko! – zakrzyknął w pewnym momencie, po czym odwrócił się do Bazyla, który podbiegł do skraju areny. – Powiedz

mi, kadecie, po co księżniczka przedzie?

– Aby zrobić ubrania dla potrzebujących – odparł Bazyl z niedowierzaniem.

– Tak! To wyraz jej dobroci. Wiedz, że gdy trenowałeś swoją duszę w tej dobroci, przy okazji trenowałeś też ciało. Pamiętaj, nie wkładaj całej siły w łamanie łądyg lnu, raczej... pozwól im się złamać. A gwarantuję ci, że zawsze wyjdzie ci z tego świetna przedza – dokończył i postukał się palcem w bok nosa, jakby to stamtąd pochodziła cała jego wiedza.

– To wszystko? To jest pana rada dla mnie na dziś?

– Dalej, Baz, zanim naprawdę się rozpada – odezwał się Remington, strząsając krople deszczu z włosów jak przemoknięty pies.

Bazyl z wysiłkiem ruszył w jego kierunku przez chlupiące błoto. Znowu zaczęli się okrażać. Gdzieś w oddali uderzył piorun.

– Spokojnie, kadecie – odezwał się Rumpelszwacz. – Nie patrz mu w oczy...

Remington rzucił się do niskiego skoku, pewien swojej przewagi.

– TERAZ! ŁAM ŁODYGI!

Bazyl zareagował instynktownie i opuścił gwałtownie ręce, jakby trzymał w nich ostrze cierlicy. Jego pięści uderzyły w czubek głowy Remingtona, który upadł twarzą w błoto.

Dziewczęta zawiwatowały radośnie. Bazyl obrócił się do nich z wyrazem zupełnego zaskoczenia na twarzy.

Remington pozbierał się, wycierając błoto z oczu. Ugiął i wyprostował bolące kolano, i znowu natarł na Bazyla.

– ZAKRĘĆ KOŁOWROTKIEM, CHŁOPCZE! – zawołał Rumpelszwacz.

Bazyl zakręcił w powietrzu pięścią, która trafiła Remingtona w podbródek, aż obrócił się i upadł na ziemię.

– Dwa upadki! Księżniczki zwyciężają! – zawołała Wróżka. Kompania Ironbone zawiwatowała na cześć Bazyla, który stał zszokowany i wyglądał jak marionetka, którą nagle przestano poruszać. Kadeci Thrushbeard zasypali Remingtona gradem kpin, ale on jedynie skłonił się ironicznie i kulejąc, wrócił na trybuny.

– To teraz chętnie ja, pani sierżant – zgłosił się Forbes i od razu zrobił krok w stronę nasiąkniętych wodą chwastów, które porastały granicę areny. – I chcę walczyć z nią – dodał, wskazując zdecydowanie na Evie.

– Świetnie – odparła Wróżka. – Kadetko, wystąp!

Evie zerwała się na równe nogi i pognąła w dół schodów. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że z przyjemnością skorzysta z okazji i ubrudzi błotem tę arogancką gębę. Spojrzała gniewnie na Forbesa, a potem wzięła garść mokrej ziemi i roztała ją na przedzie swojej sukienki, wywołując dziką radość w swojej kompanii. Forbes uśmiechnął się wyzywająco i potrząsnął głową.

– Zaczynajcie! – krzyknęła Wróżka.

Naśladując Remingtona, Evie ugięła nieco nogi, pochyliła się do przodu i starała się powtarzać każdy ruch Forbesa. Jego ramię wystrzeliło w jej kierunku, ale odbiła je uderzeniem. Dziewczęta zawyły z zachwyty.

– Dlaczego tak się mnie uczepiłeś? – zapytała.

– Co? – zaśmiał się, unosząc jedną brew.

– Mogłeś wybrać którąkolwiek z nas.

– Nie pochlebiaj sobie. Ściągnąłem cię tu, bo chcę ci coś powiedzieć.

Chwilę przed tym, zanim rzucił się do natarcia, zacisnął szczęki. Tak samo robiła jej siostra, gdy przewalały się w zabawie na łące. Evie zrobiła unik i chwyciła go za ramię, wykorzystując jego własny pęd, by rzucić go w błoto. Z jednej strony trybun posypały się szyderstwa, z drugiej słychać było radosne okrzyki.

– A tak się rozczesuje len – powiedziała z zadowolonym uśmiechem. Forbes zerwał się na równe nogi. Z jego włosów strumieniami spływał deszcz. Wytarł błoto z twarzy. On się nie uśmiechał.

Od razu się na nią rzucił i chwycił obiema rękoma za ramiona. Był silny. Zaczął przewracać ją na ziemię, a ona była zbyt słaba, by to powstrzymać.

– Wysłuchasz mnie w końcu, czy naprawdę chcesz się bić? Zazgrzytała zębami i skupiła się tylko na tym, by wyrwać się z jego uścisku, ale cały czas jej się to nie udawało.

– NACIŚNIJ PEDAŁ! I ODWIEŚ WŁÓKNA! – zawołał Rumpelszwacz.

Evie wyobraziła sobie kołowrotek i już wiedziała, co ma zrobić. Wbiła obcas w stopę Forbesa, który złuzował swój uścisk na tyle, by mogła wyrzucić w górę ramiona i uwolnić się. Przy okazji uderzyła go łokciem w nos.

– Aaaa! – wrzasnął i zatoczył się w tył, chwytając dłońmi twarz. Nie upadł jednak. Evie natarła na niego, ale wbił nogi w ziemię tak mocno, jakby zapuścił korzenie, więc odbiła się i sama upadła w błoto, tracąc cały impet. Forbes chwycił ją jedną ręką za suknię i podniósł na nogi, drugą ręką ściskając jej nadgarstki za plecami. Evie powoli odzyskiwała oddech.

– Teraz mnie posłuchasz i to uważnie – wyszeptał. Krew płynęła mu z nosa.
– To Malora wpuściła wilki. Chciała, żebym pomógł jej się zemścić na tobie i Remingtonie. Mam gdzieś i ciebie, i jego, więc kazałem jej się odwalić.

Evie wreszcie mogła oddychać normalnie, ale już było po walce. Jego słowa uderzyły ją bardziej niż jakikolwiek fizyczny atak.

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć – dodał i popchnął ją w błoto, po czym szybko wrócił na trybuny, witany radosnymi okrzykami swoich kadetów.

– Rycerze zwyciężają!

Evie podniosła się z trudem – posiniaczona i pokonana. Chwiejnym krokiem wróciła do ławek, gdzie wzrokiem odnalazła oczy Malory – zimne i szare jak deszcz.

Powróciwszy do Akademii po pobycie w posiadłości Callahanów, Evie zauważyła kilka zmian. Najbardziej oczywistą z nich było to, że nie wszyscy wrócili. Z kompanii Ironbone ubyło osiem dziewcząt, a w porównaniu z innymi kompaniami i tak nie był to zły wynik. Było jednak coś jeszcze: Malora, z którą Evie nie zamieniła słowa od dnia, w którym okazało się, że są siostrami, nie pozbyła się najwyraźniej do końca choroby, która męczyła ją w domu. Jej wyniosła pewność siebie zniknęła, zastąpił ją ciągły kaszel i grymas niezadowolenia. Nawet Kelbra i Sage trochę się od niej odsunęły. W związku z atakiem królowa ogłosiła skrócenie roku szkolnego. Kilka tygodni szkolenia musiało być teraz skondensowane do kilku dni. Wielki Bal miał się odbyć tak jak zaplanowano, ale po zaledwie jednej jeszcze lekcji tańca. Koniec semestru miał zatem nastąpić jeszcze szybciej. Ta myśl napełniała Evie przerażeniem. Bezradna Niewiasta – z całą swoją tajemnicą – zbliżała się do nich wielkimi krokami.

Również Remington wydawał się jakiś inny, jakby okryła go mgielka melancholii. Na ostatniej przed Wielkim Balem lekcji z sir Osdorfem postanowiła poznać przyczynę tej zmiany. Usiedli razem na kamiennej ławce pod wierzbą, przed Salą Balową imienia Flecisty z Hameln. Żadne z nich nie wiedziało, jak się zachować, a wrzaski Osdorfa dochodzące nieustannie z sali wcale nie pomagały.

– Czy coś się stało? – spytała w końcu Evie, przerywając ciężką ciszę.

– Co masz na myśli? – Pochylił się do przodu, by rozmasować kolano, które najwyraźniej nadal mu dokuczało.

– Wydajesz się nieco... zamyślony. To wszystko.

– Nie, wszystko w porządku.

Evie zmarszczyła brwi. Była sfrustrowana. *Czemu ludzie nie mogą po prostu mówić, co myślą?*

– Poza tym, oczywiście, że zdecydowałem się poświęcić życie zabijaniu twojej rodziny.

Podniosła na niego zaskoczone oczy. Teraz, gdy w końcu powiedział, o co mu naprawdę chodzi, okazało się, że ona wcale nie była na to gotowa.

– Rozumiesz, że będę rycerzem? Mój miecz będzie zabijał twoich krewnych, aż oni nie zabiją mnie. To są nasze jedyne opcje.

– To nie są moi krewni – Evie poczuła się, jakby zjeżdżała w dół błotnistym zboczem, rozpaczliwie chwytając się chwastów. – Nie są.

– I to samo powiesz, jak któremuś obetnę głowę? – Znów zgiął swoją chorą nogę i wolno wypuścił powietrze. – Muszę ci coś powiedzieć. Powinienem być z tobą szczerzy od samego początku, ale... cóż, nie byłem.

– O co chodzi? – zapytała nieufnie.

– Zabiłem kiedyś smoka.

Kąciki jej ust zadrżały. Poczuła pulsowanie w głowie.

– Skłamałeś.

– Tak.

Odwróciła od niego wzrok. Wpatrywała się teraz w białe kamienie u stóp schodków prowadzących do Sali Balowej.

– Miałem jedenaście lat. Pojechaliśmy w odwiedziny do pałacu mojego wuja w Fiddlehead Downs. Mieli z ojcem jakieś interesy. Poszedłem z bratem nad morze. Wzięliśmy dwa stare miecze, które dał nam dowódca straży wuja. W końcu dotarliśmy do jakiejś ścieżki, która prowadziła przez las. Szliśmy dość długo, chyba z pół dnia. On chciał już zawrócić, ale ja... nie wiem, chyba chciałem mu pokazać, że ma słuchać starszego brata. W każdym razie zdecydowałem, że idziemy dalej. Wkrótce znaleźliśmy na ziemi dziwną czarną substancję. Wyglądała trochę jak smoła – płynna smoła, jaką można zobaczyć wypływającą spod ziemi i bulgoczącą na powierzchni w Diabelskich Ogrodach. Oczywiście musiałem dowiedzieć się więcej, więc poszliśmy tym śladem i znaleźliśmy... – Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze – smoka. Była to ranna samica, która schroniła się w lesie. Tak myślę. W każdym razie... nie słyszała, że idziemy.

Kątem oka Evie zauważyła, że jego głowa opadła. Przerwał na chwilę i zaczął dłubać w paznokciu.

– Prawie rozdarła mojego brata na strzępy. Wiem, że pewnie trudno ci o tym słuchać, ale taka jest prawda.

Evie poczuła się kompletnie zagubiona. Nie chciała słyszeć już nic więcej, ale nie mogła znaleźć słów, by mu przerwać.

– Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam z tego, co się później wydarzyło. Wyjąłem miecz i... – Remington uniósł ramiona i pozwolił im opaść, nie znajdując słów, by opisać to, co zrobił. – Zabijanie smoków to wstrętne zajęcie. Wstrętne i krwawe.

Żołądek Evie skurczył się boleśnie i poczuła, że robi jej się niedobrze. Pochyliła się do przodu, opierając łokcie na udach i schowała twarz w dłoniach. – Nienawidzę tego, że ludzie widzą w tym powód do chwały – jego głos zabrzmiał twardo, nigdy jeszcze nie słyszała, by mówił w ten sposób. Nie było w nim cienia zwykłego humoru. – Nie ma w tym żadnej chwały. Ja tylko chciałem, żeby nie zabiła mojego brata.

Gdzieś z oddali dobiegło ich pohukiwanie sowy – jeden długi dźwięk i dwa krótkie.

– Urodziłem się tam, gdzie się urodziłem, w takiej, a nie innej rodzinie. Zawsze wiedziałem, że będę rycerzem. Nigdy się specjalnie na to nie cieszyłem, ale myślałem, że trudno... przyjdę tutaj, będę robił, co do mnie należy... ale potem poznałem ciebie i nic już nie jest takie, jak wcześniej.

Sowa nadal pohukiwała, ale Remington zamilkł. Po długiej chwili ciszy, ciężkiej od niezaprzecznego i nieuchronnego faktu, że smok, którego kiedyś zabił, nie był jego ostatnią smoczą ofiarą, Evie wreszcie przemówiła.

– U mnie też nic nie jest takie, jak ja myślałam, że jest.

Jeszcze długo po rozstaniu z nim spacerowała wzdłuż baraków. W jej głowie co jakiś czas pojawiały się obrazy smoczego ojca – rannego i zakrwawionego po tym, jak upadł, ratując jej życie. Mimo wszystkiego, czego dowiedziała się o swojej rodzinie, myśl o jego cierpieniu nadal była dla niej przykra. A potem zobaczyła jego i Remingtona, z mieczem w dłoni, gotującego się do odebrania mu życia.

Gdy wieczorna krzątanina w barakach prawie już ucichła, wreszcie zdecydowała się wejść do środka. Czowała się kompletnie otepiała. Marzyła tylko o tym, by zasnąć i nie śnić. Przeszła obok śpiących spokojnie Demetry i Maggie. Obie zdawały się radzić sobie ze swoimi skomplikowanymi sytuacjami rodzinnymi lepiej niż Evie. Zsunęła ze stopy lewy but, potem prawy, a potem stanęła jak wryta.

Balowa suknia, nad którą pracowała i którą doskonaliła od początku semestru, była w strzępach. Zwisiała bezładnie z rozerwanymi szwami, powyrywanymi klinami i całym przodem poplamionym barwnikiem.

Jej nozdrza rozszerzyły się i poczuła, że stary, ukryty smoczy gniew zaraz zapłonie z całą mocą. Rozejrzała się po baraku i w słabym świetle kilku niezgaszonych jeszcze pochodni zauważyła, że Malora patrzy na nią bezwzględnyimi szarymi oczami.

– To, że twoja matka poślubiła króla, jeszcze nie oznacza, że ty sama nie jesteś śmieciem.

Evie poczuła, jak gniew rozsadza jej płuca, zaciska szczęki i rozpala oczy. Rzuciła Malorze takie spojrzenie, że ta zeskoczyła ze swojej pryczy i biegiem rzuciła się do wyjścia. Evie pognała za nią. Wypadły z baraków w noc, rozchlapując zimne błoto bosymi stopami i zostawiając ślady na wilgotnej trawie Jasiowej Polany.

– Zostaw mnie!

Evie rzuciła się do przodu, podcinając palcami rąk nogi Malory. Gdy upadła, Evie wskoczyła jej na plecy i przez chwilę walczyły w mokrej trawie.

– Złaż ze mnie! – wrzasnęła Malora, chwytając dłonią dąrn i próbując się podnieść. Ale Evie nie panowała już nad sobą. Złapała za garść kruczoczarnych włosów Malory i zanurzyła jej twarz w błocie. Czując pod sobą jej szamoczące się ciało, odreagowywała całe miesiące bezradności i frustracji. I poczuła ulgę. Usłyszała, że Malora się krztusi i gniew natychmiast ją opuścił. Odrzuciła włosy siostry na bok i pozwoliła jej wstać. Siedziała teraz przed nią w mokrej trawie i nagle łyzy wściekłości przeszły w szloch.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka okropna? Nigdy nic złego ci nie zrobiłam!

Malora uniosła się na łokciach. Nadal pluła błotem i z trudem chwyciła powietrze. Wreszcie przekręciła się na plecy i spróbowała uspokoić oddech.

– Powinnyśmy być dla siebie siostrami... – załkała znowu Evie. Jej wściekłość zmieniła się w bolesne rozczarowanie. – Jak można zrobić coś takiego siostrze?

– Nie wiem. Nie chciałam, po prostu...

– Oczywiście, że chciałaś. To jest kompletnie bez sensu!

– Nie chciałam. – Usiadła i starła z twarzy kawałki trawy. Jej głos był miękki i życzliwy. Evie nigdy dotąd nie słyszała jej mówiącej w ten sposób. – Nie wiem, czemu robię połowę rzeczy, które robię. Tak się jakoś... dzieje

samo. Nie mam nad tym kontroli. Przepraszam.

Evie wytarła ostatnie łzy. W ciemności, po wybuchu emocji, wracało do niej wcześniejsze otępienie.

– Wiem, że powinnam być księżniczką – mówiła dalej Malora. – Wiem to od urodzenia. Ale czasem czuję się taka... zepsuta w środku. I wtedy robię okropne rzeczy.

Evie zerwała się na równe nogi i ruszyła z powrotem w stronę baraku.

– Nie chciałam! – krzyknęła za nią Malora, ale Evie nie zamierzała jej już słuchać.

Gdy następnego dnia siedziała na twardym, drewnianym stołku w chacie Rumpelszwacza, nie docierało do niej kompletnie nic z tego, co mówił.

– Bardziej dopasowany rękaw da wam większą swobodę ruchów w walce wręcz, a co ważniejsze – przyda sukni elegancji, na której tak nam przecież zależy...

Nagle drzwi chaty otworzyły się z trzaskiem. Kadetki, które siedziały przy formach do sukni, otaczając półkolem swojego nauczyciela, odwróciły się, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Weszło dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta, w ubłoconych chłopskich ubraniach z wełny i skór. Mieli udręczone twarze, a oczy podkrążone ze zmęczenia. Malora kaszlnęła, patrząc na nich z ledwie skrywaną pogardą.

– Matko? Ojczy? – odezwała się kadetka Amaryllis. Evie знаła ją słabo, ale zawsze podziwiała jej naturalnie życzliwe usposobienie. Miała silne poczucie więzi z nisko urodzonymi dziewczętami, które stało się jeszcze silniejsze, gdy dowiedziała się, że tak naprawdę do nich nie należy.

– Pan wybaczy – powiedział ojciec, biorąc w dłonie swój znoszony kapelusz. – Amaryllis...

Dziewczyna przebiegła przez cały pokój, żeby go przytulić. Coś w wyglądzie tych ludzi, odbicie śmierci w ich oczach, sprawiło, że wszystkie kadetki poczuły dreszcz strachu.

– Nasze królestwo, Złota Przystań, trzy noce temu zostało zajęte przez wiedźmy.

– Och – wykrzyknęła cicho Demetra, podnosząc dłonie do ust. Amaryllis padła w rozpacz w ramiona swojej matki.

– Wszystko zniszczone – mówił dalej mężczyzna. Wydawało się, że nie mówi nawet do nich, ale po prostu wyrzuca z siebie potworności, które zobaczył. – Zabrały dziesiątki ludzi do lasu... Zostawiły za sobą zgliszcza...

Matka Amaryllis skierowała ją ku wyjściu. Ojciec odwrócił się, by do nich dołączyć.

– Dokąd pójdziecie? – zapytał Rumpelszwacz.

– Na północ. Mówią, że jest tam teraz księżniczka Middlemiss i oferuje ochronę uchodźcom. To powiedziawszy, wyprowadził córkę w świat duszący się pod naciskiem wściekłych czarnych chmur.

Zamknęli drzwi za sobą, ale pozostali w chacie nadal słyszeli lamenty zdeorientowanej Amaryllis. Kadetki odwróciły się z powrotem do Rumpelszwacza, ale nawet on zdawał się wstrząśnięty tym, co się przed chwilą stało.

Evie była jedyną, która nadal nie odwróciła się od drzwi. Ktoś, kogo znała, ktoś, kto przyszedł do tej szkoły tak jak ona, jako zupełnie anonimowa, nisko urodzona dziewczyna, ktoś, z kim wspólnie ćwiczyła do upadłego na poligonie, będzie teraz wędrował po plądrowanych przez wiedzmy terenach w poszukiwaniu schronienia i pociechy. Księżniczka Middlemiss stała się bardziej rzeczywista niż kiedykolwiek. To nie była zła bajka. To wszystko działo się naprawdę. I ona pracowała właśnie nad tym, by zostać księżniczką taką jak Middlemiss. Cel nigdy jeszcze nie wydawał jej się tak odległy, jak w tej chwili.

– Może skończmy na dzisiaj – zaproponował troll.

Kadetki zebrały swoje rzeczy, szepcząc między sobą.

– Kadetko, proszę chwilę zostać – powiedział Rumpelszwacz, utkwivszy jedno opadające oko w Evie.

Demetra uśmiechnęła się do niej smutno i uściśnęła jej ramię, gdy mijały ją wraz z Maggie. A kiedy drzwi się zamknęły, Rumpelszwacz oparł swoje krótkie, grube ręce na biodrach i zwiesił głowę, potrząsając sztywną brodą.

– Czasem czuję nieznośny smutek, gdy pomyślę, że ten świat jest tyleż pełen piękna, co okrucieństwa.

Nie odpowiedziała. Smutek prawie już ją opuścił, ustępując miejsca gniewowi.

– Słyszałem o twojej sukni. Podniosła na niego zaniepokojone oczy, ale on machnięciem ręki rozwiął je obawy.

– Lubię być na bieżąco z plotkami. Kiedyś wręcz na nie polowałem. Teraz ja nieco zwolniłem, ale moja zwierzyna nie. – Uśmiechnął się. Nie odpowiedziała uśmiechem. – Przykro mi z powodu twojej sukni. To był wyrefinowany i gustowny projekt. Wiesz może, jak to się stało?

Evie spuściła wzrok.

– Rozumiem. To przykre, że nigdy się nie dowiemy, kto jest za to odpowiedzialny, prawda?

Prychnęła, ale nie podniosła wzroku.

– Nieraz rozmawiałem o niej z Jej Magnificencją. Pytałem, jak to możliwe, że kadetka, która wykazuje tak kompletny brak naszych czterech podstawowych cnót, nadal jest wśród nas. Powiedziała mi, że mam trzymać mój brodawkowaty nos z dala od spraw Akademii.

– Co takiego?

– Myślisz, że ludzie z wiekiem przestają być okrutni? – zapytał smutno troll, potrząsając głową. – Bardzo podziwiam księżniczkę Beatrycze za wszystko, co zrobiła dla Akademii, ale ona nigdy nie lubiła trolli. Jestem tu tak długo jedynie ze względu na moje nadzwyczajne umiejętności.

Evie nigdy nie darzyła Beatrycze specjalną sympatią, ale teraz pomyślała dodatkowo, że tak ostre traktowanie mądrego i zdolnego nauczyciela to kompletnie niepotrzebne okrucieństwo.

– Szkoliłem najlepsze z księżniczek – mówił dalej troll, podchodząc do niej chwiejnym krokiem. – Każdej z nich zdarzyły się w życiu straszne rzeczy. Naprawdę okropne rzeczy, które napełniały ich serca zwątpieniem – powiedział, kładąc szorstką dłoń na jej policzku. Był to tak czuły i ojcowski gest, że Evie z trudem powstrzymała łzy cisnące się jej do oczu. – Wiesz, nauczyciele też plotkują, tutaj, w Akademii. A nawet – łobuzy – robią zakłady o to, który z uczniów odpadnie. Na początku roku wszyscy obstawiali, że to ty wylecisz pierwsza. Też tak uważałem. Straciłem przez ciebie ćwierć pensji. – Poklepał ją po policzku i uśmiechnął się. – Ale nie dałaś się. Walczyłaś. I to z zaangażowaniem, na które stać naprawdę niewielu. Nikt inny, w żadnej kompanii, nie zrobił przez ten rok tyle, ile ty zrobiłaś. Nikt. Jest w tobie księżniczka, Evie, i to nie byle jaka. Musisz sobie pozwolić rozwinąć skrzydła.

Zaczął pakować swoje przyrządy do szycia do drewnianych skrzyń.

– Utrzymanie się w Akademii na drugim roku jest jeszcze trudniejsze niż na pierwszym. Jeśli chcesz tu zostać do końca, musisz koniecznie zrozumieć jedną rzecz: żadna ofiara nigdy jeszcze nie skończyła tej szkoły.

Patrzyła na jego potężne i niezgrabne plecy, gdy ruszył w kierunku magazynu, pozwalając swoim słowom dobrze wybrzmieć.

– Nie jesteś ofiarą, dopóki nie przyjmiesz na siebie takiej roli. Jeśli

wyberzesz bycie ofiarą, nigdy nie będziesz nikim więcej niż tylko przestraszoną dziewczyną zagubioną w lesie.

W drzwiach zatrzymał się jeszcze, drapiąc się po głowie wewnętrzną stroną dłoni.

– Ale wybory mają to do siebie, że można je zmieniać – powiedział na koniec, a na jego twarzy pojawił się szeroki, przebiegły uśmiech.



Evie niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Ze swojego miejsca widziała tylko niewielki fragment Sali Balowej imienia Flecisty z Hameln oświetlonej ciepłym światłem świec. Przed nią stała tylko jedna para, ale ramiona rycerza były tak szerokie, a suknia księżniczki tak obfita, że skutecznie zasłaniali jej widok. Od czasu do czasu migały jej tylko inne kadetki w wytwornych sukniach. Dochodził ją również radosny gwar rozmów i muzyka.

– Nie, proszę – powiedziała do wysokiego służącego, który sztywno stał na swoim posterunku przy wejściu do sali. – Naprawdę nie trzeba mnie zapowiadać...

– Chyba nigdy panienka nie była na prawdziwym balu, co? Każdego trzeba zapowiedzieć. – Zajrzał do środka sali, w której właśnie skończono grać jakąś piosenkę i rozległy się oklaski. Skinął na parę, która stała przed Evie, podniósł do ust srebrną trąbkę i odegrał fanfary.

– Córka króla Pinzberga i królowej Fennels z Królestwa Stonearch Common, Jej Wysokość księżniczka Elżbieta, w towarzystwie syna króla Rolanda i królowej Schnoor z Królestwa Horn o' the Ram, czcigodnego sir Altena!

Co za beznadziejna strata czasu. Nikt go nawet nie słucha. Dlaczego nie mogę po prostu...

Jej myśli rozpląnęły się w niepamięci, gdy para przed nią weszła

do środka, odsłoniwszy wreszcie widok na salę balową. Wszystko wyglądało magicznie. Ogromne pęki świecowych żyrandoli zwisały z wysokiego sklepienia sali. Ich światło sprawiło, że całe pomieszczenie zdawało się być skąpane w miękkiej i ciepłej poświacie. Z balkonu, od strony muzyków spływały w dół dźwięki strun. Dziewczęta w przepięknych, szykownych sukniach sunęły gładko po posadzce, prowadzone przez chłopców w pełnym żołnierskim rynsztunku. Gdy tak przypatrywała się temu bogactwu i elegancji, przypomniła sobie nagle jeden dzień ze swojego dzieciństwa. Nie było w nim nic szczególnego, ale z jakiegoś powodu to właśnie on przyszedł jej teraz do głowy. Ojciec i matka polecili wówczas za góry w poszukiwaniu nowych terenów łowieckich. Ona i jej siostra zostały same na kilka tygodni i wkrótce zapasy wędzonych ryb i jeleniego mięsa zaczęły się kurczyć. Któregoś dnia Evie była tak głodna, że całymi godzinami brodziła w błocie, szukając pod kamieniami robaków i porostów.

Teraz, gdy czekała, aż sama zostanie wprowadzona na salę balową pełną jej rówieśników i nauczycieli, wreszcie zrozumiała, co Rumpelszwacz miał na myśli. Być może rzeczywiście zaszła dalej, niż jej się wydawało.

– Nie wiem, gdzie jest twój rycerz, ale jego strata, że go tutaj nie ma – powiedział służący. – Mówiąc między nami, jesteś najładniejszą ze wszystkich księżniczek, które dziś zapowiadałem.

W holu było ciemno, ale Evie i tak była pewna, że służący zauważył, jak oblała się rumieńcem.

– Myślę, że jest już w środku. Trochę się spóźniłam.

– Powinien był na ciebie poczekać – powiedział, mrugając do niej po ojcowsku. – Daj mu porządnego kuksańca, jak go spotkasz, dobrze?

Piosenka wydawała się nie mieć końca. Evie chciała tylko wbiec do środka, znaleźć Maggie i Remingtona i być częścią tego wszystkiego. Ale musiała sobie też przypomnieć, że chodzi tu też o coś więcej. *Muszę wygrać* – przypomniła sobie. *Jeżeli mi się uda, nie będzie żadnej Bezradnej Niewiasty*. Ta myśl pomogła jej uspokoić nerwy, ale nie mogła uciszyć podniecenia.

– Kadetka Nicolina, zgadza się? – upewnił się służący, patrząc na niewielki skrawek pergaminu, który wyjął z kieszeni.

– Nie – zaprzeczyła dumnie. – Evie. Kadetka Evie.

Zagrał na swoim rogu, a jej serce zaczęło bić mocniej.

– Córka zmarłego króla Callahana i królowej wdowy Hardcastle

z Królestwa Väterlich, Jej Wysokość księżniczka Evie!

Evie nabrała powietrza w płuca, jakby właśnie miała zanurkować w morzu, po czym weszła do środka. Teraz wszyscy ci ludzie, których przed chwilą obserwowała i do których tak chciała dołączyć, odwrócili się, by na nią spojrzeć.

Stała w świetle świec w księżycowej sukni od Rumpelszwacza, jak migocząca gwiazda, która zstąpiła z nieba i przy której wszystkie inne wyglądają zwyczajnie. Sukienka mieniła się, ale nie jaskrawo, jak płomień pochodni, lecz miękko, jakby w spokojnej wodzie jeziora odbijała się bladoniebieska księżycowa poświata. Evie zrobiła jeszcze kilka kroków i nawet muzycy przestali na chwilę grać. Lejący się materiał spływał po skórze jak woda. Jej włosy, dzięki uprzejmości jednego z asystentów Rumpelszwacza, spadały na ramiona miękkimi falami, ozdobione drobnymi białymi kwiatkami, które układały się w miniaturowe galaktyki. Gdy Evie po raz pierwszy włożyła na siebie tę suknię, pomyślała o jednej z pierwszych lekcji z Rumpelszwaczem, gdy powiedział, że projekt sukienki powinien podkreślać wnętrze dziewczyny. Rzeczywiście wydawało się, że gdy materiał opadł na jej ramiona i miękko spływał w dół ciała, jego włókna zdawały się nabrać jeszcze bardziej intensywnego blasku niż wtedy, gdy suknia wisiała na manekinie.

– Evie, wyglądasz absolutnie prześlicznie! – powiedziała Maggie, która pojawiła się nagle, ciągnąc za sobą milczącego Stanischilda.

– Dzięki – Evie uśmiechała się tak szeroko, że aż zaczęło ją to krępować, ale nie mogła przestać. – Ty też!

Maggie miała na sobie zieloną sukienkę, o tak ciemnym odcieniu, że wydawała się prawie czarna. Kasztanowe włosy upięła wysoko, pozwalając jednak, by gdzieniegdzie wymykały się luźne kosmyki.

– Kazałam Stanischildowi czekać, bo musiałam jeszcze poprawić wykończenie. Ale było warto, prawda?

Stanischild potwierdził słabym kiwnięciem głowy, z trudem ukrywając swoje zakłopotanie. Muzycy znowu zaczęli grać i bal toczył się dalej.

– Powinnaś była usłyszeć, jak mnie idiotycznie przedstawili. Przez niego – powiedziała Maggie, wskazując na Stanischilda. – Tyle było tytułów i włości do wymienienia, że gdy nadeszła moja kolej, temu kretynowi nie chciało się nawet wspomnieć mojej mamy i taty – mówiła dalej, piorunując wzrokiem służącego, który jednak niczego nie zauważył.

– Idiotyczne. Przecież tutaj wszyscy powinniśmy być równi.

– Przekleństwo niskiego urodzenia – powiedziała Maggie, wzruszając ramionami i znowu się uśmiechnęła. – Ale muzyków mają tu doskonałych, prawda, Stanischild?

Kadet uśmiechnął się niepewnie i nic nie powiedział.

– Czy jest już Remington?

– Chyba go widziałam. Chodź ze mną.

Maggie wzięła ją za rękę i poprowadziła przez salę. Za nimi podreptał Stanischild. Evie słyszała przyciszone komentarze ze strony mijanych uczestników balu, ale nie brzmiało to jak złośliwe, bolesne uwagi z początku semestru – tym razem były to wyrazy zaskoczenia i podziwu.

– Lepiej od razu idźcie tańczyć – powiedziała Maggie. – Wydaje mi się, że jurorzy już zaczęli oceniać pary.

Evie spojrzała w górę na balkon otaczającej całą salę galerii. Siedzieli tam nauczyciele, zarówno księżniczki, jak i rycerze. Zasiadali przy małych stołach, obserwując to, co działo się na dole. Zobaczyła nawet, że sir Osdorf potrząsa z obrzydzeniem głową i robi jakieś notatki.

– Tam jest! – zawołała Maggie, ciągnąc Evie na wyższy stopień dwupoziomowej podłogi.

Remington rozmawiał z innym kadetem. Evie nie od razu go poznała. Miał na sobie czarny, skórzany kaftan, od pasa aż po szyję zapinany na błyszczące, srebrne guziki i ozdobiony skomplikowanym haftem oraz ciężkimi, również srebrnymi galonami. Jego miecz, schowany w błyszczącej, srebrnej pochwie, zwisał mu u biodra. Elegancki i pewny siebie, wyglądał jak młoda wersja króla, którym miał pewnego dnia zostać. Odwrócił się i ich oczy się spotkały.

– Chodź. Mamy co zrobić, jeśli chcemy pokonać ją w tej sukni – powiedziała Maggie, ciągnąc Stanischilda na parkiet.

Evie została sama. Uśmiechała się do Remingtona. On przeprosił rycerza, z którym rozmawiał, i ruszył w jej kierunku. Zdziwił się, gdy ją zobaczył, ale poza tym jego twarz nie wyrażała żadnych szczególnych emocji. Evie nie mogła ocenić, w jakim jest nastroju.

– Przepraszam, że to tyle trwało – powiedziała. – Rumpelszwacz nie chciał mnie wypuścić, dopóki wszystko nie było tak, jak sobie wymyślił.

Uśmiechnął się i wzięła ją za rękę.

– Zaczynamy.

Gdy prowadził ją na środek parkietu, Evie na prawdę nie mogła nie

zauważyć, że wzbudzała zainteresowanie innych tancerzy. Zupełnie obce osoby zwracały na nią więcej uwagi niż jej partner. Próbowwała odpędzić tę myśl, ale trudno było jej udawać, że nie czuje jego widocznej obojętności.

Odwrócił do niej twarz z wymuszonym uśmiechem.

– Gotowa?

– Chyba tak.

Wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, o co naprawdę chodzi w tym balu – o wygraną.

Jedną ręką ujął jej dłoń, drugą położył na jej biodrze. Sunęli płynnie po posadzce, ale Evie zaczęła tracić pewność siebie. Słyszała muzykę i czuła, że Remington ją prowadzi, ale nie mogła się skoncentrować. Cały czas myślała o jego dziwnym zachowaniu. Nie wiedziała dokładnie, jakiej reakcji od niego oczekiwała, ale z pewnością *jakiegokolwiek...*

– Nie poddajesz się mojemu prowadzeniu – powiedział, mocniej naciskając dłonią na jej biodro, odbierając jej tym samym jeszcze więcej pewności siebie. Dyskretnie spojrzała w górę na oceniających, ale ich twarze nie wyrażały nic szczególnego.

– Co robisz? – przerwał nagle, gdy prawie wpadli na inną parę.

– Przepraszam – powiedziała. *Skup się. Zapomnij o nim. Wygraj.*

Zacząli jeszcze raz, wchodząc płynnie w rytm muzyki. Starła się nie patrzeć na jego nieobecny wyraz twarzy i skupić się tylko na tańcu. Pozwalała, by prowadził ją delikatny nacisk jego rąk. Dała się zupełnie pochłonać muzyce.

Sunęli po posadzce – dwa ciała poruszające się jak jedno, porwane przez muzykę. Przypomniała jej się historia Kopciuszka, którą czytała w jednym z tomów Volfa. *Tak się musiała czuć, gdy tańczyła na balu ze swoim księciem. Ona też była tam obca, a jednak olśniła go swoim wdziękiem i elegancją. Ona też była tam obca, a jednak zwyciężyła. Ona też była tam obca, a jednak... Ona też była obca... była obca...*

– Auu! – burknął Remington, zginając się w pół i chwytając za chore kolano.

– Przepraszam! – wykrzyknęła Evie, w przerażeniu zerkając w górę na jurorów. Inni tancerze przerwali i patrzyli na nich.

– Jeśli już musisz deptać mi po stopach, wybieraj chociaż tę nogę, której nie poszarpały wilki.

– Naprawdę przepraszam.

– W porządku – powiedział, poprawiając strój, mimo że na jego twarzy nadal widać było grymas bólu. – Tańczmy dalej. Ale daj się prowadzić, dobrze?

Wziął ją za rękę i zaczęli od nowa. Jej myśli galopowały jak szalone. Był na nią zły? Czy jurorzy zauważyli? Czy przez to przegrają? Służący ogłosił właśnie przybycie kolejnej spóźnionej pary...

Nagle usłyszeli szcęk metalu. Remington uderzył mieczem o miecz innego kadeta.

– Co jest z tobą? – wysyczał, odpychając ją.

– Przepraszam, chyba jestem trochę zdenerwowana.

Remington skinieniem głowy przeprosił rycerza, na którego wpadł.

– Więcej takich błędów i nie mamy żadnych szans, rozumiesz? Pokiwała głową, choć i w niej obudziła się już iskierka gniewu. To prawda, że te wszystkie błędy popełnili jak dotąd z jej winy, ale nie podobał jej się ten protekcyjny ton. Ale może on też się stresował?

Ruszyli, ale każde w inną stronę. Remington potknął się o jej nogę i wyładował na podłodze. Inni tancerze rozstąpili się, robiąc przestrzeń wokół nich. Zanim wstał, spojrział jeszcze na nią z wyrzutem.

– Wystarczy. Nie przyszedłem tu po to, żebyś zrobiła ze mnie głupka.

Odszedł, kulejąc lekko, przez rozstępujące się morze kadetów, zostawiając ją samą na parkiecie. Inne pary stopniowo powróciły do przerwanej tańca. Evie chciała cofnąć czas, by zmienić jakoś bieg tego wieczoru, który tak dobrze się zaczął, a tak fatalnie kończył. Jednocześnie jednak czuła się upokorzona i w tym upokorzeniu powróciła teraz iskierka gniewu, która już wcześniej się w niej zatliła. Zostawił ją, nie przejmując się kompletnie tym, jak się będzie czuła. Zostawił ją samą. Zaczęła się przepychać przez tłum. Schodząc z podestu, uniosła nieco swoją księżycową suknię.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maggie, gdy Evie przechodziła obok niej. Ona jednak nie zamierzała się zatrzymać. Zdecydowanym krokiem minęła służącego przy drzwiach, przeszła przez korytarz wyłożony karmazynowym, jedwabnym dywanem i dalej w dół schodów, na zewnątrz. Z wierzb zwisały wielkie, ozdobne świecące kule, a po obu stronach drzwi przymocowano pochodnie. Gdzieś z dala, z ciemności doszedł ją dźwięk świerszczy i rechotanie żab na Trzęsawisku Grennila. Remington szedł chwiejnym krokiem przez dziedziniec, jego miecz błyszczał w świetle pochodni. Gdy usłyszał za sobą stukot jej obcasów na kamieniach, zatrzymał

się.

– Czego chcesz? Mało ci? Chcesz może jeszcze rzucić mną o drzewo?

– O co ci chodzi? Czy nadal wariujesz w związku z tym, że kiedyś zabiłeś smoka? Powiedziałam ci, że nie ma to dla mnie znaczenia!

– Nie lubię, jak się ze mnie robi głupca. Chętnie wygrałbym ten bal, ale ty już się postarałaś o to, żeby tak się nie stało.

– Chętnie wygrałbyś ten bal? Dla mnie wygranie go mogło być jedyną szansą na drugi rok! – odparowała. – Dla ciebie to nie ma znaczenia, biorąc pod uwagę twoją wpływową rodzinę i całą resztę, ale dla mnie to było naprawdę ważne.

– To może nie powinnaś była rzucać swoim partnerem o podłogę. Ewie w niedowierzaniu pokręciła głową. Jej frustracja rosła z każdą chwilą. *Jak – kiedy – to się stało, że nagle mówimy do siebie w ten sposób?* Odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę baraków.

– Całowałaś się z Forbesem?

Ewie przystanęła na krańcu dziedzińca, gdzie prawie już nie sięgało światło pochodni.

– Odpowiedz.

– Czy *co* robiłam?

– Jedna dziewczyna, przyjaciółka Malory, mówiła, że widziała, jak się z nim całowałaś. W szpitalu.

– Co? Masz na myśli sytuację z początku semestru? To *on* mnie pocałował! Chwilę po tym, jak stracił swój świński ryj i racice! Remington już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale to, co usłyszał, kompletnie zbiło go z pantałyku.

– Właśnie zmienił się z prosiaka w człowieka i myślał, że ja miałam z tym coś wspólnego. Więc mnie pocałował. Co to ma zresztą za znaczenie? I dlaczego ty nagle słuchasz Malory i jej przyjaciółeczek?

Zrobił krok w jej stronę, w jego oczach pojawił się wyraz skruchy.

– Ja... nie...

– A więc o *to* ci cały czas chodziło? Naprawdę? Bo gdybyś miał wyrzuty sumienia w związku z tym smokiem, to przynajmniej miałyby to jakiś sens!

Wyglądało na to, że Malorze nie udało się popsuć jej udziału w balu przez zniszczenie jej sukni, ale poradziła sobie inaczej – za pomocą głupiej plotki.

– Na początku jej nie uwierzyłem – powiedział. – Ale jakoś nie dawało mi to spokoju. Chyba... chyba byłem po prostu zazdrosny o Forbesa – dokończył, wzdychając. – Nie masz pojęcia, jak trudno mi było się teraz

do tego przyznać.

– Malora – powiedziała Evie, smutno potrząsając głową. – Twoja najlepsza przyjaciółka Malora próbowała nas zabić tamtej nocy na Trzęsawisku Grennila. Wiedziałeś o tym?

– Co?

– To ona wpuściła wilki. Powiedział mi to twój drugi najlepszy przyjaciel, Forbes, bo najpierw przyszła do niego, proponując mu wspólną zemstę na nas. – Spojrzeli sobie w oczy. – Ona też była zazdrosna.

Remington roześmiał się niepewnie.

– Teraz to dopiero czuję się jak idiota.

– Czemu mnie po prostu nie zapytałeś, zamiast zachowywać się jak jakiś błazen?

– Nie wiem. – Jego głos zabrzmiał miękko; całe jego zachowanie zmieniło się, gdy poznał prawdę. – Przepraszam.

Objął ją ramionami, ale to jej nie pocieszyło. Chciała czegoś więcej. Chciała chwili wypełnionej prawdziwą romantyczną magią – takiej, jakiej doświadczyło w życiu tyle księżniczek przed nią. Chciała pocałunku, chwili uniesienia i zapomnienia o tym wszystkim, co ciemne i złe.

– Wracajmy do środka. Może nie jest jeszcze za późno...

– Jest – odparła.

Owiał ich zimny wiatr idący od Dortchen Wild i oboje zadrżeli.

– Jest – powtórzyła Evie.

Wrócili do środka i zrobili wszystko, co mogli, by uratować ten wieczór. Ale muzyka nie brzmiała już tak radośnie. I mimo że trzymali się w tańcu bliżej niż wcześniej, Evie czuła w sobie chłód, którym napełniła ją wiadomość o kolejnej podłości jej przyrodniej siostry. Wszędzie dookoła kadeci śmiali się i żartowali albo bardzo skupieni walczyli o względy jurorów. Evie i Remingtona mogło równie dobrze tam nie być.

W chaosie, który powstał, gdy służący ogłosił, że zaraz odczytane zostaną wyniki balu, Evie i Remington rozdzielili się. Podczas gdy wszyscy inni zgromadzili się wokół księżniczki Eleonory, by dowiedzieć się, kto wygrał, Evie odeszła na bok i znalazła ciemny kąt, prawie nieoświetlony światłem pochodni. Nawet jej suknia wydawała się być nieco przygaszona.

– Zwycięzcami tegorocznego Wielkiego Balu i pierwszymi kadetami drugiego roku zostają... księżniczka kadetka Magdalena i rycerz kadet Stanischild! Gratulacje!

Przez chwilę przez zamyślenie Evie przebiła się prawdziwa radość. Kadeci klaskali i gwizdali, gdy Maggie i Stanischild stanęli przed tłumem. Po twarzy Maggie płynęły łzy niedowierzania. Evie uśmiechała się do niej i też klaskała, wiedząc, jak bardzo w tym momencie jej przyjaciółka musi być szczęśliwa. Muzycy znowu podjęli grę i wszyscy utworzyli koło wokół Maggie, która przeżywała właśnie cudowną, bajkową chwilę, o której marzyła całe życie. W tym momencie naprawdę była księżniczką.

Evie omiotła wzrokiem salę balową i znalazła Remingtona. Wyraz jego oczu przypominał jej, że ten magiczny wieczór nie będzie trwał wiecznie, a gdy się skończy, będą musieli stawić czoła ciemnym siłom czającym się w mroku.

Następne kilka tygodni upłynęło błyskawicznie wśród testów wiedzy, sprawdzianów wytrzymałościowych i intensywnego oceniania, które oznaczały zbliżający się koniec semestru. Coraz więcej dziewcząt dostawało straszną informację, że zostały wydalone. Evie głęboko im współczuła. Dojść tak daleko i zostać odesłanym, zanim miało się okazję sprawdzić swoje siły w ostatnim zadaniu... To musiało być naprawdę bardzo przykre. Sierżant Wróżka robiła mgliste aluzje co do tego, że Bezradna Niewiasta odbędzie się poza granicami Akademii, co samo w sobie było dość przerażające. A na więcej informacji kadeci nie mogli liczyć.

W czasie posiłków Evie miała wrażenie, że ławka, na której siedzi, jest bardziej niewygodna niż kiedykolwiek. Remington zawsze spoglądał w jej stronę, ale nie było to dla niej żadną pociechą. Wręcz przeciwnie – sprawiało, że tym silniej czuła czające się nieznane niebezpieczeństwo. Natomiast Malora, cokolwiek ją wcześniej męczyło, zdawała się już całkowicie wydobrzeć. Śmiała się z Kelbrą, złościła na Sage, od czasu do czasu rzucała Evie zimne i puste spojrzenia.

Wreszcie, po skończonych egzaminach pisemnych i przedstawieniu Rumpelszwaczowi ostatecznych projektów do oceny, któregoś wieczora kadetki zostały zebrane razem przez księżniczkę Hazelbranch. Zmrok zapadł wcześniej i pochodnie zostały już zapalone. Kompania Ironbone składała się teraz zaledwie z ułamka tych kadetek, które zaczynały razem rok. A po jutrzejszym dniu miało ich być jeszcze mniej.

– Postarajcie się wyspać – powiedziała Hazelbranch. – Ja swoją noc przed Bezradną Niewiastą spędziłam, leżąc w ciemnościach i analizując w myślach każdą ewentualność. Gdy w końcu nasza wróżka zawołała nas do siebie,

byłam nieprzytomna ze zmęczenia i kompletnie nie mogłam się skupić. To naprawdę cud, że zdałam.

Demetra spojrzała na Evie. Wyglądała na tak samo zdenerwowaną, jak ona.

– W ciągu roku musiałyśmy pożegnać wiele koleżanek. Coraz więcej pustych pryczy w tym baraku. Jest jednak powód, dla którego wasze łóżka nadal są wasze. Obserwowaliśmy was i sprawdzaliśmy przez cały rok – uważniej, niż może wam się wydawać. Nie jesteście tu przypadkiem – powiedziała Hazelbranch, ściągając usta i kiwając poważnie głową.

– Byłam kiedyś na waszym miejscu. Wiem, że niewiedza o tym, co was jutro czeka, to tortura nie do zniesienia. Ale wiem także, ponieważ sama też musiałam przez to przejść, czego wam potrzeba, by przetrwać. Odwagi. Współczucia. Dobroci. Dyscypliny. – Spojrzała na nie z dumą.

– Więc gdy dziś wieczorem będziecie się kładły spać, pozwólcie, by jutro zdarzyło się dopiero jutro.

Evie wsunęła się pod kołdrę i narzutę, przekonana, że nie uda jej się pójść za radą księżniczki Hazelbranch. A jednak prawie natychmiast zapadła w głęboki sen. Wypełniały go chmury i dym.



– DZIEWCZĘTA, NADESZŁA CHWILA PRAWDY! Usłyszawszy głos sierżant Wrózki, Evie natychmiast zeskoczyła ze swojej pryczy. Zachwiała się na nogach, nie do końca jeszcze obudzona. Z zewnątrz, od strony Jasiowej Polany, doszedł ją jakiś przeraźliwy łoskot. Co to mogło być? Wewnątrz baraku kadetki zakładały swoje mundurki, biegały do toalety lub ścieliły prycze. Nerwowa atmosfera tego chłodnego poranka nie pozostawiała wątpliwości co do charakteru czekającego je dnia. Evie poczuła przerażenie.

– ZA DWIE MINUTY! ZA DWIE MINUTY NA POLANIE!

Evie wsunęła przez głowę swoją sukienkę. *Możliwe, że po raz ostatni.* Zawiązała pleciony pasek luźno wokół talii i wygładziła rękawy. Nadal czuła jednak, że czegoś jej brakuje. Przesunęła rękoma po lnianej sukience o głęboko niebieskim odcieniu, ale nie przyszło jej do głowy nic, czego mogła zapomnieć. Malora, Kelbra i Sage już skończyły przygotowania i ruszyły w kierunku drzwi. Musiała się śpieszyć. W swojej skrzyni znalazła naszyjnik ze smoczą łuską, do której wsunęła portret ojczyma. Przycisnęła usta do skrawka płótna. *Pójdziecie ze mną* – pomyślała, zakładając naszyjnik. W rogu kufra zauważyła też składane lustro, które dostała od Rumpelszwacza pierwszego dnia. Podniosła chłodne, srebrne pudełeczko i wsunęła je do kieszeni. Lepsze to niż nic.

– Gotowa? – zwróciła się do Demetry.

– Prawie.

Podeszła do niej Maggie. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak.

– Wszystko w porządku, Maggie?

Maggie wydawała się trochę nieobecna, w zamyśleniu pogłaskała pryczę Evie.

– Chciałam tylko... powiedzieć, że bycie księżniczką... jest dla mnie ważne – zaczęła w końcu Maggie. Podniosła głowę i jej oczy spotkały oczy Evie. – I wiem, że jest ważne też dla ciebie.

– Oczywiście – powiedziała Evie, próbując zrozumieć, o co właściwie Maggie chodzi. – Wszystko w porządku?

Maggie spuściła głowę, a jej policzki zapłonęły.

– Po prostu nie chcę, żebyś mnie zostawiła. Teraz, gdy jesteś księżniczką krwi.

– Zwariowałaś?

– Nie mam nikogo, kto mnie rozumie. W domu... Sevigny jest tak oddalone od reszty świata, że tam nikogo nie obchodzi nic poza granicami Sevigny. Wszyscy śmiali się ze mnie, gdy czytałam historie o księżniczkach. Śmiali się, gdy zdecydowałam się tu przyjść. Mój ojciec, mój własny ojciec zapytał mnie, dlaczego chcę opuszczać nasz mały raj, żeby walczyć w czyjejś bzdurnej wojnie.

– KADETKI, ZOSTAŁA WAM MINUTA!

– Maggie...

– Jestem tam zupełnie sama, Evie. Nie mogę być sama też tutaj. Evie ujęła jej dłoń.

– Tak długo, jak w moich żyłach płynie krew – królewska czy nie – nigdy nie będziesz sama. Obiecuję.

Objęła przyjaciółkę, która uśmiechnęła się leciutko, nieco zmieszana.

– Zobaczymy się na kolacji, dobrze? Zostaw dla nas trochę puddingu.

– Nie – powiedziała Maggie. – Nie... idę z wami.

– Ale dlaczego?

– Bo przysłam tu, żeby być księżniczką, a nie przesiedzieć tu cały dzień, jakbym była lepsza od wszystkich innych.

Jej głos zabrzmiał tak zdecydowanie, że Evie nawet nie próbowała jej od tego odwieść.

– Jesteś pewna?

Maggie ponuro skinęła głową.

– A więc chodźmy.

Maggie zebrała się błyskawicznie i wraz z Demetrą pośpieszyły do wyjścia. Barak opuściły jako ostatnie. Na zewnątrz całe niebo pokryte było szybko przemieszczającymi się kłębamii czarnych chmur, które wydawały się być bliżej ziemi niż zwykle. Akurat w tym momencie układały się w kształt rozwartych szeroko ust, jakby próbowały wykrzyknąć ostrzeżenie. Idąc za innymi kadetkami, dziewczęta obeszły ostatni barak i odkryły źródło tego niesamowitego hałasu. Na samym środku Jasiowej Polany siedziały dwie ogromne ważki, każda tak ogromna, jak cała sala jadalna. Ich potężne przezroczyste skrzydła tłukły powietrze tak szybko, że brzmiało to jak galop tysiąca koni. Do każdej ważki przymocowany był wielki pleciony kosz.

Evie, Maggie i Demetra dołączyły do niebieskich rzędów. Pozostałe kadetki również stały w szeregach zgodnie z kolorem swoich kompanii. Evie poczuła ukłucie dumy, gdy zobaczyła te równe różnokolorowe rzędy. Wielu z tych dziewcząt nigdy nie poznała i pewnie już nigdy nie pozna, ale w pewien sposób wszystkie były siostrami. Siostrami Tarczy, jak to kiedyś określiła sierżant Wróżka, w powozie, który wiele miesięcy temu wiozł je tu z Marburga. Teraz, gdy Wróżka przeleciała raz jeszcze przed ich szeregiem, jej błyszczący pyłek, poruszany wiatrem ze skrzydeł ważek, utworzył za nią poziomy pas światła drgającego na tle pociemniałego nieba. Musiała naprawdę wyteżać głos, by przekrzyknąć huk skrzydeł wielkich owadów.

– Jednym z najczęstszych motywów w opowieściach o księżniczkach jest motyw dziewczyny zagubionej w lesie. Dziś każda z was jest taką dziewczyną.

Evie zadrżała. Ostatnie dwa razy, gdy zagubiła się w lesie, omal nie zabiły jej wiedźmy.

– To ważki gigancie. Zabiorą nas w wyznaczone miejsce.

Szeregi innych kompanii zaczęły się rozsypywać, gdy kadetki – zgięte w pół, by łatwiej stawić czoła sile wywoływanego przez ważki wiatru – zaczęły wsiadać do koszy. Sierżant Wróżka znowu przeleciała przed ich szeregiem, patrząc ostro na każdą swoją kadetkę.

– Wszystkie wielkie księżniczki musiały przejść przez zaklęty las. Każda jedna. Dziś macie szansę do nich dołączyć.

Coś w żołądku Evie zawirowało jak chmury na niebie. Spojrzała na Demetrę i zauważyła, że ociera pot z czoła. Było zimno i wietrznie jak w marcu, ale strach sprawił, że nagle wszystkim zrobiło się gorąco. – Bezradna Niewiasta to zadanie, które polega tylko na jednym – musicie wrócić

do Akademii przed zmrokiem! Wykorzystajcie wiedzę, którą zebraliście w trakcie szkolenia, słuchajcie swojej intuicji albo swojego żołądka. Nie obchodzi mnie jak, ale macie tu wrócić na kolację. Czy to jest jasne?

– Tak, pani sierżant!

Evie ledwie słyszała swój własny głos we wszechogarniającym huku.

– Jedyne, czego wam nie wolno, to pracować razem. To indywidualne zadanie i tak macie je ukończyć. Dla waszego bezpieczeństwa w całym lesie rozmieściliśmy posterunki, na których czuwają nauczyciele. Ale niech was to zbytnio nie uspokaja: to są żywe lasy! Są tam wiedźmy, wilki, nawet pewien dziwny olbrzym. Musicie zaufać temu, czego się tu nauczyłyście!

Kolejny powiew wiatru rozsypał pyłek Wróżki na tle czarnego nieba. Przesuwała się wolno w powietrzu przed swoimi kadetkami, patrząc każdej w oczy.

– Dziś się okaże, kim naprawdę jesteście. Z czego jesteście ulepione. – Już prawie nie mogła mówić, ale nie przerywała. – Dziewczęta... jestem dumna, że mogłam z wami pracować... – Po tych słowach zamilkła i odwróciła się do nich plecami.

Evie i Maggie popatrzyły na siebie, nic nie rozumiejąc. Gdy Wróżka znów się do nich odwróciła, wycierała jeszcze łzę z oka.

– Z czego jesteście ulepione, dziewczęta?

– Z odwagi, współczucia, dobroci i dyscypliny – wykrzyknęły zgodnym chórem.

– Zatem dalej, moje drogie, **POKAŹCIE, JAKIE Z WAS KSIĘŻNICZKI!**

Dziewczęta rzuciły się biegiem w stronę koszy i ważek. Evie spojrzała na ich przezroczyste skrzydła i pomyślała, że te majestatyczne stworzenia o długich, pomarszczonych ogonach i potężnych czarnych ciałach wyglądają jak maczugi olbrzymów. Wdrapała się do jednego z koszy, już wyładowanego księżniczkami, i dopiero wówczas zdała sobie sprawę z tego, że straciła z oczu swoich przyjaciół. Dziewczyna, która stała obok niej, ubrana w czerwień kadetka o sarnich oczach, powitała ją znaczącym skinieniem głowy. Nigdy wcześniej się nie spotkały, ale Evie wiedziała, o co jej chodzi, i odkloniła się jej w ten sam poważny sposób. Ktoś złapał ją za ramię. Bazyl. Kucnął obok niej, zasłaniając uszy rękoma, by nie słyszeć huku skrzydeł. Pokazała mu, żeby stanął przy niej i chwycił się brzegu kosza. Gdy czekali, aż owady się uniosą, Evie przyglądała się twarzom swoich towarzyszek. Jedna z nich patrzyła na nią i uśmiechała się, lekko unosząc jedną brew. Malora.

Najwyraźniej odzyskała swoją pewność siebie. Druga ważka zaczęła się unosić i ponad hukiem skrzydeł rozległy się paniczne piski dochodzące z przyczepionego do niej kosza. Evie patrzyła, mrużąc oczy, bo skrzydła wielkich owadów wzbijały w powietrze kurz i żdźbła traw. Dół kosza ugiął się niebezpiecznie pod ciężarem pasażerek. Evie zacisnęła zęby, pewna, że kosz zaraz się rozpadnie i kadetki rozsypią się po Jasiowej Polanie. Unosił się jednak coraz wyżej, aż zniknął za gładkim, czarnym ciałem ważki, która miała za chwilę unieść ich kosz.

Nagle ziemia uciekła im spod stóp, bo i one zaczęły się wznosić. Evie poczuła, że serce podchodzi jej do gardła i kurczowo złapała się brzegu kosza. Kadetki piszczały, przewracając się w kierunku środka. Wznosiły się coraz wyżej, coraz bardziej oddalając się od wysokich, sterczących iglic Akademii, wspaniałych wież i imponujących murów. Kosmyki lodowatych chmur zaczęły ślizgać się po ciele ważki, która sunęła nad równiną, nad murem, wreszcie nad morzem drzew. Niekończące się wzgórza i doliny Dortchen Wild wydawały się nie do przebycia. Evie odwróciła twarz od szczypiącego chłodem wiatru dokładnie w porę, by zobaczyć jeszcze słaby zarys Wieży Królowej znikający za ścianą sosen o chłodnym odcieniu zieleni. Podczas całego lotu ponad lasem nikt się nie odezwał. Evie obserwowała kłębiące się nad nimi chmury, zerkając jednak co chwila na niekończące się fale zieleni poniżej. Od czasu do czasu patrzyła też na inne kadetki. Niektóre twarze znała, bo należały albo do dziewcząt z jej kompanii, albo do kadetek, które zapamiętała z sali jadalnej lub z innego miejsca w kampusie. Ale były też takie, których nigdy nie widziała. Wszystkie miały ściągnięte usta, a na ich twarzach malowało się głębokie skupienie i strach przed czekającym je zadaniem. Wreszcie, po całej wieczności spędzonej w powietrzu, ważki zaczęły obniżać lot, muskając baldachim sosnowych szczytów, aż wylądowały na wilgotnej polanie pełnej martwych pni. Kosze z łoskotem uderzyły o ziemię. Dziewczęta wychodziły z nich jedna za drugą i zgięte w pół uciekały przed ogłuszającym hukem skrzydeł. Evie pobiegła za Bazylem, który znalazł Maggie i Demetrę. Obie wyglądały na przerażone.

– KSIEŻNICZKI TARCZY! – zawołała sierżant Wróżka. Już prawie nie mogła mówić, ale nadal było ją słychać. – RUSZAJCIE!

Dwa olbrzymie owady zaczęły się wznosić, zabierając dowódców kompanii z powrotem do Akademii. Gdy zniknęły ponad drzewami, zapadła przytłaczająca cisza. Od tej chwili kadetki były naprawdę same, zagubione

w lesie, z którego musiały się wydostać przed zapadnięciem zmroku. Zaczęły rozdzielać się i znikać pomiędzy drzewami. Evie i jej przyjaciele długo patrzyli na siebie nawzajem, odkładając moment koniecznego rozstania. W końcu jednak także oni musieli ruszyć, każde swoją drogą.

– Wszystkie jesteście księżniczkami – powiedziała Evie. – Wszystkie. – Skrzywiła się lekko, patrząc na Bazyla, który uniósł rękę, żeby jej przerwać.

– W porządku – powiedział. – Jestem księżniczką.

Evie uśmiechnęła się.

– Wiem, że damy radę. Pamiętajcie tylko: do odważnych świat należy. Do zobaczenia w Akademii.

Maggie pokiwała głową i zniknęła wśród drzew. Po niej kolejno Bazyl i Demetra. Evie została sama na polanie i patrzyła, jak w mrocznej zieleni znikają ostatnie błyski ich kolorowych strojów. Zamknęła szmaragdowe oczy i stała tak jeszcze chwilę, owiewana lodowatym wiatrem, uspokajając oddech. Gdy znów uniosła powieki, wiedziała dokładnie, w którą stronę iść. Ruszyła poprzez moczary i brodziła w nich dłuższą chwilę, aż wreszcie wyszła na twardy suchy ląd. Dopiero wówczas poczuła zmęczenie w nogach. Wzięła głęboki oddech i wkroczyła pomiędzy cienie drzew. Tutaj powietrze wydawało się być zimniejsze i bardziej rozrzedzone. Poczowała przyptyw klaustrofobicznego lęku. pomiędzy drzewami wiatr zmienił się w drżący szept liści i igieł. Poza tym wokół panowała nienaturalna cisza. Evie szła, cały czas obserwując horyzont, szukając w cieniach popękanych czerwonych pniaków jakiegokolwiek oznaki życia. W ten sposób, w nieznośnym napięciu, które zwiększało się jeszcze za każdym razem, gdy wiatr silniej zawiął w koronach drzew, minęła jej pierwsza godzina. Teren nie był łatwy – wznosił się i opadał stromo, poprzecinany strumieniami i skalistymi usypiskami. Drzewa jęczały przeciągle pod naporem wiatru, ale żadne jak dotąd jej nie zaatakowało. Minęła kolejna godzina. Świat wokół niej nadal był pogrążony w niepokojącej ciszy. Starła się pozostać czujna, uważać na każdy kolejny krok, ale niekończące się filary drzew powoli wprawiały ją w stan podobny do hipnotycznego transu. Zatrzymała się przed masą zwalonych drzew i gałęzi i zdała sobie sprawę z tego, że przez jakiś czas szła kompletnie bezmyślnie. *Nie jestem bezpieczna, dopóki nie przekroczę granic Akademii – przypomniała sobie. – Jeśli nie wyjdę z lasu przed zmrokiem...*

W oddali usłyszała jakiś trzask. Złamaną gałązkę. Odwróciła się i wbiła wzrok we mgłę unoszącą się nisko nad ściółką. Nic nie widziała, ale przez pół

minuty stała bez ruchu. Potem jeszcze trochę. Nic się nie poruszyło, nie spadł żaden liść. Evie miała jednak nieodparte nieprzyjemne wrażenie, że coś tam jest.

Kap, kap, kap... Krople deszczu zaczęły uderzać w baldachim liści. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wyraźnie jej szafirowa sukienka odbija się od ponurej szarości deszczowego lasu.

Znowu trzasnęła gałązka. Za nią kolejne – rozległ się taki trzask, jakby ktoś złamał na raz dwadzieścia grubych konarów. Kątem oka Evie zauważyła jakiś ruch – krótkie mignięcie, coś czarnego i zwiewnego. Zaczęła biec. Biegając, przeskoczyła przez potężny korzeń drzewa. Zauważyła jednak, że tym razem jej ucieczka była co prawda pośpieszna, ale nie paniczna.

Nie jestem już tą osobą, którą byłam kiedyś.

Nagle w lesie rozległ się mrozący krew w żyłach rechot wiedźmy. Odbijał się od wzgórz, drzew i skał, aż Evie nie była już w stanie stwierdzić, skąd dochodzi. Przedarła się przez krzaki jeżyn i pognała w górę wzgórza gęsto porośniętego modrzewiem. Im wyżej była, tym wolniej się poruszała. *Dalej, dalej!* – poganiała sama siebie w myślach. Gdy wreszcie dotarła na szczyt, zobaczyła nikły skrawek błękitu pomiędzy drzewami. Schowała się za sosnę i ostrożnie wpatrywała w mroczną zieleń lasu.

Nagle zauważyła Maggie, która uniosła do góry dwa palce i wskazała na drzewa w dwóch miejscach. Byli tam Bazyl i Demetra. Każde z nich z miejsca, gdzie stali, mogło obserwować inną część wzgórza. Bazyl wskazał na swoje oczy, a później na konkretne punkty wśród modrzewi. *Jest tam* – pomyślała Evie i zadrżała.

Wzięła kilka głębokich oddechów i rzuciła się w kierunku omszałego pniaka, za którym mogła się lepiej ukryć. Paprocie chłostały jej nogi, ale udało jej się przeskoczyć przez pniak i schować za nim. Chwilę później dołączyli do niej Demetra i Bazyl.

– Jest jakieś dwieście metrów stąd – wyszeptał Bazyl.

– Też ją widziałam – potwierdziła Demetra.

– Co robimy?

– Niech pomyślę... – zaczęła Evie.

Nagle powietrze przeciął ostry, szeleszczący dźwięk.

– UWAŻAJ! – Demetra rzuciła Evie na ziemię. Strumień wirującej magii rozprysnął się na pniu. Część trafiła Demetrę, która wydała z siebie przesywający krzyk i upadła. Całe jej ciało drżało.

– Demetra! – krzyknął Bazyl.

Natychmiast pojawiła się przy nich Maggie. W jej oczach widać było przerażenie.

– Dalej, zabierzmy ją stąd! – Maggie chwyciła Demetrę za ramiona, a Bazyl za rękę. Przeciągnęli ją pomiędzy drzewami za ogromny czarny głaz, który sterczał wysoko w górę. Evie wolno posuwała się za nimi, uważnie obserwując okolice. Położyli Demetrę u podnóża kamienia. Miała otwarte, przerażone oczy, jakby wpatrywała się w coś okropnego.

– Och, Demetra... – jęknęła Evie.

– Gdzie są nauczyciele? Takie coś nie powinno się wydarzyć! – zauważył Bazyl.

Maggie rozdarła szwy sukni Demetry tuż przy miejscu, w które została trafiona. Na jej skórze malowały się jasnoniebieskie plamy, na brzegach przechodzące w szarość.

– To klątwa zamrażająca – powiedziała Maggie. Evie i Bazyl spojrzeli na nią zmieszani. – Czytałam trochę materiałów z drugiego roku.

– Podaj mi gałąź. Nie pozwolę jej tu zamarznąć na śmierć – powiedział Bazyl. On i Evie sklecieli naprędce proste nosze z gałęzi i pędów. Maggie w tym czasie obserwowała cień wiedźmy. Gdy załadowali Demetrę na nosze, Bazyl złapał za przód, a Maggie za tył.

– Powodzenia – powiedziała Evie.

– Co masz na myśli? Nie możesz przecież...

– Nigdy nam się nie uda, jeśli będzie ścigać nas wszystkich. Dam sobie radę.

Maggie wolno potrząsnęła głową. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

– Chodź, musimy iść! – odezwał się Bazyl.

– Bądź ostrożna – powiedziała jeszcze Maggie.

Evie pokiwała głową. Chwilę potem jej przyjaciele zniknęli wśród drzew. Gdy została sama, rozejrzała się, by ocenić otoczenie i swoje możliwości. Wiedźma nie dawała znaku życia. Mogła nadal się gdzieś czaić albo pójść za jej przyjaciółmi, co byłoby straszne. Nie było tu żadnego miejsca, gdzie można by się dobrze ukryć, jedynie stary, niekończący się las. Potrzebowała czegoś, co dałoby jej jakąkolwiek przewagę. Znów rozległ się demoniczny śmiech i wszystkie możliwości nagle zredukowały się do jednej: do ucieczki.

Nad nią wznosił się wielki czarny głaz o poszarpanych brzegach. Wspięła

się na niego, wykorzystując techniki, których nauczyła ją smocza rodzina, i szybko znalazła się na szczycie. Widok, który się stąd rozpościerał, nie był tak rozległy, jak się spodziewała, ale w niedalekiej odległości dostrzegła coś wśród bladozielonych sterczących szczytów drzew. Coś, co z miejsca napełniło ją nadzieją i mrozącym krew w żyłach strachem. Coś, co nie powinno się znajdować w samym sercu lasu, a jednak od wieków tu było i czekało na ten moment. Krusząca się ze starości wieża.



Granitowa wieża wyrastała z błotnistego pagórka. Była szeroka, ośmiokątna i porośnięta bluszczem o liściach postrzępionych na kształt gwiazdy. Dobrych dwadzieścia pięć metrów nad ziemią jej ściany wieńczyły bardzo zniszczone blanki. U jej podnóża, obok zarośniętych mchem dołów, leżały porozrzucone duże odłamki kamienia. Poskręcane, liściaste pędy bluszczu wypełniały szczeliny w murze. Las stopniowo odbierał to, co zbudował człowiek. Pomiędzy drzewami słychać było świst kolejnej rzuconej kłuty. Evie zrobiła unik i przeturlała się za jeden z roztrzaskanych kamieni. Tuż za nią czarna kłuta uderzyła o ziemię, rozbryzgując się na boki. Evie rzuciła się biegiem do wejścia na wieżę, przeskakując po trzy schody. Powietrze wewnątrz było duszne od stęchlizny. Gdy stanęła na szczycie, rozejrzała się wokół w słabym świetle dnia, szukając miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Pędy bluszczu zwieszały się przez blanki do środka jak ogromne pajęczne nogi. Cały róg dachu odpadł, pozostawiając ziejącą dziurę w miejscu, w które wbiła się wyrosła obok wieży sosna. Wokół wałały się porozrzucone wielkie granitowe bloki, zielone od mchu i porostów. Wszystko tu wyglądało, jakby w każdej chwili mogło się rozsypać.

Zauważyła dziurę w miejscu, gdzie część ściany, rozpadając się, utworzyła łuk i rzuciła się w tamtym kierunku. Ale zanim zdołała wczłgać się do kryjówki, usłyszała za sobą miękki i spokojny głos.

– Witaj, Nicolino.

Odwróciła się i zobaczyła hrabinę Hardcastle stojącą u szczytu schodów.

– Matko! Musimy się ukryć. Tam jest wiedźma...

– Ta wieża to wszystko, co pozostało po zamku Pinewall – powiedziała Hardcastle i utkwiała wzrok w lesie, który powoli zatapiał się w gęstej mgle. – Zamek, baszty... wszystko zniknęło, zwrócone ziemi. – Matko...

– Niegdyś potężne królestwo, dziś sterta gruzu.

Evie stała bez ruchu i wpatrywała się w matkę, która wypielęgowaną dłonią gładziła rozsypujące się blanki.

– Tak zmieniają się miejsca zajęte przez wiedźmy. Pięknieją, nie uważasz? Takie spokojne... ciche... martwe...

Ty też nie jesteś tym, kim zdawałaś się być.

– Nauczyciele z Akademii trzymają warty w lesie.

– Naprawdę? A może tą częścią lasu obiecała zająć się zaufana przyjaciółka księżniczki Beatrycze, od lat wspierająca Akademię?

Serce Evie zaczęło bić jak oszalałe. Nie miała szansy na żadną pomoc. Omiotła wzrokiem szczyt wieży w poszukiwaniu ratunku.

– Muszę przyznać, Nicolino, że nie spodziewałam się tego. Zaoferowałam ci ziemię, tytuł szlachecki, rodzinę, tyle złota, ile mogłabyś zapragnąć. A ty rzuciłaś mi to wszystko w twarz. Tak łatwo mogliśmy uniknąć tej przykrej sytuacji.

– Mam na imię Evie.

Hardcastle przyglądała jej się chwilę z niedowierzaniem.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, kim jesteś. Wygląda na to, że mam szczególny dar, bo klątwa zapomnienia ukryta w cieście, które wtedy dla ciebie upiekłam, była moją pierwszą tego rodzaju klątwą.

Wiatr powiał silniej, rzucając w nie krople deszczu, kłujące jak lodowe strzały.

– Jak ci się udało przeżyć? Widziałam, że oboje zjedliście to ciasto. Specjalnie posłałam was na najbardziej uczęszczane tereny łowieckie, gdzie twój ojciec zginął dokładnie tak, jak to zaplanowałam. A ty... jakoś przeżyłaś.

– *Dlaczego?* – zapytała Evie, czując, że wzbierają w niej i mdłości, i panika. Było to to samo wrażenie ucisku w żołądku, które poczuła, stojąc wtedy na tarasie w posiadłości Callahanów, gdy dowiedziała się prawdy o swojej rodzinie. Teraz jednak ta prawda znowu rozpadała się na kawałki.

– Ze względu na Malorę. Musiała mieć królewską krew, by zostać przyjęta do Akademii. Twoją królewską krew. Evie zamrugnęła, by strząsnąć z rzęs

krople deszczu. Próbowwała zrozumieć to, co właśnie usłyszała.

– Król Callahan był... moim ojcem?

Hardcastle zrobiła kilka kroków w jej stronę i pochyliła się lekko w jej kierunku, jak wąż czający się na ofiarę. Zmieniła się. Jej gładkie, ostre rysy twarzy, jej subtelny uśmiech, w którym kryło się tyle tajemnic, wszystko nagle zwiotczało. Wyglądała na zmęczoną, jakby również w jej ciele rozpoczął się proces rozkładu.

– I wszystko, co tak dokładnie zaplanowałam, okazało się kompletnie bez znaczenia, gdy królowa zdecydowała się odrzucić wielowiekową tradycję i pozwolić na przyjmowanie do Akademii nisko urodzonych.

– Malora jest twoją córką. Poślubiłaś mojego ojca, żeby podmienić ją za mnie. Jako córkę króla. Tylko w ten sposób mogła się dostać do Akademii...

– Matko... – Na szczycie schodów stanęła Malora. Jej ciemnoszare oczy patrzyły ostro i gniewnie. – Co tutaj się dzieje?

– Malora! Co ty tu robisz?

– Nie wiem... Coś mi kazało tu przyjść... – Jej piękne rysy zastygły z przerażenia. – O co chodzi?

– Ona jest wiedźmą...

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzasnęła Hardcastle. Jej blada skóra pokryła się szarymi plamami, odsłaniając jeszcze więcej potworności, które czaiły się pod idealną fasadą. Evie ukryła się za kamieniem. Ostrożnie zza niego wyjrzała.

– O czym ona mówi? – jęknęła Malora. – Matko, dlaczego ona to powiedziała?

Evie uświadomiła sobie, że Malora naprawdę nic nie wie. *Nie wie, kim jest.*

– POWIEDZ MI, CO SIĘ TU DZIEJE!

– Malora, proszę...

– JESTEŚ WIEDŹMĄ?

– Oczywiście, że jestem. Podobnie jak ty!

Malora wydała z siebie żalostny jęk, który odbił się echem po całej okolicy, jak ostatni skowyt porzuconego, umierającego psa. – To miał być nasz rok, kochanie! Nasze wspaniałe plany miały wreszcie się spełnić... ale pojawiła się ona. I nawet moje wilki nie zdołały jej zabić.

Evie chwyciła łuskę smoka tak mocno, że zbieleły jej kostki. A więc

to Hardcastle, nie Malora, próbowała zabić tamtej nocy ją i Remingtona. Jedyną winą Malory było jej złe urodzenie.

– Siostry... Calivigne... My wszystkie obserwujemy cię od dnia, kiedy wyraczkowałeś z kotła. Nie rozumiesz? Jesteś naszą wielką nadzieją! To było w tobie przez cały czas, czekało na odpowiednią chwilę!

Malora zatoczyła się, jakby ktoś ją śmiertelnie zranił. Nie mogła złapać tchu, a jej skóra stała się trupio biała.

– Szkolili cię na orędowniczkę miłości, ale będziesz ostateczną orędowniczką strachu! Bohaterka o sercu czarnym jak noc! Księżniczka Wiedźma!

Cierpienie Malory było tak wyraźne i straszliwe, że Evie poczuła, jak serce ściska się jej na ten widok. Nic z tego, co się wydarzyło – ani walka z Anisette, ani zniszczenie jej sukni, ani tym bardziej atak wilków – nie wydarzyło się z winy Malory. Malora była wiedźmą, którą oszukano, każąc jej wierzyć, że będzie księżniczką, przez co nigdy nie czuła się dobrze w swojej skórze. Tam, gdzie – jak wiedziała – powinna odczuwać dobro i współczucie, znajdowała tylko złość i zamęt. Nieszczęsna młoda wiedźma wyrwała się teraz z objęć matki i zatoczyła na skraj wieży. Evie, widząc, co się dzieje, wyskoczyła ze swojej kryjówki. Uderzyła łokciem Hardcastle, przewracając ją na stertę kamieni, po czym rzuciła się do przodu, chwytając ramię Malory, która właśnie zniknęła po drugiej stronie muru. Poczowała silne szarpnięcie, ale zdołała utrzymać ciężar siostry. Próbowała ją dosięgnąć drugą ręką, ale musiała trzymać się muru, inaczej spadłyby obie. Deszcz padał nieustannie. Evie wiedziała, że jeszcze chwila i Malora runie w przepaść.

– Proszę... puść mnie... – wyszeptała do Evie. Zwisiała bezwładnie, a jej oczy były kompletnie puste: nie było w nich ani woli walki, ani życia, ani nadziei. Przypominała pustą skorupkę orzecha.

– Malora, posłuchaj... Wiem, co czujesz. Całe moje życie wierzyłam, że jestem kimś, kim nie jestem. Nigdy nie czułam się dość dobra. Nigdy nie rozumiałam dlaczego. Wiem, co czujesz, bo zrobiła mi to samo, co tobie.

Delikatna ręka Malory wysuwała się z uścisku Evie. Teraz Evie obejmowała jej nadgarstek.

– To niesprawiedliwe – załkała Malora.

Evie sięgnęła po pęd winorośli wyrastający ze szpary w murze. Wyszarpnęła go i rzuciła Malorze.

– Chwyć się tego! ZŁAP TO!

Nagle jej dłoń stała się pusta. Ale spadając, Malora zdołała jeszcze pochwycić winorośl. Uderzyła o mur. Wreszcie zawisła, kołysząc się mocno na boki. Delikatny pęd winorośli przewieszony przez blanki tarł o kamień.

– Trzymaj się! – krzyknęła Evie i zaczęła ciągnąć winorośl w górę, ostrożnie, bojąc się, że pęknie. Kątem oka zauważyła ruch. Spojrzała za siebie... i zobaczyła wiedźmę. To była Hardcastle, ale z jej chłodnej elegancji nic nie zostało. Ostre kości obciążone były cienką warstwą bladej, pokrytej pęcherzykami skóry. Miała żółte, przekrwione oczy, a przed nią, na wysokości piersi, unosiła się chmura czarnego dymu.

– Jeśli mnie zabijesz, zabijesz też ją – powiedziała Evie.

– Mam rozkazy. Calivigne podejrzewa, że możesz być Waleczną Księżniczką. Musisz umrzeć.

Evie spojrzała na Malorę, wiszącą w dole jak mucha złapana w pajęczą sieć. Serce ścisnęło jej się na ten widok. Dziewczyna była jej wrogiem, ale była też siostrą. Oczy Evie wypełniły się łzami. Nie było jej żal siebie, ale tego, co się stanie z tą dziewczyną, gdy ona zginie – co stanie się z jej samotną i rozdartą od środka siostrą.

– Więc rób, co musisz zrobić. Nie puszczę jej.

Kościste ramiona Hardcastle, naznaczone wyraźnymi żyłami, uniosły się w górę. Usta rozchyliły się w złowieszczym uśmiechu, gdy czarna magia zaczęła pienić się i wirować przed nią. Z czarnej chmury nagle wystrzeliła kłątwa, która z ogłuszającym świstem przecięła powietrze... Ale nic się nie wydarzyło. Evie otworzyła oczy i zobaczyła, że czarne języki zaklęcia rozbijają się o niewidzialny mur, który wyrósł nagle pomiędzy nimi. *Jakbym miała ochronną tarczę... nie tylko ja – otacza też Malorę. To współczucie.* – Nie dam ci jej więcej skrzywdzić! – krzyknęła do wiedźmy. W nagłym przypływie siły zaczęła wciągać Malorę na górę, aż ponad murem ukazała się jej dłoń. Sfrustrowana Hardcastle wydała z siebie okrzyk wściekłości, gdy kolejny strumień jej czarnej magii rozbił się bezskutecznie o podłogę.

– Jak śmiesz wykorzystywać przeciwko mnie moją własną córkę! Evie wciągnęła Malorę na dach i obie ciężko oparły się o mur. Evie odsłoniła z twarzy Malory jej długie czarne włosy.

– Malora...

– Nie dotykaj mnie!

Odepchnęła Evie, po czym zerwała się i rzuciła w kierunku schodów, którymi zbiegła z wieży.

– No proszę, proszę... – powiedziała Hardcastle – a więc znalazłaś w sobie współczucie? Nieważne. Nadal jesteś tym samym tchórzem, którym byłaś jako dziecko...

Zamilkła, bo z głębi lasu doszło ich przeciągłe skrzypienie, a zaraz po nim trzask łamiącego się drewna. Prastare drzewa padały na ziemię z głuchym hukim, a każde uderzenie brzmiało głośniejsz i bliżej. Evie zdołała skryć się za kamiennym blokiem akurat w momencie, kiedy ogromna, ostro zakończona sosna uderzyła w wieżę. Hardcastle upadła. Evie przywarła silnie do kamienia, bojąc się, że to uderzenie mogło ostatecznie zachwiać konstrukcją wieży. Gdy sosna upadła na ziemię, pomiędzy koronami stojących jeszcze drzew Evie zauważyła coś jeszcze – białozieloną głowę smoka.

– Ojczy...

Żył. Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz go widziała. Jednak żył. Hardcastle podniosła się i stała bez ruchu. Jej żółte oczy patrzyły to na smoczą głowę unoszącą się teraz nad blankami wieży, to na Evie, która wyszła ze swej kryjówki.

– Ojczy... – Zrobiła krok ku niemu. – Przecież ty... nie żyjesz...

– Jak mogę ci wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło? – zaryczał smok.

– Co zrobiłem... – Deszcz spływał mu po łuskach, ale jego zachrypnięty głos dudnił z całą mocą. – Tak, tamtego dnia zabiłem króla, ale chciałem jedynie chronić swoją córkę przed jego mieczem. Tak jak on próbował uchronić ciebie przede mną. Kolana Evie drżały. Powoli zbliżała się do muru. To był bez wątpienia jej ojciec. Coś jednak było nie tak, jak powinno. *Nieważne* – pomyślała. – *Nieważne. On tu jest, a myślałam, że nigdy go już nie zobaczę.*

– Gdy twoja siostra przyniosła cię do jaskini... nigdy w życiu nie czułem się tak winny. Przysiągłem twojemu ojcu, człowiekowi, który kochał swoją córkę tak bardzo, jak ja swoją, że zaopiekuję się tobą najlepiej, jak potrafię.

Idź do niego – pomyślała, a jednak nie ruszyła się. – *Idź do swojego ojca.*

Jej dłonie zaczęły drżeć. Umysł i serce wiedziały, co chce zrobić, ale tajemniczy instynkt nadal jej na to nie pozwalał.

– Chodź, córko. Wróc ze mną do domu.

Nagle w jej głowie zabrzmiał ciepły głos księżniczki Hazelbranch wydobywający się gdzieś z ukrytych zakątków pamięci. Usłyszała jej słowa: „Lustra pokazują to, czego nie widzą oczy. Lustra pokazują prawdę”. Evie wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła stamtąd lustro, które dostała

od Rumpelszwacza. Otworzyła je i drżącymi palcami skierowała w stronę swojego ojca... Nie było go tam. Nie było też kamiennej posadzki, po której mogłaby do niego podejść. Zaczęła szlochać. Dotarła do niej okropna prawda o rzekomym powrocie jej ojca. To tylko sztuczka wiedźmy. Gdyby zrobiła jeszcze jeden krok, runęłaby w przepaść.

– Wybacz mi, ojcze... Wiem, że nie jesteś prawdziwy, ale wierzę, że twoje słowa są.

Spojrzał na nią miękko. W jego oczach zobaczyła smutek i miłość. Trwało to tylko chwilę. Zaraz potem rozplynął się na zachmurzonym niebie jak wulkaniczny pył.

– Czegoś się jednak nauczyłaś – powiedziała Hardcastle swoim jedwabistym głosem. Evie odwróciła się i zobaczyła, jak wiedźma unosi się ponad kamienną posadzką, mając przed sobą kłęby czarnego dymu.

– Ale kadetka to jeszcze nie księżniczka. A kadet to nie rycerz. Evie cofnęła się i oparła o mur, czując obezwładniającą panikę.

Wpatrywała się w łopoczące języki czarnej magii unoszące się przed Hardcastle. Bez Malory, na której mogłaby skupić swoją uwagę, strach przepędził z niej współczucie i panoszył się teraz jak chwasty w zaniedbanym ogrodzie. Nie miała nic, co mogłoby ją ochronić, nie mogła odnaleźć w sobie żadnej odwagi – była w niej tylko paraliżująca świadomość, że zaraz umrze.

– Evie!

To był Remington. Wbiegł na szczyt wieży, trzymając w dłoni nagi miecz. *Przyszedł mnie uratować* – pomyślała. Ale chwilę potem stanęła jej przed oczami przerażająca wizja, którą zobaczyła we krwi smoka. Sypiąca się wieża. Deszcz. Wiedźma unosząca się nad ziemią. Cierpienie na jego twarzy, gdy zmieniał się w kamień...

– ODEJDŹ STĄD! ODEJDŹ! – krzyknęła. Ale on już nacierał z uniesionym mieczem na Hardcastle. Powietrze rozdarło się z potwornym trzaskiem, gdy czarny płomień płynnej magii uderzył go w pierś.

– NIE!

Kaftan kadeta stopił się w miejscu trafienia. Twarz zastygła w niemym krzyku. Każdy mięsień ciała zwarł się i znieruchomiał. Szara plama na piersi stawała się coraz większa.

– REMINGTON!

– Gdy skończę z nim, wyjmę ci serce – powiedziała Hardcastle z grymasem uśmiechu.

Nagle z przesiąkniętego wilgocią lasu dał się słyszeć upiorny śmiech. Hardcastle wstrzymała atak, Remington upadł. Śmiech się powtórzył – pełen udreki, cierpienia i złości.

– Kto tam jest? – zawołała Hardcastle.

I zaraz ją ujrzeli – potworną postać unoszącą się delikatnie ponad blankami – Malorę, a raczej makabryczną wersję tego, czym kiedyś była. Jej oczy lśniły żółtym blaskiem. Nieskazitelna wcześniej skóra była teraz wysuszona i naciągnięta ciasno na czaszkę, a lśniące czarne włosy łopotały na wietrze niczym skrzydła kruka.

– Moja kochana... jesteś piękna! – zawołała Hardcastle.

Malora utkwiała w swojej przyrodniej siostrze oczy koloru krwawej żółci, jak zapłodnione żółtko jajka. Ten wzrok przewiercał na wskroś. Evie poczuła, że zaraz zadławi się strachem.

– To właśnie było w tobie cały czas! – Zachwycała się Hardcastle.

– To twoje przeznaczenie! Malora nadal milczała. Jej usta rozszerzyły się w uśmiechu tak przerażającym, że Evie upadła na kolana.

– Dalej, moja najdroższa córko. Niech to będą twoje pierwsze ofiary.

Silny powiew wiatru sprawił, że strzępy niebieskiej sukni kompanii Ironbone przywarły do ciała Malory. Przed jej piersią zaczął kłębić się i burzyć czarny dym. Rozpostarła ramiona, jakby wzywając do posłuszeństwa chmury, i wypuściła z siebie magię najczystszej zła. Uderzyła w pierś Hardcastle, która przeleciała przez całą szerokość wieży i zatrzymała się dopiero na blankach po drugiej stronie. Evie podniosła na Malorę zdumione oczy.

– Ten jeden raz ci pomagam – powiedziała wiedźma. – Bo ty pomogłaś mi.

Dotknęła stopami kamiennej posadzki i podeszła do leżącego bez ruchu Remingtona. Uklękła przy nim, przyglądając się cierpieniu na jego twarzy. Jej usta zaczęły drżeć.

– Miałeś być mój...

Rzuciła Evie spojrzenie pełne złości i bólu.

– *On miał być mój!*

Delikatnie pogłaskała go po policzku kościstymi palcami. Potem, w miazdzącym poczuciu, że życie, jakie znała dotychczas, właśnie na zawsze się dla niej skończyło, podniosła się i spokojnie zbliżyła do muru. Evie podbiegła do Remingtona. Przycisnęła palec do jego szyi i poczuła, że nadal pulsuje w nim życie. *Nadal żyje... On nadal żyje...*

– Dziękuję – powiedziała do Malory. – Dziękuję ci.

Malora wspięła się na blanki. Było w niej wszystko – wściekłość i nienawiść, współczucie i miłość. I nadal była piękna, nawet w tym cierpieniu. Nawet jako wiedźma.

– Sprawiała, że o tym zapomniałam, ale teraz sobie przypominam. Nie byłam chora tamtego dnia, w twoje urodziny, i bardzo chciałam iść z tobą na piknik. Nie pozwoliła mi. Zamknęła mnie w pokoju. Siedziałam w łóżku i płakałam.

Siostry patrzyły na siebie przez chwilę i żadna nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie Malora zniknęła za murem, w pustce zaczarowanego lasu. Evie odwróciła się do Hardcastle, świdrującą ją złymi, żółtymi oczami. Kobieta, o której myślała, że jest jej matką, wyglądała teraz na istotę godną pożałowania. Tamtej nocy, dawno temu, gdy Evie opuściła jaskinię, nie wiedziała nic o świecie. Teraz, na szczycie rozsypującej się wieży, wreszcie zrozumiała istotę wiedźmy. Wiedźma to nieobecność tego wszystkiego, co sprawia, że księżniczka jest kimś wyjątkowym. Wiedźma mogła wywołać w człowieku obezwładniający strach samym spojrzeniem, mogła zebrać najczarniejszą magię, mogła nawet zmienić żyjące ciało niewinnego człowieka w kamień, ale nigdy nie byłaby w stanie poczuć tego, co Evie czuła w sobie teraz. Odwagi. Rozbłyśki światła zaczęły pulsować przed piersią Evie tak jak wówczas, gdy łuska jej ojca zatoneła w kotle czarownic. Patrzyła na Hardcastle z nieskazitelną szlachetnością w oczach i nagle odkryła, że nie jest już sama na czarnej wieży. Stała na rozległej, skąpanej w słońcu łące pełnej maleńkich żółtych kwiatków. W rześkim, krystalicznie czystym powietrzu zmaterializowała się przed nią kobieta w nieziemskiej, fioletowej sukni, z lilią we włosach. Ta sama księżniczka, którą Evie zobaczyła w swojej pierwszej wizji wywołanej przez smoczą krew.

– Nie jesteś sama – powiedziała.

– Kim jesteś?

– Jestem księżniczka Middlemiss. I zawsze jestem z tobą. Wszystkie zawsze jesteśmy z tobą.

Powietrze za nią rozbłyśło i nagle pojawiło się ich dziesiątki – księżniczek w każdym wieku, każdej postury, o każdym kolorze skóry. Zobaczyła kobietę o czarnych włosach i intensywnie błękitnych oczach i od razu wiedziała, że to Śnieżka. Także inne rozpoznawała z książek Volfa: Blackstone, Różyczkę, Chambéry... Wielkie księżniczki przeszłości i teraźniejszości, wszystkie stały

teraz przed nią.

– Dopóki masz w sercu dobro, nigdy nie jesteś sama.

Evie odwróciła się do Hardcastle. Szary deszcz znowu zaczął padać. Wiedźma unosiła się w powietrzu. Miała upiornie wywrócone gałki oczne, a jej ramiona i nogi wyciągały się groteskowo. Podarty płaszcz łopotał na wietrze, a na wysokości piersi kotłowała się czarna magia. Evie miała przed sobą uosobienie najgorszego koszmaru, jedną z najgorszych wiedźm, członkinię Rady Sióstr Calivigne. Nie cofnęła się jednak.

– Nie boję się – powiedziała, nawet na chwilę nie spuszczać oczu z wiedźmy.

Powietrze między nimi eksplodowało i w kierunku Evie trysnął strumień czarnej magii, ale lśniąca pasma odwagi wystrzeliły, by ją zatrzymać. Choć magia wiedźmy nadal nacierała na magię księżniczki, Evie wiedziała już, że żadne zło nie jest w stanie jej dotknąć.

– Przysięgam na imię mojej siostry Calivigne, że nie wyjdiesz stąd żywa!

Odwaga Evie pulsowała przed nią jak słońce.

– Nie boję się!

W oczach Hardcastle zapaliło się coś białego. Strach. Gdy tylko Evie go spostrzegła, już wiedziała, że zwyciężyła. Z oddali dobiegł ich odgłos kopyt w błocie i okrzyki, które choć nadal były daleko, szybko się przybliżały.

– Tutaj, na wieży! – ktoś zawołał.

Magia Hardcastle ustała. Jej twarz zastygła w niemym wyrazie wściekłości.

– Odpowiesz jeszcze za to przed Calivigne! Nie będzie żadnej Walecznej Księżniczki! Siostry zwyciężą!

Z wściekłym charkotem wiedźma zeskoczyła z wieży i poszybowała we mgle.

Evie usłyszała czyjś jęk.

– Remington! – Podbiegła do niego, uniosła lekko i położyła jego głowę na swoich kolanach.

– Nie ma jej. Wiedźmy już nie ma.

Skrzywił się z bólu, ale zmusił się do uśmiechu.

– A więc znowu cię uratowałem.



Evie poczuła, że czyjaś stopa wbija jej się w szyję, naciągając skórę i napierając na ramię. Nie czuła jednak bólu. Zbyt była skoncentrowana na tym, aby wygrać. Zebrała wszystkie siły i jeszcze wyżej uniosła kadetki opierające się na jej ramionach.

– Dalej, Ironbone! – krzyknął ktoś w tłumie.

Evie poślizgnęła się, ale utrzymała pozycję. Na jej ramionach opierała się cała piramida dziewcząt. Te, które były najwyżej, starały się dosięgnąć srebrną koronę leżącą na szczycie wąskiej marmurowej kolumny.

– Dalej, dziewczęta! To przecież nie wszystko, na co was stać! – wrzasnęła sierżant Wróżka. Z uśmiechem na ustach okrążała piramidę złożoną z umorusanych błotem kadetek.

– Dziewczyny na dole, co jest z wami? Dalej!

– Prawie ją mam! – krzyknęła z góry Demetra.

– Żadna z was nie zostanie kadetką drugiego roku, jeśli nie zdobędziecie tej korony!

– Wszystkie razem na trzy! – zawołała Maggie.

– Raz... dwa... TRZY!

Evie zamknęła oczy i jeszcze raz spróbowała wyciągnąć się w górę, tak wysoko, jak tylko mogła. Ale jej stopy powoli ześlizgiwały się z pozycji, aż wreszcie przewróciła się w błoto, a wraz z nią reszta dziewcząt. Podniosły się z brunatnej brei, złorzecząc, że teraz będą musiały zaczynać od początku.

– Mam, mam ją! – zawołała triumfalnie Demetra, unosząc w górę dłoń zaciśniętą na ociekającej błotem koronie. Rozległ się triumfalny okrzyk. Umorusane dziewczęta powstały radośnie i zaczęły tańczyć, tupać i wiwatować.

– Gratuluję, dziewczęta! – powiedziała sierżant Wróżka, klaszcząc w ręce.

Kadetki były tak zajęte świętowaniem, że nie zauważyły nawet, jak gęsta powłoka chmur rozsunała się nagle i wystrzeliły zza niej promienie słońca. Później, po gratulacjach i pożegnaniach od nauczycieli, dziewczęta przebrały się w swoje szafirowe suknie i rozpoczęły długi marsz przez kampus w kierunku Wieży Królowej. Kryształowe ściany opierały się na kolumnach połączonych ze sobą arkadowymi łukami. Brama Królewska stała otworem. Dziewczęta przeszły pod kolumnadą, podziwiając płaskorzeźby przedstawiające dziwne, mityczne stwory, i weszły do Sali Tronowej. Jej wnętrze tonęło w promieniach słońca, dostających się tu przez wielkie, zakończone ostrymi łukami okna, a przede wszystkim przez ściany wykonane z częściowo przezroczystego wapienia – czegoś pomiędzy kamieniem a szkłem. Z zewnątrz ściany były nieprzejryste, ale ze środka Evie mogła zobaczyć błękitne niebo rozciągające się we wszystkich kierunkach. Gdy weszły, rozległy się oklaski. To klaskali przyjaciele i członkowie rodzin zebrani w podwójnych galeriach po obu stronach głównej nawy. Każda z galerii miała piętro, wzdłuż którego również biegła kolumnada – tam zebrało się jeszcze więcej ludzi. Kompanie stały w rzędach na marmurowej posadzce, księżniczki po lewej, rycerze po prawej. Kompania Ironbone stała za miedzianymi mundurami kompanii Schlauraffen. Evie, dumna i wyprostowana, zajęła miejsce obok Sage. Ze wszystkich cech, które w sobie rozwinęła, odkąd opuściła smoczą jaskinię, chyba najbardziej ceniła dumę. Gdy tak stała w oczekiwaniu, aż reszta jej kompanii uformuje szyk, zobaczyła Anisette machającą do niej z niższej galerii i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Na podwyższeniu przed nimi siedzieli nauczyciele – na starych, prostych, drewnianych tronach. Były to oryginalne meble z sali tronowej księżniczki Pennyroyal, które przekazała na rzecz Akademii w momencie jej powstania. *To na nich zasiadały wielkie pogromczynie wiedźm* – pomyślała Evie i ta świadomość sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. A teraz zasiadają na nich ich nauczyciele – Hazelbranch, Volf i reszta. Nawet Rumpelszwacz, choć był trollem, został uhonorowany miejscem na podium. Zasiadł na jednym z tronów,

założywszy jedną odzianą w aksamit nogę na drugą. Zauważył Evie i mrugnął do niej. Gdy kapral Liverwort podniosła się i ruszyła w stronę mównicy zdobionej wyrytymi scenami z baśni, szum na sali zaczął cichnąć. Kapral Liverwort rozwinęła przed sobą pergamin i zaczęła czytać szorstkim, nieprzyjemnym głosem:

– Wasza Magnificencjo, księżniczko Beatrycze, szanowni nauczyciele i pracownicy Akademii Pennyroyal, dostojni goście... – Liverwort podniosła na chwilę oczy na Beatrycze, która siedziała dumnie na ogromnym tronie z wiśniowego drewna, po czym wróciła do pergaminu. – Drodzy kadeci, w tym roku osiągnęliście coś, czego wielu nie zdołało. Powinniście być z siebie dumni, tak jak my jesteśmy dumni z was.

Evie przyglądała się Beatrycze. Coś było niepokojącego w jej zachowaniu. Rektorka zdawała się bardziej zainteresowana luźną nitką, którą znalazła na swojej sukni, niż całą ceremonią.

– Czy to nie księżniczka Beatrycze powinna wygłaszać tę mowę? – zapytała szeptem Sage.

Liverwort ciągnęła przemówienie i Evie próbowała nie myśleć więcej o dziwnym zachowaniu rektorki. *Rozumiem, że traktowała Hardcastle jak przyjaciółkę i ufała jej, ale przecież nie może mieć wątpliwości co do wydarzeń na tej wieży...* Rozejrzała się po swoich koleżankach i ponownie próbowała skupić na radosnym aspekcie całego wydarzenia. Jednak zamiast tego pogрузzyła się dalej w ponurych rozmyślaniach. Co by się stało, gdyby Malora nadal z nimi była? Albo co gorsza – gdyby skończyła całą trzyletnią edukację w Akademii i została Księżniczką Wiedźmą? Czy możliwe, że przepowiednia starej wiedźmy odnosiła się do Malory? Czy też Waleczna Księżniczka nadal była wśród nich?

– Na zakończenie chciałam powiedzieć, że z radością powitamy was tutaj w przyszłym roku. Dziękuję. – Zwinęła pergamin i wróciła na swoje miejsce. W całej sali, także na galeriach, ludzie patrzyli na siebie skonsternowani.

– To wszystko? – zdziwiła się Sage. W tym momencie w sali dał się słyszeć silny głos sierżant Wróżki.

– DOBRA ROBOTA, KADECI I KADETKI! TERAZ CZAS NA WIZYTĘ W DOMU I ODPOCZYNEK. ZBIERAJCIE SIŁY NA NOWY ROK!

Jeden z rycerzy wydał radosny okrzyk, który chętnie podchwyciła reszta kadetów. Szyki rozsypały się, bo uczniowie zaczęli się obejmować i gratulować sobie nawzajem. Evie nie spuszczała oczu z Beatrycze, która nie

ruszyła się z miejsca. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć: żadnej radości, żadnej dumy, zupełnie nic. Była kompletnie nieodgadniona.

Wreszcie kadeci zaczęli odrywać się od przyjaciół, mieszając się ze swoimi rodzinami na wielkim, schodzącym nieco w dół dziedzińcu przed Wieżą Królowej.

– Ceremonia odbywa się w jej cholernej wieży, a ona nawet nie zejdzie się przywitać?

Evie natychmiast rozpoznała ten głos.

– Anisette! – zawołała, przyciągając ją do siebie i mocno obejmując.

– Gratuluję, Evie. Nie mogę się doczekać, aż będę mogła powiedzieć, że kiedyś znałam osobiście te wszystkie wielkie księżniczki.

Razem wróciły do baraków kompanii Ironbone. Anisette opowiedziała, co się u niej działo od czasu, gdy została wydalona ze szkoły. Pracowała w Czarnych Błotach, pomagając siostrze Demetry, księżniczce Kamili, rozmawiać z ludnością i gromadzić informacje o aktywności wiedzń w okolicy.

– To świetna zabawa – przyznała. – Całe to szkoleniowe zawracanie głowy jednak nie było dla mnie, ale kto wie? Może kiedyś będę mogła asystować księżniczce Bazylowi.

Evie zebrała swój skromny dobytek i wraz z Anisette dołączyła do Demetry i Maggie, które stały na dziedzińcu przed zamkiem Pennyroyal. Wszędzie wokół tłoczyli się kadeci, ich rodzeństwo i rodzice oraz nauczyciele; zaprzęgnięte karety i powozy czekały przy fontannie.

Demetra delikatnie pogłaskała jednego z białych koni pociągowych, gdy przechodziły obok. Uśmiechnęły się z Evie do siebie.

– Spędzisz wakacje w jaskini? – zagadnęła Anisette.

– Tak. Już nie mogę się doczekać spania na gołej skale!

– Hej, dziewczyny! – powiedział Bazyl, który pojawił się nagle obok nich w otoczeniu dwudziestu jeden nieokrzęsanych chłopaków, naśladujących komicznie każdy jego ruch. Gdy zauważył, że Anisette z trudem powstrzymuje śmiech, powiedział – Moi bracia. Postarajcie się nie zwracać na nich uwagi.

– Wytrzymasz z nimi przez całe lato? – zapytała Evie.

– Tak myślę. Wcześniej jakoś mi się to udawało. – Potrząsnął głową, raz jeszcze uświadamiając sobie, co się właściwie wydarzyło. – Nie mogę uwierzyć, że daliśmy radę.

Objął każdą z nich, wytrzymując grad gwizdów ze strony swoich braci.

– Słuchajcie, chciałem tylko powiedzieć... wiecie, że nigdy nie marzyłem o byciu księżniczką... ale skoro już tu jestem, to jestem dumny z tego, że mogę z wami służyć.

– Księżniczka Bazyla i jej psiapsiółki! – wykrzyknął jeden z braci, a pozostali ryknęli śmiechem. Bazyl wzruszył ramionami, po czym pobiegł za braćmi, którzy stadnie ruszyli w kierunku swojego powozu.

Dziewczęta zachichotały. Wciąż się śmiejąc, Evie zauważyła chłopską parę zbliżającą się do nich od strony Jasiowej Polany. Mężczyzna miętosił w rękach swoją nędzną czapkę.

– O, rodzice. Jesteś gotowa, Demetro? – zapytała Anisette.

– Jeśli wy jesteście.

Cztery przyjaciółki wymieniły jeszcze między sobą uściski, pożegnania i obietnice, że jeszcze przed rozpoczęciem drugiego roku odwiedzą się w swoich domach. Gdy Demetra i Anisette odwróciły się, żeby odejść, Evie usłyszała jeszcze, jak ojciec tej ostatniej mówi:

– To dla nas prawdziwy zaszczyt, że możemy gościć panienkę w naszym skromnym powozie, Wasza Najjaśniejsza Wysokość...

Na co Anisette odpowiedziała:

– Daj już spokój, ojczu, to naprawdę krępujące.

Evie i Maggie roześmiały się. Ale radość tego dnia zabarwiona była lekką goryczą rozstania.

– Twój ojciec przyjechał? – zapytała Evie.

– Żartujesz? Nigdy by nie wyruszył w tak długą drogę tylko po to, by zabrać mnie do domu.

Powiedziała to z uśmiechem, ale Evie usłyszała smutek w jej głosie. – Dobrze, możemy zatem jechać razem.

Maggie raz jeszcze ją objęła i Evie poczuła, że jej szyja jest mokra od łez przyjaciółki. Obie straciły matki, ale były to zupełnie inne historie.

– Twoja matka byłaby z ciebie dumna, Maggie. Wiem to. Maggie wyzwoliła się z jej uścisku i wytarła łzy.

– A twój ojciec byłby dumny z ciebie.

Pociągnęła nosem i opanowała się. Nagle wykrzyknęła:

– Och, zapomniałam mojej czerwonej peleryny z kapturem. Babcia mnie zabije. Czekaaj, wróć po nią szybko i już jedziemy.

Maggie pobiegła przez Jasiową Polanę, zostawiając Evie, która obserwowała, jak inni kadeci witają się z rodzinami. Przypomniała sobie, jak

patrzyła na nich kiedyś, w cieniu twierdzy Marburg, stojąc samotnie i prawie trzęsąc się ze strachu przed nimi. Teraz czuła w sobie potężną miłość do ludzi – mimo że, jak się przekonała, bycie jedną z nich wcale nie było proste i łączyło w sobie zarówno smutek, jak i radość. Było to z pewnością większe wyzwanie niż bycie smokiem, ale pod wieloma względami także bardziej satysfakcjonujące. Jej wzrok prześlizgiwał się po tłumie. Starła się zapamiętać jak najwięcej, by zabrać stąd wspomnienia na nadchodzące miesiące. Zobaczyła Forbesa. Stał w pewnym oddaleniu od reszty, ubrany w lśniący srebrny napierśnik nałożony na czarną tunikę. Rozmawiał z uzbrojonym, odzianym w futra człowiekiem. Mężczyzna miał krzaczastą, siwą brodę. Za nim czekało kilku uzbrojonych jeźdźców. Evie westchnęła i ruszyła w ich kierunku.

– Przepraszam.

– Ach, to ty – powiedział Forbes z uśmiechem. – Chcesz się pobić na pożegnanie?

– Chciałam ci raczej podziękować.

Na twarzy Forbesa pojawił się arogancki uśmiech.

– Jeśli tak, pozwól, że cię najpierw przedstawię. Ojciec, to kadetka Evie z kompanii Ironbone. Evie, mój ojciec, król Hossenbuhr.

– Ach, tak – powiedział król, patrząc na nią wyniośle i z pogardą. – Dziewczyna z portretu. Księżniczka Saudade.

Evie poczuła, że robi jej się słabo. Nie mogła się poruszyć, nawet gdy Hossenbuhr powiedział: – Widzę, że nikt cię nie nauczył kłaniać przed królem. Chodź, chłopcze – zwrócił się do syna. – Jedziemy.

– Chciałem przyjąć jej podziękowania – zaprotestował Forbes.

Król dosiadł swojego olbrzymiego rumaka i opuścił zasłonę stożkowej przyłbicy. Spojrzał na syna wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. Pewność siebie Forbesa natychmiast rozplynęła się pod tym spojrzeniem.

– Może w przyszłym roku – powiedział, po czym wskoczył na konia i wszyscy odjechali, zostawiając Evie w kompletnym osłupieniu.

– Myślałem, że już nigdy nie odjadą.

– Remington! – zawołała, odwracając się do niego. – Dobrze się czujesz? Wszędzie cię szukałam!

– Cały czas trzymali mnie w szpitalu. Badali mnie na wszystkie strony... – Rozwiązał rzemyki kaftana i rozchylił poły, ukazując małą plamkę chropowatego, szarego kamienia pośrodku piersi. Stuknął w nią kilka razy,

by pokazać, że naprawdę jest twarda. – Dzięki tej wiedźmie mam tu teraz wbudowaną na stałe tarczę.

Evie pogładziła palcami szorstki kamień. *Byleś tak blisko śmierci.*

– Jak mnie tam znalazłeś?

– Po tym, co mi powiedziałaś podczas Wielkiego Balu o wilkach, miałem straszne przeczucia, że Malora może chcieć ci coś zrobić. Nie mogłem pozwolić na to, żebyś była sama. Nie zauważyłaś małej żabki w wielkim koszu przyczepionym do jednej z tych olbrzymich ważek, co?

Evie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Znalazłbym tę wieżę wcześniej, ale jesteś dużo szybsza niż ja.

– Dziękuję. Naprawdę zawdzięczam ci życie.

Skłonił się. Jeden z powozów wyjeżdżających z dziedzińca przejechał obok nich, końskie kopyta zastukały na bruku.

– Chyba powinienem już iść.

Zawiązał swój kaftan i uśmiechnął się, ale nie był to ten swobodny półuśmiech, do którego zdążyła się już przyzwyczać. Przez chwilę stali przed sobą w niezręcznej ciszy. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

– Do zobaczenia w przyszłym roku – powiedział w końcu Remington. Rozejrzał się wokół. Wiele osób już zauważyło ich razem i zatrzymali się, by popatrzeć.

Nieważne, zrób to – pomyślała Evie. – *Zrób to, co w moich snach.*

Ale on tylko ponownie się uśmiechnął, po czym odwrócił się, żeby odejść. Evie poczuła ukłucie rozczarowania.

– Remington... – zawołała, a gdy zwrócił się znów w jej kierunku, przylgnęła do niego, obejmując jego szyję ramionami i przyciskając swoje usta do jego ust. Zsunął ramiona na jej biodra i przyciągnął ją mocniej do siebie. Całowali się tak, jak tylko rycerz i księżniczka mogą się całować. Mijały ich niezliczone powozy, aż tłum wokół skurczył się do garstki maruderów. Wreszcie Evie i Maggie wsiadły do ostatniego, prawie pustego powozu i zajęły miejsca na ławkach z tyłu. Maggie niemal od razu zaczęła rozmawiać z kilkoma kadetami i ich rodzicami. Evie pogрузzyła się w myślach. Powóz podskakiwał na bruku, aż zjechał w koleiny prowadzące w dół wzgórza. Gdy mijali potężne rzeźby rycerza i księżniczki, emanujące odwagą i triumfem, Evie zdała sobie sprawę z tego, że dokładnie tak się czuje w tym momencie. Zauważyła Rumpelszwacza w towarzystwie Hazelbranch, który machał im na pożegnanie. Evie uśmiechnęła się i też mu pomachała. Powóz zjeżdżał

ze wzgórza. Słońce otulało pomarańczowymi promieniami drzewa na granicy Dortchen Wild. Gdy konie przeciągały powóz na drugą stronę muru i kłusem wbiegły w las, Evie sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła stamtąd łuskę smoka, a z niej portret swojego ojca. Poglaskała go dłonią, wciąż ze śladami oparzeń, których nabawiła się, wkładając rękę do kotła wiedźm. Ucałowała szorstką powierzchnię płótna, potem chropowate brzegi łuski. Z uśmiechem wsunęła portret z powrotem w zagłębienie wklęsłej strony łuski i zawiesiła ją na szyi. Naszyjnik łagodnie opadł na jej pierś na wysokości serca.



CHCIAŁBYM PRZEKAZAĆ SŁOWA WDZIĘCZNOŚCI

Mojej Mamie – za to, że zabierała mnie do biblioteki. Mojemu Ojcu – za to, że zabierał mnie do kina.

Brooks – za zabieranie mnie we wszystkie inne miejsca. Anthony’emu Minghelli – za to, że jest dla mnie niedoścignionym wzorem.

Yvonne Millar – znakomitej psycholożce, która pomogła mi zrozumieć nastoletni umysł.

Mojej wyjątkowej redaktorce Jennifer Besser i wszystkim innym pracownikom wydawnictwa G.P. Putnam’s Sons.

Rowanowi Stocks-Moore’owi – za przepiękną okładkę. Ianowi Wasselukowi – za długie godziny spędzone na nanoszeniu świata Pennyroyal na mapę.

Mojej wspaniałej agentce literackiej Alexandrze Machinist i Markowi Jamesowi za to, że pomógł mi ją znaleźć.

Mojej mądrej i obdarzonej znakomitym gustem agentce filmowej Sally Willcox i Bryanowi Lourdowi za to, że pomógł mi ją znaleźć.

Reese Witherspoon i Brunie Papandrei za zdecydowanie i pasję, z którą podeszły do tej książki.

Dziękuję Kimberly Jaime i Deborze Klein za nawigowanie mnie po zdradliwych wodach prawa.

Dr. Allanowi Thextonowi za to, że był dla mnie nieograniczonym źródłem wiedzy w dziedzinie średniowiecza, zamków i wielu innych.

Tracey Becker, Denise Stewart, Kim Ohanneson, Gemini Adams, Robertowi Braudtowi i wszystkim z klubu Ron Book Team, którzy byli pierwszymi czytelnikami tej książki.

Wszystkim asystentom i redaktorom, których jeszcze nie poznałem, a którzy także mieli swój udział w pracy nad tą książką.

I wreszcie – Lili, która, mam nadzieję, będzie podchodzić do życia tak samo jak Evie: z zachwytem, siłą i świadomością, że nigdy nie jest sama.